

Noc błędu

Bagley Desmond



calibre 0.9.27

Desmond Bagley

"NOC BŁĘDU"

Przełożył

JÓZEF RADZICKI*

Tytuł oryginału

NIGHT OF ERROR

Opracowanie graficzne

Studio Graficzne "Fototype"

Redaktor

DOROTA KIELCZYK

Copyright (c) Brockhurst Publications Ltd. 1984

For the Polish edition

Copyright (c) 1993 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-7082-215-0

Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

Warszawa 1993. Wydanie I

Skład: "Fototype" w Milanówku

Druk: Łódzka Drukarnia Dziełowa

Gdy dojrzysz, że brat twój cnoty utracił kaganek,

Że wkracza w noc błędu, w ciemności krużganek,

Pomóż drogę odnaleźć, przywołaj poranek,

Gdy wiesz go za sobą, wyrzeknij się złoci,

A jeli ci się oprze, nie żałuj litoci:

Kara go, być może, dosięgnie w zawiatach,

Ty zawsze pamiętaj, by widzieć w nim brata.

Jonathan Swift

(przełożyła Dagna Iepowrońska)

Stanowi Hurstowi

nareszcie,

z wyrazami przyjani

Przedmowa

W księżce "Pilot Wysp Pacyfiku" (The Pacific Islands Pilot), tom

II, wydanej przez Urząd Hydrografii Marynarki Wojennej, pod koniec

długiej i szczegółowej relacji o wyspie Fonua Fo'ou można przeczytać,

co następuje:

W 1963 roku nowozelandzki statek "Tui" doniósł, że na głębokoci

około dwóch metrów znajduje się twarda szara skała, o którą

rozbija się morze; dwie mile na północ i półtorej mili na zachód od

niej rozciąga się ławica o przeciętnej głębokoci jedenastu metrów.

Krawędź wschodnia jest stroma. W pobliżu tej skały woda miała

zmienioną barwę, co było spowodowane pęcherzykami gazu

siarkowego, wydobywającymi się na powierzchnię. Na obszarze

ławicy dno było dobrze widoczne i składało się z drobnoziarnistej

czarnej lawy komórkowej, przypominającej żużel wulkaniczny,

z płytami białego piasku i skały. W pobliżu zauważono wiele

kaszalotów.

Wydanie to opublikowano jednak dopiero w 1969 roku.

Akcja niniejszej opowiesci zaczyna się w 1962 roku.

Rozdział pierwszy

1

O tym, jak umarł mój brat, dowiedziałem się w Londynie, w ponure

i słotne popołudnie. Niebo było pokryte chmurami i padał deszcz,

więc tego dnia ciemniło się wczesnie, znacznie wczesniej niż zwykle.

Gdy już nie widziałem liczb, które miałem sprawdzać, zapaliłem lampę

na biurku i wstałem, żeby zaciśgnąć zasłony.

Przez chwilę przyglądałem się moknącym na deszczu platanom na

Bulwarze, potem spojrzałem na zasnutą mgłą Tamizę. Poczułem lekki

dreszcz; zapragnąłem wyrwać się z tego posępnego miasta i powrócić

na morza pod tropikalnym niebem. Zdecydowanym ruchem szarp-

nięłem zasłonę, odgradzając się od ciemności.

Zadzwonił telefon.

Była to Helen, wdowa po moim bracie, a w jej głosie brzmiała

histeryczna nuta. - Mike, jest tu pewien mężczyzna - pan Kane -

który był przy mierci Marka. Chyba byłoby lepiej, gdyby się z nim

spotkał. - Jej głos załamał się. - Mike, ja nie mogę się w tym

wszystkim połapać.

- W porządku, Helen; wypęd go. Będę tu do wpół do szóstej -

czy może wpać tu wczesniej?

Nastąpiła chwila przerwy w naszej rozmowie, słychać było tylko

niewyrany szmer głosów, po czym Helen powiedziała: - Tak, będzie

w instytucie przed tš godzinš. Dzięki, Mikę. Aha, dostałam jeszcze jaki wistek z British Airways - co przyszło z Tahiti. Mylę, że to muszš być rzeczy Marka. Wysłałam ci go pocztš dzi rano - zajmiesz się tym zamiast mnie? Mylę, że bym nie wytrzymała.

- Zrobię to - powiedziałem. - Dopilnuję wszystkiego.

Rozłšczyła się, a ja powoli położyłem słuchawkę i odchyliłem się do tyłu w fotelu. Wyglšdało na to, że Helen była mocno wyprowadzona z równowagi; zastanawiałem się, co ten Kane mógł jej powiedzieć.

11

Wiedziałem tylko tyle, że Mark umarł na jakiej wyspie w pobliżu Tahiti; konsul brytyjski zajšł się wszystkim, a Foreign Office nawišzało kontakt z Helen, jako osobš najbliższš zmarłemu. Nigdy nie powiedziała tego, ale musiała odczuć ulgę - to małżeństwo nie dało jej nic prócz cierpień.

Przede wszystkim nie powinna była nigdy wyjć za niego. Próbowalem jš ostrzec, lecz trochę trudno jest mówić przyszłej bratowej o niegodziwociach własnego brata i moje słowa nigdy nie wywołały w niej oddwiku. Chyba jednak kochała go wbrew wszystkiemu - Mark umiał postępować z kobietami.

Jedno było pewne - mierz Marka nie obeszła mnie ani trochę.

Dawno temu dokonałem jego oceny jako człowieka i trzymałem się z dala od niego i wszystkich jego spraw, tych przebiegłych, bezltonie wyrachowanych przedsięwzięć, które miały jeden tylko cel - gloryfikację Marka Trevelyana.

Usunęłam go z myśli, ustawiłam odpowiednio lampę biurkową i zabrałam się znów do swoich liczb. Ludzie myślą, że uczeni - a zwłaszcza oceanografowie - prowadzą nieustannie badania terenowe, dokonując tajemniczych, trudnych do zrozumienia odkryć. Nie myślą nigdy o pracy biurowej nieodłącznie związanej z badaniami - ale gdybym nie wygrzebał się z tej nudnej roboty, to nie wróciłbym nigdy na morze. Pomyślałam, że gdybym naprawdę zabrał się solidnie do pracy, to wkrótce bym już ukończył, a wtedy miałbym miesiąc urlopu, gdybym potrafił uznać za urlop pisanie artykułu do czasopism naukowych. To jednak nie zajęłoby mi całego miesiąca.

Kwadrans po piątej skończyłam robotę na ten dzień, a Kane jeszcze się nie pojawił. Wkładałam właśnie płaszcz, gdy zastukano do drzwi; kiedy je otworzyłam, stojący za nimi mężczyzna zapytał: - Pan Trevelyan?

Kane był wysokim, wychudzonym mężczyzną koło czterdziestki, w zwykłym marynarskim ubraniu i sponiewieranej czapce z daszkiem. Wydawał się przytłoczony i trochę przerażony swym obecnym otoczeniem. Gdy wymieniliśmy ucisk dłoni, wyczułam zrogowacenia na skórze i pomyślałam, że jest chyba żeglarzem - marynarze na parowcach nie mają tylu okazji do pracy fizycznej.

Powiedziałem: - Przykro mi, że ciśgałam pana przez cały Londyn w taki dzień, panie Kane.

- Nie szkodzi - odrzekł z twardym australijskim akcentem - szedłem właśnie tędy.

Spodobał mi się. - Miałem wychodzić. Może bymy się czego
napili?

12

Umiechnął się. - Byłoby niele. Lubię wasze angielskie piwo.

Poszlimy do pobliskiej knajpy, gdzie wziłem go do baru i zamówiłem dwa piwa. Wyszczył pół kufla i sapnął z zadowoleniem. - To dobre piwo - powiedział. - Nie takie dobre jak Swan, ale i tak dobre. Zna pan piwo Swan?

- Słyszałem o nim - powiedziałem - ale nigdy go nie piłem.

Australijskie, prawda?

- Tak, najlepsze piwo na wiecie.

Dla Australijczyka wszystko, co australijskie jest najlepsze. - Czy nie pomyłę się, jeli powiem, że spędził pan życie pod żaglami? -

Zapytałem.

Rozemiał się. - Będzie pan miał zupełną słusność. Skąd pan wie?

- Sam żeglowałem; przypuszczam, że to jest w jakiś sposób widoczne.

Więc nie będę musiał wyjaniać panu zbyt wielu szczegółów, gdy będę opowiadać o pańskim bracie. Mylę, że chce pan poznać całą prawdę? Pani Trevelyan nie powiedziała mi wszystkiego - rozumie pan, niektóre sprawy są dość ponure.

Chciałbym wiedzieć wszystko.

Kane skończył swoje piwo i mrugnął na mnie. - Jeszcze jedno?

- Ja na razie dziękuję. Niech pan zaczyna.

Zamówił drugie piwo i powiedział: - No cóż, żeglowaliśmy na Wyspy Towarzystwa, mój wspólnik i ja; mamy szkuner, trochę handlujemy, skupujemy też koprę, a czasem kilka pereł. Byliśmy na Wyspach Tuamotu - miejscowi nazywają je Paumotu, ale na mapach są oznaczone jako Tuamotu. Leżą na wschód od...

Wiem, gdzie leżą - przerwałem.

W porządku. A więc myśleliśmy, że jest szansa skombinowania kilku pereł, więc tylko krążyliśmy od jednej wyspy do drugiej. Większość ich jest niezamieszkała i nie ma nazw - w każdym razie takich, które potrafilibyśmy wymówić. Tak czy owak, właśnie przepływalimy koło jednej z wysp, gdy odbiło od niej czołno, z którego zawołano na nas. W czołnie był chłopiec - Polinezyjczyk, wie pan. Rozmawiał z nim Jim. Jim Hadley to mój wspólnik; mówi ich dialektem - ja sam nie rozumiem go zbyt dobrze.

Chłopiec powiedział, że na wyspie jest biały człowiek, bardzo chory. Zeszliśmy więc na brzeg, aby spojrzeć na niego.

To był mój brat?

Właśnie, i rzeczywiście był chory; słowo daję.

Co mu było?

13

Kane wzruszył ramionami. - Z początku nie wiedzieliśmy, lecz okazało się, że to zapalenie wyrostka robaczkowego. Dowiedzieliśmy się o tym, gdy sprowadziliśmy do niego lekarza.

To był tam lekarz?

Jeli można nazwać go lekarzem. To był pijany, stary wykole-
jeniec, który żył na tych wyspach od lat. Ale mówił, że jest lekarzem.

Nie było go zresztś na miejscu; Jim musiał płynść po niego pięćdziesiąt
mil, podczas gdy ja zostałem z pańskim bratem.

Kane pociśgnął łyk piwa. - Pański brat był na tej wyspie sam,
jeli nie liczyć tego czarnego chłopca. Nie miał też łodzi. Powiedział,
że jest jakim uczonym, który ma co do czynienia z morzem.

Oceanografem. - Tak, podobnie jak ja był oceanografem.

Mark zawsze musiał starać się mnie pokonać, wszystko jedno w jakiej
konkurencji. A reguły gry były zawsze ustalane przez niego.

Włanie. Powiedział, że zostawiono go tam, bo chciał przep-
rowadzić jakie badania, a po pewnym czasie mieli go zabrać.

Dlaczego nie wzięlicie go do lekarza, zamiast przywozić lekarza
do niego? - zapytałem.

Pomylelimy, że nie wytrzyma - powiedział Kane po prostu. -

Mały statek, taki jak nasz, bardzo kołysze, a on był porządnie chory.

Rozumiem - powiedziałem. Kane malował ponury obraz.

Zrobiłem dla niego, co mogłem - powiedział Kane. - Chociaż
niewiele mogłem zrobić, poza umyciem go i ogoleniem. Dużo roz-
mawialimy o tym i owym - wtedy włanie poprosił mnie, żebym
porozmawiał z jego żonś.

Chyba nie spodziewał się, że odbędzie pan specjalnie podróż
do Anglii? - naciskałem, myśląc, że nawet na łożu mierci Mark

pozostał sobś.

Ach, nic podobnego - odrzekł Kane. - Widzi pan, ja tak czy owak wybierałem się do Anglii. Wygrałem trochę pieniędzy w totka, a zawsze chciałem odwiedzić stary kraj. Jim, mój kumpel, powiedział, że może trochę pociśgnść sam, i wysadził mnie w Panamie. Tam skombinowałem robotę na statku pływającym do Anglii.

Umiechnął się smutno. - Nie zostanę tu tak długo, jak myślałem.

Prawdę mówiąc, przegrałem grubszą forszę w pokera. Pozostanę w Anglii, dopóki nie skończy mi się gotówka, a potem wrócę na szkuner, do Jima.

Zapytałem: - Co się wydarzyło, kiedy przybył lekarz?

- Ach, oczywiście, chce pan dowiedzieć się o swoim bracie; przepraszam, jeli odszedłem od tematu. No cóż, Jim przywiózł tego starego nicponia, a on dokonał operacji. Powiedział, że musi to zrobić,

14

że to jedyna szansa pańskiego brata. Było to co zupełnie prymitywnego; narzędzia lekarza nie były zbyt dobre. Pomagałem mu; Jim nie miał na to ochoty. - Siedział w milczeniu, wracając myślami do przeszłości.

Zamówiłem następne dwa kufle piwa, lecz Kane powiedział: -

Chciałbym czego mocniejszego, jeli nie ma pan nic przeciwko temu - zmieniłem więc zamówienie na whisky.

Pomyślałem o tym zapitym lekarzu - partaczu, rozcinającym

mojego brata tępymi nożami na dzikiej tropikalnej wyspie. Nie była to przyjemna myśl; a ze sposobu, w jaki Kane łykał swójś whisky,

wywnioskowałem, że on także dostrzegał okropność sytuacji. Dla

niego było to gorsze - on tam był.

I tak umarł - powiedziałem.

Nie od razu. Po operacji wydawało się, że wszystko jest w porządku, potem pogorszyło mu się. Lekarz powiedział, że to per...
peri...

Peritonitis? To znaczy, że miał zapalenie otrzewnej?

Otóż to. Zapamiętałem, że brzmiało to podobnie do nazwy sosu peri-peri - po którym jest tak, jakby się miało co goršcego w brzuchu. Dostał goršczki i majaczył; potem stracił przytomność i zmarł dwa dni po operacji.

Kane wpatrywał się w swój kufel. - Pochowaliśmy go w morzu.

Był cholerny upał i nie mogliśmy przewozić ciała - nie mieliśmy lodu. Zaszyliśmy je w płótno i spuciliśmy za burtę. Lekarz powiedział, że załatwi wszystkie formalności, a więc Jim i ja nie potrzebowaliśmy płynąć aż do Papeete - lekarz wiedział wszystko to, co my wiedzieliśmy.

- Czy powiedział pan lekarzowi o żonie Marka - jej adres i tak dalej?

Kane kiwnął głową. - Pani Trevelyan mówiła mi, że dopiero co dowiedziała się o tym - że przyszła do pana poczta z wysp. Rozumie pan, on nie dał nam nic dla niej, żadnych rzeczy osobistych. Zastanawialiśmy się nad tym. Ale ona powiedziała, że jakie jego narzędzia są w drodze - czy to prawda?

- Być może - powiedziałem. - Jest co na lotnisku. Praw-

dopodobnie odbiorę to jutro. Nawiasem mówiąc, kiedy Mark umarł?

Po namyśle odpowiedział: - Chyba jakie cztery miesiące temu.

Nie dba się o wiele o daty i kalendarz, gdy krąży się po wyspach nie wyznaczając co chwila swej pozycji i bez zaglądania do almanachu, a Jim jest specjalistą od takiego sposobu żeglowania. Przypuszczam, że stało się to gdzie na początku maja. Jim wysadził mnie w Panamie w lipcu, i musiało minąć trochę czasu zanim znalazłem się tutaj.

15

- Czy pamięta pan nazwisko lekarza? Albo skąd tam się wziął?

Kane zmarszczył brwi. - Wiem, że jest Holendrem; nazywa się

Scot - jako tam. O ile pamiętam, mógł się nazywać Scooter.

Prowadzi szpital na jednej z wysp - słowo daję, nie mogę sobie przypomnieć, na której.

- To nie ma znaczenia; a jeśli okaże się, że to ważne, będę mógł uzyskać te dane ze wiadectwa zgonu. - Skończyłem swój whisky. -

Kiedy ostatni raz słyszałem o Marku, pracował z pewnym Szwedem nazwiskiem Norgaard. Czy pan go nie spotkał?

Kane pokręcił przecząco głową. - Na wyspie był tylko pański

brat. Rozumie pan, nie zostaliśmy tam długo. Zwłaszcza kiedy stary

Scooter powiedział, że zajmie się wszystkim. Sądzi pan, że ten Norgaard

miał zabrać pańskiego brata po ukończeniu przez niego pracy?

- Co w tym rodzaju - powiedziałem. - To było bardzo

uprzejmie z pańskiej strony, że zadał pan sobie tyle trudu, by

opowiedzieć nam o mierci Marka.

Machnął ręką na znak, że moje podziękowania są zbyt wiele. -

W ogóle żaden trud; każdy zrobiłby to samo. Pani Trevelyan nie powiedziałem zbyt dużo, pan rozumie.

Gdy będę z nim rozmawiał, odpowiednio spreparuję tę opowieść - powiedziałem. - W każdym razie dzięki za opiekę nad nim.

Nie chciałbym wyobrażać sobie, jak umiera w samotności.

No, wie pan - powiedział zakłopotany Kane - nie moglibyśmy przecież postąpić inaczej, prawda?

Dałem mu swoją wizytówkę. - Chciałbym być z panem w kontakcie - powiedziałem. - Jak będzie pan gotów wracać, być może pomogę panu dostać się na jakiś statek. Mam mnóstwo znajomości wśród żeglarzy.

- W porządku - powiedział. - Będę w kontakcie, panie Trevelyan.

Pożegnałem się, wyszedłem z baru i wliczyłem się do ustronnej sali w tej samej knajpie. Nie przypuszczałem, żeby Kane wszedł tam, a chciałem przez chwilę pomyśleć spokojnie przy jeszcze jednym drinku.

Mylałem o Marku, umierającym strasznym miernikiem na odludnym atolu zagubionym wśród wód Pacyfiku. Bóg wie, że Mark i ja nie zgodziliśmy się ze sobą, lecz nie życzyłbym takiego losu najgorszemu wrogowi. Było jednak coś dziwnego w całej tej historii; nie byłem zaskoczony tym, że znalazł się na Wyspach Tuamotu - jego praca, podobnie jak moja, wymagała szperania po osobliwych zakątkach

oceanów - lecz gdzie tu brzmiała fałszywa nuta.

Na przykład, co stało się z Norgaardem? Z pewnością pozostawienie

16

człowieka na bezludnej wysepce, by zupełnie sam wykonał jakąś pracę, nie było normalną procedurą działania. Zastanawiałem się, co Mark i Norgaard robili na Wyspach Tuamotu; nie opublikowali żadnych artykułów na ten temat, więc zapewne ich badania nie zostały ukończone. Zanotowałem sobie w pamięci, żeby zapytać o to starego Jarvisa; mój szef nasłuchiwał pilnie wszelkich pogłosek i wiedział o wszystkim, co działo się w naszej profesji.

Nie to jednak mnie niepokoiło; było co innego, co plątało się po zakamarkach mojego mózgu, lecz nie mogłem sobie tego jasno uwiadomić. Przez jakiś czas próbowałem wykryć, co tu się nie zgadza, lecz na próżno. Skończyłem więc drinka i poszedłem do swego mieszkania w bloku, by do późnej nocy posiedzieć jeszcze nad cyferkami.

2

Następnego dnia przyszedłem do instytutu wcześnie i udało mi się skończyć pracę tuż przed lunchem. Zabrałem się energicznie do nadrobienia zaległości w korespondencji, gdy jedna z dziewczyn wprowadziła gościa, i to jak najbardziej pożądanego. Geordie Wilkins był w czasie wojny sierżantem w oddziale komandosów mojego ojca, a gdy ten poległ, on zainteresował się synami człowieka, którego bardzo szanował. Mark, co było dla niego charakterystyczne, odnosił

się do Wilkisa trochę pogardliwie, lecz ja lubiłem Geordiego i zgodzaliśmy się ze sobą.

Po wojnie powodziło mu się dobrze. Przewidział gwałtowny rozwój sportu żeglarskiego i zakupił dwudziestopięcotonowy kuter, który wynajmował i na którym udzielał lekcji żeglarstwa. Póniej zrezygnował z tego zajęcia i dorobiwszy się dwustutonnej brygantyny, wynajmował ją głównie bogatym Amerykanom, pływając z nimi wszędzie, gdzie tylko chcieli, i pobierając słone opłaty za swe usługi. Zawsze, gdy był w Anglii, wpadał do mnie, lecz minął już pewien czas od chwili, gdy widziałem go ostatni raz.

Wszedł do gabinetu wnosząc ze sobą powiew morskiego powietrza.

- Na Boga, Mike, ale jesteście bladzi! - powiedział. - Będę musiał zabrać cię znów na morze.

Geordie! Gdzie się podziewałeś tyle czasu?

Karaiby - odrzekł. - A teraz przyłynęłam tu, żeby doprowadzić staruszkę do stanu używalności. Mam przerwę między czarterami, chwała Bogu.

17

2 - Noc błędu

Gdzie mieszkasz?

U ciebie - jeśli mnie przyjmiesz. "Esmeralda" też jest tutaj.

Nie bądź idiotą - powiedziałem uszczęśliwiony. - Wiesz, że jesteście mile widziani. Tym razem zdaje się mamy szczęście; muszę tylko

co napisać, co zajmie mi tydzień, a potem będę miał trzy tygodnie wolnego.

Potarł podbródek. - Ja też jestem przez tydzień uwiśzany, ale potem będę wolny. Wypucimy się gdzie.

- To wietny pomysł - powiedziałem. - Usycham z chęci

wyrwania się stśd. Poczekaj chwilkę, aż przejrzę pocztę, dobrze?

Koperta, którś włanie otworzyłem, zawierała krótki list od Helen

i zawiadomienie z British Airways. Było co do odebrania z Heathrow,

za co trzeba było zapłacić cło. Spojrzałem na Geordiego. - Wiesz, że

Mark nie żyje?

Wyglśdał na wstrzśniętego. - Nie żyje! Kiedy to się stało?

Opowiedziałem mu o wszystkim. - Cholernie marny koniec -

powiedział - nawet dla Marka - i zaraz przeprosił: - Przykro mi,

nie powinienem tak mówić.

Przestań, Geordie - powiedziałem z rozdrażnieniem. - Wiesz,

co sśdziłem o Marku; nie musisz być taki oficjalny wobec mnie.

No tak. To było niezłe ziółko, nieprawdaż? Jak zniosła

to jego żona?

Lepiej niż można by się spodziewać w tych okolicznociach.

Była bardzo załamana, lecz wydaje się, że dostrzegam u niej ukryte oznaki ulgi.

Najlepiej będzie, jeli wyjdzie drugi raz za mśż i zapomni o nim

- powiedział bez ogródek Geordie. Powoli pokiwał głowś. - Nie

mogę zrozumieć, co kobiety widziały w Marku. Traktował je jak

miecie, a one chodziły koło niego na dwóch łapkach.

Niektórzy to umiejś, niektórzy nie - powiedziałem.

Jeli to znaczy, że trzeba być takim jak Mark, to wolę raczej

nie umieć. Przykro pomyśleć, że sś tacy, którzy nie potrafiś powiedzieć

człowiekowi dobrego słowa. - Wziśł ode mnie zawiadomienie

o przesyłce. - Masz jaki wóz, z którego mógłbym skorzystać? Od

miesiący nie siedziałem za kółkiem i chciałbym się przejechać. Wezmę

przekładnię z "Esmeraldy", a potem pojedę na lotnisko i odbiorę dla

ciebie tę przesyłkę.

Rzuciłem mu kluczyki od mojego wozu. - Dzięki. To ciśgłe ten

sam stary wrak, znajdziesz go na parkingu.

Gdy odjechał, ukończyłem przeglądanie korespondencji, a potem

poszedłem do profesora, by złożyć mu swoje uszanowanie. Stary

18

Jarvis był doć serdeczny. - Wykonałe kawał dobrej roboty, Mike -

powiedział. - Przejrzałem pobieżnie te twoje materiały-i jeli w korelac-

jach nie ma błędu, to myślę, że dojdziemy do czego.

- Dziękuję.

Odchylił się do tyłu w fotelu i zaczął nabijać fajkę. - Oczywiście

napiszesz artykuł.

Zrobię to, kiedy będę na urlopie - powiedziałem. - Nie

będzie długi - tylko wstęp. Trzeba jeszcze powięcić wiele czasu na

badania prowadzone na morzu.

Masz ochotę wrócić do nich, prawda?

Chętnie wyjadę.

Chrzęknął. - Na każdy dzień, który spędzasz na morzu, przypadają trzy dni w instytucie na przetwarzanie danych. I nie bierz posady takiej jak moja - to jest wyłącznie praca biurowa. Trzymaj się z dala od administracji, mój chłopcze; nie przyronij do krzesła.

- Nie przyrosnę - obiecałem, po czym zmieniłem temat. -

Czy możesz mi co powiedzieć o facecie nazwiskiem Norgaard?

Przypuszczam, że jest Szwedem i zajmuje się prądami oceanicznymi.

Jarvis popatrzył na mnie za krzaczastych brwi. - Czy to nie jest ten gość, który pracował z twoim bratem przed jego mierci?

- Tak, właśnie ten.

Zastanowił się, po czym potrząsnął głową. - Ostatnio nie słyszałem nic o nim; z pewnością nic nie opublikował. Ale zapytam się paru osób i skontaktuję się z nimi.

I to już było wszystko. Nie wiedziałem, dlaczego właściwie zadałem sobie trud zapytania profesora o Norgaarda; chyba, że powodem było nadal to przykre swędzenie w głębi czaszki, poczucie, że co jest nie w porządku. Tak czy owak, prawdopodobnie nie miało ono żadnego znaczenia, więc usunąłem je z myśli, gdy szedłem z powrotem do swego gabinetu.

Zrobiło się późno i zamierzałem już wyjść, gdy wrócił Geordie i postawił na moim biurku staromodny, podniszczony kuferek podróżny. - To jest to - powiedział. - Kazali mi go otworzyć - bzdura, co bzdura zadanie okazało się troszeczkę trudne bez klucza.

Co zrobię?

Rozbiłem zamek - powiedział pogodnie.

Patrzyłem podejrzliwie na kuferek. - Co w nim jest?

- Niewiele. Trochę odzieży, parę ksiżek i mnóstwo kamieni. Jest też list zaadresowany do żony Marka. - Rozsupłał sznurek, którym był obwieszany kuferek, wyjął list i przesunął go ku mnie po liskiej powierzchni biurka, po czym zaczął wyładowywać zawartość - parę

19

ubrań tropikalnych, niezbyt czystych, dwie koszule, trzy pary skarpetek, trzy podręczniki oceanografii - bardzo nowoczesne, parę notesów z odręcznymi zapiskami Marka, różne długopisy, przybory toaletowe i inne drobiazgi.

Spojrzałem na list, zaadresowany do Helen starannym pochyłym pismem. - Lepiej go otworzę - powiedziałem. - Nie wiemy, co tam jest w środku, a nie chcę, żeby Helen doznała zbyt silnego wstrząsu.

Geordie skinął głową i rozciąłem kopertę. List był krótki i raczej oschły:

Droga Pani Trevelyan,

Z przykrością zawiadamiam Pani, że Pani mąż, Mark, nie żyje, choć być może dowiedziała się Pani o tym przed otrzymaniem tego listu. Mark był moim dobrym przyjacielem i zostawił pod moją opieką niektóre swoje rzeczy. Wysyłam Pani wszystkie, bo wiem, że chciałaby Pani je mieć.

Z poważaniem

P. Nelson

Mylałem, że to pismo urzędowe, ale nie - powiedziałem.

Geordie przebiegł wzrokiem list. - Znasz tego faceta, Nelsona?

Nigdy o nim nie słyszałem.

Geordie położył list na biurku i przechylił kuferek. Około tuzina

przedmiotów podobnych do kartofli wysypało się na biurko. Niektóre

potoczyły się dalej i spadły na dywan, a Geordie schylił się i pozbierał

je. - Zapewne lepiej niż ja zorientujesz się, co to takiego.

Obróciłem jeden w palcach. - Bryłki manganowe - powie-

działem. - Zwane naukowo bułami manganowymi. Bardzo pospolite

w Pacyfiku.

- Wartociowe?

Rozemiałem się. - Mogłyby być, gdyby można było łatwo dostać

się do nich - ale nie można, więc nie sš. Ležš na dnie oceanu, na

redniej gębokoci czterech i pół tysiřca metrów.

Przyjrzał się dokładniej jednej z bryłek i powiedział. - Za-

stanawiam się więc, skšd je wziřł? To trochę za gęboko ,na swobodne

nurkowanie.

- Prawdopodobnie to pamiřtki z Międzynarodowego Roku

Geofizycznego. Mark był fizykochemikiem na jednym z ich okrętów na

Pacyfiku. - Wziřłem jeden z notesów i przekartkowałem go na chybił

trafił. Zawierał przeważnie ciasno wypisane równania matematyczne,

nakrelone zbyt wyszukany charakterem pisma Marka.

Wrzuciłem notes do otwartego kufereka. - Spakujmy te rupiecie

i jedziemy do domu.

Włożyliśmy wszystko z powrotem, pomieszane jak groch z kapustą,

i znieśliśmy kuferek do samochodu. W drodze do domu Geordie

zapytał: - Co by powiedział na jakie przedstawienie dzi wieczoro-

rem? - Podczas swych rzadkich wizyt w mieście miał słaboć do

wystawnych musicali.

Jeli potrafisz zdobyć bilety - odpowiedziałem. - Nie mam

ochoty stać w kolejce.

Dostanę je - powiedział z dużą pewnością siebie. - Znam

kogo, komu wywiadczyłem parę przysług. Słuchaj, wypuść mnie

tutaj, a za pół godziny lub trochę później przyjdę do ciebie, do

mieszkania.

Wysadziłem go, a gdy dotarłem do swego bloku, wziąłem najpierw

kuferek Marka, bo miałem go pod ręką, a potem wróciłem do

samochodu po przekładnię Geordiego. Następnie przez pewien czas

zajmowałem się ustaleniem, czego będę potrzebował, żeby wypłynąć

z nim na morze; okazało się jednak, że mam większość potrzebnych

rzeczy, więc lista była bardzo krótka i sporządzenie jej nie zabrało

wiele czasu.

Po chwili przyłapałem się na tym, że spoglądam na kuferek.

Postawiłem go więc na łóżku, otworzyłem i patrzyłem na to, co

pozostało po życiu Marka. Miałem nadzieję, że kiedy ja odejdę z tego

wiata, to zostawię co więcej niż parę książek, parę ubrań i wstępliwś

reputację. Ubrania nie były szczególnie interesujące, kiedy jednak podniosłem marynarkę, z wewnętrznej kieszeni wypadł mały, oprawny w skórę notesik.

Podniosłem go i przejrzałem dokładnie. Najwyraźniej był to pamiętnik, lecz większość notatek sporządzono stenograficznie, systemem Pitmana, lecz przerobionym na swój własny sposób, wskutek czego były niezrozumiałe dla nikogo, prócz ich autora - Marka.

Z rzadka pojawiały się szeregi wzorów chemicznych i matematycznych, a gdzieś tam skomplikowane geometryczne rysunekki. Przypomniałem sobie, że Mark już w szkole zwykł bazgrać sobie machinalnie, i często besztano go za stan jego zeszytów. W żadnym z tych rysunków nie można było dopatrzeć się sensu.

Położyłem pamiętnik na toalecie i zabrałem się do większych notesów. Były znacznie bardziej interesujące, choć niewiele łatwiejsze do zrozumienia. Najwyraźniej Mark pracował nad teorią tworzenia bryłek, która jednak, łagodnie mówiąc, była niedorzeczna - przynajmniej z punktu widzenia ortodoksyjnej fizykochemii. Skala czasu,

21

jakś się posługiwał, była nierealna, a jego analiza jakościowa już na pierwszy rzut oka wydawała się niepoprawna.

Wkrótce posłyszałem wchodzącego Geordiego. Wsunął głowę do sypialni i powiedział triumfalnie: - Dostałem bilety. Zjemy pierwszorzędną obiad, a potem pójdziemy do teatru.

- To diabelnie dobry pomysł - powiedziałem. Wrzuciłem notesy

i ubranie do kuferka, zamknęłam go i przywiśzałam sznurkiem wieko.

Geordie na ten widok pokiwał głową. - Odkrył coś interesującego?

Umiechnęłam się. - Nic, z tym wyjątkiem, że Mark miał wira.

Uchwycił się jakiego cholernie głupiego pomysłu na temat tych bryłek i dostał kręćka na ich punkcie.

Wepchnęłam kuferki pod łóżko i zacząłam przebierać się do wyjścia.

3

Obiad był dobry, przedstawienie jeszcze lepsze, więc jechaliśmy do domu napchani wspaniałym jedzeniem i syci wietnej rozrywki. Geordie był w doskonałym humorze i podpiewywał chrapliwym, niemelodijnym głosem jedną z piosenek wykonywanych tego wieczoru. Obaj zresztą byliśmy w wesołym nastroju.

Zaparkowałam samochód przed blokiem i wysiedliśmy. Ciśgło jeszcze mżył drobny kapuniaczek, lecz pomyślałam, że do rana powinno się roz pogodzić. To dobrze; przydałaby się ładna pogoda na mój urlop. Spojrzałam na niebo i zdrętwiałam.

- Geordie, kto jest w moim mieszkaniu.

Popatrzył w górę i zobaczył to samo, co ja - blade wiatelko, które poruszało się w jednym z okien trzeciego piętra, to rozjaniając się, to przygasając.

To latarka. - Jego zęby błysnęły w ciemności, gdy umiechnął się szeroko. - Już dawno nie trafiła mi się porządna bójka.

Chodmy - powiedziałem i wbiegłimy do sieni.

Geordie złapał mnie za rękę, gdy naciskałem guzik od windy. -

Pomału! Zrobmy to jak należy - powiedział. - Poczekaj chwilę, a potem wjedziesz windę. Ja wbiegnę po schodach - powinniśmy znaleźć się na trzecim piętrze jednocześnie. Zamkniemy obie drogi wyjścia.

Umiechnąłem się i zsalutowałem. - Tak jest, sierżancie! -

Znow odezwał się w nim stary żołnierz. Geordie przeprowadzał

22

wojskową operację schwytania włamywacza - a ja wykonywałem rozkazy.

Wsiadłem do windy i po chwili wyszedłem z niej na owietlony korytarz. Geordie uzyskał dobry czas w biegu po schodach, ale oddychał tak spokojnie, jakby przechadzał się po równinie. Dał mi znak, żebym zostawił drzwi windy otwarte, sięgnął ręką do rodka i nacisnął guzik najwyższego piętra. Zamknąłem drzwi i winda pojechała do góry.

Z kolei on się umiechnął. - Każdy, kto zechce opuścić dom

w popiechu, będzie musiał skorzystać ze schodów. Masz klucz?

Podąłem mu klucz, a Geordie po cichu podszedł do drzwi mojego

mieszkania. Przez niezastłonięte okno kuchenne zobaczyłem błysk

latarki. Geordie ostrożnie wsunął klucz do zamka. - Wchodzimy

ostro - wyszeptał, obrócił klucz, otworzył nagłym pchnięciem drzwi

i wpadł do mieszkania jak rozwieziony byk.

Wbiegłem tuż za nim, usłyszałem okrzyk. - Ojo! - zobaczyłem olepiący błysk i schwyciłem kogo w drzwiach kuchni. Ten kto uderzył mnie w bok głowy, zapewne latarkš, gdyż wiatło zgasło. Przez chwilę poczułem się oszołomiony, lecz trzymajšc go mocno wysunšłem do przodu kolano i poderwałem je gwałtownie do góry. Usłyszałem bolesne sapnięcie, a ponad nim grzmišcy głos Geordiego z dalszej części mieszkania - chyba z sypialni.

Zwolniłem chwyt, wyrzuciłem do przodu pięć i wrzasnąłem z bólu, gdy moje kostki uderzyły we framugę drzwi. Mój przeciwnik wywinšł się i wybiegł z mieszkania. Wszystko działo się dla mnie zbyt szybko.

Słyszałem trzask mebli i głone przekleństwa Geordiego. Słaby tenorowy głos wołał: - Huid! Huid! No dispareis! Emplead cuchi-lllos! - Potem nagle kto inny wpadł na mnie w ciemności, a ja znów uderzyłem go pięciš.

Teraz wiedziałem, że ten napastnik z pewnościš ma nóż, a może i pistolet; myślę, że po prostu wpadłem w szal - to cudowne, co nadnercza robiš dla człowieka znajdujšcego się w krytycznej sytuacji.

W wietle padajšcym z korytarza spostrzegłem błysk wzniesionego noża i ršbnšłem wciekle faceta w nadgarstek. Rozległ się ryk bólu i nóż stuknął o podłogę. Wymierzyłem cios tam, gdzie według mnie powinien być żołšdek - chybiłem.

Co znów uderzyło mnie w głowę i upadłem, gdy jaka czarna postać skoczyła na mnie. Gdyby nie zatrzymał się, żeby kopnąć mnie w głowę, byłby zwiął z łatwociš, a tak zwinšłem się, by uniknąć jego

buta i złapałem go za nogę, a on runął na podłogę korytarza.

Skoczyłem za nim i zagroziłem mu wyjście na schody, a on stanął

23

skulony jak do skoku, patrząc na mnie i rzucając spojrzenia we wszystkie strony w poszukiwaniu ucieczki. Wtedy zobaczyłem, czym przed chwilą uderzył mnie w głowę - był to kuferek Marka.

Nagle odwrócił się i pomknął ku lepszemu końcowi korytarza. -

Teraz go mam - pomyślałem z triumfem i popędziłem za nim. On jednak pamiętał o tym, o czym ja zapomniałem - o wyjściu pożarowym.

Może udałoby się mu umknąć, lecz jeszcze raz chwyciłem go jak w meczu rugby i runęliśmy na podłogę tuż przed wyjściem. Upadek pozbawił mnie tchu, a on skorzystał ze sposobności, by kopnąć mnie w twarz. Gdy w oszołomieniu potrząsałem głową, on cisnął kuferek Marka w ciemności.

Kiedy znów stanąłem na nogach, znajdowałem się między nim a metalowymi schodkami, a on stał przede mną wsuwając do kieszeni prawą rękę, teraz już wolną. Zobaczyłem, że wyciąga pistolet, wtedy zrozumiałem, czym jest prawdziwy strach. Rzuciłem się na niego, on odskoczył błyskawicznie w bok, usiłując wydobyć pistolet z kieszeni - lecz muszka zapewne zaczepiła o podszewkę.

Wtedy trzasnąłem go mocno w szczękę, aż zatoczył się na najwyższy stopień schodów pożarowych. Uderzyłem raz jeszcze, rzucając go na balustradę, przez którą, ku mojemu przerażeniu, przewinął się. Nie wydał

żadnego dźwięku spadając z wysokości trzeciego piętra; miałem wrażenie, że upłynęło dużo czasu, zanim usłyszałem głucho uderzenie ciała o ziemię.

Spojrzałem w dół, lecz w ciemności nie zobaczyłem niczego.

Poczułem, że drżę mi ręce zacinięte na żelaznej poręczy. Usłyszałem tupot kroków, odwróciłem się i ujrzałem Geordiego pędzącego w dół po schodach. - Zostaw ich! - krzyknąłem. - Oni mają broń!

Nie zatrzymał się jednak i do moich uszu dobiegł tylko tętent jego butów, kiedy zbiegał klatką schodową.

Wysoki, chudy mężczyzna, który był moim sąsiadem, wyszedł w szlafroku ze swego mieszkania. - No, co tu się dzieje? - zapytał gderliwie. - Człowiek nie może słuchać radia przez te wszystkie hałasy.

- Zadzwoń na policję. Usiłowano tu popełnić morderstwo - powiedziałem.

Twarz mu zbielelała i utkwiał wzrok w mojej ręce. Zerknąłem na nią i zobaczyłem zakrwawiony koniec rękawa marynarki. Nie pamiętałem, żeby ktoś dźgnął mnie nożem, nic też nie czułem.

Spojrzałem znów na sąsiada. - No, pośpiesz się! - wrzasnąłem na niego.

Huk wystrzału rozległ się w klatce schodowej i obaj wzdrygnęliśmy się.

24

- Chryste!

Zbiegłem z hałasem po schodach z trzeciego piętra na parter, rozwijając maksymalną szybkość, i w hallu na dole ujrzałem Geordiego.

Siedział na posadzce wpatrując się ze zdumieniem w swoje palce - czerwone od cieknięcej po nich krwi.

Ten sukinsyn postrzelił mnie! - powiedział z niedowierzaniem.

Gdzie cię trafił, na miłość boską?

Mylę, że w rękę. Nie czuję nic gdzie indziej, a strzelił tylko raz.

Przyjrzałem się jego dłoni. Krew tryskała z koniuszka małego palca. Zaczęłem się mijać histerycznie, wydając dźwięki niewiele różniące się od płaczu tak długo, dopóki Geordie nie spoliczkował mnie niezranioną ręką. - Opamiętaj się, Mike - rzekł stanowczo.

Do mojej wiadomości dotarło trzaskanie drzwiami i głosy ludzi nad nami, choć jak dotąd nikt nie odważył się zejść do hallu. Nagle opanowałem się.

Mylę, że zabiłem jednego z nich - powiedziałem bez zwińszku.

Nie bńd głupi. Jak mogłę zabić człowieka pięciń?

Zrzuciłem go ze schodów pożarowych. Spadł z trzeciego piętra.

Geordie przyjrzał mi się uważnie. - Lepiej chodmy to obejrzeć.

A jak się czujesz? - Obaj krwawiliśmy teraz obficie.

Owinłłem jego palec chusteczką do nosa, która szybko przybrała jasnoczerwony barwę. - Nic mi nie jest. Nie można nazwać tego

miertelny ranń - powiedział z poważny minń. Wyszliśmy na ulicę i szybko dotarliśmy do alejki prowadzącej do schodów pożarowych.

Gdy skręciliśmy w niń, zobaczyliśmy nagły błysk wiatła i usłyszeliśmy ryk silnika wraz z trzaskiem zamykanych drzwi auta.

- Uważaj! - wrzasnył Geordie i rzucił się w bok.

Zobaczyłem dwa wielkie lepia reflektorów pędzące na mnie z ciemności alejki i rozpaczliwie przyłgnąłem do ciany. Wóz zaryczał tuż, tuż, poczułem, jak owionął mnie pęd powietrza, po czym z piskiem zdzieranych opon wziął zakręt i zniknął.

Jeszcze przez chwilę słyszałem zamierający w oddali szum silnika.

Oderwałem się od ciany i dygocząc wciśnąłem głęboko powietrze.

W wietle narożnej- latarni zobaczyłem Geordiego podnoszącego się z ziemi. - Chryste! - westchnąłem. - Nie wiadomo, co jeszcze się wydarzy.

Ta banda to nie są zwyczajni włamywacze - stwierdził Geordie, otrzepując ubranie. - Są cholernie zajadli. Gdzie te schody pożarowe?

Jeszcze kawałek dalej - odpowiedziałem.

Poszliśmy powoli uliczką i Geordie natknął się na leżącego na chodniku mężczyznę, którego strąciłem ze schodów. Pochyliliśmy się

25

nad nim i w słabym wietle zobaczyliśmy jego głowę. Była przekrzywiona pod nieprawdopodobnym kątem, a w czasie widniało głębokie, krwawe wklęnięcie.

Geordie rzekł - Nie ma co się przyglądać. Nie żyje.

4

- I twierdzi pan, że mówili po hiszpańsku - powiedział inspektor.

Kiwnąłem głową ze znużeniem. - Gdy tylko weszliśmy do

mieszkania, kto krzyknął po hiszpańsku "Uwaga!" i zaraz znalazłem się w centrum bijatyki. Chwilę później inny mężczyzna krzyknął:

"Wychodcie; nie strzelać - używajcie noży". Mylę, że to był ten człowiek, którego strściłem ze schodów pożarowych.

Inspektor popatrzył na mnie w zadumie. - Ale mówi pan, że on chciał strzelać do pana.

Stracił przedtem swój nóż, a ja szedłem na niego.

Czy dobrze zna pan hiszpański, panie Trevelyan?

- Dość dobrze - odpowiedziałem. - Cztery lata temu miałem sporo roboty opodal wybrzeży południowo-zachodniej Europy. Moja baza była w Hiszpanii. Zadałem sobie tyle trudu, by nauczyć się hiszpańskiego - mam smykałkę do języków.

Lekarz zawiązał schludny węzeł na bandażu spowijającym moje ramię i powiedział - To będzie się trzymać, ale przez jaki czas niech pan nie próbuje posługiwać się tś rękš. - Spakował swójš walizczkę i wyszedł.

Podniosłem się i rozejrzałem po mieszkaniu - przypominało połowy punkt opatrunkowy na zbombardowanym obszarze. Byłem obnażony do pasa i miałem zabandażowane ramię, a Geordie chlubił się zgrabnym opatrunkiem na małym palcu. Pił włanie herbatę odstawiając wyprostowany paluszek jak elegancka paniusia na garden party.

Mieszkanie było w ruinie. Czego nie rozbili włamywacze, zostało roztrzaskane w czasie walki. Krzesło bez nóg leżało w rogu, a kawałki szkła z potłuczonej szyby w szafie bibliotecznej zacielały dywan.

Dwaj mundurowi policjanci stali niewzruszenie w rogach pokoju,

a facet w cywilu za pomocš rozpylacza pokrywał proszkiem wszystko dookoła.

Inspektor znów zabrał głos. - Wróćmy do tego ponownie - ilu ich było?

- Ja miałem przeciw sobie dwóch na raz - odpowiedział Geordie.

26

Ja też miałem do czynienia z dwoma - dorzuciłem. -

Przypuszczam jednak, że jeden z nich napadł najpierw na Geordiego.

Trudno powiedzieć - wszystko działo się tak szybko.

Czy ten człowiek, którego słyszeliście, powiedział "noża" czy "noży"?

Zastanowiłem się. - Powiedział "noży".

- Więc było ich więcej niż dwóch - stwierdził inspektor.

- Było ich czterech - odezwał się niespodziewanie Geordie.

Inspektor spojrział na niego z podniesionymi brwiami.

Widziałem trzech mężczyzn w wozie, który przejechał tuż obok nas. Jeden prowadził, a dwóch wsiadło w popiechu. Plus jeden martwy pod domem - to razem czterech.

Ach tak - powiedział inspektor. - Jeden czekał na nich w samochodzie. Proszę mi powiedzieć, w jaki sposób został pan postrzelony?

Na ustach Geordiego pojawił się uśmiech. - W jaki sposób zostaje się postrzelonym? Z pistoletu.

Inspektor, nieco wytrścony z równowagi, wyjanił oschłym to-

nem - Chodzi mi o to, w jakich okolicznociach to się stało?

No cóż, goniłem małego sukinsyna po schodach i, cholera, prawie już go złapałem w hallu. Zorientował się, że nie umknie, więc odwrócił się i trafił mnie. Jednak go nie schwytałem. Byłem tak zaskoczony, że usiadłem - wtedy zobaczyłem krew.

Powiedział pan, że był mały?

Włanie. Mały szczyl, nie wyższy niż metr szećdziesiąt.

A więc dwóch mężczyzn zbiegło na dół, jeden był w aucie, a jeden spadł ze schodów pożarowych - podsumował inspektor. Miał grubo ciosanš, kwadratowš twarz z czujnymi szarymi oczami, które nagle skierowały się na mnie, widrujšc badawczym spojrzeniem. -

Mówi pan, że ten człowiek zrzucił kuferek na uliczkę pod blokiem?

Tak jest.

Nie znalelimy go, panie Trevelyan.

Musieli go zabrać tamci. Wtedy, gdy omal nas nie przejecha-
li - odparłem.

Skšd wiedzieli, że on tam jest? - zapytał łagodnie.

Nie wiem. Może zobaczyli, jak spada. Przypuszczam, że wóz był zaparkowany w tej uliczce, a kierowca czekał, aż inni zejđš schodami pożarowymi.

Inspektor skinšł głowš. - Czy wie pan, co było w kufierku?

Spojrzałem na Geordiego, który popatrzył na mnie bez wyrazu. -

Trochę rupieci należšcych do mojego brata - odpowiedziałem.

Jakiego rodzaju były te rupiecie?

Ubrania, książki, próbki geologiczne.

Inspektor westchnął. - Co ważnego lub wartociowego?

Potrząsnęłam głowę. - Wstąpię.

Co to za próbki?

Oglądałem te okazy krótko - wyjaśniłem. - Wyglądały na

bryłki manganowe tego rodzaju, jakie często znajduje się na dnie oceanu. Rozumie pan - one są bardzo pospolite.

Czy są wartociowe? - nalegał.

Nie sądzę, żeby kto, kto się na nich zna, uważał je za

wartociowe - odpowiedziałem. - Przypuszczam, że miałyby pewną wartość, gdyby były łatwiej dostępne, lecz zbyt trudno dostać się do nich - leżą na głębokości trzech - czterech kilometrów.

Inspektor wydawał się zbity z tropu. - Jak, pana zdaniem, pański brat potraktuje utratę tych okazów i innych swoich rzeczy?

- On nie żyje - rzekłem.

Zainteresowanie inspektora wyrwanie wzrosło. - Ach! Kiedy zmarł?

- Mniej więcej cztery miesiące temu. Na Pacyfiku.

Popatrzył na mnie z uwagą, a ja cisnąłem: - Mój brat Mark był

oceanografem, podobnie jak ja. Zmarł na zapalenie wyrostka robaczkowego parę miesięcy temu i właśnie dzisiaj otrzymałem rzeczy, które po nim zostały. Co się tyczy tych okazów, to powiedziałbym, że były to

pamiętka z badań Międzynarodowego Roku Geofizycznego, w którym brał udział. Niewstpliwie były dla niego interesujšce jako dla uczonego.

Hm - powiedział inspektor. - Czy nie brakuje tu jeszcze czego, panie Trevelyan?

O ile wiem, to niczego.

Geordie brzęknął filiżankš. - Przypuszczam, że bylimy dla nich zbyt szybcy. Myleli, że trafiš na co naprawdę dobrego, lecz nie dalimy im dosyć czasu. Jeden z nich chwycił więc pierwszš rzecz, jakš zobaczył, i próbował się wymknąć.

Przezornie nie wspomniałem o tym, że kuferek był schowany pod łózkem.

Inspektor spojrział na Geordiego z wyrazem twarzy zbliżonym do wzgardy. - To nie jest zwykłe włamanie - orzekł. - Pańskie wyjanienie ani nie bierze pod uwagę faktu, że zadali sobie tyle trudu, aby odzyskać ten kuferek, ani nie tłumaczy, dlaczego wielokrotnie użyli broni. - Czy ma pan jakich wrogów w Hiszpanii? - zwrócił się do mnie.

Wzruszyłem ramionami. - Nie sšdzę.

Zacisnął wargi. - W porzšdku, panie Trevelyan, zacnijmy znów

28

od poczštku. Proszę zacząć od chwili, gdy zobaczył pan wiatło w oknach swojego mieszkania...

Minęła już trzecia po południu, gdy wreszcie pozbylimy się policji, z tym, że mieli wrócić następnego dnia rano, żeby ponownie sprawdzić

poszlaki i jeszcze raz wysłuchać całej historii. Inspektor nie był zadowolony, lecz ani on, ani żaden z jego kolegów nie potrafili się dobrać do tego, co było nie w porządku. Jeli o to chodzi, to i ja nie potrafiłem! Miałem wspaniały początek urlopu. Ostatnie słowa inspektora przed wyjściem brzmiały - Doszło tu do miernego wypadku, panie Trevelyan, to jest bardzo poważna sprawa. Oczekuję, że obaj panowie pozostaniecie do dyspozycji ledztwa. Nie jest pan aresztowany - dodał w taki sposób, żeby wywołać we mnie poczucie, że jestem. Potem opuścił mieszkanie, a jego zbiry powlokły się za nim.

Innymi słowy: proszę nie opuszczać miasta - powiedziałem. -

Ten policjant zaczyna nam przynosić pecha.

Teraz będzie siedział na telefonie szukając eksperta od bryłek manganowych. Myli, że tu jest coś podejrzanego - zauważył Geordie.

Na Boga, ja myślę to samo! Ale wiele nie znajdzie. Oczywiście zadzwoni do instytutu, będzie rozmawiać z Jarvisem lub jakimś innym grubszym rybą i usłyszy dokładnie to samo, co mu powiedziałem.

Wstałem, poszedłem do kuchni, wziłem parę butelek piwa z lodówki i zaniósłem do pokoju. Geordie przyjrzał się im i powiedział - Masz czasami niezłe pomysły. Powiedz mi, czy te bryłki są naprawdę bezwartościowe?

- Powiedziałem glinom szczerą prawdę - odparłem. - Wydaje się jednak, że Mark miał jakieś osobliwe koncepcje dotyczące tworzenia się tych bryłek; ale notesy przepadły, a bez nich nie mogę sprawdzić jego teorii.

Wtedy nagle co sobie przypomniałem. - Poczekaj chwilkę -
rzuciłem i poszedłem do sypialni. Rzeczywiście, był tam - mały,
oprawny w skórę notatnik; nadal leżał na toalecie. Policjanci nie mieli
powodu, by pomyśleć, że nie jest mój i nie ruszyli go.

Wróciłem do Geordiego i rzuciłem mu notatnik. - Tego nie
zabrali. Miałem ci powiedzieć - znalazłem go w kieszeni jednego
z ubrań Marka. Co o tym sądzisz?

, Otworzył notes z zainteresowaniem, lecz widziałem, że entuzjazm
opuszczał go, w miarę jak przewracał kartki. - Co za diabeł?

To jest opracowany przez Marka wariant systemu stenografii
Pitmana - powiedziałem. - Wstąpię, czy nawet stary Isaac Pitman
zrozumiałby co z tego.

Co oznaczają wszystkie te rysunki?

29

- Mark miał zwyczaj machinalnego bazgrania w swoich notatkach
- wyjaniłem. - Musiałby zastosować jakąś metodę psychologiczną,
żeby znaleźć w nich jakiś sens.

Usiadłem, by przemyśleć wydarzenia minionego dnia i spróbować
powiśzać je ze sobą.

Posłuchaj, Geordie - odezwałem się. - Mark umiera, a Nor-
gaard, jego współpracownik, znika. Jarvis interesuje się wszystkim, co
dzieje się w jego dziedzinie nauki, i zna wszelkie ploteczki, więc jeli
mówi, że nie słyszał teraz nic o Norgaardzie, to nie jest prawdopodob-
ne, aby słyszał o nim kto inny. - Podniosłem palec do góry - To raz.

A czy ty wiesz co o Norgaardzie?

Tylko to, że jest jednym z nas, oceanografów. Jest Szwedem, ale podczas Międzynarodowego Roku Geofizycznego pracował na amerykańskim statku badawczym. Potem straciłem go z oczu; wiele przyjaciół i zwiźzków koleżeńskich rozpadło się, kiedy zakończyła się ta operacja.

Jakš ma specjalność?

Pršdy oceaniczne. To jeden z tych geniuszy, którzy potrafiš zaczerpnšć odrobinę wody i powiedzieć ci, którędy płynęła ona milion lat temu, licząc od ubiegłej rody. Myle, że ta dziedzina nie ma swojej nazwy, więc będę jš nazywał paleoakwalogiš - choć można zwichnšć sobie język na tym słowie.

Geordie podniósł brwi. - Czy naprawdę potrafiš oni zrobić co takiego?

Umiechnšłem się. - Chcieliby, żebymy w to wierzyli, a ja nie mam żadnego powodu, by wštpić. Ale według mnie istnieje diabelnie duŝo teorii, które nie znajdujš dostatecznego oparcia w zbyt małej liczbie ustalonych faktów. Moja specjalność jest inna - przeprowadzam analizę dostarczonych mi materiałów, a jeli kto chce konstruować jakie zwariowane teorie na podstawie tego, co mu powiem, to jego sprawa.

A Mark był, podobnie jak ty, chemikiem analitykiem. Dlaczego pracował razem z Norgaardem? Nie wydaje się, żeby mieli ze sobš co wspólnego.

Nie wiem; naprawdę nie wiem. - Powiedziałem powoli.

Myślałem o wysoce nieprawdopodobnej teorii, zapisanej w zaginionych notatnikach Marka.

W porządku - rzekł Geordie. - Sędzisz, że Norgaard zniknął.

Do czego jeszcze doszedłeś?

Następna sprawa to Kane. Wszystko to wygląda cholernie podejrzanie. Pojawił się Kane i potem włamano się do mnie. On wiedział, że nadeszły te rupiecie - powiedziałem mu o tym.

30

Geordie zachichotał. - A jak powiśzesz tych czterech hiszpańskich włamywaczy z Kanem? Ale konkretnie, nie teoretycznie!

Niech mnie diabli wezmą, jeśli wiem. W tym też jest coś dziwnego. Nie mogłem rozpoznać, skąd oni są na podstawie ich akcentu; nigdy przedtem takiego nie słyszałem.

Nie znasz wszystkich odmian hiszpańskiej wymowy - stwierdził Geordie. - Musiałby urodzić się Hiszpanem, żeby być aż takim ekspertem.

Słusznie. - Nastąpiła długa chwila ciszy, podczas której porządkowałem myśli. - Chciałbym dostać tego Kane'ego w swoje ręce.

Mylisz, że jest w nim coś dziwnego, prawda?

Właśnie, ale nie wiem, co takiego. Próbowaliśmy to wykryć, odkąd go zobaczyłem po raz pierwszy.

Mikę, myślę, że to wszystko bzdury -^ powiedział stanowczo

Geordie. - Wydaje mi się, że twoja wyobraźnia pracuje ponad normę. Przeżyłem wstrząs z powodu śmierci brata, potem drugi

w zwiŹszku z włamaniem - ja teŹ, nawiasem mówię. Ale nie sŹdzę, żeby Norgaard zniknął w tajemniczy sposób; przypuszczam, że siedzi gdzie piŹszc pracę doktorską o prehistorycznej wodzie. Co się tyczy Kane'a nie masz przeciw niemu nic prócz niejasnego przeczucia. Ale powiem ci, co zrobię. Jeli Kane jest Źeglarzem, to prawdopodobnie będzie gdzie w okolicy basenów portowych, a skoro tak bardzo go potrzebujesz, to powiem moim chłopcom, żeby trochę powęszyli tu i tam. Sprawa jest doć beznadziejna, ale to wszystko, co mogę zrobić.

Dzięki, Geordie - odrzekłem. - Tymczasem zadzwonię do Helen i powiem jej, że włamano się do mojego mieszkania. Nie będzie jej przyjemnie słyszeć, że rupiecie Marka przepadły, ale nic na to nie poradzę. Mogę tylko bagatelizować stratę, powiedzieć jej, że tak czy owak to wszystko nie było nic warte.

Czy oddasz jej ten notes?

Po namyle potrzŹsnąłem przeczŹsko głowŹ. - Jaki notes? Powiem jej, że ukradziono wszystko. Ona nigdy nie potrafiłaby zrobić uŹytku z tych bzdurnych zapisków Marka - ja być może potrafię.

5

Tej nocy miałem koszmarne sny.

niła mi się urocza wyspa na Pacyfiku, z białymi plaŹami i kołyszcymi się na wietrze pióropuszcami palm, po której wędrowałem zupełnie beztrosko, dopóki nie uwiadomiłem sobie, że niebo się

31

ciemnia i zrywa się zimny, lodowaty wiatr. Zacząłem biec, lecz stopy

grzęzły mi w miękkim piasku i nie posuwałem się wcale do przodu.

Wiedziałem, przed czym uciekam.

Dopadł mnie w końcu, kiedy byłem oparty plecami o pień palmy, podchodził coraz bliżej, potrzebując zardzewiałym nożem kuchennym.

Byłem przekonany, że to holenderski lekarz, chociaż krzyczał po hiszpańsku: "Emplead cuchillo - cuchillo - cuchillo!"

Był pijany, miał spoconą twarz, a gdy się zbliżał, czułem, że nie mam siły się poruszać i wiedziałem, że przebije mnie tym nożem.

W końcu jego głowa znalazła się tuż przy mojej, widziałem pojedyncze krople potu na jego lniścym czole i szczupłą, ogorzałą twarz. Była to twarz Kane'a. Wziął zamach i dgnął mnie nożem prosto w brzuch.

Obudziłem się z krzykiem.

Oddychałem gwałtownie, chwytając wielkie hausty powietrza, a na całym ciele czułem liską warstewkę potu. Bolała mnie zadraniecia nożem ręka. Wreszcie wiedziałem, co się nie zgadzało w opowieści Kane'a.

Drzwi sypialni otworzyły się i Geordie zapytał przyciszonym głosem:

Co się stało, u diabła?

Wejd, Geordie - odpowiedziałem - nic mi nie jest, to tylko koszmarny sen.

Zapaliłem lampkę nocną, a Geordie rzekł: - Diabelnie mnie przestraszyłeś, Mike.

Sam się cholernie przestraszyłem - odparłem i zapaliłem

papierosa. - Ale odkryłem co - albo co sobie przypomniałem.

Co takiego?

Stuknąłem znacząco Geordiego palcem wskazującym w klatkę

piersiową. - Wyrostek robaczkowy wycięto Markowi przed wieloma laty.

Geordie wyglądał na wstrząśniętego. - Ale wiadectwo zgonu...

Nic nie wiem o wiadectwie zgonu. Jeszcze go nie widziałem, więc nie wiem, czy jest fałszywe. Ale wiem, że cholerny pan Kane jest fałszywy.

Czy jeste tego pewny?

Znam lekarza, który operował Marka. Zadzwońię jeszcze do niego i sprawdzę to - ale jestem pewny.

Może ten holenderski lekarz pomylił się - zasugerował Geordie.-

Byłby cholernie dobrym lekarzem, gdyby potrafił wyciąć wyrostek, który nie istniał - powiedziałem cierpko. - Lekarze nie popełniają tego rodzaju błędów.

32

Chyba że mają coś do ukrycia. Wielu lekarzy chowa w ziemi swoje pomyłki.

Mylisz, że był niekompetentny? - zastanowiłem się nad tą hipotezą, po czym stanowczo pokręciłem głowę. - Nie, Geordie, to nie wytrzymuje krytyki. Lekarz zobaczyłby starą bliznę operacyjną podczas badania i wiedziałby, że wyrostek został już usunięty. Nie

narażałby się podpisując wiadectwo zgonu, które tak łatwo można by obalić - nikt nie jest aż tak niekompetentny.

Zgoda. Gdyby chciał co ukryć, podałby jako przyczynę śmierci malarię czy inną podobną chorobę - co, czego nie można by sprawdzić w ten czy inny sposób. Ale nie wiemy, co on napisał na wiadectwie zgonu.

Wkrótce się dowiemy, bo wysłano je do Helen. I bardziej niż kiedykolwiek, chcę znaleźć Kane'a - chcę zdemaskować tego kłamliwego sukinsyna.

Zrobimy, co się da - zapewnił Geordie. Nie brzmiało to zbyt obiecująco.

Rozdział drugi

1

Nie miałem już więcej snów tej nocy, lecz spałem mocno i długo.

Geordie budził mnie potrząsając za ramię - i przy okazji urażając moją zranioną rękę. Jęknąłem i odwróciłem się na drugi bok, lecz on nie przestał, dopóki nie otworzyłem oczu.

- Proszę cię do telefonu - oznajmił. - Kto z instytutu.

Włożyłem szlafrok i z głową jeszcze zamroczoną snem podniosłem słuchawkę. Dzwonił młody Simms. - Doktorze Trevelyan, w czasie pana nieobecności korzystałem z dawnego pańskiego gabinetu. Pan co tam zostawił. Nie wiem, czy to ma jakąś wartość, ani czy panu w ogóle potrzebne...

Wymamrotałem: - Co to jest?

- Bryłka manganowa.

Natychmiast się rozbudziłem. - Gdzie pan jś znalazł?

To nie ja. Jedna ze sprzścetek znalazła jś pod pana biurkiem i oddała mnie. Co mam zrobić?

Dobrze schować. Wstąpię po niš dzi rano. Ma ona pewien zwišzek z tematem, nad którym teraz pracuję. Dziękuję za telefon.

Zwróciłem się do Geordiego. - Nie wszystko stracone - powiedziałem - mamy bryłkę. Pamiętasz, upuciłe parę na podłogę w moim biurze i jedna została pod biurkiem.

- Nie rozumiem, o co tyle hałasu. Cały czas utrzymywałe, że te cholerne bryłki sš bezwartociowe. Czemu więc ta jedna tak cię podnieca?

- Nie podoba mi się, że zbyt wiele tajemnic wišze się z tymi bryłkami - odparłem. - Przyjrę się dokładniej tej jednej, co nam została.

Po niadaniu, złożonym z papierosa i filiżanki mocnej kawy, zatelefonowałem do Helen i poprosiłem jś, żeby przeczytała mi

34

wiadectwo zgonu Marka. Oczywiście było ono w języku francuskim i Helen miała trochę kłopotów z wypisanymi odręcznie partiami tekstu, lecz udało się nam je rozszyfrować. Położyłem słuchawkę i powiedziałem do Geordiego: - Teraz mam ochotę pogadać z tym lekarzem tak samo jak z Kanem. - Czułem w sobie pełno gniewu i frustracji.

Co było przyczyną śmierci?

Zapalenie otrzewnej po usunięciu wyrostka robaczkowego.

A to jest niemożliwe. Lekarz nazywa się Hans Schouten. wiadectwo podpisał w Tanakabu, na wyspach Tuamotu.

To diabelnie daleko stąd.

Ale Kane jest niedaleko. Stań na głowie, Geordie, żeby go znaleźć.

Geordie westchnął. - Zrobię, co tylko będę mógł, ale to cholernie duże miasto, a w dodatku nikt prócz ciebie i Helen nie może zidentyfikować go na pewno.

Ubrałem się i pojechałem do instytutu, odebrałem bryłkę od Simmsa, a następnie zawiozłem ją do laboratoriów. Zamierzałem przeprowadzić analizę tego kawałka skały aż do ostatnich pierwiastków lądowych. Najpierw zrobiłem kolorowe zdjęcia bryłki z kilku stron i wykonałem jej odlew z lateksu - w ten sposób zarejestrowałem jej wygląd zewnętrzny. Następnie przecisłem ją na pół diamentową piłą.

W rodku, co nie było dla mnie zupełnym zaskoczeniem, znajdował się biały żółb rekina, także przecięty dokładnie na połowę.

Jeden z kawałków włożyłem do młynka, i w czasie mielenia go na delikatny pył, wypolerowałem i poddałem trawieniu płaską powierzchnię drugiej połowy. Teraz zaczęła się prawdziwa praca. Wczesnym popołudniem wszystko było już mocno zaawansowane; na szczęście do tego momentu przez cały czas miałem pracownię niemal wyłącznie dla siebie, lecz wtedy właśnie przyszedł Jarvis. Zdziwił się na mój widok.

- Miałe być na urlopie, Mikę. Co tu robisz?

Spojrzał na zestaw przyrządów na stole laboratoryjnym. Wcale się tym nie zaniepokoiłem - mogłem analizować cokolwiek, a połówka bryłki, którą Jarvis umiałby rozpoznać, była schowana. Powiedziałem lekko: - Ach, to po prostu robota dla domu, którą obiecałem wykonać, kiedy będę miał czas.

Spojrzał na mnie z ukosa. - Co ty wyczyniasz, młody przyjacielu?

Było co o tobie we wczorajszej prasie, prawda? Był u mnie facet ze Scotland Yardu, który pytał o ciebie - i o bryłki manganowe.

Powiedział, że zabił kogo?

- Było u mnie włamanie poprzedniej nocy i strściłem typa ze

35

schodów przeciwpożarowych - wyjaniłem. Sam nie widziałem gazet i nie przyszło mi do głowy, że sprawa ta dostanie się do wiadomości publicznej. Ponieważ jednak Simms nie wspomniał o niej ani słowem, wyglądało na to, że wiadomość o włamaniu nie znalazła się na pierwszych stronach.

Hm - mruknął Jarvis. - Bardzo przykra sprawa. To miasto upodabnia się do Chicago. Masz nieprzyjemności. Ale co to ma wspólnego z bryłkami manganowymi?

Zwędzono parę z mojego mieszkania, razem z innymi rupieciami. Powiedziałem im, że nie mają dużej wartości.

Wyjaniłem to inspektorowi - mruknął Jarvis. - O ile się nie mylę, jest on obecnie przekonany, że twoi włamywacze zostali

zaskoczeni i wzięli to, co wpadło im w ręce. Nawiasem mówiąc, wystawiłem ci niezłą opinię.

Miałem wątpliwości, czy Scotland Yard zaakceptował podaną przez nas wersję. Inspektor zrobił na mnie wrażenie pełnego głębokich podejrzeń.

- No cóż, mój chłopcze, zostawiam cię z twoimi kłopotami. Co ciekawego? - Rzucił badawcze spojrzenie na stół laboratoryjny.

Umiechnął się. - Jeszcze nie wiem.

Pokiwał głową. - Tak to już jest - stwierdził niezbyt jasno i wyszedł. Patrzyłem na stół i zastanawiałem się, czy nie tracę czasu.

Moja wiedza, poparta zdaniem takiego eksperta jak Jarvis, mówiła mi, że nie jest to nic nadzwyczajnego, po prostu zwykła bryłka manganowa z Pacyfiku. Skoro jednak posunąłem się tak daleko, równie dobrze mogłem kontynuować te badania. Zostawiłem na chwilę bulgoczące kolby i zabrałem się za sporządzanie mikrofotografii wytrawionej powierzchni przekroju bryłki.

Byłem zajęty przez parę godzin, w dodatku nie mogłem się obejść bez posługiwania się zranioną ręką. W normalnych okolicznościach skorzystałbym z pomocy laboranta, lecz tę pracę chciałem wykonać sam. Dobrze, że zachowałem rodki ostrożności, ponieważ to, co w końcu stwierdziłem, zdumiało mnie. Wpatrywałem się z niedowierzaniem w uzyskaną tabelę liczb, dysząc z podniecenia, z umysłem pełnym sprzecznych przypuszczeń.

Potem byłem zajęty jeszcze bardziej, starannie rozbierając aparaturę

i myjsć skrupulatnie kaźdš część. Nie chciałem pozostawić żadnych ladów, z których można by wywnioskować, czym się zajmowałem. Po zakończeniu tej pracy zadzwoniłem do domu.

Zgłosił się Geordie. - Gdzie, u diabła, byłe? - zapytał. - Mielimy tu policję, prasę, inspektorów ubezpieczeniowych - całš bandę.

36

Nie mam zamiaru w tej chwili zawracać sobie nimi głowy. Czy wszystko teraz jasne?

Tak jest.

Dobrze. Przypuszczam, że nie znalazł Kane'a.

Przypuszczasz słusznie. Jeli masz takie podejrzenia wobec niego, to dlaczego nie zgłosisz się z nimi na policję? Oni znajdš go prędzej niż ja.

Teraz nie chcę tego zrobić. Wracam do domu, Geordie. Mam ci co do powiedzenia.

A czy co jadł, chłopcze?

Nagle uwiadomiłem sobie, że przez cały dzień nic nawet nie przekšsiłem. Poczulem się bardzo głodny. - Byłem zbyt zajęty - powiedziałem z nadziejš w głosie.

Tak mylałem. Co ci powiem: ugotuję w tej twojej kuchence jednš z moich potraw - mięso duszone z jarzynami. Nie będziemy musieli wychodzić z domu i narażać się na natrętne pytania facetów z gazet.

Dzięki. To będzie wspaniałe.

W drodze do domu kupiłem kilka gazet i stwierdziłem, że nie ma już w nich ladu historii o włamaniu. W pobliskim sklepie dostałem egzemplarz wczorajszej gazety - notatka była krótka, ukryta w rodku numeru, pozbawiona szczegółów i nie zawierająca wzmianki o tym, co zrabowano - a to mi bardzo odpowiadało. Nie chciałem, żeby pytano mnie o co majšcego zwišzek z bryłkami manganowymi. Nie jestem z natury utalentowanym kłamacš.

Gdy wszedłem do mieszkania, zastałem Geordiego przy pracy w kuchni, wśród zapachów pobudzających obfite wydzielanie liny, i stwierdziłem, że living room jest bardzo dobrze posprzštany.

Zanotowałem sobie w pamięci, że nie chcę mieć już nigdy oszklonych półek na książki - z jakiego powodu nie podobały mi się. Geordie zawołał z kuchni: - Obiad będzie gotowy mniej więcej za godzinę, więc możesz zrzucić z wštroby te swoje nowiny, zanim zabierzemy się do jedzenia. Za chwilę przyjdę.

Poszedłem do gabinetu po butelkę whisky i dwie szklanki, potem wycišgnšłem z półki z książkami mój stary atlas szkolny. Chociaż był poplamiony atramentem i nieaktualny politycznie, nadawał się jeszcze do moich celów. Położyłem go na stole i otworzyłem na mapie Oceanu Spokojnego.

Geordie wyszedł z kuchni. - Siadaj tu - odezwałem się. - Chcę ci powiedzieć co ważnego.

Dostrzegł błysk podniecenia w moich oczach, umiechnšł się

i posłusznie usiadł. Nalałem dwie whisky i powiedziałem: - Zrobię ci mały wykład z podstaw oceanografii. Mam nadzieję, że cię nie znudzi.

Zaczynaj, Mike.

W głębinach oceanów, zwłaszcza Pacyfiku, znajduje się ogromne bogactwo rud metali w postaci małych bryłek leżących na dnie. -

Wyjść z kieszeni połówkę bryłki i położyłem na stole. - Podobnych do tej bryłki. To nie jest żadna tajemnica. Wie o tym każdy oceanograf.

Geordie wziął ją i obejrzał dokładnie. - A ta biała grudka

w rodku, to co?

Zsb rekina.

W jaki sposób, u diabła, dostał się do rodka tego kawałka skały?

O tym będzie później - powiedziałem niecierpliwie - na drugiej lekcji. A więc te bryłki zawierają głównie dwutlenek manganu, tlenek żelaza oraz ludy niklu, kobaltu i miedzi, lecz dla oszczędności czasu określa się je zwykle jako bryłki manganowe. Nie powiem ci, skąd wzięły się na dnie oceanu - o tym też będzie mowa później - lecz ich ilość jest wprost niewiarygodna.

Przysunąłem atlas i poprowadziłem palec wskazujący wzdłuż

wybrzeży obu Ameryk, z południa na północ, od Chile do Alaski. -

Udokumentowane złoża, licząc przeciętnie pół kilo na dziesięć centymetrów kwadratowych pokrywają tu ogromny obszar, z którego można wydobyć dwadzieścia sześć miliardów ton tych bryłek.

Przesunęłam palec na Hawaje. - To jest Wzniesienie rodkowego Pacyfiku. Stąd można uzyskać pięćdziesiąt siedem miliardów ton bryłek.

- Niech to diabli - jęknął Geordie. - Miała rację co do tych niewiarygodnych liczb.

Zignorowałam jego słowa i przeniósłam palec dalej na południe, na Tahiti. - Dwieście miliardów ton manganowych bryłek! Jak ziaren piasku na pustyni.

Dlaczego nie słyszałam o tym nigdy przedtem? Brzmi to jak sensacyjne wiadomości z pierwszych stron gazet.

Nie ma powodu, dla którego miałby o tym nie słyszeć, ale tych informacji nie znajdziesz w gazetach. Nie są dostatecznie interesujące.

Musiałby czytać odpowiednie czasopisma naukowe. Nie robiono z tego tajemnicy; po raz pierwszy bryłki manganowe odkryto już w 1870 roku podczas wyprawy "Challenger".

- Musi tu być jakiś haczyk. Inaczej kto zrobiłby coś z tym wzeniem.

Umiechnęłam się. - O tak, są haczyki, jak zawsze. Jeden z nich,

38

to głębia oceanu - przeciętna głębokość, na jakiej leżą te bryłki, wynosi ponad cztery i pół kilometra. To mnóstwo wody, przez którą trzeba się przedostać, żeby je wydobyć, a ciśnienie na dnie jest straszliwe. Ale tego można dokonać. Pewien amerykański inżynier, John Mero, napisał na ten temat swoją pracę dyplomową. Za-

proponował, żeby opucić na dno co podobnego do ogromnego odkurzacza i wysysać bryłki na powierzchnię. Kapitały niezbędne do realizacji tego pomysłu szłyby w miliony dolarów, a zyski byłyby minimalne. Gdyby takie złoża były na lądzie, nazwalibymy je doć ubogš rudš.

Geordie rzekł: - Ale ty masz jeszcze jakš kartę w rękawie.

- Ujmę to w następujący sposób. Informacje, które ci podałem, opierają się na wynikach badań Międzynarodowego Roku Geofizycznego, a pół kilograma na decymetr kwadratowy jest tylko mało dokładnym przybliżeniem.

Stuknąłem palcem we wschodniš część Pacyfiku. - Zienkiewicz z Radzieckiego Instytutu Oceanologii - nawiasem mówiąc, Rosjanie bardzo się tym interesują - stwierdził tu około dwóch kilogramów na decymetr kwadratowy. Rozumiesz, te bryłki leżą gęcej lub rzadziej. Tu wykryli dwa i pół kilograma, tam cztery, a gdzie indziej trzy i pół.

Geordie słuchał z żywym zainteresowaniem. - Wygląda na to, że sprawa staje się ekonomicznie opłacalna.

Potrząsnąłem głową ze znużeniem. - Nie, nie staje się. Manganu ani żelaza nie brakuje. Gdyby zaczął wydobywać duże ilości bryłek, doprowadziłoby to tylko do nasycenia rynku, ceny spadłyby odpowiednio i znów miałby to, co na początku: minimalny zysk. W rzeczywistości byłoby jeszcze gorzej. Wielkie firmy metalurgiczne i górnicze - a tylko one dysponują wystarczającym kapitałem, żeby co z tym

zrobić - nie są zainteresowane. Firmy te prowadzą kopalnie manganu na lądzie i gdyby zaczęły eksploatować złoża podwodne, doprowadziłyby do ruiny swe funkcjonujące już zakłady.

Wydaje mi się, że kręcisz się w kółko - powiedział Kwano

Geordie. - Do czego to wszystko nas prowadzi?

Bądź cierpliwy. Przechodzę do sedna sprawy. Otóż wspominałem już, że w tych bryłkach są także innych metali - miedzi, niklu i kobaltu. O miedzi nie warto mówić. Ale tutaj, w południowo-wschodnim Pacyfiku, bryłki zawierają około jeden i sześć dziesiątych procenta niklu i około trzy dziesiąte procenta kobaltu. Na Wzniesieniu Rodkowego Pacyfiku dają aż dwa procenty kobaltu. Zapamiętaj to, bo teraz zajmujemy się innym problemem.

39

- Na miłość boską, Mike, nie przeciągaj tego zbyt długo.

Wiedziałem, że ma rację, ale lubiłem podrażnić się z nim. -

Przechodzimy do rzeczy - powiedziałem. - Wszystkie liczby, jakie

ci podałem, są oparte na wynikach badań Międzynarodowego Roku

Geofizycznego. - Pochyliłem się do przodu. - Zgadnij, w ilu

miejscach przeprowadzili te badania?

- Nie potrafię zgadnąć.

Pociągnąłem łyk whisky. - Pobrali próbki z dna i porobili

fotografie w sześćdziesięciu miejscach. Parszywe sześćdziesiąt miejsc

na sto sześćdziesiąt pięć milionów kilometrów kwadratowych Pacyfiku.

Geordie wytrzeszczył oczy ze zdumienia. - To wszystko? Ja na

takim materiale dowodowym nie polegałbym nawet budując psiś budę.

- Pewien ortodoksyjny oceanograf utrzymuje, że dno oceanu jest niemal jednolite - nie różni się znacznie w poszczególnych miejscach - a więc możesz być prawie pewny, że to, co stwierdziłeś w miejscu X, które zbadałeś, stwierdzisz także w miejscu Y, którego nie zbadałeś.

Postukałem palcem w otwarty atlas. - Zawsze odnosiłem się nieufnie do tego rodzaju rozumowania. Uważa się powszechnie, że dno oceanu jest niemal jednolite, ja jednak nie sądzę, że powinniśmy przyjmować tę hipotezę bez sprawdzenia. Mark również tak nie myślał.

Czy Mark pracował nad tym razem z tobą?

Nigdy nie pracowaliśmy razem - odparłem krótko. - Kontynuujmy. W 1955 roku wyprawa Scrippsa wyłowiła mniej więcej tutaj - pokazałem na mapie - "bryłkę" manganowś. Miała sześćdziesiąt centymetrów długości, pięćdziesiąt centymetrów średnicy i ważyła pół tony. W tym samym roku brytyjski statek kablowy podnosił zerwany kabel tutaj, w Rowie Filipińskim. Wydobyli kabel z głębokości pięciu kilometrów, a w pętli kabla znaleli bryłkę, której długość wynosiła ponad metr, a średnica była bliska metra. Ważyła siedemset siedemdziesiąt kilogramów.

Zaczynam rozumieć, do czego zmierzasz.

Staram się przedstawić sprawę jasno. Ci ortodoksyjni faceci zbadali sześćdziesiąt punktów na niewiarygodnie dużym obszarze i mają odwagę twierdzić, że są miejsca, gdzie leży dwadzieścia pięć kilogramów bryłek na dziesięciu centymetrach kwadratowych -

a Mark znał takie miejsca, jeśli poprawnie odczytałem jego notatki.

- Myślę, Mike, że miały jeszcze powiedzieć coś o kobaltcie. No, przyznaj się, o co chodzi.

Pozwoliłem sobie na okazanie podniecenia. - To jest decydujący argument. Najwyższa stwierdzona dotychczas zawartość kobaltu w bryłce manganowej wynosiła trochę ponad dwa procent. - Trściłem

40

palcem leżącą na stole połówkę bryłki. - Dzisiaj przeprowadziłem jej analizę. Stwierdziłem dziesięć procent kobaltu - a kobalt, Geordie, jest wart więcej niż cała reszta razem wzięta, poza tym metalurgom od raket ciśgle go za mało!

2

Zjedliśmy bardzo smaczne mięso duszone z jarzynami, które przyrządził Geordie, i rozmawialiśmy do północy, aż do wyczerpania tematu. W pewnej chwili powiedziałem, wracając do drażliwej sprawy: - Chciałbym, żebyśmy mieli te notesy. Były w nich tylko niedokładne, robocze zapiski i wydaje się, że Mark często szedł fałszywym tropem - niektóre założenia wydają się zupełnie dziwaczne - ale wolałbym, żeby ich nie zrabowano.

Geordie pociśgnął z fajki, która zabulgotała. - Dobrze byłoby wiedzieć, dlaczego je rżnięto - i kto to zrobił.

Więc zgadzasz się, że miało to coś wspólnego ze śmiercią Marka?

Musiałoby mieć, chłopcze. Znalazł coś wartościowego...

I został zamordowany z tego powodu - dokończyłem. - Ale

kto go zabił? Kane? To nieprawdopodobne - dziwny to jaki morderca, który przebywa pół wiata, żeby powiadomić rodzinę.

Ta wymiana zdań skutecznie zahamowała dalszą rozmowę. Milczeliśmy przez pewien czas, po czym powiedziałem niezobowiązująco: - Gdybyśmy tylko mogli dostać w swe ręce tego Schoutena!

On jest na drugim końcu wiata.

Mylę, że Mark wykrył jakie duże złożę bryłek o wysokiej zawartoci kobaltu - powiedziałem cicho. - Nie był złym naukowcem, lecz będąc Markiem, prawdopodobnie bardziej interesował się wartociś odkrycia dla samego siebie. Jego teorie były nieco szokujšce, niemniej jednak intrygujš mnie.

Więc?

Więc chciałbym co z tym zrobić.

Masz na myli zorganizowanie ekspedycji?

Włanie. - Gdy wypowiedziałem to głono, myli, które kipiały we mnie od czasu analizy, zaczęły przybierać konkretne kształty.

Geordie wytrzasnł niedopalony tytoń z fajki. - Powiedz mi,

Mikę, jaki masz w tym interes - naukowy czy osobisty? Nie byłę szczególnie zaprzyjaniony z Markiem. Czy chodzi ci o to, że

Trevelyanowie powinni móc prowadzić swe interesy nie tracšc przy tym życia z ršk morderców, czy o co innego?

- Chodzi i o to, i o wiele więcej. Po pierwsze, kto wyranie stara

41

się mnie zastraszyć, a tego nie lubię. Nie lubię, żeby włamywano się

do mojego domu, kluto mnie nożem i strzelano do moich przyjaciół.

Nie mogę także pogodzić się z tym, że zamordowano mojego brata, jeli rzeczywiście tak było, bez względu na to, co myślę o nim jako człowieku. Oczywiście moje zainteresowania naukowe też mają istotne znaczenie - jestem zafascynowany. Takie odkrycie miałoby podobny wpływ na oceanografię, jak teoria ewolucji na biologię. Poza tym wchodzi tu w grę pieniądze.

Tak - zgodził się Geordie. - Przypuszczam, że byłyby z tego pieniądze.

Przypuszczasz słusznie. A jeli mylisz o milionach dolarów, daj sobie spokój, bo mylisz zbyt mało - to mogłyby być miliardy.

Geordie nie był skłonny do entuzjazmu. - Więc mylisz, że jest aż tak dobrze?

Aż tak dobrze - potwierdziłem zdecydowanie. - Stawka zupełnie wystarczająca, aby popełniono parę morderstw.

Ile kosztowałyby taka wyprawa?

Myślałem już o tym. - Statek plus mniej więcej pięćdziesiąt tysięcy na specjalne wyposażenie, plus zapasy i wydatki bieżące.

- Wydatki bieżące - jak długo?

Umiechnąłem się kwano. - To jedna z niewiadomych. Któż to może przewidzieć?

To kupa pieniędzy. I jak mówiłem niemal bezkresny obszar Pacyfiku.

Znam swój fach - powiedziałem. - Nie poruszałibyśmy się

zupełnie na olep. Wiem o diabelnie wielu miejscach, gdzie nie ma bryłek o wysokiej zawartoci kobaltu. I jeszcze dysponujemy tym, co zapamiętałem z teorii Marka - być może nie sš one jednak zupełnie dziwaczne. W dodatku mam to - podniosłem do góry mały notesik Marka, który nosiłem przy sobie.

Geordie nagle klasnął w ręce. - W porzšdku, chłopcze. Jeli zdołasz zebrać kapitał i pokrywać bieżšce wydatki - a Bóg jeden wie? skšd wemiesz tyle pieniędzy - to ja mogę dać statek. Czy stara "Esmeralda" będzie się nadawać?

- Mój Boże, będzie doskonała, gdy trzeba będzie pływać dysponujšc skromnym budżetem. - Przypatrywałem się mu uważnie, starajšc się nie okazywać zbyt wyranie swego podniecenia. - Ale dlaczego miałby w to wchodzić? To ryzykowne przedsięwzięcie, wiesz o tym.

Zamiał się. - No cóž, wspomniałe o paru miliardach dolarów.

Poza tym jaki mały sukinsyn odstrzelił czubek mojego małego palca.

42

Ten typ ,mnie specjalnie nie interesuje, ale chciałbym dostać w swoje ręce człowieka, który mu zapłacił. Pływanie z turystami po krótkim czasie przestaje być zabawne. Przypuszczam, że masz jakie pomysły w sprawie finansów. Chodzi o to, że bez życzliwego bankiera nie ma co zaczynać.

Mylałem o tym przez ostatniš godzinę czy dwie między naszymi kolejnymi wybuchami konwersacji. Jak dotšd, wszystko zdawało się

układać pomylnie.

Odpowiedziałem niejasno: - Którego dnia widziałem Clare

Campbell - jest tu razem ze swoim ojcem, który bierze udział

w jakiej konferencji. Myle uderzyć do niego.

Kto to jest Campbell?

Jonathan Campbell - znany kiedy jako J. C. Trochę Szkot,

trochę Kanadyjczyk, zajmuje się biznesem górniczym. Mark pracował

dla niego przez jakiś czas po zakończeniu Międzynarodowego Roku

Geofizycznego - miało to coś wspólnego z jakimś przedsiębiorstwem

górniczym w Ameryce Południowej... - Przerwałem, a Geordie

podniósł głowę i spojrzał na mnie pytająco. Co, co miało związek

z wypowiedzianym zdaniem, wzbudziło we mnie niepokój, lecz nie

potrafiłem określić, co to było i potrząsając głową pozwoliłem ulecieć

temu przykreemu wrażeniu.

Więc on ma pieniądze.

Jest nimi nadziany - potwierdziłem, wracając myślami do

tematu rozmowy. - Ma opinię ryzykanta i ta sprawa może go

zainteresować. Niedawno stracił kupę forsy w tym południowo-

amerykańskim biznesie - miało to coś wspólnego z nacjonalizacją

kopalni - lecz myślę, że zostało mu dosyć, by postawić na coś nowego.

Skąd masz te wszystkie informacje o Campbellu, Mike? Nie

wiedziałem, że studiujesz te strony gazet, na których piszesz o finansach.

Po zakończeniu Roku Geofizycznego myślałem o wycofaniu się

z badań podstawowych. Płace są tu niskie w porównaniu z przemysłem,

więc pomyślałem, że warto by poszukać pracy stosownej do moich kosztownych gustów. - Zatoczyłem ręką łuk, ukazując moje skromne mieszkanie. - Mnóstwo facetów tak zrobiło - Mark był jednym z nich - więc poszukałem trochę i znalazłem Campbella.

Ale nie wzięło tej pracy.

Potrząsnąłem głową. - Zaangażował już Marka, a ja, rozumiesz, nie miałem ochoty mieć go za kolegę. Tak czy owak, mniej więcej w tym czasie zaproponowano mi przejście do instytutu - mniej pieniędzy, ale za to bardziej interesująca praca. Mark wczynie zrezygnował z udziału w pracach Międzynarodowego

43

Roku Geofizycznego i przestał zajmować się badaniami podstawowymi. Ja w rzeczywistości nigdy się nie spotkałem z Campbellem, lecz pewnego razu spotkałem w Vancouver jego córkę. Była w towarzystwie Marka. Zdawali się być dość blisko ze sobą - chyba zresztą byli, przecież to córka szefa.

Głos Geordiego stał się równie chłodny jak mój, gdy powiedział: - Biedna głupia krowa.

Pomyślałem, że zupełnie nie pasuje do niej to określenie, i zadawałem sobie pytanie, ile czasu potrzebowała, by rozszyfrować charakter Marka. Nie zrobiła na mnie wtedy wrażenia dziewczyny, którą można długo nabierać. Miałem nadzieję, że nie wydarzyło się między nimi nic takiego, co wpłynęłoby na postawę Campbella wobec mnie, kiedy zwrócę się do niego z naszymi sprawami.

Jak długo Mark pracował dla Campbella?

Niezbyt długo, mniej więcej półtora roku. Potem wyruszył na Południowy Pacyfik i stowarzyszył się z Norgaardem - wtedy słyszałem o nim po raz ostatni. Nie wiem dokładnie, co tam robili - o ile się orientuję, nie mieli ani przyzwoitego statku, ani odpowiedniego wyposażenia, żeby robić gruntowne badania.

Ale jeli Campbell zajmuje się górnictwem, to dlaczego mylisz, że będzie finansował wydobywanie minerałów z głębi oceanu?

Mylę, że mógłby to zrobić - odpowiedziałem. - Jego biznes to metale. Nie złoto czy srebro, ani też, z drugiego końca skali, metale pospolite. Interesuje się cynś i miedziś, a raz spróbował z platynś.

Wydaje się, że teraz skoncentrował się na metalach stopowych - tytanie, kobalcie, wanadzie itp. Teraz, kiedy technika raketowa to wielki biznes, jest dobra koniunktura na te metale.

Geordie zapytał z zaciekawieniem: - Jak on to robi - mam na myli jego inwestycje?

- Wykorzystuje nas, naukowców. Zatrudnia paru dobrych ludzi, na przykład takich jak Mark, przy czym ich liczba zmienia się z czasem. Większoć z nich to oczywiście geologowie. Organizuje wyprawy w odległe strony, wykrywa złożę rudy, wkłada koło miliona w dokumentację i roboty przygotowawcze, a potem wycofuje się z zyskiem sprzedaje wszystko naprawdę poważnym przedsiębiorcom. Słyszałem, że w jedno ze swych ostatnich "przedsięwzięć włożył dwa miliony dolarów i rok czasu, po czym odstąpił je zarabiając na czysto

milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Niezły zarobek za rok pracy, co,

Geordie?

- Wcale niezły. Ale powiedziałbym, że to wymaga dowiadczania i cholernie dużo zimnej krwi.

44

- Ach, to sprytny Szkot, zgoda. Mam nadzieję, że jest jeszcze w mieście - znajdę go jutro.

- A co z Kanem? Dlaczego nie mielibyśmy napucić na niego glin?

Energicznie potrząsnęłam głową. - Nie teraz. Wysłałiby tylko na Tahiti telegram z prośbą o informację, a ja nie mam mocnej wiary w działalność Francuskiej Policji Kolonialnej, zwłaszcza że będę dysponować wygodnym dla nich legalnym wiadectwem zgonu. Przede wszystkim sprawy włókłby się straszliwie. Nie, ja sam zatroszczę się o siebie - jeśli uda mi się zainteresować Campbella. Bardzo chciałbym porozmawiać z doktorem Schoutenem.

Geordie w zamyśleniu potarł sobie podbródek. - Zamierzam dokonać paru zmian w załodze, jeśli popłyniemy na tę wyprawę.

Chciałbym wziść paru chłopców, których znam z dawnych lat. Ciekaw jestem, co teraz porabia Ian Lewis? Kiedy go spotkałem parę miesięcy temu, powiedział, że życie wydaje mu się trochę nudne.

Niejasno przypomniałem sobie wysokiego, milczącego górala szkockiego. - A czym on się zajmował?

- Ach, ma swoją siedzibę na szkockim bezludziu, który, jak mówił, chętnie by opuścił. Wiesz, myślę, że mógłbym znaleźć z pół

tuzina dobrych facetów - wszyscy sš wyćwiczeni w sztuce walki,
a niektórzy z nich sš marynarzami. Tak czy owak, mam paru, których
zabiorę na tę wycieczkę.

Zawitało mi pewne podejrzenie. - Poczekaj, Geordie - co to za
pomysł?

Chciałbym zobaczyć gromadę zbirów, którzy daliby radę paru
starym żołnierzom twojego taty - odrzekł. - Nie sš już może
najmłodszy, ale nie sš starzy. To dobrze wyćwiczeni komandosi.

Rozumiesz, oni nie ożenili się i nie ustabilizowali.

Co ty chcesz zrobić? Utworzyć prywatną armię?

Może nie byłby to zły pomysł - odparł. - Jeli tamten
wieczór był próbkš tego, co nas czeka, to może być nam potrzebna
armia jak jasna cholera.

W porzšdku, sierżancie Wilkins - westchnšłem. - Ale

pamiętaj, nikogo, kto jest żonaty lub ma inne zobowiązania:

a najlepiej pohamuj się, dopóki nie usidlimy Campbella. Nie możemy
nic zrobić bez pieniędzy.

Ach tak, pieniądze - powiedział Geordie i wyglšdał na bardzo
zasmuconego.

45

3

Następnego dnia, doć wczynie rano, złożył mi wizytę inspektor

w towarzystwie jednego ze swych ludzi. Geordie wyszedł wczynie,

a ja niecierpliwiłem się, chcšc jak najszybciej rozpocząć poszukiwania

Campbella, ale starałem się nie okazywać tego. Inspektor był czujny i podejrzliwy, lecz bardzo niesystematyczny. Mylę, że jego kłopot polegał na tym, iż naprawdę nie wiedział, co ma podejrzewać.

Czy zna pan kogo w Ameryce Południowej? - zapytał.

Chwileczkę. Nie, nie znam - odpowiedziałem.

Mhm. Mężczyzna, którego pan zabił, mógł przybyć z Ameryki Południowej. Na jego ubraniu były naszyte etykiety z Limy, Rio i Montevideo. Mógł być z prawie każdego kraju z wyjątkiem Brazylii.

Mylę, że jest to odpowiedź na jedno pytanie - nie potrafiłem na podstawie jego akcentu określić, skąd pochodzi. Jak się nazywał?

Inspektor potrząsnął głową. - Tego nie wiemy, panie Trevelyan.

Ani nic innego o nim, jak dotąd. Czy jest pan zupełnie pewny, że nie zna nikogo z Ameryki Południowej?

- Całkowicie.

Zmienił taktykę. - Nauka to cudowna rzecz; znalazłem wszystko, co wiadomo o tych manganowych bryłkach.

- Więc wie pan więcej ode mnie - powiedziałem oschle -

naprawdę nie moja specjalność. Czy uznał je pan za interesujące?

Umiechnął się kwano. - Nie za bardzo - mają one takś mniej

więcej wartość, jak brukowce. Czy jest pan pewny, że nie było w tym kuferku nic innego, co mogłoby mieć jakś wartość?

Inspektorze, tam były tylko rupiecie. Tego rodzaju rzeczy, które każdy mógłby nosić w walizce - oczywiście pomijając te bryłki.

Wygląda na to, że mimo wszystko pan Wilkins może mieć rację. Przyłapał pan włamywaczy, zanim zdolali zwędzić co innego. Nie dałem się zwieć tym słowom - inspektor ani przez chwilę nie uwierzył, że było to zwykłe włamanie. Powiedziałem dyplomatycznie: - Mylę, że ma pan słusność.

Rozprawa w sądzie odbędzie się w najbliższs rodę - owiad-
czył inspektor. - Dostaniecie obaj oficjalne zawiadomienie.

Będę tam.

Potem poszli, a ja mylałem o Ameryce Południowej. Leży ona bliżej Pacyfiku niż Hiszpania, ale i tak nie widziałem w tym wszystkim sensu. Dopiero po jakim czasie przypomniałem sobie, że przecież Mark pracował dla Jonathana Campbella, którego powiżzania z jakim południowoamerykańskim przedsiębiorstwem górniczym były po-

46

wszechnie znane, i znowu miałem nad czym rozmylać. Nadal jednak nie potrafiłem dojć do żadnych rozsđdnych wniosków i wkrótce zrezygnowałem z tych dociekań.

Znalezienie bogatego Kanadyjczyka wród milionów mieszkańców Londynu było dużo łatwiejsze niż znalezienie ubogiego Australijczyka.

Miejsce pobytu bogatych podróżników jest zazwyczaj cile okrelone.

W instytucie dano mi numer telefonu centrum konferencyjnego, tam

z kolei dowiedziałem się nazwy hotelu, w którym zatrzymał się

Campbell, a dzwoniśc po raz trzeci połščzyłem się z nim. Campbell

był rzeczowy i lakoniczny, aż do granic nieuprzejmoci. Tak, może mi

powieścić pół godziny swego czasu dzi rano o jedenastej - a była już dziewięta trzydzięci. Ton jego głosu wskazywał wyranie, że jeli uzna, iż zabieram mu niepotrzebnie czas, to wyrzuci mnie przed upływem dwóch minut. Rozmowa telefoniczna nie trwała dłużej.

O jedenastej byłem w "Dorchester", gdzie zaprowadzono mnie do apartamentu Campbella. On sam otworzył mi drzwi. - Trevelyan?

Tak, proszę pana.

Proszę wejć.

Wskazał mi drogę do pokoju, który dawniej był luksusowym salonem, lecz obecnie przerobiono go na prowizoryczne biuro, z biurkiem, kartotekami i sekretarkš; odesłał jš i sam zasiadł za biurkiem, zachęcajśc mnie gestem, żebym usiadł naprzeciw niego. Był to tęgi, krępy mężczyzna koło szećdziesiątki z kwadratowš, opalonš twarzš, pooranš bruzdami będąscymi wiadectwem jego dowiadczeń życiowych. Kto powiedział kiedy, że człowiek po czterdziestce jest odpowiedzialny za swš twarz; jeli tak jest rzeczywiście, to Campbell musiał mieć w swoim życiu mnóstwo "poważnych spraw na głowie. Jego oczy miały odcień lodowatoniebieski, a szare jak żelazo włosy były przyprószone siwiznš. Ubrany był w kosztowny garnitur i tylko ledwo uchwytny akcent zdradzał jego amerykańskie pochodzenie. Zdecydowałem, że najlepszš taktykš będzie atak. Wydobyłem połówkę bryłki manganowej i położyłem na biurku. - Analiza wykazała w tym dziesięć procent kobaltu - powiedziałem bez wstępów. Wził jš i obejrzał dokładnie, starajśc się nie okazywać z cieka-

wienia. - Skąd to pochodzi?

- Z dna Pacyfiku.

Podniósł wzrok i popatrzył na mnie, po czym zapytał: - Czy jest pan krewnym Marka Trevelyan, który jakiś czas temu pracował dla mnie?

To był mój brat.

Był?

47

- Nie żyje.

Campbell zmarszczył brwi. - Kiedy umarł i gdzie?

Mniej więcej cztery miesiące temu, na Pacyfiku.

Przykro mi to słyszeć - powiedział raczej zdawkowo. - Dobry naukowiec.

Wykryłem w jego głosie nutę ostrożności i pomyślałem, że jest tu jeszcze kto, kto przejrzał Marka, lub po prostu poznał na konkretnym przykładzie sposób, w jaki mój brat zabierał się do swych spraw.

Zastanawiałem się, czy był to jakiś problem dotyczący interesów, czy też coś zwiśzanego z wzajemnym stosunkiem jego córki i Marka. Nie potrafiłem ocenić, czy mi to utrudni, czy ułatwi załatwienie sprawy.

Nadal przyglądał się raczej mnie, a nie próbce. - Trevelyan - słyszałem to nazwisko także zupełnie niedawno. Ach tak! - odwrócił się, zdjął z półki jakiś popołudniówkę i rozłożył ją. - Czy to pan jest tym Trevelyanem, o którym tu piszsz? Tym, który bronił swego domu zabił człowieka? Dom Anglika jego zamkiem i wszystkie te bzdury?

W przelocie zobaczyłem tytuł: NAUKOWIEC ZABIJA WŁAMY-

WACZA. Zupełnie oględny, biorąc pod uwagę rodzaj gazety. Skinąłem potakująco głową.

Zacisnął usta i odłożył gazetę, po czym wrócił do interesu. - To jest bryłka manganowa. Miliardy takich leży na dnie Pacyfiku. Sporo ich jest także w Atlantyku. ,

Tam jest niewiele - sprostowałem. - I marnej jakości. Zbyt wiele osadów.

To prawda. - Podrzucił kamień i złapał go. - Najwyższa stwierdzona dotychczas zawartość kobaltu wynosi dwa procent z ułamkiem. Tamta bryłka pochodziła ze rodkowego Pacyfiku. A skąd pochodzi ta?

Popatrzyłem na niego wzrokiem pozbawionym wyrazu i potrząsnąłem przecząco głową. On umięknął się nagle i jego twarz przeobraziła się - miał czarujący uśmiech. - W porządku, próbowałem - powiedział. - Byłby pan zdziwiony, gdybym opowiedział, jak często się to udaje. Czy wie pan, dlaczego mogę recytować z pamięci dane dotyczące bryłek manganowych?

Zastanawiałem się.

Pański brat powiedział mi o tym. Parę lat temu chciał, żebym sfinansował ekspedycję. Muszę powiedzieć, że miałem na to ochotę.

Dlaczego pan tego nie zrobił?

Zawahał się, po czym wyjął: - Straciłem grubszą forszę w Ameryce Południowej. Zachwiało to moimi finansami i, zanim dokonałem

reorganizacji, nie dysponowałem żadnym płynnym kapitałem. Mniej

48

więcej w tym czasie pański brat zrezygnował z pracy w moim towarzystwie, a pozostawił mi za mało informacji, żebym mógł poradzić sobie sam.

Mam nadzieję, że obecnie jest pan w lepszej kondycji finansowej - powiedziałem chłodno - bo właśnie z tego powodu przyszedłem do pana. Teraz na mnie przyszła kolej, by prosić pana o sfinansowanie ekspedycji.

Tak się domyślałem - odparł równie oziębłe. Dotknął bryłki. - Muszę powiedzieć, że pan przyniósł więcej niż pański brat. Opowiedział on piękną historyjkę, lecz nigdy nie przedstawił żadnego konkretnego dowodu. Mówi pan, że jest w tym dziesięć procent kobaltu?

Wczoraj po południu sam dokonałem analizy - oczywiście drugiej połowy.

Czy miałby pan co przeciw temu, żebym niezależnie od pana oznaczył zawartość kobaltu w tej połówce?

Absolutnie nic - powiedziałem spokojnie.

Zamiał się, znów okazując swój osobisty urok. - W porządku, panie Trevelyan, nie będzie mi to potrzebne. Tak czy owak, jestem przekonany, że to prawda.

- Wolałbym, gdyby pan to zrobił - powiedziałem. - Mógłbym w ten sposób uzyskać weryfikację mojej analizy. Muszę jednak panu

powiedzieć, że to, co trzyma pan w ręce, to jedyny dowód, jaki mam do pokazania.

Jego dłoń zacisnęła się wokół bryłki. - Teraz naprawdę zaczyna mnie to interesować. Myle, panie Trevelyan, że ma pan jakś historię do opowiedzenia. Dlaczego pan jej nie opowie, tylko kręży wokół tematu?

Zdecydowałem już, że jeli w ogóle mamy pracować razem, to nie mogę niczego ukrywać. Uznałem, że szczeroc taka wišze się z jedynie umiarkowanym ryzykiem. Opowiedziałem więc mu wszystko, a kiedy wreszcie dotarłem do końca, umówione pierwotnie pół godziny dawno już minęło. Słuchał w zupełnym milczeniu, dopóki nie skończyłem, a wtedy powiedział: - Zobaczymy teraz, czy potrafię uporządkować to wszystko. Po pierwsze, pański brat zmarł na Pacyfiku; po drugie, człowiek nazwiskiem Nelson, o którym pan nigdy przedtem nie słyisał, przysyła panu kuferek zawierajšcy notesy i próbki bryłek manganowych; po trzecie, pojawia się Kane z opowieciš, którš pan uważa za bajkę; po czwarte, kuferek zostaje zrabowany, prawdopodobnie przez jakš szajkę z Ameryki Południowej, czemu towarzyszyły akty przemocy, w tym jedno zabójstwo; po pište, pozostaje panu

49

4 - Noc błędu

jedyna bryłka, którš poddaje pan analizie i stwierdza fantastycznie wysoki procent kobaltu; i po szoste, zachował pan także pamiętnik brata, którego jednak nie potrafi pan odczytać.

Patrzył na mnie długo, a potem powiedział łagodnym tonem: -

I chce pan, żebym na tej podstawie zainwestował może z milion dolarów.

Podniosłem się z krzesła.

Przykro mi, panie Campbell, że stracił pan przeze mnie tyle czasu.

Siadaj, ty cholerny głupcze. Nie poddawaj się bez walki. Nie powiedziałem, że nie zainwestuję, prawda? - Spostrzegł wyraz mojej twarzy i dorzucił: - I nie powiedziałem też jeszcze, że zainwestuję.

Czy masz tu ten pamiętnik?

Bez słowa wyjąłem go z wewnętrznej kieszeni marynarki i podałem ponad biurkiem. Otworzył go i szybko przekartkował. - Kto uczył twojego brata stenografii? - zapytał z obrzydzeniem. - więty Wit?

- Zasadniczo jest to system Pitmana - odrzekłem - ale Mark przystosował go do swoich potrzeb. - Mógłbym jeszcze dodać, że Mark zawsze był tajemniczy i nie lubił, żeby kto inny wiedział, co on robi. Trzymałem jednak język za zębami.

Campbell rzucił pamiętnik na biurko. - Może w jaki sposób będziemy potrafili wydobyć co z tego - może specjalista od szyfrów umiałby to odczytać. - Odwrócił się w swym obrotowym krzele i wyglądał przez okno na Hyde Park. Nastąpiła długa chwila ciszy, aż wreszcie odezwał się znowu.

Czy wiesz, co naprawdę zainteresowało mnie w tej twojej nieprawdopodobnej opowieści?

Nie wiem.

Ci południowoamerykańscy włamywacze - powiedział ku memu zaskoczeniu. - Ameryka Południowa była dla mnie pechowa, jak już wspominałem. Straciłem tam prawie dziesięć milionów. To było między innymi wtedy, gdy ekspedycja Marka spełzła na niczym. A teraz Mark powrócił - w pewnym sensie - i znów wchodzi w grę jacy Latynosi. Jak to rozumiesz?

Nie rozumiem wcale - odrzekłem.

Nie wierzę w zbieg okolicznoci, zwłaszcza tego rodzaju. To, co muszę wziąć pod uwagę, leży zapewne poza sferą twoich zainteresowań - zawiłoci prawa międzynarodowego dotyczącego eksploatacji, szczególnie na pełnym morzu, złóż podwodnych, stosunki międzynarodowe - więc muszę wiedzieć więcej o dziedzinach, które wiążą się z twoimi badaniami. Finansowanie. Dystrybucja. Rynki. To mnie trochę zaskoczyło. Być może za bardzo byłem badaczem

50

i nieubłagane reguły prowadzenia interesów z trudem docierały do mojej wiadomości. Jednakże po zastanowieniu się, nie mogłem odnaleźć w głosie Campbella wstąpiwości czy obaw; był to głos człowieka zastanawiającego się nad przyszłymi konsekwencjami interesu, jaki mu zaoferowano - i to mi się podobało. W jego postawie był niewstąpiwie lekki odcień wyzwania, co dodawało mi ducha. Domyliłem się, że Campbell, podobnie jak stary przyjaciel Geordiego Ian Lewis, może uważać swe obecne życie za trochę nudne, i dlatego nowość mojej propozycji była dla niego pociągająca.

Szturchnął bryłkę palcem. - Cywilizacja przemysłowa potrzebuje koniecznie dwóch rzeczy - taniej energii i taniej stali. Ile jest w tym tlenku żelaza?

Trzydzieci dwa procent w stosunku wagowym.

To jest to. Dzięki kobaltowi całe przedsięwzięcie będzie ekonomicznie opłacalne, a w rezultacie uzyskamy taniś rudę o wysokiej zawartoci żelaza., mnóstwo manganu, a w dodatku trochę miedzi, wanadu i różnych innych metali, jakie tylko potrafimy wyodrębnić.

Tanie metale wartoci miliardów dolarów, tańsze od tych, które potrafi wyprodukować ktokolwiek inny. Można to wszystko powiśzać w jeden schludny, solidny pakiecik - ale wymaga ostrożnego postępowania. A nade wszystko - wymaga dyskrecji.

Wiem. Już starałem się zbić z tropu inspektora policji, który podejrzewa, że w tym włamaniu jest co więcej, niż się wydaje na pierwszy rzut oka.

Campbell wydawał się zadowolony. - Dobrze. O to włanie chodzi.

Więc chce pan sfinansować ekspedycję? - zapytałem. To byłoby chyba zbyt łatwe, pomyślałem, i miałem słuszoć.

Jeszcze nie wiem. Chcę na własną rękę przeprowadzić pewne dochodzenie, zasięgnęć informacji, do których ja mogę mieć dostęp, a ty nie. Może też uda mi się znaleźć dla ciebie Kane'a. Poza tym nie jest wykluczone, że przez pewien czas nie będziesz w stanie podejmować żadnych działań - pamiętaj, że zabił człowieka. - Jego umiech tym razem był bardziej ponury niż czarujścy. - To nie znaczy, że cię

potępiam - sam zabijałem ludzi - ale poczekajmy na twoją rozprawę,
zanim zadecydujemy cokolwiek.

4

Do rozprawy pozostało sześć dni, najdłuższe sześć dni w moim
życiu. Aby wypełnić czas, zabrałem się do pisania artykułu, którego
ode mnie oczekiwano. Tak się jednak złożyło, że artykuł, który

51

wówczas powstał, nie był zbyt dobry: miałem za dużo innych spraw
na głowie, aby móc się porządnie skupić.

Do końca tygodnia Geordie nie znalazł jeszcze Kane'a, chociaż
załatwił mnóstwo innych spraw. - To beznadziejne - powiedział mi. -

Z igł w stogu siana poszłoby łatwiej - to jest podobne do próby
znalezienia jednego określonego dbła.

- Może nie ma go w ogóle w Londynie.

Był to truizm, który nie mógł przydać się na nic. Jednakże rano
tego dnia, w którym miała odbyć się rozprawa, Kane znalazł się -
a właściwie on znalazł mnie.

Zadzwoił do drzwi mojego mieszkania właśnie wtedy, gdy
wychodziłem do sądu - Geordie jak zwykle wyszedł wcześniej
i mieliśmy się tam spotkać. Kane wyglądał na trochę podnisz-
czonego, miał przekrwione oczy i kilkudniowy, siwy zarost na
policzkach. Zakaszłał chrapliwie i rzekł: - Przykro mi, że sprawiam
panu kłopoty, panie Trevelyan, ale powiedział pan, żebym był
w kontakcie.

Patrzyłem na niego ze zdumieniem, powstrzymując się od zadania pytań, które miałem na końcu języka. Zaprosiłem go do rodka i w czasie, gdy nalewiałem mu kawy przemyślałem szybko parę rzeczy. Geordie i Campbell byli tym zainteresowani tak samo jak ja, a poza tym chciałem mieć wiadków, kiedy będę wypytywał Kane'a. Postanowiłem rozegrać to delikatnie, chociaż trudno mi było rozmawiać z nim nie tracąc panowania nad sobą.

Zmusiłem się do uprzejmego umiechu. - Czy ma pan już doć Anglii, panie Kane?

To byłby zupełnie miły kraj, gdyby nie wasza przeklęta pogoda. Słowo daję, warto by przenieść trochę tego deszczu do nas, do Queenslandu.

Ale jest pan zadowolony ze swego pobytu?

Miałem ubaw pierwsza klasa - odrzekł. - Ale to już koniec mojego pobytu w Anglii, panie Trevelyan. Znowu się zgrałem. Nigdy się niczego nie nauczę. {#

Przykro mi to słyszeć - powiedziałem.

Popatrzył na mnie z nadzieją. - Panie Trevelyan, powiedział pan, że mógłby mi pan załatwić powrót. Myślałem...

- Czy musi pan natychmiast wracać na Pacyfik?

Z jakiego powodu nie miał na to ochoty. - Niespecjalnie, nie.

Ale nie mam już ani grosza. Gdybym miał trochę gotówki, albo jakąś pracę, to chętnie zostałbym jeszcze trochę. Myślałem, że może pan mógłby...

- Mój przyjaciel ma jacht, który właśnie przygotowuje do rejsu - powiedziałem. - Obaj chcemy trochę pożeglować razem; myślę, że będzie mu potrzebna załoga. Czy to by panu odpowiadało?

Kane z zapalem połknął przynętę. - To byłoby po prostu wspaniale, panie Trevelyan!

Położyłem przed nim otwarty notatnik, starając się ukryć własny entuzjazm. - Proszę tu napisać swoje miejsce zamieszkania, żeby właściciel jachtu mógł skontaktować się z panem - poleciłem. -

Będzie chciał z panem porozmawiać, ale ja z nim to załatwię. I wypłacę panu z góry część pańskiego wynagrodzenia na pokrycie kosztów mieszkania i utrzymania. Co pan na to?

Zapisał swój adres. - Tak zrobię. Ogromnie dziękuję, panie Trevelyan.

- W porządku - powiedziałem wspaniałomyślnie. - Zasłużył pan sobie.

Wypuściłem go z mieszkania, po czym wyszedłem na rozprawę sądową. Spotkanie z Kanem podniosło mnie na duchu, bo pozwoliło mi teraz myśleć o czym innym, a ponadto miało istotne znaczenie w związku z tym, co opowiedziałem Campbellowi. Nie miałem czasu, by poinformować Geordiego o tej niespodziewanej wizycie, więc odłożyłem to na później.

Rozprawa nie była skomplikowana. Lekarz przedstawił wiadomość zgonu, po czym zeznawałem ja, z zaraz po mnie Geordie.

Trzymaliśmy się faktów i nie wdawaliśmy w szczegóły, lecz zauważyłem, że Geordie demonstracyjnie trzymał swój obandażowany palec w polu widzenia kornera. Mówił też mój sąsiad, po czym przyszła kolej na policję.

Gdy Geordie składał zeznania, rozejrzałem się po sali sądowej i dostrzegłem siedzącego z tyłu Campbella. Skinął mi głową, a następnie skupił uwagę na rozprawie.

Pojawił się inspektor i potwierdził, że znalazł automatyczny pistolet, berettę, zwisający z prawej kieszeni marynarki nieboszczyka. Muszka była zaczepiona o podartą podszewkę. Poczułem się dużo lepiej, kiedy to posłyszałem, ponieważ był to jeden z istotnych punktów moich zeznań. Popatrzyłem koronerowi prosto w oczy, a on nie unikał mojego spojrzenia - dobry znak. Omówiono pokrótce niemożność ustalenia tożsamości denata.

Wystąpił też jeden niespodziewany wiadek, przynajmniej dla mnie - zjawił się stary Jarvis, aby przedstawić ekspertyzę. Opowiedział koronerowi, co to są buły manganowe, pobocznie zwane bryłkami, a nawet przyniósł jedną, żeby pokazać, jak wyglądają. Koroner

53

dręczył go trochę pytaniami o ich wartość, a Jarvis odpowiadał w swój bezpodreński, nieco lekceważący sposób. Była to jednak tylko poza.

Na tym zakończyły się przesłuchania. Koronerowi nie trzeba było wiele czasu, by podjąć decyzję, że śmierć była skutkiem zabójstwa w obronie koniecznej. Zamknął sprawę wniosłym przemówieniem tej

trzeci, że chociaż dom Anglika może być jego zamkiem, to jednak żaden człowiek nie ma prawa własnoręcznie wymierzać sprawiedliwoci, a gdybym zachował nieco więcej ostrożności, to mierci tej, jego zdaniem, można było uniknąć. Jednakże stało się to, co się stało, i pan Michael Trevelyan może opuścić sąd bez skazy na swej reputacji.

Wszyscy powstali z miejsc, gdy koroner opuszczał salę, po czym zaczęli tłoczyć się ku wyjściu. Jaki urzędnik sądowy przepchał się do mnie i wręczył mi karteczkę, zawierającą tylko kilka, ale za to bardzo znaczących słów: "Do zobaczenia w "Dorchester". Campbell".

Pokazałem ją Geordiemu, gdy podszedł, aby z rozmachem poklepać mnie po plecach. - Miejmy nadzieję, że to oznacza to, co myślę - rzekłem. - Mam ci dużo do powiedzenia.

Tłum wyniósł nas z gmachu i w końcu osadził na chodniku.

Mnóstwo ludzi, których nie znałem, składało mi gratulacje, że zabiłem człowieka i uszło mi to na sucho; jacy reporterzy zarzucali mnie pytaniami, aż wreszcie dostrzegłem kogo, kogo szukałem. Zaczęłem biec, żeby go dogonić, a za mną Geordie. Był to profesor Jarvis.

Zobaczył mnie, pomachał ręką i poczekał, aż przyłuszczę się do niego.

No cóż, wszystko poszło zupełnie dobrze, mój chłopcze - stwierdził profesor.

Przyczynił się pan do tego - dziękuję.

Przekląć głupcy - mruknął. - Każdy wie, że te bryłki są w zasadzie bezwartościowe. Z ekonomicznego punktu widzenia to

w ogóle żaden interes.

Chciałbym wiedzieć, czy miałby pan chwilę czasu na rozmowę ze mną - zapytałem. - Lepiej tu niż w instytucie. - Zgodził się bez trudu, więc usiedliśmy na niskim kamiennym murku przed gmachem sądu, rozkoszując się bladymi promieniami słońca.

Nie mam ci nic do powiedzenia, młody człowieku - powiedział profesor. - Pytałem parę osób o tego Norgaarda, ale nic z tego.

Wydaje się, że facet zniknął z powierzchni ziemi.

Kiedy ostatni raz słyszał pan o nim?

Jakie szczęście, siedem miesięcy temu - kiedy był z twoim bratem. Prowadzili wtedy badania na wyspach otaczających Tahiti.

Kiedy Norgaard zaczął pracować z Markiem? - zapytałem.

54

- Chwileczkę, niech się zastanowię. To musiało być prawie dwa lata temu, gdy Mark odszedł z tej kanadyjskiej firmy, dla której pracował. Tak, właśnie tak było - kiedy musiał zrezygnować z udziału w badaniach Międzynarodowego Roku Geofizycznego, wyjechał do Kanady, gdzie przeszło dwa lata pracował u tego typa, Campbella, po czym odszedł, by nawiązać współpracę z Norgaardem. Nie wiem, co robili; nic nie opublikowali.

Pomyślałem, że jego znajomość rzeczy jest godna uznania, po czym uprzytomniłem sobie co, co powiedział przed chwilą. - Co miał pan na myśli mówiąc, że musiał zrezygnować z udziału w badaniach?

Jarvis wydawał się naprawdę zakłopotany. - Och, nie powinienem

był tego mówić - wymamrotał.

Chciałbym wiedzieć. Teraz Markowi to nie zaszkodzi.

Nie wypada. De mortuis - i tak dalej, wiesz.

No, niechże pan wreszcie powie - nalegałem. - Ostatecznie

wszystko zostanie w rodzinie.

Jarvis wpatrywał się w czubek swego doskonale wypolerowanego

buta. - No cóż, nigdy nie zgłębiłem tej sprawy dokładnie -

rozumiesz, zatuszowano już - lecz wygląda na to, że Mark pokręcił

co z niektórymi swoimi wynikami.

Sfałszował uzyskane przez siebie wyniki?

Włanie. Stwierdzono to zupełnie przypadkowo. Oczywiście

musiał odejść. Ale my - to znaczy kierownictwo Międzynarodowego

Roku Geofizycznego - zgodziliśmy się nie wyciszać wobec niego

dalszych konsekwencji, dzięki czemu po swej rezygnacji mógł dostać

tę pracę w Kanadzie.

A więc dlatego odszedł przed ukończeniem badań. Dziwiło

mnie to. Nad czym wtedy pracował?

Jarvis wzruszył ramionami. - Nie pamiętam, lecz z pewnością

miało to co wspólnego z badaniami podwodnymi. Bryłki manganowe,

być może? - Nie była to zbyt błyskotliwa hipoteza, jeli wziść

wszystko pod uwagę, lecz nie podobała mi się. Kontynuował: -

Nigdy nie lubiłem twojego brata. Nigdy też nie miałem do niego

zaufania i fakt, że sfałszował wyniki, nie zaskoczył mnie ani trochę.

- To nic dziwnego - odrzekłem - mnóstwo ludzi nie lubiło

Marka. Ja sam nie przepadałem za nim. I nie był to pierwszy raz, kiedy oszukiwał. To samo robił w szkole i na uniwersytecie. Nie mówiąc już o jego życiu osobistym.

Jarvis skinął głową. - To mnie też nie dziwi. Jednakże, mój chłopcze, to nie znaczy, że nie dowierzam całej rodzinie Trevelyanów.

Ty, Mike, jesteś wart dziesięć razy tyle, co twój brat.

55

Dziękuję, profesorze - powiedziałem serdecznie.

Teraz zapomnij o tym wszystkim i ciesz się swym urlopem.

Kiedy wrócisz, będzie na ciebie czekał południowy Atlantyk.

Odwrócił się i odszedł zwawym krokiem, wymachując bez troski rękami. Spoglądałem na niego z sympatią; pomyślałem, że będzie mu naprawdę przykro, gdy mnie straci, jeśli interes z Campbellem dojdzie do skutku i wyruszę na południowy Pacyfik, zamiast południowego Atlantyku. Znowu będzie z gniewem narzekał na warunki ekonomiczne, które przyścisną badaczy do przemysłu, i napisze parę gorzkich listów do prasy.

Zwróciłem się do Geordiego: - Co mylisz o tym wszystkim?

Norgaard zniknął niemal w tym samym czasie, kiedy Mark odwalił kitę. Zastanawiam się, czy...

Wiem, o czym mylisz, Geordie. Czy Norgaard jeszcze żyje?

Ufam Bogu, że powiesz się nam z Campbellem - chciałbym przeprowadzić trochę prac terenowych na tych wyspach.

Miałe mi co do powiedzenia - przypomniał. Ja jednak

postanowiłem odłożyć to na później.

Powiem to jednocześnie wam obu, tobie i Campbellowi. Chod
ze mną.

5

Campbell był w wyranie lepszym humorze niż podczas naszego
pierwszego spotkania. - No cóż - odezwał się, gdy weszliśmy do
jego apartamentu - widzę, Trevelyan, że nie jeste zupełnie zatwar-
działym zbrodniarzem.

Nie ma skazy na mojej reputacji. Tak orzekł koroner. -

Przedstawiłem Geordiego i dwaj potężni mężczyźni z zainteresowaniem
ocenili nawzajem swoje rozmiary. - Pan Wilkins jest gotów wnieść
w udziale swój statek - a także pełnić na nim obowiązki szypa.

Widzę, że kto wierzy w tę twoją zwariowaną opowieść -
powiedział Campbell. - Przypuszczam, że to odniesiona rana przy-
czyniła się do przekonania pana, mister Wilkins.

A co z pańską decyzją? - zapytałem.

Zignorował to i zagadnął nas, co będziemy pili. - Musimy uczcić
tę udaną ucieczkę spod karzącej ręki prawa - oznajmił jowialnym
tonem. Zamówił napoje i przeszliśmy do interesu. Informację o wizycie
Kane'a postanowiłem ujawnić we właściwym momencie, a najpierw
chciałem posłuchać, co ma do powiedzenia Campbell.

56

- Wiedziałem, że moje podejrzenie, dotyczące tych twoich Laty-

nosów, sprawdzi się - owiadczył. - Mam dość dobry system

wywiadu - konieczny w mojej dziedzinie - i ustaliłem, że właśnie

w tej chwili, w Darwin Suarez i Navarro szykujš statek badawczy. To

dla nich nowy teren i nowy rodzaj działalności, więc przypuszczam, że

popłynš w twoje strony.

Popatrzyłem na niego pustym wzrokiem. To, co powiedział, nie

miało dla mnie żadnego sensu.

Mylę, że mój brak zrozumienia sprawił mu przyjemność, ponieważ

pozostawił mnie przez chwilę w tym stanie, zanim wyjanił: - Suarez

i Navarro to południowoamerykańska firma górnicza, działajšca

w kilku krajach. Miałem już z nimi do czynienia - to banda łobuzów

bez skrupułów. A więc dlaczego firma górnicza miałaby przygotowywać

do rejsu oceanograficzny statek badawczy?

Bryłki manganowe - odrzekł lakonicznie Geordie.

Jak dalece sš oni pozbawieni skrupułów? - zapytałem. - Czy

uciekliby się do włamania? - Nie wspomniałem o morderstwie.

Campbell splótł dłonie. - Opowiem ci co, a potem sam osšdzisz.

Kiedy miałem całkiem dobre przedsiębiorstwo w Ameryce Połu-

dniowej, mniejsza o to, gdzie. Kopalnie przynosiły niezłe zyski, a sporo

pieniędzy przeznaczyłem na zapewnienie dobrych stosunków z pracow-

nikami.

Utrzymywałem parę szkół, szpital i wszelkie urzšdzenia potrzebne

do cywilizowanego życia. Ci indiańscy górnicy nigdy nie mieli tak

dobrze i reagowali na to właciwie.

Suarez i Navarro zwrócili uwagę na moje przedsiębiorstwo i wyraźnie mieli na nie chętkę. Zabrali się do rzeczy we własny, parszywy sposób. Mieli człowieka od kłopotliwych spraw, niejakiego Ernesto Ramireza, którego używali do tego typu operacji. Ramirez wziął się energicznie do roboty, znalazł dojdzie do rządu, posmarował komu trzeba, zachęcił wojsko i nagle był już nowy rząd, który niezwłocznie znacjonalizował te kopalnie "ze względu na dobro gospodarki narodowej" - czy jak to tam uzasadnili. Tak czy owak, nigdy nie dostałem za nie ani centa. Po prostu zabrali wszystko, a Ramirez przepadł znów w tej dziurze, z której go wygrzebano. Potem rząd potrzebował kogo do kierowania kopalniami, więc Suarez i Navarro zaproponowali, że zajmę się tym z dobroci serca i za nieży procent zysków. Ja płaciłem trzydzieci osiem procent podatków, natomiast Suarez i Navarro uzyskali zwolnienie od opodatkowania na tej podstawie, że w gruncie rzeczy jest to przecież własność państwowa. Mieli więc zupełnie przyjemną sytuację.

57

Zamknęli szkoły i szpital - wiadomo, nie przynosiły zysków.

Niedługo potem mieli w kopalniach strajk. Jeli traktuje się robotnika jak człowieka, to wkurza go, jeli znowu jest traktowany jak winia - a więc wybuchł strajk. Fakt ten spowodował, że Ramirez szybko wylazł ze swej nory. Wezwał wojsko, doszło do niezłej strzelaniny, a potem już nie było strajku - tylko pięćdziesięciu martwych Indian i sporo wdów.

Umiechnął się ponuro. - Czy odpowiedziałem ci na twoje

pytanie dotyczące skrupułów Suareza i Navarro?

Skinśłem potakująco głowś. To była paskudna historia.

Campbell nagle zmienił temat. - Biorę udział w pewnej konferencji, jaka odbywa się tu w Londynie. To konferencja dotycząca zasobów mineralnych.

Dzięki temu odnalazłem pana/ - mruknśłem, lecz on nie zwrócił na to uwagi.

W gruncie rzeczy jest to impreza Wspólnoty Brytyjskiej, ale inne zainteresowane kraje też poproszono o przysłanie obserwatorów.

Suarez i Navarro mają tu dwóch - nie można ich powstrzymać od wtykania wszędzie swego nosa - lecz w ubiegłym tygodniu przyjechał

jeszcze jeden. Nazywa się Ernesto Ramirez. - Głos Campbella

brzmiał twardo. - Ramirez nie jest typowym bywalcem konferencji, nie nadaje się na negocjatora. To silny człowiek Suareza i Navarro.

Czy wyrażam się jasno?

Obaj przytaknęliśmy z przekonaniem.

A teraz prawdziwa bomba. Znalazłem dla was Kane'a.

Nie do wiary! - odpowiedziałem.

Zabralicie się do tego nie tak, jak trzeba. Ja wyznaczyłem kogo do ledzenia Ramireza i dowiedziałem się, że mężczyzna nazwiskiem Kane rozmawiał z nim wczoraj przez dwie godziny. Mój człowiek poszedł za Kanem do jego meliny i w ten sposób mam już jego adres.

W tym momencie wyrecytowałem z pamięci adres Kane'a.

Wywarło to odpowiednie wrażenie. - Co? - powiedział Campbell

z niedowierzaniem, a Geordie gapił się na mnie. Chwila ta sprawiła mi sporo przyjemności.

- Kane złożył mi dzi rano wizytę - wyjaśniłem i odpowiedziałem, co się wydarzyło. - Myślę, że powiniene przyprzeć go do muru i przeprowadzić z nim poważną rozmowę - zwróciłem się do Geordiego.

Campbell zmarszczył brwi, a potem jego pełen uroku uśmiech rozjaśnił mu twarz. - Nie, nie powiniene - rzekł. - Nie pytaj go o nic. Nie rozumiecie, co się tu dzieje?

58

Geordie i ja wzruszyliśmy bezradnie ramionami. W tego rodzaju sprawach nie potrafiliśmy nadżyć za Campbellem.

- Czy słyszeliście kiedy o szpiegostwie przemysłowym? Na pewno słyszeliście. Każde duże towarzystwo ma swój wywiad. Ja też mam swój -- niezbyt to lubię, ale nie mogę dać się wyprzedzić w interesach tym nieprzebierającym w rodkach łobuzom. - W rzeczywistości

Campbell wyglądał tak, jakby sprawiało mu to wielką przyjemność. -

Odtwórzmy teraz to, co się stało. Dostałem co, czego z punktu

widzenia Suareza i Navarro nie powiniene mieć. Ramirez pędzi do

Anglii - przybył tu dzień wcześniej niż Kane przyszedł do ciebie,

a więc na pewno się spotkali. Kane odwiedza cię, żeby ustalić, czy

rapiecie Marka już nadeszły, i uzyskuje tę informację bez trudu,

ponieważ sam mu o tym powiedziało. Opowiada ci jakąś bajeczkę dla

zamydlenia oczu - jej treć nie ma w gruncie rzeczy znaczenia.

Następnie Ramirez wysłała swoich chłopców, żeby zabrali ci te rupiecie, ale zaskoczylicie ich w trakcie roboty. - Podniósł brwi. - Czy jak dotąd brzmi to sensownie?

Geordie przytaknął: - Dla mnie to ma sens.

Ja nie powiedziałem nic. Miałem trochę więcej wstępliwoci, ale jeli się to przyczyniło do podtrzymania zainteresowania Campbella, to wszystko w porządku.

On za kontynuował: - Co jednak poszło le - zostawili pamiętnik i jedną bryłkę. Ramirez nie wie o tym, ale wie, że skontaktowała się ze mną po przeprowadzeniu wszelkiego rodzaju badań; zna też zadawane w sądzie pytania dotyczące bryłek manganowych. O tak, założę się, że był tam - on sam, albo który z jego ludzi. Musiał to być dla niego wstrząs, kiedy przyszedłem do mnie.

Widzisz, on kazał cię ledzić dla zasady, po prostu aby dowiedzieć się, jeli uczynisz coś niezwykłego - a ty właśnie uczyniłaś. A więc, co teraz robi Ramirez?

Kupuję to - powiedziałem. - Co on robi?

Znow wysłała do ciebie Kane'a - cięgnął Campbell. - Dała mu znakomitą okazję - właściwie zaprosiła Kane'a, żeby wrócił.

Zadaniem Kane'a jest ustalić, co się wzięci. Ale Ramirez nie wie, że podejrzewała Kane'a od samego początku, a to daje nam znakomitą okazję. Będziemy Kane'owi wciskać kit - przyjmujemy go do pracy, powiemy mu wszystko, co będziemy chcieli, żeby wiedział, a nie

dopucimy go do tego, o czym nie powinien wiedzieć. Będziemy go mieć pod ręką i nie stracimy go znów z oczu. Dlatego właśnie nie możecie zadawać mu żadnych kłopotliwych pytań - przynajmniej nie teraz.

59

Zastanawiałem się dość długo nad tym, co powiedział. - Czy to znaczy, że przyłścisz się do nas? Że wnosisz kapitał?

- Znaczy, znaczy, masz, do cholery, rację - warknął Campbell. - Jeli Suarez i Navarro zadajś sobie tyle trudu, to muszś mieć na widoku duży interes, a ja chciałbym pokrzyżować im szyki, choćby ze względu na stare czasy. Włożę w to pół miliona dolarów - czy ile tam będzie trzeba - i proszę tylko o jedno - żebyśmy dotarli tam i zrobili to, co należy, przed nimi.

Geordie odezwał się łagodnym tonem: - Miałem dobry pomysł, prawda?

Jaki pomysł? - zapytał Campbell.

Geordie werbuje prywatną armię - wyjaniłem. - Z wiekiem staje się coraz bardziej krwiożerczy.

Po raz drugi wymienili spojrzenia, które sprawiły, że wydałem się sobie człowiekiem słabo znającym się na rzeczy. Nie mówiśc ani słowa całkowicie zgadzali się ze sobą w wielu sprawach i przez chwilę poczułem się naprawdę bardzo niedowiadczony.

- Jest jeszcze jedna sprawa - powiedział Campbell. - Lekarz niepokoi się o moje zdrowie, przeklęty szarlatan. Dręczył mnie, żebym

odbył podróż morską, a teraz nagle jestem gotów zaakceptować jego radę. Przyłączam się do wyprawy.

- Jeste szefem - stwierdziłem. Nie byłem zaskoczony.

Zwrócił się do Geordiego. - A więc, jakiego rodzaju statkiem dysponujesz, kapitanie?

- Brygantynś - odpowiedział Geordie. - około dwustu ton wypornoci.

Campbellowi opadła szczęka. - Ależ to mały żaglowiec! Przecież to ma być poważne przedsięwzięcie!

Niech się pan nie przejmuje - pocieszyłem go, umiechajśc się jednocześnie do Geordiego, który już najeżył się na takie lekceważenie "Esmeraldy". - Mnóstwo statków badawczych to żaglowce. Tak się składa, że wynika to z wielu istotnych przyczyn.

W porzřdku. Chętnie dowiem się o nich.

Niektóre mają charakter czysto techniczny - odrzekłem.

Z żaglowca łatwiej jest zrobić statek niemagnetyczny, niż z parowca czy motorowca, a magnetyzm diabelnie zakłóca wszelkie ważne wskazania przyrządów pomiarowych. Ale naprawdę doceni pan przyczyny czysto ekonomiczne.

Jeli mówisz o ekonomii, to mówisz moim językiem - mruknął Campbell.

Statek badawczy nigdy nie wie dokładnie, dokąd płynie.

60

Możemy znaleźć się w takiej sytuacji, że będziemy czerpać próbki

z dna o tysiące kilometrów od najbliższego lądu. Utrzymywanie stacji badawczej i wydobywanie próbek wymaga energii i paliwa, a statek napędzany silnikiem spalinowym potrzebowałby tego paliwa piekielnie dużo, żeby odbyć taką okrężną podróż. Tymczasem żaglowiec, jeśli jest pod dobrym dowództwem, może dopłynąć do celu z niemal pełnymi zbiornikami. Można dłużej prowadzić badania i nie trzeba się martwić, czy wystarczy paliwa na powrót. Mógłby posłużyć się statkiem motorowym dla realizacji tego przedsięwzięcia, ale kosztowałyby cię to - och, jakie milion funtów więcej. Łódka Geordiego będzie wietna.

- Nie straciłem dnia - stwierdził Campbell. - Dowiedziałem się czego nowego. Uważam, Trevelyan, że znasz swój fach. Czego będziesz potrzebować, jeśli chodzi o sprzęt?

Zabralimy się więc do omawiania tej sprawy. Najważniejszą pozycją była wciągarka, którą należało zainstalować na ródokręciu, a pod nią urządzić skład na dziewięć kilometrów bieżących liny. Potrzebne było także laboratorium do przeprowadzania na miejscu analiz, a całe niezbędne wyposażenie wymagało mnóstwa pieniędzy i dokonania wielu przeróbek na statku.

- Do tego wszystkiego będziemy potrzebowali cholernie dużego generatora - oznajmił Geordie. - Wygląda na to, że konieczny będzie diesel większy od silnika głównego. Całe szczęście, że jest sporo miejsca, które turyści zajmowali na swoje luksusy.

Wkrótce Campbell zaproponował lunch, więc przeszliśmy do

jadalni, żeby poplanować jeszcze trochę przy pieczonych na ruszcie stekach. Ustaliliśmy, że ja skoncentruję się na kompletowaniu wyposażenia, a Geordie przygotowuje "Esmeraldę" i zbierze załogę. Bardzo mało mówiliśmy o lokalizacji, czy dostępności tego osobliwego skarbu, którego mieliby szukać; wiedziałem, że tylko ja sam mógłbym tu wnieść coś użytecznego. Miałem przed sobą trochę mozolnych studiów i Bóg wie, co jeszcze.

- Gdybyście przyjęli Kane'a, to oznaczałoby, że będziecie go mieli na oku - odezwał się Campbell, wracając do swego ulubionego tematu. - Nie wynika stąd, że czyniłoby to jakąś różnicę. Ramirez ma z pewnością innych wywiadowców. Ja także będę go ledził.

Mylałem o Kanem.

Pana opis sytuacji był na swój sposób bardzo dobry, lecz w jednej sprawie nie miał pan racji - oznajmiłem.

W jakiej sprawie? - zapytał Campbell.

Według pana Kane opowiedział mi jakąś bajeczkę dla

61

zamydlenia oczu, a jej treść nie miała w gruncie rzeczy znaczenia. To nie całkiem się zgadza, bo, rozumie pan, mamy też inne, niezależne informacje na ten temat. W wiadectwie zgonu jako przyczynę mierci podano zapalenie wyrostka robaczkowego. Zarówno Kane jak i Schouten posłużyli się tym samym kłamstwem, a ja chciałbym wiedzieć, dlaczego.

- Na Boga, masz rację - powiedział Campbell. - Wyciśniemy

to z Kane'a, kiedy już przestanie nam być potrzebny.

Geordie chrząknął. - Płyniemy na Pacyfik - rzekł. - Może

wyciniemy to z Schoutena. Tak czy owak, dowiemy się, w czym rzecz.

Rozdział trzeci

1

Minęły prawie trzy miesiące zanim udało się nam wypłynąć. Nie można wyruszyć na wyprawę naukową tak, jakby się wyjeżdżało na piknik. Było milion spraw do załatwienia i pracowaliśmy szesnacie godzin na dobę przez siedem dni w tygodniu. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem, było złożenie rezygnacji z pracy w instytucie. Stary Jarvis nie przyjął mojego kroku zbyt przychylnie, ale nic nie mógł na to poradzić, więc niechętnie pogodził się z sytuacją. Miałem ochotę opowiedzieć mu o swoim przedsięwzięciu, ale było to niemożliwe. Geordie pilnie kompletował swoją ekipę i wkrótce zaczęli przybywać zwerbowani przez niego ludzie. Zatrzymał czterech chłopaków z dotychczasowej załogi i oczywiście przyjął Kane'a na miejsce jednego ze zwolnionych. Z pozostałych szceni nowo przyjętych żadnego nie widziałem od czasu wojny, gdy jako chłopiec korzystałem z każdej okazji, by kręcić się wokół oddziału mojego taty.

Ian Lewis skwapliwie opuścił swoją zagrodę i Geordie mianował go pierwszym oficerem; spędził on wiele lat pod żaglami i jego umiejętności były na poziomie niemal profesjonalnym. Zgłosił się eks-kapral Taffy Morgan; w czasie wojny pewnej nocy zabił w zupełnej ciszy swym komandoskim nożem szceni Niemców, za co przyznano mu Krzyż

Wojskowy. Danny Williams także otrzymał taki krzyż, lecz nigdy nie dowiedziałem się za co, ponieważ nie chciał mówić o tym. Zjawił się potężny olbrzym Nick Dugan, Irlandczyk. Przybył Bili Hunter - zdobył on sławę specjalisty od eksplozji podwodnych i poza Ianem był jedynym prawdziwym żeglarzem w zespole. I wreszcie Jim Taylor, także czarodziej od materiałów wybuchowych - był przy moim ojcu w chwili jego mierci.

Teraz wszyscy oni przekroczyli już czterdziestkę, podobnie jak Geordie, lecz wyglądali równie krzepko jak zawsze. Żaden nie utracił

63

sprawności fizycznej ani nie wyhodował sobie brzuszka. Geordie owiadczył, że mógłby zwerbować dwudziestu pięciu, lecz wybrał najlepszych, a ja prawie mu uwierzyłem. Byłem pewny, że gdybyśmy popadli w tarapaty, to potrafilibyśmy się z nich wydobyć.

Geordie był także przewiadczony, że zrobi z nich dobrą załogę "Esmeraldy". Chcieli szybko uzupełnić braki w umiejętnościach i niewstępliwie byli pełni entuzjazmu - chociaż na razie nie wiedzieli nic o komplikacjach, w jakie zostaliśmy uwikłani. Dla nich wszystkich, z Kanem włącznie, była to zwykła wyprawa badawcza, a wszelkie informacje, jakich Geordie zapewne udzielił członkom swej specjalnej drużyny, zatrzymali wyłącznie dla siebie. Zgodnie z przewidywaniami Campbella, Kane przyczepił się do nas jak pijawka; Geordie powiedział mu po prostu, że jeli chce przepłynąć Atlantyk razem z nami, to jest dla niego koja, a Kane skwapliwie skorzystał z okazji.

Campbell wrócił do Kanady. Przed wyjazdem odbył ze mną długą rozmowę. - Mówiłem ci, że mam dobry wywiad - przypomniawszy. - No cóż, Suarez i Nawarro też go mają. Będziecie ledzeni, a oni będą wiedzieć od razu o wszystkim, co zrobicie, nawet i bez szpiegowania Kane'a. Nic na to nie możemy poradzić i wiemy o tym. Oni też wiedzą. To właśnie ten przypadek, kiedy my wiemy, że wiedzą, że my wiemy i tak dalej.

Przypomina to grę z pełną informacją - na przykład szachy.

Wygrywa ten, kto wykonuje lepsze posunięcia.

Niezupełnie. Obie strony mają niepełną informację - poprawił mnie cierpliwie. - Nie wiemy, ile oni naprawdę wiedzą. Mogą znać dokładną lokalizację bryłek, których szukamy i wystarczy im tylko opuścić czerpak dla jej potwierdzenia, lecz chyba wyprzedzamy ich w przygotowaniach i przede wszystkim będą musieli jako nas zatrzymać. Z drugiej strony, oni nie wiedzą, ile my wiemy. A wiemy diablo mało. Może tyle, co oni, lecz nie więcej. Skomplikowane, prawda?

Trzeba by logika, żeby się w tym połapał. A skoro już mowa o wiedzy, to czy poczyniły jakie postępy w sprawie pamiętnika?

Campbell prychnął. - Dałem go znakomitemu specjalistom od łamania szyfrów, ale i on ma z nim problemy. Mówi, że kłopot polega nie tyle na szczególnym systemie stenografii, ile na niechlujnym sposobie pisania. Twierdzi, że rozszyfruje te notatki, wymaga to jednak czasu. Przede wszystkim jednak chciałbym wiedzieć, jak Suarez

i Navarro wpadli na ten pomysł?

Moim zdaniem, Mark wyplłstawszy się z nieudanego kontaktu z Campbellem - domyłałem się, że w taki właśnie sposób traktował

64

jego porażkę, to znaczy jedynie pod kštem własnego rozczarowania - sam zgłosił się do nich. Jednakże za mało jeszcze wiedziałem o poglšdzie Campbella na osobę Marka, żeby powiedzieć mu, co myślę. Wisiało to nad nami, stanowiło drażliwy temat, którego obaj starannie unikalimy.

Tak więc Campbell pojechał do Kanady, by załatwić swoje sprawy, a my spieszyliśmy się z naszymi, ile się dało, aż pewnego dnia z wielkš ulgš wysłuchałem owiadczenia Geordiego, że wreszcie jesteśmy gotowi do wypłynięcia na morze. Chce tylko wiedzieć, dokšd ma płynšć.

Czy znasz Blake Plateau? - zapytałem.

Nigdy o nim nie slyszalem.

Leży tuż przy brzegach Karoliny. Sprawdzimy tam wcišgarke i resztę naszych urzšdzeń, a rejs będzie trwał wystarczajšco długo, aby mógł zgrać swójš załogę. Nie chcę, żebyśmy dopiero na Pacyfiku przekonali się, że z tego czy innego powodu co nie funkcjonuje. Jeżeli cokolwiek będzie nie w porzšdku, możemy naprawić to w Panamie - sš tam dobre warsztaty.

Zgoda. Ale dlaczego Blake Plateau?

Sš tam bryłki manganowe. Zawsze miałem ochotę przyjrzeć się

dokładniej atlantyckim bryłkom.

- A czy jest jakie miejsce, gdzie ich nie ma? - zapytał Geordie.

Skinšłem potakujšco głowš. - Nie formujš się tam, gdzie zachodzi intensywnie osadzanie się, a więc na większej części Atlantyku - ale Blake Plateau jest omywane przez Golfstrom i dzięki temu bryłki się tworžš. Sš one jednak niskiej jakoci, nie takie jak na Pacyfiku.

* - Jaka głęboć?

Nie więcej niż dziewięćset metrów - wystarczajšco głęboć, by sprawdzić wcišgarkę.

Dobrze, chłopcze. Płyńmy więc i zaczerpnijmy z dna oceanu trochę tego bogactwa niskiej jakoci. Wyruszmy chyba za parę dni.

Nie mogę się doczekać - powiedziałem. Istotnie aż kipiałem z niecierpliwoći, żeby wreszcie wypłynšć na morze.

2

Nasz rejs przez Atlantyck przebiegał dobrze i bez zakłóceń. Geordie i Ian, wspólnie z zawodowymi członkami załogi, szybko wprowadzili pozostałych we właciwy rytm pracy i duch w zespole był doskonały.

Kane, jak zauważyliśmy z zadowoleniem, przystosował się łatwoi

65

5 - Noc błędu

i wydawał się równie chętny i rzetelny jak inni. Wiedząc, że wszyscy sš ciekawi celu wyprawy, od czasu do czasu robiłem im, rozmylnie doć nudne, wykłady z oceanografii, poruszajšc rozliczne tematy badawcze, tak że kwestia bryłek manganowych ginęła w ogólnej

problematyce. Tylko dwóch słuchaczy nie straciło zainteresowania tym, co im miałem do powiedzenia, i właśnie im, półprywatnie, opowiadałem bardziej szczegółowo o naszych zamierzeniach. Jednym z nich był oczywiście Geordie, drugim zaś - Bili Hunter, co mnie specjalnie nie zaskoczyło, lecz w gruncie rzeczy sprawiło dużą satysfakcję. Ponieważ był on naszym specjalistą od nurkowania, jego zainteresowanie i zapał mogły mieć ogromne znaczenie.

Pewnego popołudnia na moje życzenie obaj spotkali się ze mną w laboratorium, aby dowiedzieć się czego więcej. Geordie szepnął przedtem Ianowi, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

Geordie wziął do ręki bryłkę, którą przeciśłem na pół - zabrałem kilka na pokład jako pomoce naukowe.

Wskazał biały rdzeń w rodku.

- Znowu mi powiesz, jak sądzę, że to żółb rekina tkwi wewnątrz tej skały. Nigdy nie próbowałeś mi tego wyjąć, prawda?

Umiechnąłem się i podniosłem kamień. - Tak, to jest naprawdę żółb rekina.

Bujasz.

Nie bujam - to się często spotyka. Rekin ginie i jego ciało powoli opada na dno; mięso gnije, zostaje zjedzone, koci rozpuszczają się - jakie tam zresztą rekin ma koci, w gruncie rzeczy są to chrząstki - i zanim wszystko to znajdzie się na dnie, nie zostaje nic prócz zębów. Są one z trójfosforanu sodu i nie rozpuszczają się w wodzie. Prawdopodobnie są ich miliony na dnie każdego z oceanów.

Otworzyłem małe pudełko. - Spójrz - powiedziałem, podajśc
mu większ białš koć. Była wielkoci jego dłoni i miała interesujšco
poskręcane kształty.

- Co to takiego?

Kostka słuchowa wieloryba - wyjanił Bili, zagłšdajšc ponad
ramieniem Geordiego. - Widziałem je już wczenej.

Masz rację, Bili. Ona także składa się z trójfosforanu sodu.

Niekiedy znajdujemy je w rodku większych bryłek manganowych -
lecz częciej jest tam zšb rekina, a najczęciej grudka gliny.

A więc mangan przywiera do zęba. Ile trzeba czasu, żeby
powstała bryłka? - zapytał Geordie.

- Oceny szybkości przyrostu sš różne - od jednego milimetra na

"tysiśc lat do jednego milimetra na milion lat. Pewien facet obliczył, że

66

przyrost ten wynosi jednš warstwę atomów dziennie - a więc jest to

jedna z najpowolniejszych reakcji chemicznych, jakie znamy. Ja jednak

mam własny pogłšd na ten temat.

Obaj wpatrywali się we mnie. - Czy chcesz powiedzieć, że jeli

znalazł bryłkę manganowš o promieniu dziesięciu milimetrów,

uformowanš wokół zęba, to rekin ten żył dziesięć milionów lat temu?

Czy były wtedy rekiny? - zapytał zafascynowany Geordie.

- O tak, rekin jest jednym z najdawniejszych mieszkańców Ziemi.

Pogadaliśmy jeszcze trochę i na tym zakończyłem. Mieli jeszcze

dużo do nauczenia się i najlepiej szło im to w małych dawkach.

Podczas tego rejsu było mnóstwo czasu na rozmowy. Trzymaliśmy kurs na południowy zachód ku południowi; przepłynęliśmy między wyspami archipelagu Bahama i skierowaliśmy się do wejścia do Cieniny Zawietrznej. Kiedy już znaleliśmy się w tej cieninie, staraliśmy się trzymać jak najdalej od Kuby - raz spotkaliśmy patrolujący amerykański niszczyciel, który kurtuazyjnie pozdrowił nas opuszczeniem flagi, na co odpowiedziliśmy tym samym. Potem był długi etap przez Morze Karaibskie do Colon u wejścia do Kanału Panamskiego.

Wcześniej przeprowadziliśmy próby naszych urządzeń. Było parę niewielkich problemów, nie większych jednak niż kłopoty z zsbkowaniem, i ogólnie biorąc byłem zadowolony z sytuacji. Przerwa w rejsie, przeznaczona na czerpanie próbek, sprawdzanie windy i opracowanie rozkładu zajęć na stacji badawczej, była interesującą odmianą w stosunku do tego, co robiliśmy przedtem, i wszyscy byliśmy z niej zadowoleni; ponadto cały czas dopisywała nam pogoda.

Wydobyłem trochę bryłek manganowych, lecz było też mnóstwo innego materiału, dosyć, by zaciemnić sprawę wszystkim, prócz Geordiego. Wśród mułu głębinowego, czerwonego iłu i osadów znaleźliśmy dość zębów rekinów i kostek słuchowych wielorybów, by każdy członek załogi otrzymał garć pamiątek.

Ponieważ Geordie i Bili interesowali się coraz bardziej bryłkami manganowymi i chcieli wiedzieć o nich więcej, którego dnia zorganizowałem dla nich znowu zajęcia w laboratorium. Przeprowadziłem

analizę chemiczną paru bryłek, po części dlatego, żeby nie wyjść z wprawy, a po części po to by sprawdzić gotowość aparatury do wykonywania poważniejszych zadań.

No i jak wypadły atlantyckie bryłki? - zapytał Geordie. Na ogół to on mówił - Bili patrzył, słuchał i chłonął.

Surowiec niskiej jakości, taki sam, jaki zawsze wyciąga się z Atlantyku - odrzekłem. - Mało manganu, mało żelaza i prawie

67

nic innego, prócz zanieczyszczeń, gliny i temu podobnych. Na tym polega cały kłopot na Atlantyku - za dużo osadów, nawet na Blake Plateau.

- Dlaczego mangan zachowuje się w ten sposób - dlaczego wiśnie się w bryłkę?

Zamiałem się. - Chciałby, żebym teraz wygłosił cykl wykładów z chemii fizycznej? Ale zgoda, wyjąnię to tak przystępnie, jak tylko potrafię. Czy wiecie, co to jest koloid?

Dwa przeczśce ruchy główś.

Słuchajcie. Jeli wsypiecie łyżeczkę cukru do wody, to otrzymacie roztwór cukru - tzn. cukier rozkłada się do poziomu molekularnego i dokładnie miesza z wodś. Innymi słowy, rozpuszcza się. Jasne?

Jasne.

A co będzie wtedy, jeli mamy substancję, która nie rozpuszcza się w wodzie, lecz jest podzielona na bardzo drobne czśstki, znacznie mniejsze od takich, które można zobaczyć za pomocś zwykłego mikroskopu, a każda z tych czśstek pływa w wodzie? To jest włanie

koloid. Mógłbym sporządzić wam koloid, który by wyglądał jak przejrzysty płyn, chociaż byłoby w nim mnóstwo bardzo małych cząsteczek.

Dostrzegam różnicę - odezwał się Geordie.

Doskonale. Otóż z powodów, którymi teraz nie będę się zajmował, wszystkie cząstki koloidu muszą mieć ładunki elektryczne, które sprawiają, że koloidalne cząstki dwutlenku manganu skupiają się w większe jednostki. Są one także przyciągane przez wszelkie powierzchnie przewodzące prąd elektryczny, takie jak żelazo rekina czy grudka gliny. W ten sposób powstają bryłki manganowe.

Masz na myśli to - powiedział powoli Bili - że mangan, rozłożony dawno temu, stara się znów połączyć razem?

Tak, mniej więcej o to chodzi.

A skąd się bierze mangan na początku - to znaczy wtedy, gdy zaczyna się łączyć tworząc bryłkę?

Z rzek, z podziemnych szczelin wulkanicznych, ze skał na dnie oceanu. Koledzy, otaczający nas ocean jest ogromnym chemicznym tygłem. W niektórych miejscach woda morska ma w pewnych warunkach odczyn zasadowy, a wtedy mangan zostaje wyługowany ze skał i rozpuszcza się w wodzie.

Mówiłem, że się nie rozpuszcza.

Czysty, metaliczny mangan rozpuszcza się, o ile warunki są właściwe, tzn. gdy istnieje to, co chemicy nazywają "atmosferą redukującą". Po prostu musicie mi uwierzyć. Prędy zanoszą ten

rozpuszczony mangan do "atmosfery utleniającej", gdzie woda jest

68

bardziej kwana. Mangan łączy się z tlenem tworząc dwutlenek manganu, który jest nierozpuszczalny, i w ten sposób powstaje koloid - a wtedy proces przebiega tak, jak opisałem.

Geordie zamyślił się nad tym. - A co z miedzią, niklem, kobaltem i zanieczyszczeniami, które też są w bryłkach manganowych?

- A w jaki sposób mleko dostaje się do orzecha kokosowego?

Rozemialimy się wszyscy, odnajdując w laboratoriach co z atmosfery klasy szkolnej. - No cóż, wszystkie te metale wykazują wobec siebie pewne powinowactwo. Jeśli spojrzycie na tablicę pierwiastków, to przekonacie się, że są tam one zgrupowane, ze względu na zbliżone liczby atomowe - od manganu, liczba atomowa dwadzieścia pięć, do miedzi, o liczbie atomowej dwadzieścia dziewięć. Gdy cząstki koloidalne zwiększają swe rozmiary, strącają też tamte metale - wychwytyują je. Oczywiście proces ten trwa przez dość długi czas.

Na przykład jakie sto milionów lat - dorzucił ironicznie Geordie.

No tak, taki jest powszechnie przyjęty pogląd.

Czy mylisz, że może to przebiegać szybciej?

Mylę, że proces ten mógłby przebiegać szybciej w odpowiednich warunkach - powiedziałem powoli - chociaż nie jestem pewny, jakie właściwie miałyby być te warunki. Pewien badacz sądzi tak samo, chociaż do tej pory nie jestem w stanie pojąć jego rozumowania.

Widziałem też osobliwe okazy, które wiadczyły o szybkim wzrocie.

W każdym razie znalezienie odpowiedzi na to pytanie jest jednym z celów naszej wyprawy.

W obecności Billa nie powiedziałem, że tym "pewnym badaczem" był Mark, ani że osobliwe okazy, które widziałem, ograniczały się do jednej bryłki pozostałej z jego kolekcji. Było jeszcze co, o czym nie powiedziałem - że analiza tego okazu wykazała wysoką zawartość kobaltu. Zaczynałem szukać po omacku teorii tworzenia się bryłek manganowych, która, choćby nawet była niesprecyzowana i mglista, mogłaby ułatwić poczynanie postępów. Coraz bardziej chciałem się dowiedzieć, jak ekspert Campbella poradził sobie z rozszyfrowaniem pamiętnika Marka.

3

Po dziesięciu dniach od opuszczenia Blake Plateau przycumowaliśmy do nabrzeża portu w Panamie. Byliśmy wreszcie na Pacyfiku, krok bliżej wszystkich moich celów. Campbell czekał na nas, wskoczył

69

zwawo na pokład i wymieniwszy ucisk dłoni ze mną i z Geordiem, pomachał wesoło ręką reszcie załogi.

Szybko uwinęlicie się z tym rejssem - pochwalił.

Nie najgorzej - potwierdził zadowolony z siebie Geordie.

Campbell rozejrzał się po "Esmeraldzie" przypatrując się załodze, która była zajęta zwijaniem żagli i czyszczeniem pokładu. - A więc to jest ta wasza banda rzezimieszków i straceńców - powiedział. Był

w żartobliwym nastroju, ożywiony i błyskotliwy. - Mam nadzieję, że nie będziemy ich potrzebowali. - Wziął mnie pod rękę i poprowadził wzdłuż basenu portowego, rozbawiony moim niepewnym stępaniem po stałym lądzie.

- Zarezerwowałem ci pokój w moim hotelu na dobę czy dwie; nie ma powodu, dla którego nie miałby przed ciężką pracą skosztować jeszcze trochę luksusu. Geordie także, jeśli ma ochotę.

Oczekuję was obu na obiedzie - na pewno traficie, to hotel "Colombo", zaraz na głównej ulicy. Opowiecie mi wtedy wszystko o waszym rejsie. Tymczasem chcę pogadać z tobą na osobności, zaraz. - Zaprowadził mnie do jednego z tych nadmorskich barów, które zawsze spotka się co krok, a ja zasiadłem z wdzięcznością nad wielką szklanicą zimnego piwa.

Campbell nie tracił czasu. Z kieszeni marynarki wyjął sporą kopertę. - Zrobiłem fotokopie stron pamiętnika - oznajmił. -

Oryginał jest w podziemiach banku w Montrealu. Czy nie masz nic przeciw temu? Zwrócę ci go pewnego dnia.

- W porządku - odpowiedziałem.

Wytrząsnął zawartość koperty. - Dostałem gotowe tłumaczenie.

Facet powiedział, że to była cholerna robota - ma tylko nadzieję, że dobrze przełożył te naukowe kawałki.

- Wkrótce się przekonamy - byłem zeszywniały z emocji.

Campbell podał mi starannie oprawioną broszurę, którą pochwyciłem błyskawicznie. - To jest fotokopia oryginalnego pamięt-

nika. To tłumaczenie. Na końcu sš reprodukcje wszystkich rysunków.

Wszystko to wydaje mi się niedorzeczne - albo ty znajdziesz w tych notatkach więcej sensu, albo kłapa. - Dobry humor Campbella już się ulotnił, ale byłem przyzwyczajony do jego zmian nastroju.

Przekartkowałem caš broszurę. - Będzie z tym dużo roboty - powiedziałem. - Nie będę w stanie ocenić szybko tych materiałów tu i teraz; przyjrę się im po południu, w pokoju hotelowym. Teraz chcę wrócić na "Esmeraldę", żeby ustalić z Geordiem rozkład zajęć i spakować swoje przybory, a potem pójdę wziąć prysznic i doprowadzić się do porzřdku.

70

Jeli Campbell był zawiedziony, to nie pokazał tego po sobie - widocznie to, co powiedziałem, brzmiało sensownie. I dopiero po paru godzinach, gdy jeszcze wilgotny i półnagi leżałem w cudownie chłodnym pokoju hotelowym, otworzyłem w końcu kopertę. Z wyjřtkiem kilku luk tu i ówdzie, tłumaczenie szyfru było doć kompletne, lecz nie posunęło sprawy tak dalece, jak się spodziewałem. Tekst był niestety zapisywany stylem telegraficznym, co nie ułatwiło czytania.

Wyglřdało to na prawdziwy pamiętnik, który niewřtpliwie obejmował parę ostatnich miesięcy życia Marka, mniej więcej od czasu, gdy przestał pracować na rzecz Międzynarodowego Roku Geofizycznego, chociaż dat było niewiele, a żadnych nazw miejscowoci nie wymienio-
no wyranie.

Zastanawiałem się, czy Mark zawsze prowadził pamiętniki, i do-

szedłem do wniosku, że chyba tak - czynność ta jest nawykiem, który równie trudno przyswoić sobie, jak się go pozbyć. Nie miałem pojęcia, gdzie się podziały wcześniejsze tomy pamiętnika, ale nie sądziłem, żeby mogły mi one wiele pomóc. Ten, który miałem, dotyczył najważniejszego okresu.

Ogólnie biorąc, był to dość typowy pamiętnik; zawierał wzmianki o zejściach na lód, obejrzanych filmach, znajomych oznaczonych tylko inicjałami i opisywanych w irytujący sposób właściwy ludziom, którzy zwierają się sami sobie, oraz o wszelkich innych trywialnych wydarzeniach z życia mężczyzny, przedstawionych w suchym skrócie, bez żadnych szczegółów. Mark prowadził krótki rejestr swych miłości, który nie był przyjemną lekturą, a zresztą wydawał się raczej mało interesujący.

Potem następowały zapiski czynione na morzu. Tutaj pamiętnik nabierał charakteru profesjonalnego, z notatkami z obserwacji, dziwnymi równaniami nakreślonymi pośpiesznie, analizami materiału dennego, głównie mułu głębinowego. Gdzieś tam były też analizy bryłek manganowych - nic zaskakującego, po prostu próbki zaczerpnięte z dna oceanu.

Przebiegłem przez to wszystko z poczuciem, że prawdopodobnie tracę tylko czas, gdy jednak zbliżałem się już do końca, nagle zatrzymałem się. Przebiegłem wzrokiem stroną maszynopisu i uświadomiłem sobie, że nareszcie patrzę na coś godnego uwagi. Miałem przed oczami analizę bryłki manganowej, chociaż nie było to wyranie zaznaczone;

a wyniki robiły wrażenie.

Po wyrażeniu symboli słowami, wyglądało to następująco: "Mangan - 28%, żelazo - 32%, kobalt - 8%, mied - 4%; nikiel - 6%; inne - 22%. Bomba!"

71

"Bomba", rzeczywiście.

Potem następowały analizy czterech dalszych bryłek, równie bogatych w cenne pierwiastki.

Obliczyłem szybko, że przeciętna zawartość kobaltu w tych pięciu bryłkach wynosiła niemal dziewięć procent. Mied i nikiel także były nie do pogardzenia. Niewiele jeszcze wiedziałem o ekonomicznych aspektach wydobycia, lecz nie ulegało wątpliwoci, że może to być dobry interes nawet przy stosunkowo prymitywnych metodach czernienia, w zależności od głębokoci. Miałem też powody by sądzić, że nie jest to przedsięwzięcie tak olbrzymie, by nie dało się go zrealizować.

Gdybyśmy tylko dysponowali bardziej nowoczesnym sprzętem, byłoby to lepsze, niż posiadanie na własność kopalni złota.

Ale nie ma róży bez kolców - Mark nigdzie nie napisał, gdzie należy szukać tych bogactw. W całym pamiętniku ani razu nie została wymieniona żadna nazwa geograficzna. Tak więc w gruncie rzeczy nie bylimy wcale w lepszej sytuacji niż przedtem. Jednakże na marginesach maszynopisu gdzieś wpisane było zdanie: "Tu rycina..." z odpowiednim numerem, a na końcu broszury znajdował się plik reprodukcji nagryzmołonych przez Marka rysunków oraz krótkie

wyjanienie eksperta od szyfrów.

"Jest możliwe, a nawet prawdopodobne, że rysunki te mają charakter piktogramów czy rebusów. Analiza tych piktogramów przekonała mnie, że muszą one oznaczać nazwy miejscowoci; sądzę, że z trzydziestu dwóch rysunków udało mi się zidentyfikować dwadziecia cztery.

Na przykład: schematyczny szkic koszulki gazożarowej (mantle), ze słowem GRATIS poniżej może z powodzeniem odnosić się do australijskiego miasta Fremantle (free - wolny, bezpłatny); brodaty mężczyzna z mieczem i niemowlęciem to prawdopodobnie król Salomon z opowieci biblijnej i może oznaczać wyspy Salomona; człowiek z brodą spoglądający na małą przedstawiap zapewne miasto Darwin w Australii; linia prosta podzielona dokładnie na połowę może oznaczać albo równik, albo wyspy Midway (dosł. - "leżące w połowie drogi").

Fakt, że wszystkie te miejsca znajdują się w tej samej części kuli ziemskiej, stanowi dalszą wskazówkę, iż przedstawione tu przypuszczenia mogą ić we właściwym kierunku. Inne prowizorycznie zidentyfikowane nazwy również odnoszą się do miejsc znajdujących się na tym samym obszarze geograficznym.

Załączono reprodukcje rysunków oraz podano ich prawdopo-

72

dobne znaczenie. O omiu niezidentyfikowanych rysunkach można powiedzieć tylko tyle, że rozszyfrowanie ich wymagałoby dokład-

niejszej znajomości tych obszarów geograficznych, jak również trzeba by wiedzieć znacznie więcej o "artyście", ponieważ nie ulega wątpliwości, że rysunki te są wytworem swoistego sposobu myślenia, wynikającego z przygotowania zawodowego twórcy, jego doświadczeń i uczuć, w gruncie rzeczy - całego życia."

Jeszcze raz spojrziałem na analizy dwóch nietypowych bryłek. Bezporednio przed nimi były zaznaczone dwa rysunki, numery dwadzieścia osiem i dwadzieścia dziewięć. Odszukałem ich reprodukcje. Jedna przedstawiała piersiastą dziewczuchę w czapce frygijskiej, a pod rysunkiem widniały słowa "piękna bogini". Druga wyobrażała amerykańskiego orła o wyglądzie dość zszarganym, podpisano "sztuczka ze znikaniem". Żaden z rysunków nie został zidentyfikowany.

Usiadłem wygodniej i rozmyślałem o tym wszystkim. Wiedziałem, że statek Marka podczas Roku Geofizycznego miał swoją bazę w jakimś australijskim porcie - stąd zapewne wzmianki o Australii. Mark prawdopodobnie był na wyspach Salomona i z powodzeniem mógł dopłynąć aż do wysp Midway, a na pewno przeciął równik. Czy dotarł aż do Wyspy Wielkanocnej? Przejrzałem reprodukcje i znalazłem - królika najwyraźniej usiłującego wysiedzieć jajko, tradycyjne wielkanocne symbole płodności. Również ekspert rozszyfrował ten rysunek.

Obszar, na którym trzeba było szukać "pięknej bogini" czy "sztuczki ze znikaniem", był diabelnie duży.

Pomyślałem o Marku i jego "swoistym sposobie myślenia". Pod tym względem ekspert miał zupełnie słuszną rację; sposób myślenia Marka

był tak cholernie swoisty, że niekiedy uważałem go za niehumanoidalny. Miał on dziwnie wypaczony umysł, który lubował się w krętactwie i podstępach, nie wybierając nigdy prostej drogi, lecz zawsze zmierzając ostatecznie do jednego celu - pomyślności Marka Trevelyan.

Przez całe swoje życie przypatrywałem się, jak kłamie i intryguje, aby zdobyć to, czego pragnie, nie zdając sobie zupełnie sprawy, że działałby bardziej skutecznie, gdyby prowadził swoje sprawy w sposób uczciwy. Miał pierwszorzędny mózg, lecz był leniwy i zawsze szukał jakich skrótów - nie ma jednak wielu skrótów w nauce, więc zwykle pozostawał w tyle ze swymi pracami.

Mylę, że z jakiego dziwnego, sobie tylko znanego powodu, żywił wobec mnie uczucie zazdrości. Byłem od niego starszy o dwa lata i kiedy byliśmy dziećmi prawie wychodził ze skóry, żeby nie ustępować mi w niczym, ani pod względem fizycznym, ani umysłowym. Faceci od

73

czubków w swoim szkaradnym żargonie określał to jako "rywalizację rodzeństwa", ale w przypadku Marka sprawa rzeczywiście przyjęła niezdrowy obrót. Wydawało się że na całe swe życie patrzy pod kątem współzawodnictwa ze mną, wynajdując nawet przejawy rzekomego faworyzowania mnie przez rodziców tam, gdzie ja nie mogłem dostrzec niczego takiego. Jedynym znanym mi powodem wybrania przez niego oceanografii jako kierunku studiów był fakt, że ja uczyniłem to wcześniej, a nie -jak u mnie - gorzej zainteresowanie tą dziedziną.

Kiedy powiedział, że będzie sławny, gdy o mnie wszyscy już zapomną.

Było w pewnym stopniu ironiś losu to, co się stało, miał bowiem zadatki na pierwszorzędnego naukowca o inklinacjach teoretycznych, i jestem pewien, że gdyby żył, to mógłby zadziwić nas wszystkich - pod warunkiem, że nie szukałby nadal skrótów.

Latami unikałem go, zarówno fizycznie jak i pod względem zawodowym, lecz teraz musiałem przeciwstawić swój umysł jego inteligencji i wykryć znaczenie tajemniczych bazgrołów. Nie należało oczekiwać, że będzie to łatwe. Mark prawie na pewno kombinował co podejrzanego - badania Międzynarodowego Roku Geofizycznego nie przyniosły danych wiadczących o dużej zawartoci kobaltu w bryłkach manganowych, a Mark uzyskał takie dane. Pomylałem o tym, co mi powiedział Jarvis - że Mark w tym okresie fałszował wyniki - i o staraniach Marka, by namówić Campbella do zorganizowania ekspedycji mającej na celu poszukiwanie bryłek. Zaczynało się to układać w pewną całość.

Moje rozmyślania przerwał Geordie, walśc w drzwi sypialni.

Nie jeste jeszcze gotów? - zapytał. - Mamy spotkać się na obiedzie z szefem.

Mój Boże, jak ten czas ucieka.

Znalazłe co?

Spojrzałem na niego z kwanś minś. - Tak, znalazłem co, ale niech mnie diabli, jeli wiem, co to takiego. Wyglśda na to, że będziemy musieli zmierzyć się z pokrętnym umysłem Marka, bawiśc się w wymyślone przez niego dziecinne gry. Opowiem wam o tym,

kiedy spotkamy się w trójkę. Daj mi dziesięć minut, to się ubiorę.

Jeszcze tylko jedna sprawa - odezwał się Geordie, zatrzymujśc się niezdecydowanie w drzwiach. - Kane zszedł na lśd i wysłał telegram.

Dokśd?

Mielimy szczęście. Odkomenderowałem Danny'ego Williamsa do ledzenia go - nie bój się, dochowa tajemnicy - i udało mu się posłyszeć, jak Kane pytał o wysokoć opłaty za depeszę do Rabaulu.

74

Rabaul! Ale to jest w Nowej Brytanii, na Archipelagu Bismarcka. Dlaczego u licha miałby wysyłać depeszę na drugś stronę Pacyfiku?

Czy wiesz, do kogo jś wysłał?

Danny nie zdołał tego ustalić. Powinien przekupić urzędnika pocztowego, ale nie zrobił tego. Szef powiedział, żebyśmy najpierw przyszli do sali klubowej - jeszcze za wczenie na obiad. Chce z nami tam pogadać, domylam się, że o tym - wskazał na leżśce na łóżku odbitki stron pamiętnika.

4

Hotel "Colombo" był nowoczesnym budynkiem w stylu amerykańskim. W recepcji zapytaliśmy się o Campbella i poinformowano nas, że jest w jednej z sal klubowych. Dyskretne oświetlenie, z kśta, gdzie grało muzyczne trio, dobiegały łagodne dźwięki melodii - wszystko to było bardzo cywilizowane, przyjemne i zupełnie odmienne od życia

na pokładzie "Esmeraldy". Przy drinkach poprosiłem Campbella, by odłożyć na moment sprawę pamiętnika, gdyż najpierw chcę go zapoznać z najnowszymi wiadomościami dotyczącymi bryłek manganowych, na co niechętnie wyraził zgodę. Był w przykrym nastroju, lecz wiedziałem, że to się zmieni, gdy co go zainteresuje. Campbell przeczytał już trochę na ten temat, mogłem więc dosyć krótko omówić sprawę tworzenia się i rozmieszczenia bryłek, zadowolony, że również Geordiego zapoznałem już wcześniej z tym zagadnieniem. W końcu poruszyłem sprawę czasu pochodzenia bryłek.

Doszedłem do wniosku, że nasza bryłka nie jest zbyt stara - powiedziałem, wyjmując ją z kieszeni.

Jak stara? - zapytał Campbell.

On zawsze operuje milionami - ostrzegł Georgie, lecz tym razem nie miał racji.

Nie więcej niż pięćdziesiąt tysięcy lat - powiedziałem stanowczo - Może być od trzydziestu do pięćdziesięciu tysięcy, lecz nie więcej. Stawiam na to swoją naukową reputację. Gdzie w Pacyfiku te bryłki rosną w piorunującym tempie.

Piorunującym? - odezwał się Geordie z niedowierzaniem. -

Pięćdziesiąt tysięcy lat nazywasz piorunującym tempem?

Z geologicznego punktu widzenia to bardzo szybko. Ale to jest cholernie niezwykle i bardzo ważne.

Dlaczego? - zapytał Campbell.

Widzicie, cały diabelski Pacyfik pokryty jest tymi bryłkami,

które rosły powoli przez miliony lat. Teraz mamy jedną, która urosła w ułamku tego czasu. Musi to mieć konkretny powód. Przypuszczam, że jest to efekt oddziaływania jakichś ciele lokalnych warunków, a jeśli tak, to są szansę, że te warunki istnieją nadal - innymi słowy, że te bryłki rosną w tym samym tempie nawet teraz.

Nie rozumiem, co to nam daje.

To nam dużo daje. Oznacza to, że możemy pominąć ogromne obszary - miliony kilometrów kwadratowych - o których wiem, że nie istnieją tam w oceanie żadne szczególne warunki. Pod tym względem zgadzam się z ogólnie przyjętymi poglądami - dno oceanu jest dość jednorodne, na przykład wpływ klimatu jest niewielki. Musimy szukać czegoś osobliwego.

- Czy wiesz, o jaki rodzaj osobliwoci tu chodzi?

Potrząsnęłam głową. - Mam dość mgliste pomysły, których w tej chwili nie jestem jeszcze gotów ująć w słowa. Być może znajdę coś w tłumaczeniu pamiętnika. Niewykluczone, że wystarczy jedno słowo - jak ostatni kawałek w układance - aby wszystko stało się jasne.

-- Wrócimy do tego później - powiedział Campbell. - Ja

tyczasem pilnowałem Suareza i Navarro. Ramirez opuścił Londyn i dołączył do załogi ich statku.

- Gdzie oni są teraz? - zapytał Geordie.

- Nadal stoją na kotwicy w Darwin - nie robiś nic. Nie bardzo to rozumiem.

Mówiąc te słowa obejrzał się i wstał. Przez salę szła ku nam młoda kobieta, w której rozpoznałem jego córkę. Gdy podeszła do naszego stolika, obaj z Geordiem wstaliśmy. Campbell przedstawił nas. - Klaro, to jest Michael Trevelyan, a to nasz kapitan, George Wilkins. Geordie poważnie podał jej rękę i poprawił swoje imię. Kiedy ja ucisnąłem jej dłoń, popatrzyła na mnie bardzo uważnie, ale na moje nazwisko nie zareagowała wcale. Już miałem jej przypomnieć, że kiedy dawno widziałem ją z Markiem, ale poszedłem za jej przykładem i przywitałem się w sposób bardzo powściągliwy. Wszyscy usiedliśmy znowu i w ciągu paru minut, kiedy zamawialiśmy napoje, oceniłem ją tak, jak mężczyzna ocenia każdą kobietę.

Kiedy widziałem ją w Vancouver, nie zainteresowałem się nią specjalnie. Nie zwracałem sobie głowy Markiem ani jego romansami. Teraz jednak zobaczyłem, że jest naprawdę piękna i zastanawiałem się, dlaczego nie zauważyłem tego wcześniej. Była wysoka, miała czarne włosy i proste brwi nad szarymi oczami. Jej usta z ruchliwymi kącikami były stworzone do miechu, lecz obecnie znajdowały się pod ciętą kontrolą, jak gdyby nauczyła się nie mieć. Ubiór cechowała ta

76

zwodnicza prostota, która oznacza duże pieniądze - co zresztą nie mogło dziwić u córki Campbella. Spostrzegłem, że nie miała na sobie żadnej biżuterii, z wyjątkiem małej rubinowej broszki.

Rozmawialiśmy przez chwilę o tym i owym; zauważyłem w niej jakąś ostrożność i czujność - miałem wrażenie, że to dotyczy mojej

osoby. Zastanawiałem się, jak Mark zgadzał się z niš. Kiedy widziałem Klarę z nim, wydawała się znacznie bardziej błyskotliwa, a jej obecna introwersja nie była w ogóle w stylu Marka - zawsze lubił, żeby jego kobiety odznaczały się żywym usposobieniem.

Teraz Campbell skierował rozmowę na temat, który najbardziej absorbował nas wszystkich. Nie byłem wcale zdziwiony, kiedy powiedział: - Panowie, chciałbym, żebyście wiedzieli, że opowiedziałem Klarze - o tyle, o ile potrafiłem - całš tę historię. Jest mojš prawš rękš, czasami zastępuje sekretarkę, zawsze była wcišgnięta w moje sprawy. Ta nie różni się od innych.

Pomylałem, że włamanie, fałszerstwo, szpiegostwo i morderstwo z pewnościš uczyniłyby jš jednak czym odmiennym w moich oczach, ale może panna Campbell widziała już to wszystko w czasie innych wypraw ze swym ojcem.

Co więcej, kiedy udaję się w podróż morskš, Klara również mi towarzyszy - cišgnł Campbell. Ostatecznie był szefem, lecz mówił to zdawał się być w doć wojowniczym nastroju, jak gdyby oczekiwał naszego sprzeciwu.

Dlaczego nie? - powiedziałem pojednawczo. - Miejsca jest mnóstwo - od czasu do czasu przydałaby się dodatkowa para ršk w laboratorium. A jeżeli potrafi pani gotować, panno Campbell...

Proszę mi mówić - Klaro. Jeste Michael, czy Mikę?

Zawsze Mikę.

Umiechnęła się. - Potrafię gotować, choć nie chciałbym być

głównym kucharzem. Ale bez względu na to, kto nim jest, będę go zastępować.

Geordie kręcił się niespokojnie na krzele, aż w końcu nie wytrzymał. - Czy była już pani na morzu, panno - hm, Klaro? - zapytał surowo. Klara przyjęła to spokojnie.

- Tak, Geordie, byłam - na dość długich rejsach także. Mam cały ekwipunek i uwierzysz mi, gdy zobaczysz, jak już jest podniszczony. Prawdę mówiąc, jestem znacznie lepiej obznajomiona z tym, co będziemy robić, niż tata.

Geordie został pokonany.

W tym momencie do rozmowy wtrzącił się niecierpliwie Campbell. - Co z pamiętnikiem, Mike? Przypuszczam, że go przeczytał.

77

Otwierajś się interesujšce moŹliwoci.

Jakim sposobem?

Częć tego pamiętnika została napisana wtedy, gdy Mark brał udział w badaniach Międzynarodowego Roku Geofizycznego. Otóż zrobił notatkę o tych bryłkach z wysokš zawartociš kobaltu, lecz fakt ten nigdy nie został opisany w ogólnie dostępnym materiałach naukowych. Inaczej mówiąc, Mark zataił te dane.

Campbell wydawał się poruszony. - Trudno mi sobie wyobrazić, że twój brat zrobiłby co podobnego - powiedział chłodno. Zorientowałem się, że wszelkie zastrzeżenia, jakie miał wobec Marka,

wynikały z osobistych powiślań Marka z Klarš, i że nigdy nie zgłębił ciemnych stron jego osobowoci. Musiałem być ostrożny, ale nadszedł czas, aby pomówić o tych sprawach otwarcie.

Zapytałem: - Czy mozesz wymyleć jakie inne wyjanienie?

Potrzsnsł przeczšco głowš. - Nie wiem, jak to rozumieć -

mylałem juź trochę o tym. Czy mówisz poważnie, że twój brat mógł zrobić co takiego? Wywarł na mnie wrażenie bardzo kulturalnego naukowca.

- Mark nigdy nie miał zbyt wielu skrupułów - odparłem. -

Potrzebował czego od ciebie, więc starał się pokazać z najlepszej strony.

Campbellowi wcale się to nie podobało. Moja jawnie okazywana nieufnoć w stosunku do Marka urażała jego poczucie przyzwoitoci.

Bracia powinni żywić do siebie braterskie uczucia, a krew jest gęstsza niż woda. Podejrzywałem, że ma w sobie wyranš żyłkę moralizatorskš, odziedziczonš niewštpliwie po kalwińskich przodkach.

Nic nie zyskamy oskarżajšc twojego brata - zwłaszcza, że nie może się bronić - odezwał się prawie wrogo.

Powiniene studiować Biblię, mister Campbell - powiedziałem łagodnie. - Jest w tej księdze parę bardzo pouczajšcych opowieci.

Poczytaj sobie o Kainie i Ablu, albo o Ezawie i Jakubie. Nie ma żelaznej reguły, że bracia zawsze się lubiš - a mnóstwo łajdaków ma porzšdnš rodzinę.

Campbell miał kwanš minę. - No cóż, przypuszczam, że ty znałe go najlepiej. Nigdy nie miałem powodu, żeby mu nie ufać, kiedy

był moim pracownikiem. - Napotkał wzrok Klary i zająknął się

trochę. - Muszę przyznać, że osobicie...

Twarz Klary była spokojna, wyrażała tylko uprzejme zainteresowanie, lecz zarys jej szczęki przyciągnął moją uwagę.

- Musimy to omówić - powiedziałem. - Stoimy wobec pro-

blemu, który wymyślił Mark, i będziemy mogli rozwiązać go tylko wtedy, jeśli zrozumiemy Marka i sposób, w jaki pracował. Geordie

78

może potwierdzić część tego, co mam ci do powiedzenia. - Teraz wszyscy słuchali uważnie. - Powiem ci co, czego na pewno nie wiesz.

Mark został wyrzucony z badań Międzynarodowego Roku Geofizycznego za fałszowanie wyników badań. Miało to miejsce tuż przed podjęciem przez niego pracy w twojej firmie.

Nie wiedziałem o tym i nie myślę, żebym w to uwierzył.

To prawda - zapewniłem. - Profesor Jarvis, mój dawny szef z instytutu, poinformował mnie o tym - a Geordie też słyszał tę rozmowę. Myślę, że właśnie wtedy Mark wszedł w posiadanie tych bryłek, odkrył ich wartość i postanowił zatrzymać tę wiadomość dla siebie. Potem przeniósł się do ciebie - i wykorzystywał cię.

Campbell był urażony. - Wykorzystywał mnie!

- Miała pieniądze, których potrzebował na ekspedycję. Nie mógł pokazać ci bryłek, bo chciałby wiedzieć, skąd je wziął. A on ukradł je ludziom, którzy płacili mu pensję.

Campbell zaczął sprawiać wrażenie zbitego z tropu. - Nigdy nie

pokazał mi niczego. Za to opowiedział piękną historię.

- Włanie. Miał wielką teorię i prawie złapał się na nią. Gdyby tak się stało, on traciłby swój czas i twoje pieniądze, grzebiąc przez pół roku w różnych miejscach Pacyfiku, a potem jego "teoria" doprowadziłaby go do spektakularnego odkrycia. Rozumiesz, Mark wiedział, skąd pochodzą te bryłki. Tak czy owak, ty byś był w malinach, a on byłby bogaty i sławny - wielki uczyony.

Campbell niechętnie przytaknął.

- Ale sprawy wzięły zły obrót - ci się udało. - Miała wpadkę z Suarezem i Navarro i w rezultacie znalazła się bez gotówki. Nie mogła sfinansować jego ekspedycji, więc zostawił cię na lodzie, ponieważ przestała być dla niego użyteczna. Czy nie tak?

Nastąpiła chwila ciszy - Campbell przyswajał to, co usłyszał.

W porządku, przedstawił swój punkt widzenia. Wystarczy aż nadto. Jeśli przyjmujemy, że coś takiego jest możliwe, to co według ciebie mamy teraz zrobić?

Najpierw jeszcze jedna sprawa. Zastanawiała się, w jaki sposób Suarez i Navarro włączyli się do polowania na bryłki manganowe.

Mylę, że Mark mógł wypróbować na nich tę samą przynętę. W gruncie rzeczy sądzę, że on i Norgaard czekali na Tahiti na ten statek, który włanie teraz jest przygotowywany do wyprawy, i że to pozwala połączyć wszystkie kawałki tej łamigłówki.

Dobrze, przyjmijmy to także. Przypuszczam, że będziemy tym bardziej bezpieczni, im lepiej potrafimy wejść w tę dżunglę. -

Campbell był nadal wstrząśnięty tym, co powiedziałem o Marku. -

Co teraz robimy?

79

- No cóż, moglibyśmy ustalić, gdzie statek Marka czerpał próbki w czasie Międzynarodowego Roku Geofizycznego, i szukać w tych samych miejscach. Ale nie sǳę, ǳeby to był którykolwiek z punktów, gdzie rzeczywiście dokonywano pomiarów, w przeciwnym razie sprawa już wyszłaby na jaw - Mark nie był jedynym pracownikiem dokonującym analiz. Nie, myślę, ǳe był to jaki punkt próbny, taki, którego nie traktowano poważnie i prawdopodobnie nawet nie zapisano w protokółach, chociaż moglibyśmy to sprawdzić.

Siedzieliśmy przez chwilę w ponurym milczeniu. Nagle przyciszona, delikatna muzyka zmieniła rytm, jaka kobieta zaczęła piewać z towarzyszeniem trio, a ja odwróciłem się, ǳeby jej się przyjrzeć. Miała przyjemny głos, ale nie podbiłaby nim wiata. Jej ciało było lepsze od głosu, a obcisła i głęboko wycięta suknia uwydatniała je zachwycająco. Na chwilę odprężyłem się, zatraciwszy się w czym zupełnie nie z tego udręczonego kłopotami wiata, i pochwyciłem jedynie koniec zdania, skierowanego do mnie przez Klarę Campbell.

... zadać ci pytanie - jeli ci nie przeszkadzam, Mike? - Jej głos był łagodny, ale kiedy zwróciłem znów wzrok ku niej, zobaczyłem ironiczny błysk w jej oczach.

Przepraszam, tak? - odrzekłem.

Powiedziała, ǳe Marka wyrzucono ze statku za fałszowanie

wyników - ale jakich? Nie analizy bryłek o wysokiej zawartości kobaltu, bo jak sam powiedziała, te informacje nie zostały jeszcze ujawnione. Musiał więc sfałszować inne wyniki i przyłapano go na tym. Jakie wyniki sfałszował i dlaczego to zrobił - może to jest istotne?

Nie pomyślałem o tym wcześniej i na chwilę mnie замуrowało.

Potem powiedziałem: - Mark zawsze starał się zacierać po sobie lady. Kiedy oszukał na egzaminie szkolnym - a zrobił to w następujący sposób. Tuż przed egzaminem wezwano go do gabinetu dyrektora. Tak się złożyło, że dyrektora nie było w pokoju, a na biurku leżał stos arkuszy z pytaniami. Mark sprytnie to rozegrał - nie wziął jednego, ale sześć. Następnie zrobił sobie kopię, a sześć arkuszy przekazał innym chłopcom - anonimowo.

Campbell potrząsnął głową. - Nie rozumiem.

- To proste. Opowiedział mi o tym później - zawsze był pewny, że nie naskarzę na niego. Liczył na to, że jeśli ta historia obróci się przeciw niemu, to postara się, żeby znaleziono te sześć arkuszy w posiadaniu innych chłopców. On byłby czysty. Sprawa zresztą nie wyszła na jaw i wszystko uszło mu na sucho. A jeżeli coś podobnego zrobił i w tym przypadku?

Campbell wyglądał na sfrustrowanego. Ostatecznie uważał się za

80

człowieka rozgarniętego. - Być może jestem tępy, ale nadal nie wiem, o co chodzi.

Posłuchaj, - kontynuowałem cierpliwie - Mark zlokalizował

złoży bryłek manganowych o wysokiej zawartoci kobaltu i starał się zataić tę informację. Wie, że jeli sprawa się wyda, to straci nie tylko dobre imię, ale także potencjalną fortunę. Dlatego - znalazł Marka - przypuszczam, że zacierał lady stwarzając mylne poszlaki. W celu zagmatwania sytuacji fałszował także inne wyniki, prawdopodobnie zawyżając wszystkie oszacowania. Zwiększyło to nieco ryzyko wpadki, gdyby się jednak wydało - do czego w końcu niewątpliwie doszło - to Mark byłby tylko jeszcze jednym polującym na sławę naukowcem, trochę zbyt optymistycznym i spragnionym sukcesów w swym zawodzie. Nikt by nie podejrzewał, że jeden zestaw wyników jest błędny z innego powodu. Zapewne nigdy tego nie wykryjesz. - Rozemiałem się niewesoło. - Założę się, że wszystkie dane Marka zostały tak czy owak wyrzucone do kosza. Po tym żaden z jego kolegów nie wierzył w zarejestrowane przez niego wyniki.

Dlaczego oni nie poinformowali o tym wszystkich - żeby uchronić ludzi takich jak tata? - zapytała z pewną goryczą Klara.

Moim zdaniem sądzili, że ludzie interesu, tacy jak twój tatu, potrafią sami troszczyć się o siebie - odpowiedziałem. - Uczniowie są przeważnie zbyt dżentelmeńscy.

Campbell patrzył na mnie ze zdumieniem, Geordie z milczącą akceptacją mojej oceny. - Czy Mark naprawdę miał tego rodzaju umysł? - zagadnął Campbell.

Widziałem, że jest urażony; jego duma z własnej zdolności oceniania ludzi została poważnie nadwyrężona. Ale z drugiej strony wywiódł go

w pole nie lada ekspert. - Miał umysł, przy którym korkociąg
wydałby się prosty jak szydło. Nie musisz zresztą wierzyć moim
słowom. Geordie może też opowiedzieć ci parę historyjek.

Geordie przytaknęła. - Tak, ten chłopiec był niezłym krętaczem.

Sprawiał rodzinie mnóstwo zmartwień.

W porządku. Zakładając, że Mark był tak machiawelski, jak
go przedstawiacie, wydaje się, że jesteśmy znów w punkcie wyjścia -
jedyna rzecz, jaką możemy zrobić, to pracować dalej nad jego
pamiętnikiem.

I będzie to piekielna robota, rozszyfrowywać jego bazgroły.

Mogę spróbować uporać się z fragmentami z zakresu nauk ciślejszych,
lecz reszta jest koszmarna.

Omówimy to przy obiedzie - zdecydował Campbell, co
przyjść mi z cichą ulgą.

81

6 - Noc błędu

Jedząc obiad próbowaliśmy jednocześnie rozgryźć pamiętnik. Obiad
był lekkostrawny, czego żadne z nas nie mogło powiedzieć o pamięt-
niku. Klara zapytała, czy mogłaby wziąć go i poczytać do poduszki. -

Lubię rzeczy tego rodzaju - owiadczyła. - Zagadki, łamigłówki. -

A ja pomyślałem, że mogła dojść do wniosku, iż jej znajomość dziwnej
psychiki Marka może być użyteczna.

- Proszę bardzo - odpowiedziałem. - Chcę od tego odpocząć.

Zauważyłem z zadowoleniem, że w miarę upływu wieczoru zniknęła

pomału jej rezerwa, a jej usta zaczynały tracić wyraz ostrożności i napięcia. Bylimy na etapie kawy, gdy do naszego stolika podszedł kelner. - Czy jeden z szanownych panów nazywa się pan Trevelyan?

To ja.

W foyer czeka dama, która pragnie się z panem zobaczyć.

Rozejrzałem się wokół bezradnie. - Nie znam nikogo w Panamie.

Campbell podniósł wzrok na kelnera. - Stara dama, czy młoda dama?

- Och, młoda dama, proszę pana.

W oczach Campbella pojawiły się iskierki. - Gdybym był tobś, już byłbym w foyer. Co cię zatrzymuje?

Wstałem. - To prawdopodobnie jaka pomyłka - stwierdziłem, myśląc przy tym, że prawie na pewno nie jest to pomyłka. -

Przepraszam.

W foyer było kilka osób, w tym niejedna młoda dama, lecz żadna z nich nie zbliżyła się ku mnie. Podszedłem więc do pulpitu recepcji i powiedziałem: - Nazywam się Trevelyan. Dowiedziałem się, że kto chce mnie widzieć.

Portier wskazał piórem, że powinienem wejść do pomieszczenia znajdującego się za jego pulpitem. Rzeczywiście czekała tam młoda dama, a ja nawet znałem ją w pewnym sensie - była to piewaczka, która zabawiała nas w sali klubowej.

- Jestem Trevelyan. Życzyła sobie pani rozmawiać ze mną?

Widziałem, że jest zdenerwowana. Była dość drobna i z bliska

wyglądała na trochę niedożywionš, z głęboko osadzonymi ciemnymi oczami i cerš raczej ogorzałš na wietrze niż opalonaš. Było w niej co pocišgajšcego; mylę, że najlepiej można by jš okrelić jako ujmujšcš.

Byłem zaintrygowany.

Przykro mi, że pana niepokoję - zobaczyłam pana nazwisko w księdze gości hotelowych - ale chciałabym wiedzieć, czy jest pan krewnym Marka Trevelyana? Z Tahiti?

To mój brat - powiedziałem. - Ja jestem Michael. Oczywiście pani... zna Marka. - Nie miałem pojęcia, czy wie o jego mierci,

82

i uważałem, że byłoby niedobrze cisnąć w niš bez przygotowania tš informacjš. Skinęła głowš, splatajšc i zaciskajšc dłonie.

Tak, znałam go... bardzo dobrze. Czy przybył tu pan prosto z Anglii?

Tak.

Czy zna pan jego... żonę?

Tak.

Czy dostała kuferek, który do niej wysłałam?

Utkwiłem w niej zdumione spojrzenie. - Niech mnie licho!

Mylałem, że pani jest mężczyznš. A więc to pani jest P. Nelson.

Umiechnęła się i jej napięcie częciowo ustšpiło. - Tak, Paula

Nelson. Więc kuferek doszedł w porzšdku?

Doszedł, dziękuję pani. - odrzekłem. Nie dodałem, że zrabowano go zaraz potem, bo nie wiedziałem, w jakiej mierze ta dziewczyna

jest zorientowana w zawiłych sprawach Marka. Nie mogłem jednak

nie podjąć próby ustalenia tego.

Panno Nelson, co by pani powiedziała na to, żebyśmy przeszli do sali klubowej? Napiłaby się pani czego ze mną i moimi przyjaciółmi - wszyscy jesteśmy zainteresowani Markiem i tym, co tu robił.

Potrząsnęła głową. - Ach, nie mogę tego zrobić, panie Trevelyan.

Jestem tu pracownikiem najemnym - nie wolno mi pić z gośćmi.

Kierownik mówi, że to nie jest jakiś podejrzany nocny lokal. -

Odniosłem wrażenie, że obawa przed gniewem kierownika wzmogła jej zdenerwowanie.

- Chyba moglibyśmy pójść gdzie indziej, jeśli pani ma czas -

powiedziałem łagodnie. - Chciałbym z panią porozmawiać.

Spojrzała na zegarek. - Mogłabym wygospodarować pół godziny.

Potem znów mam występ w sali klubowej. Czy poczeka pan chwilę?

Wezmę tylko szal.

- Z przyjemności.

Pomyślałem o wysłaniu karteczki z informacją do moich współtowarzyszy, ale zdecydowałem, że nie zrobię tego. Nie muszę się tłumaczyć z wszystkich swych działań. Poszliśmy do małego baru, znajdującego się w niewielkiej odległości przy tej samej ulicy. Kupiłem dwa drinki i usiedliśmy w niszy. Oprócz nas i jakiego pijaka, w barze nie było nikogo. - Jest pani Amerykanką, prawda? - powiedziałem.

- Tak, a pan jest z Kornwalii. Mówi pan w taki sam sposób jak

Mark. Dokuczałam mu czasem z tego powodu.

Oczywiście stwarzało to mocniejszą podstawę dla ich związku -
pomyślałem.

- Gdzie pani go spotkała?

83

Na Tahiti. Pracowałam tam w takiej małej speluncie w Papeete.

Mark zwykł tam przychodzić ze swoim kompanem i dosyć się
zaprzyjaliśmy.

Kto to był?

Szwed, Sven jaki tam. Ale to było, ach, może dwa lata temu,
kiedy się spotkaliśmy po raz pierwszy.

Obliczyłem, że mniej więcej w tym czasie Mark rzucił pracę
u Campbella. - Interesuje mnie, jak doszło do śmierci Marka. Czy
mogłaby pani powiedzieć mi co o tym - jeśli nie będzie to dla pani
przykre? - zapytałem.

Ach, zgadzam się - odrzekła, ale jej głos drżał. - Nie
potrafię panu dużo powiedzieć. Umarł na zapalenie wyrostka
robaczkowego gdzie na Wyspach Tuamotu - czy nie wiedział
pan o tym?

Wiedziałem, ale jak pani się dowiedziała?

Z początku nie uwierzyłam, ale oni pokazali mi wiadomość
zgonu.

Jacy "oni"? Kto zawiadomił paniś pierwszy?

Przypłynął szkuner z tą wiadomością, a ja poszłam do biura

gubernatora, żeby zobaczyć wiadectwo. Widzi pan, pomyślałam, że on mógł... po prostu... ulotnić się.

-- Czy lekarz, ten, który operował Marka, pojawił się w Papeete?

Potrząsnęła przecząco głową. - Nie miałoby to chyba sensu, prawda? Chcę powiedzieć, że jest to ponad dwieście mil, a on jest tam jedynym lekarzem. Nie wyjechałby tylko po to, żeby przywieść tę wiadomość.

Nie zgadzało się to z opowieścią Kane'a; według niego lekarz miał załatwić sprawy ze wiadectwem zgonu i władzami. Czy załatwił?

Wróciłem myśl do tego, co powiedział Kane - że on i jego wspólnik, Hadley, pozostawili wszystko lekarzowi. Być może oznaczało to tylko odesłanie dokumentów najbliższym dogodnym rodzkiem transportu.

- Czy znała pani członków załogi szkunera? - zapytałem.

Milczała przez chwilę, a potem powiedziała: - Dlaczego zadaje mi pan te wszystkie pytania, panie Trevelyan?

- Mógłbym mówić o naturalnym zainteresowaniu śmiercią mojego jedyne go brata, ale nie będę - odrzekłem po namyśle. - Myślę, że w całej tej sprawie jest co bardzo dziwnego. - Gdy tylko wypowiedziałem te słowa, zacząłem się zastanawiać, czy nie jest ona przypadkiem wtyczką - jednym ze szpiegów Ramireza, przed którym Campbell tak często mnie ostrzegał. Jeli tak, to już odkryłem karty, które raczej powinienem trzymać zakryte, i zrobiło mi się zimno na tę myśl.

agentkę oszusta.

- Myli pan, że został zamordowany, prawda? - zapytała

bezbarwnym głosem.

Zacisnąłem wargi. Musiałem podjąć szybką decyzję. Pomyślałem,

że równie dobrze mogę kontynuować to, co zacząłem. Było już za

póno, żeby postąpić inaczej. - Czy pani też tak myli, panno

Nelson?

Po długiej chwili milczenia skinęła głową. - Tak - wyszeptała

i zaczęła płakać. Poczuję się lepiej - rujnowała swój makijaż,

a z pewnością żadna kobieta-szpieg nie uczyniłaby tego tuż przed

publicznym występem.

Przez krótki czas pozwoliłem jej wylewać łzy, potem ująłem jej dłoń.

Pani żyła z Markiem, prawda?

Tak, żyłam. O Boże, ja go kochałam - odpowiedziała. Była

tak wzburzona, ucisk jej ręki stał się tak silny, że odniosłem wrażenie,

iż muszę jej wierzyć.

Czy była pani z nim szczęśliwa? - zapytałem. - Czy był dobry

dla pani, panno Nelson?

Ku memu zdumieniu na jej twarzy pojawił się uśmiech. - Ach tak,

byłam szczęśliwa. Proszę nie nazywać mnie panną Nelson. Mam na

imię Paula.

- A ja Mikę.

Milczeliśmy przez chwilę, po czym zadałem pytanie: - Co

naprawdę się wydarzyło, Paulo?

- Przypuszczam, że to wszystko zaczęło się wtedy, gdy został zabity Sven...

Norgaard? Zabity?!

Tak. Znaleziono go na rafie poza Papeete, z rozbitš głowš.

Z poczštku wszyscy myleli, że to ocean - uderza o rafę ze straszliwš siłš. Przypuszczano, że fala zbiła go z nóg i roztrzaskała jego głowę o skałę. Potem - nie wiem dokładnie dlaczego - rozstrzygnięto, że został zamordowany. Miało to jaki zwišzek z tym, co stwierdził lekarz policyjny.

Skinšłem ponuro głowš. - A potem co się działo?

- Policja zadawała pytania i trafiła do Marka. Powiedział, że nic nie wie o tym, ale nie wydawał się zmartwiony.

Wzišłem głębokii oddech. - Paulo, czy mylisz, że Mark zabił

Zawahala się, potem gwałtownie potrzšsnęła głowš. - Nie, to nie mógł być Mark. Wiem, że potrafił bardzo się rozgniewać - a nawet

85

wpać we wciekłość - ale nie mógłby zabić Svena. Oni byli współnikami.

Za młodu dowiadczałem czasem na sobie wciekłość Marka.

- Paulo, czy on cię kiedy uderzył?

Z oczyma utkwionymi w stół przytaknęła. - Czasami - ale ze

mnš diabelnie trudno jest żyć na codzien. W pracach domowych

jestem nieporzšdna i niedbała. Jestem... - zamięła się, lecz jej miech

załamał się i przeszedł w szloch, a łzy pociekły po policzkach. Byłem

wstrząśnięty.

Co się stało potem?

Mark uciekł... przed policjś. Wprawdzie nie zaraz po rozmowie z nimi, ale już tej nocy zniknął z Tahiti. A potem dowiedzielimy się, że nie żyje... Opowiedziałam ci dokładnie, jak to było.

Kto z tego szkunera przekazał ci wiadomość o jego mierci?

Mężczyzna nazwiskiem Hadley. Powiedział, że on i jego wspólnik znaleli na wyspach umierającego Marka. - Znowu wyglądała na zdenerwowaną i pomyślałem, że prawdopodobnie spowodowało to wzmianka o Hadleyu.

Miałem jednak ważniejsze rzeczy do przemyślenia. To była sensacyjna informacja - to był dowód, że Kane jest skończonym łgarzem. Mogła być pomyłka ze wiadectwem zgonu, ale nie z tym.

Kane powiedział mi, że on i Hadley przekazali sprawę lekarzowi. To była rysa w jego opowieści.

Zapytałem: - Wspólnik Hadleya nazywał się Kane?

Nie wiem, nigdy go nie spotkałam, ale znałam Hadleya; często przychodził do Marka.

Tam do licha! - wykrzyknęłam. To było co nowego.

Z całą pewnością. Mark i Sven często wynajmowali jego łód, a kiedy wypłynęli z nim na parę tygodni.

Ssądzę, że nie masz pojęcia, dokąd pozełowali? - spytałem mimochodem.

Mark nigdy nie opowiadał mi o tym, co robi - odparła.

Jeszcze tylko jedna sprawa, ale bardzo ważna. Powiedziała, że twoim zdaniem Mark został zamordowany. Co ci nasunęło tę myl?

To Hadley - odrzekła. - Przyszedł do mojego mieszkania i powiedział, że sš mu potrzebne rzeczy Marka. Zastanowił mnie sposób, w jaki mówił o Marku - taki triumfujšcy. Nie widziałam żadnego powodu, dla którego miałby dostać rupiecie Marka, więc nic mu nie dałam. Był wciekły, ale nic nie mógł mi wtedy zrobić, bo byli

86

u mnie przyjaciele. Ale mnie przestraszył - to wstrętny drań. Zajrzałam do kufierka Marka; nie było tam niczego, co mogłoby mi się na co przydać, więc wysłałam go do jego żony. Mark opowiadał mi o niej. - W głosie Pauli było cierpienie. - Opowiadał mi także o tobie - nie był zbyt uprzejmy wobec ciebie.

Mogę sobie wyobrazić. Czy Hadley próbował jeszcze?

Tak, przyszedł, stłukł mnie na kwane jabłko i przeszukał mieszkanie, ale oczywiście nic już nie znalazł.

Mówisz, że cię zbił?

Och bracie, szkoda, że nie widziałe, jakš miałam liwę pod okiem. - Przypatrzyła mi się z powagš. - Niewiele wiesz o mężczyz-
nach takich jak Hadley, prawda?

Jeszcze nie - mruknšłem ponuro. - Ale wkrótce się dowiem.

Znajdę tego drania.

Zamiała się lekceważsco. - Rozerwałby cię na strzępy, Mike.

Strzeż się go - nie podchod z przodu, ršbnij go kolbš z tyłu. On postšpiłby z tobš tak samo. To niecywilizowany dzikus.

Popatrzyłem na tę dziewczynę, która o awanturach i biciu mówiła jak o czym oczywistym. Nic dziwnego, że wydawało się, jakby cišgle wycofywała się i kurczyła - a może to włanie jej sposób bycia zachęcał do stosowania wobec niej przemocy. - Będę o tym pamiętał.

Westchnęła. - No cóż, wtedy przestraszyłam się naprawdę, bo powiedziałam za dużo. Wiesz, co powiedziałam? Że mam dowód na jego kłamstwo - że Mark nie umarł w taki sposób, o jakim on mi opowiedział. Spojrzał na mnie zupełnie niesamowitym wzrokiem i zapewnił, że wróci - z kolegami. Zapakowałam więc trochę rzeczy i wyszłam z domu. Resztę nocy spędziłam u przyjaciół, a o czwartej rano byłam już na statku handlowym, który o pištej odpływał do Panamy. Siedziałam pod pokładem, dopóki Papeete nie znikło z oczu.

- Jaki był ten twój dowód, Paulo?

Powiedziała to, co spodziewałem się usłyszeć. - Mark miał wycięty wyrostek robaczkowy. Widziałam bliznę. Nie mógł więc umrzeć na zapalenie wyrostka.

- Ja też wiedziałem o tym. Markowi wyrostek wycięto przed wieloma laty.

Paula spojrzała na zegarek i zerwała się z miejsca. Nadal wyglšdała blado i anemicznie, ale wydawała się teraz trochę spokojniejsza. -

Muszę wracać.

Dziękuję ci, Paulo. Dużo mi pomogła. Czy mylisz, że to

Hadley zabił Marka i Svena Norgaarda?

Tak myślę - odpowiedziała gwałtownie.

87

- Czy przychodzi ci na myśl jaki powód, dla którego miałby to uczynić?

Wzruszyła ramionami. - Nie mam pojęcia - ale jestem pewna, że on to zrobił.

Paulo, zanim stśd wyjadę - czy napiszesz dla mnie to, co wiesz?

Chyba... chyba tak, Mike. Ja... muszę być ostrożna.

Nie chciała wejć razem ze mnś do sali klubowej w hotelu, więc wszedłem tam przed niś i zobaczyłem, że przy naszym stoliku Geordie rozmawia z Klarš. - Tata poszedł spać - oznajmiła. - Jest już póno, a on poczuł się zmęczony.

- Mam nadzieję, że Geordie dobrze cię zabawiał.

- O tak, opowiedział mi więcej o Marku - i o tobie.

Powiedziałem żartobliwie: - To dlatego czułem, że mnie uszy piekš.

Zobaczyłem Paulę, która dołšczyła do zespołu muzycznego.

W przyćmionym wietle sali klubowej nie było widać u niej żadnych oznak zdenerwowania i zaczęła piewać tym samym przyjemnym, matowym głosem. - Ma miły głos - zauważyła obojętnym tonem Klara.

Spostrzegłem, że oboje przyglšdajš się jej.

Jak wam udała się randka? - zapytał Geordie.

Była interesująca.

Figlarny uśmiech pojawił się przez chwilę na wargach Klary. -

Widzieliśmy, jak wyprowadzała ją z hotelu.

- Nazywa się P. Nelson - rzekłem. W tym momencie Geordie zakrztusił się kawą.

Zapoznałem Klarę z faktami, jakie wiślały się z tym nazwiskiem,

po czym dodałem: - Opowiedziała mi mnóstwo fascynujących

rzeczy. Słodzi, że Mark został zamordowany, a jego współnik

Norgaard także - tak, on też nie żyje. Jest przekonana, że

obu zabił Hadley, ten tajemniczy współnik Kane'a. Jednakże

na Tahiti zdaje się panować opinia, że Mark zabił Norgaar-

da - takie jest oficjalne stanowisko policji - że on sam poniósł

mierć w sposób przypadkowy podczas ucieczki. To piekielna

gmatwanina.

Dobry Boże - odezwał się Geordie - co ona tu robi?

Uciekła przed Hadleyem. Opowiem wam więcej rano. Jestem zmęczony.

Wydało mi się, że minął wiek od chwili, gdy przyplłynęliśmy do

Panamy, a stało się to przecież dopiero tego ranka.

Klara zerknęła w kierunku Pauli, która nadal piewała.

88

Czy ona dobrze znała Marka?

Doć dobrze - odrzekłem bez zastanowienia. - Ona też była

jedną z jego dziewczynek.

I w chwili, kiedy to powiedziałem, miałem ochotę odgryć sobie język.

5

Następnego ranka przy niadaniu Campbellowi przyniesiono depeszę. Czytał ją marszcząc brwi. - Suarez i Navarro wypłynęli w rejs - oznajmił. - Ich statek opuścił Darwin, kierując się ku Nowej Gwinei.

Archipelag Bismarcka także znajduje się w tym kierunku - zauważył Geordie.

Co to ma do rzeczy?

Zapomnielimy ci powiedzieć - wyjaśniłem. - Kane wysłał wczoraj telegram do Rabaul, miejscowości na tym archipelagu.

Kane... zapewne do Ramireza, z wiadomości, gdzie jesteście.

Czyżby twoje złoża bryłek manganowych było zlokalizowane gdzie w pobliżu Rabaul? - zapytał Campbell.

Nic nie przemawia przeciw temu, ale i niewiele za tym -

odparłem. - Osobicie jednak sądzę, że Mark nie oddaliłby się tak

bardzo od swego złoża. Ale z tego, co udało mi się odszyfrować

w notatnikach, wynika, że Mark wiślał procesy formowania się bryłek

manganowych ze zjawiskami wulkanicznymi, a w tamtej części wiata

jest piekielnie dużo wulkanów.

A tutaj nie?

O tak, na całym obszarze Pacyfiku. Wyjanię to wam wtedy, gdy lepiej sprecyzuję swoje własne idee.

Czy sđdzisz, że koncepcja Marka była słuszna? - zapytał Campbell.

Nie wiem - przyznałem. - Wszystko to ma charakter bardzo teoretyczny. W zasadzie nie ma nic, co by jej zaprzeczało.

Campbell mruknął: - Jeżeli kiedy od jakiego naukowca uzyskam odpowied nieobwarowanš zastrzeżeniami, dojdę do wniosku, że zbliża się koniec wiata. No, a co to było z tš dziewczynš zeszłego wieczoru? Klara opowiedziała mi trochę.

Zrelacjonowałem im więc wszystko szczegółowo i siedzielimy w ponurym nastroju, przerażeni i wstrzšnięci tym, co wynikało z opowieci Pauli. Wpakowaliśmy się w co, co zaczynało wyglšdać

89

coraz paskudniej. Campbell uznał, że słusznie poprosiłem Paulę o pisemne zeznanie; byłoby najlepiej, gdyby zostało ono prawnie powiadczone, ale nie byłem pewny, czy Paula zechce tak bardzo angaŹować się w tę sprawę.

Klara zmieniła temat rozmowy: - Mikę, zastanawiałam się trochę nad pamiętnikiem, a zwłaszcza nad rysunkami, i myślę, że udało mi się dojć do czego. Czy moglibyśmy wszyscy po niadaniu pójć do apartamentu taty?

Geordie zgodził się niechętnie. Chciał wracać na statek, ale przekonalimy go, że przez te parę godzin nic złego się nie stanie. -

To dobre chłopaki, mają mnóstwo roboty, a gdyby cię potrzebowali, wiesz, gdzie jeste - powiedziałem stanowczo. Po niadaniu zasiedlimy więc wokół stolika do kawy w apartamencie Campbella, mimo klimatyzacji pocśc się w panamskim słońcu zaglśdajścym do nas przez otwarte okna. Klara położyła przed nami pamiętnik i rysunki.

Zaczęłam od końca, od miejsc, o których wiemy, że Mark w nich był; chciałam przekonać się, czy potrafimy zidentyfikować więcej tych rysunków. Ostatni z nich przedstawia co podobnego do monokla i myślę, że wiem, co to ma być - ale tylko dlatego, że orientujemy się gdzie był Mark. Sśdzę, że to oznacza Tahiti.

Jak, u diabła, może to oznaczać Tahiti? - zdziwił się Campbell.

Tahiti to największa z Wysp Towarzystwa. A monokl jest symbolem wyższych sfer, facetów z "towarzystwa". To słabe wytłumaczenie, ale może wystarczy? - Czekwała z niepokojem na mojs opinię.

Rozemiałem się. - Równie dobre jak każde inne. Proste, ale użyteczne. Mów dalej.

Numerów trzydzieci i trzydzieci jeden w ogóle nie potrafię zrozumieć - może Geordie potrafiłby, jeli dobrze zna ten region.

Jeden przedstawia krowę, a drugi - oto on. - Wskazała rysunek czego podobnego do nieregularnego, spłaszczzonego półkola stojścgo na płaskiej podstawie. Było ono połsczone z krowś słowem OR /lub, czyli/ i nikt z nas nie umiał znaleźć w tym jakiego sensu.

Teraz dochodzimy do tych dwóch. „Piękna bogini" i "sztuczka

ze znikaniem", kobieta i orzeł.

Przerwałem jej. - Te dwa rysunki znajdujś się bezporednio przed wynikami analiz wykazujścymi wysokś zawartoć kobaltu. Mylę, że mogś mieć decydujśce znaczenie.

- Zgoda - powiedziała z ozywieniem - tu jest o wiele więcej moźliwoci. Zastanawiałam się nad tś kobietś. Mylę, że mogłaby oznaczać Francję; wiecie, Wuj Sam reprezentuje Amerykę, John

90

Buli - Wielkś Brytanię, a ta kobieta, Marianna - Francję. Znaie jś z karykatur w gazetach.

Campbell przyglśdał się uważnie rysunkowi. - W tym co może być. Ta rzecz na jej głowie, to czapka frygijska, prawda? Jaki jest obszar posiadłoci francuskich na Pacyfiku?

Polinezja Francuska - około dwóch i pół miliona kilometrów kwadratowych - obejmuje Tahiti, Bora-Bora, Wyspy Tauamotu, Markizy, Wyspy Tubuai. Musielibymy przyjrzeć się im znacznie dokładniej.

Wyspy Mariańskie - powiedział Geordie, a jego głos brzmiał bardzo ponuro. - Rów Mariański.

Klara wydawała się przejęta. - Gdzie to jest?

- Daleko stśd, o wiele za daleko. Prawie koło Filipin - odrzek-
łem. - Ale to nie może być tam, bo dlaczego Mark miałby przebywać w takiej odległoci od tych wysp? Nie wierzę w to.

Geordie jednak mylał o czym innym. - Statek Suareza i Navarry

płynie w tym kierunku.

Popatrzylimy na siebie z przestachem. - Nie wydaje mi się, żeby to chodziło o Mariany - powiedziałem, po prostu dlatego, że nie chciałam, żeby tak było. - Potrzebujemy czegoś po drodze.

Co z tś boginiś? Marianna nie jest jedynym rozwiązaniem. -

Odezwał się Campbell.

Rozpatrzymy całą listę bogiń - zaproponowałam. - Zaczniemy od Wenus. Czy jest wyspa Wenus?

Geordie umiechnął się. - Słyszałem o statku "Venus", ale to nie wyspa. Ale poczekajcie chwilę - jest przylśdek Wenus na Tahiti.

Brzmi to interesująco - przyznał Campbell.

To zbyt blisko brzegu - i wszystko wokół zostało wybagrowane.

Niezbyt obiecujące - mruknął Campbell - ale zachowamy to w pamięci.

Jedną dalej z tś listś bogiń - powiedziała Klara. - Co z Afrodytś?

Wszyscy zastanawialimy się nad tym przez jakiś czas. - Nic z tego - stwierdził w końcu Geordie.

- Mogłaby to być nazwa francuska - zauważył Campbell.

Byłem brutalny. - Albo nazwa polinezyjska. Albo polinezyjska bogini.

- Na miłość boską! - zaprotestował Campbell - w ten sposób nie dojdziemy do niczego.

Przejrzelimy cały panteon, ale nie moglibyśmy nawet zabrać się

do polinezyjskich bóstw plemiennych, ponieważ nikt z nas nie

91

miał stopnia naukowego w dziedzinie antropologii. Przystawiliśmy więc nasze połączzone mózgi na problem orła, a nie dokonawszy niczego wróciliśmy do koncepcji Francji. Klara wpatrywała się zawzięcie w rysunki. - Dobrze, ostatnia. próba. Przejdmy to wszystko jeszcze raz.

Jęknęliśmy wszyscy.

Wenus.

Tahiti - wymamrotał Campbell, którego uwaga wyranie osłabła.

Demeter.

Nadal nic z tego.

Atena.

Campbell oznajmił: - Myślę, że cały ten zwariowany pomysł jest do niczego. Skończmy z tym.

Klara wydała okrzyk radości. - Mam! To nie jest żadna Francja, to jest Atena, bogini sprawiedliwoci. Mark używał słowa "piękny" (fair) w znaczeniu "sprawiedliwy", "czysty", jak w wyrażeniu "fair play".

Co nie znaczy, że dużo o tym wiedział - zauważył Geordie.

Czapka frygijska? - zapytałem.

To nie czapka - to rzymski hełm. Atena powinna mieć także włócznię.

Ale ona nie była boginiś rzymskš, tylko greckš - sprzeciwił się Campbell.

Jej rzymskim odpowiednikiem jest Minerwa - powiedziałem. - Co mylicie o tym?

Geordie walnš pięciś w stół i wybuchnš miechem, - Mój Boże! Mylę, że już wiem - powinienem wpać na to wczeniej. Recife de Minerve, oczywiście!

- Chcesz powiedzieć, że jest takie miejsce? - dopytywał się Campbell.

Borykałem się ze swš pamięciś. Czytałem o tym miejscu - stało się tam co złego, ale nie mogłem sobie przypomnieć, co to było.

Geordie nie przestawał się miac. - Rozbił się na nich statek. O cholera, to zbyt mieszne.

Campbell zatarł ręce, zainteresowanie rozbudziło się w nim od nowa. - Teraz doszlimy do czego. Gdzie to jest? Oczywiście po drodze?

Na zachód od Wysp Tuamotu - odrzekł Geordie.

Czy warto tam płynšć? - Campbell skierował to pytanie do mnie. - Ty jeste tu ekspertem.

92

Pomylałem, że jest mało prawdopodobne, żebyśmy trafili na właściwe miejsce już przy pierwszej próbie, i że po drodze będzie zapewne mnóstwo fałszywych alarmów, dopóki nie uzyskamy znacznie bardziej konkretnych danych; z drugiej jednak strony nie chciałem,

żeby nasza ekspedycja upadła z powodu beczynnoci i braku entuz-
jazmu - musielimy więc wyruszyć dokšdkolwiek. - Może to
stwarzać pewne szansę - odpowiedziałem, ujawniając trochę swój
sceptycyzm. - Po części zależy to od tego, gdzie to jest, a o tym
poinformuje nas Geordie.

- Żartujesz chyba? - parsknął Geordie, cišgle jeszcze rozbawiony
swym dowcipem. - Nikt, nawet Royal Navy, nie wie, gdzie jest ta
Minerwa.

Zapadła martwa cisza. Przerwał ją Campbell. - Co, u diabła,
chcesz przez to powiedzieć?

Chcę powiedzieć - wyjaśnił Geordie, który wreszcie odzyskał
panowanie nad sobą - że marynarka wojenna szukała jej, lecz nie
potrafiła znaleźć. Przypuszczam, że wszystko jest w "Pilocie" wysp
Pacyfiku - musiałbym zajrzeć - ale opis Minerwy znajduje się też
w ksišżce, którą mam na pokładzie.

Ale co to jest? - zapytała Klara.

Dokładnie to, o czym mówi nazwa. Recife de Mienerve. Rafa
Minerwy. Ukryta płycizna.

Geordie opuścił nas, wracając na "Esmeraldę". Chciał nie tylko
odszukać ksišżkę, lecz także sprawdzić, czy wszystko jest w porządku
i nadzorować uzupełnienie zapasów przed wyjciem w morze. Ponadto
musiał wyszykować kabinę dla Klary, co oznaczało, że kto inny
będzie musiał trochę się cenić. Zgodziliśmy się, że doskonale możemy
się pospieszyć z załatwieniem pozostałych spraw, a jeli dobrze pójdzie,

to za dzień lub dwa będziemy mogli odpłynąć; zapanowała atmosfera niecierpliwego oczekiwania. Postanowiłem jeszcze porozmawiać z Paulą, która zostawiła dla mnie bilecik ze swoim adresem. Miałem pewien pomysł dotyczący jej osoby, który chciałem spróbować wcielić w życie.

Skorzystałem z telefonu w foyer i dodzwoniłem się do niej od razu. - Paulo, tu Mike. Chciałbym znów porozmawiać z tobą.

Wzruszyła ramionami - powiedziała sennie i odgadłem, że powitanie pónym wieczorem oznacza odsypianie pónym rankiem. - Kiedy? Teraz?

Jeli można.

O.K. Spotkamy się w tym barku, co wczoraj.

Czekała na mnie, siedząc przy tym samym stoliku. - Cześć - powiedziała. - Co masz na wstrobie?

Zamówiłem kawę dla nas obojga. Wyglądała wiezo i była

93

zdecydowanie mniej napięta niż poprzedniego wieczoru; najwyraźniej uznała mnie za swojego sprzymierzeńca, podobnie jak ja potraktowałem ją.

- Mam na wstrobie Hadleya i ludzi takich jak on. Jesteś pewna, że nie pamiętasz człowieka nazwiskiem Kane?

Zdecydowanie potrząsnęła głową.

- A Ramirez - czy kiedykolwiek słyszała o nim?

Tu także doznałem zawodu. - Słuchaj, czy dobrze znasz Thaiti, a zwłaszcza Papeete? - zapytałem.

- Dość dobrze. Mieszkałam tam długo, Mike.

Potarłem sobie podbródek. - Ja nie znam dobrze tego miasta.

A już na pewno nie znam Hadleya. Mógłbym minąć go na ulicy i nawet nie zwrócić na niego uwagi. Potrzebna mi jest para oczu.

Zapytała cichym głosem: - Chcesz, żebym wróciła do Papeete?

Skinęłam potakująco głową. - Ale nie inaczej, jak pod eskortą, czyli z własną ochroną. Boisz się Hadleya?

Tak, boję się. I nie wstydzę się do tego przyznać.

Paulo, jestem tu na małym statku, którego załoga składa się z najtwardszych facetów, jakich można znaleźć poza mafią - ale uczciwych. Większość z nich to dawni komandosi, a każdy z nich mógłby załatwić Hadleya mając jedną rękę przywieszoną za plecami.

Odpływamy najprawdopodobniej jutro i żeglujemy do Tahiti. Jeli popłyniesz z nami, to przydzielę ci dwóch z nich jako stałą ochronę osobistą, kiedy znajdziemy się już na miejscu. Jeli Hadley spróbuje ci cokolwiek zrobić, to zapozna się z takimi brudnymi sposobami walki, o jakich dotąd nie miał pojęcia, i skończy ze złamanym karkiem albo w więzieniu.

Pomyślałem, że zabranie Pauli w tę podróż byłoby niebezpiecznym przedsięwzięciem ze względu na obecność Kane'a na pokładzie, ponieważ jednak powiedziała mi, że nigdy się nie spotkali, rzecz była warta ryzyka. Gdybym już tu zostawił, mógłbym nigdy już nie mieć szansy, by się nią posłużyć.

- Będziesz miała towarzystwo, nawiasem mówiąc - kobiece towarzystwo, jeli o to chodzi. Dziewczyna, z którą bylimy wczoraj na obiedzie, płynie z nami także.

Zagryzła wargi. - Ach, Mike, bałabym się. Poza tym jestem tu na umowie, chociaż kończy się ona za parę tygodni. Nie chcę zrywać kontraktu. W biznesie rozrywkowym wiadomości o takich rzeczach szybko się rozchodzą.

- Jeli martwisz się o pieniądze - odparłem - to pokryjemy wszystkie twoje koszty, a ponadto otrzymasz dodatkowe wynagrodzenie. U diabła, możemy zapłacić za niedotrzymanie umowy.

94

Nie myślę o pieniądzach. Czy naprawdę wykryjesz, co wydarzyło się Markowi?

Wykryję - powiedziałem stanowczo.

Zastanawiała się przez chwilę, potem wyprostowała się i wyglądała na zdecydowaną.

Więc popłynę. Mark był jedynym mężczyzną, którego kiedykolwiek kochałam - a myślę, że i on mnie kochał, trochę.

Jeli go zamordowano, to chciałabym zobaczyć, jak zabójca zostanie schwytany.

Dobra dziewczyna! Słuchaj, dlaczego nie miałyby pojechać statkiem pasażerskim - chyba pływająś stąd na Tahiti? Mogłaby się dowiedzieć?

- Poczekaj minutę. Zobaczą, co się da zrobić.

Trwało to pięć minut.

- Jest nieduży statek pasażerski, "Eastern Sun", który będzie

tam płynął, ale nie wcześniej niż za kilka tygodni. Zatrzymuje się w Papeete. Mogę zarezerwować kabinę - i mogłabym nawet dostać na nim pracę na czas rejsu, co pozwoliłoby zaoszczędzić twoich pieniędzy. Ale trzeba by poczekać sporo czasu.

To by mi odpowiadało. Pomyślałem, że może jeszcze minie parę dni, zanim na pewno uda nam się wypłynąć, a potem moglibyśmy przez kilka tygodni czerpać próbki i prowadzić poszukiwania koło Rify Minerwy, gdziekolwiek się ona znajduje. Zapisałem sobie datę przybycia "Eastern Sun" do Papeete i przyrzekłem Pauli, że będziemy tam przed nią, aby nie była sama. - Nie chcę, żeby poniosła jakie straty - dodałem. - Pokryję koszty twojej podróży. Jeśli dostaniesz płatną pracę, to będziesz mogła zwrócić mi te pieniądze. Czy masz rachunek w jakim banku?

Podawała mi potrzebne dane, a ja powiedziałem: - Przekażę odpowiednią sumę na twoje konto. Jestem ci wdzięczny, Paulo. Cieszę się, że należysz do naszego zespołu, a jednocześnie nie musisz zrywać swojej umowy.

W tym wszystkim chodzi nie tylko o śmierć Marka, prawda? - zapytała dociekliwie Paula.

O znacznie więcej. Opowiem ci o tym w Papeete, kiedy sami będziemy zapewne jeszcze lepiej zorientowani w całej tej sprawie. - Dziewczyna taka jak Klara Campbell wymagałaby dużo więcej informacji, zanim zgodziłaby się przyjąć na siebie jakie zobowiązania, ale Paula zdawała się przyzwyczajona do odgrywania podrzędnych ról.

Gdymy się pożegnali, zadałem sobie pytanie, jak u diabła Mark mógł pozyskać względy dwóch tak bardzo odmiennych kobiet. Obie jednak,

95

poza swą płciś, miały jeszcze jednś cechę wspólnś - były zdecydowane i odważne, a każda z nich z pewnością zasługiwała w swym życiu na lepszego mężczyznę niż Mark.

Wróciłem powoli do hotelu, oglśdajśc po drodze wystawy sklepowe i znajdujśc przyjemnoć w obserwowaniu egzotycznych scen rozgrywajścych się na ulicy wokół mnie. Lunch zjadłem sam, nie znalazłszy w hotelu nikogo z naszego zespołu, lecz wkrótce zobaczyłem Klarę wchodzśc do sali z ojcem, a za chwilę dołśczył do nas Geordie z ksiżkś w rękę. Przy zimnych napojach znów zajęlimy się naszym przedsięwzięciem.

Ksiżka, którś Geordie przyniósł ze statku, była egzemplarzem "To the Great Southern Sea" ("Ku wielkiemu południowemu morzu") Billa Robinsona.

- Tu jest trochę. Zajrzałem też do "Pilota", lecz zostawiłem go na statku, na póniej. Przeczytałem jeszcze raz Robinsona, bo będziemy żeglować tś samś trasś. Płynśł na swym szkunerze z Wysp Galapagos do Mangarewa, a tu jest to, co ma do powiedzenia o Minerwie. Nawiasem mówić, ksiżka została wydana nie tak dawno, w 1957 roku.

Podał ksiżkę Klarze, wskazujśc stosowny fragment. Zaczęła czytać po cichu, lecz wywołało to protest jej ojca: - Na litoć boskś, czytaj głośno, żebyśmy wszyscy wiedzieli, o co chodzi.

Wobec tego Klara czytała nam na głos:

"Zbliżając się do Mangarewy przepłynęliśmy w pobliżu Minerwy, jednej z tych płycizn o wątpliwym położeniu i niepewnej egzystencji, które określa się jako vigias. Vigias są zmorą nawigatorów, ponieważ nigdy się nie jest pewnym, gdzie one są, ani nawet czy są w ogóle. Według locji, która nie podaje, skąd wzięła się nazwa "Minerwa", jej autentyczność zdaje się nie ulegać wątpliwoci.

Przyjmuje się, że statek "Sir George Grey" zatonił tu w 1865 roku, chociaż parę lat później brytyjskiej marynarce wojennej nie udało się zlokalizować w tym miejscu rafy. W roku 1890 niemiecki bark "Erato" dostrzegł tę płyciznę. Widziano ją znów w 1920 roku, wyłaniając się z wody w odległości dziesięciu mil od miejsca podanego przez "Erato".

Ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu maraamu zniweczył naszą szansę odszukania Minerwy. Chociaż siła wiatru zmniejszyła się już do pięciu stopni w skali Beauforta i przybyliśmy w te okolice koło południa, to jednak po morzu nadal biegły ogromne fale, które załamywały się w nieregularny sposób, nie było można odróżnić fal przybojowych spowodowanych płycizną, od fal pozos-

96

tałych jeszcze po maraamu. Płynęliśmy kursem, który prowadził w odległości dziesięciu mil na północ od punktu zarejestrowanego jako wysunięta najdalej ku północy pozycja tej wędrującej płycizny, prowadziliśmy staranną obserwację, ale nic nie zobaczyliśmy".

Klara przestała czytać, a Campbell powiedział: - No cóż, to nie do wiary. Chcecie mnie przekonać, że teraz, gdy kosmonauci krążą po orbicie i wybieramy się już na inne planety, jest jakaś mieszna płycizna, której nie udało się zlokalizować?

To prawda - odparł George. - Jest ich mnóstwo.

To oburzające - oświadczył Campbell, przyzwyczajony do dokładnego lokalizowania obiektów na lądzie. - Ale jeśli Mark już odnalazł, to i my potrafimy już znaleźć.

Jeśli rzeczywiście tego dokonał. Ja w to wątpię - stwierdziłem. - Gdyby statek badawczy Międzynarodowego Roku Geofizycznego odszukał Minerve, napisaliby o tym w sprawozdaniu, a nie zrobili tego. Ale to nie znaczy, że nie czerpali tam próbek - dodałem spieszenie, widząc trzy rozczarowane twarze. - Słyszeliście, co napisał Robinson. Prawdopodobnie będziemy mogli dostrzec płyciznę tylko w czasie zupełnej ciszy i w odpowiedniej fazie pływów.

Robinson dbał o to, żeby trzymać się od niej z daleka - parsknął Campbell. - Dziesięć mil na północ od zarejestrowanej pozycji, dobre sobie!

To był mądry człowiek i dobry żeglarz - odparł Geordie. - Nie chciał stracić statku. Może to być płycizna ruchoma i jeśli nie potrafimy dostrzec, gdzie jest, to dobrym sposobem jest trzymać się od niej z dala. Ja zrobię to samo, wierzcie mi.

Znow wszyscy spojrzeli na mnie - sceptycznego eksperta.

- Warunki, o których tu wspomniałem, mogą wystąpić -

powiedziałem. - Tak czy owak, musimy dokąd wypłynąć, a byłoby

zabawne, gdyby udało się nam jś znaleźć. Dlaczego nie?

Zanim opuściliśmy Panamę, wydarzyło się co jeszcze. Kane

przyszedł do mnie na rozmowę.

Na pozór traktowaliśmy go po prostu jako członka załogi, a on

dobrze wykonywał swoją robotę i był wcale niezłym żeglarzem. Ale

Geordie zgodził się zabrać go tylko do Panamy i teraz czekaliśmy,

jakie będzie jego następne posunięcie.

Pewnego ranka zajrzał do mojej kabiny i zapytał: - Panie

Trevelyan, czy mogę zamienić z panem parę słów?

- Wejd. - Znowż zdawał się być w dobrej formie. Nie starajśc

się tego okazywać, trzymałem się w czasie rejsu z dala od niego, gdyż

97

7 - Noc błędu

byłoby dla mnie nie do wytrzymania, gdyby potencjalny morderca

Marka plłstał mi się pod nogami; nie mogłem jednak uniknąć pewnych

kontaktów, a ta rozmowa była takim kontaktem, którego prawie

oczekiwałem. "

O co chodzi?

Dalej zajmuje się pan tymi naukowymi historiami, prawda?

Włanie. Jak wiesz, za dzień odpływamy.

Dostałem depezę od mojego współnika, Jima Hadleya. Czekala

tu na mnie w Panamie. Jim jest teraz na Nowej Gwinei i pisze, że na

razie nie może tu przyplłynąć. Oczywiście, wiem, pan obiecał tylko

dowiedć mnie tutaj i jestem wdzięczny, słowo daję, że jestem wdzięczny.

Ale zastanawiam się, czy nie mógłbym zostać na statku trochę dłużej - tak czy owak, będziecie potrzebowali człowieka na moje miejsce. A może zawiniecie do jakiego portu, od którego będzie bliżej do Jima - na przykład na Tahiti? To by pasowało nam obu.

Nie widzę problemu - odpowiedziałem. - O ile chodzi o mnie, możesz zostać, jeli załatwisz to z kapitanem.

Ojej, dzięki, panie Trevelyan. Wiem, że ciśgle proszę o różne uprzejmoci, a pan pomaga mi za każdym razem.

To nie żadna uprzejmość. Będzie nam potrzebny marynarz, a ty pracujesz dobrze i zarabiasz na swoje utrzymanie. Ale to zależy od pana Wilkinsa, pamiętaj.

- Dobrze. Pójdę do niego. Jeszcze raz dziękuję.

Powiedziałem parę słów Geordiemu, żeby przyjsł spodziewańs propozycję, i poinformowałem o tym Campbella. - Słusznie, będziemy go mieli na oku - odrzekł. - Nie ma dużych szans, żeby dowiedzieć się, doksđ płyniemy, skoro my sami tego nie wiemy, a stamtśd nie będzie miał możliwości przekazać ani słowa.

Tak więc przyjaciel Kane pozostał z nami. Następnego dnia wypłynęlimy w rejs o niepewnym czasie trwania, do niewiadomego miejsca przeznaczenia, które mogło istnieć^ ale mogło go także nie być.

Rozdział czwarty

1

Według opinii ludzi znajdujących ten region, Recife de Minerve była

tylko legendš, przy tym jednš z wielu. W przedmowie do "Pilota", w której poruszono sprawę vigias, wskazywano, że prawdopodobnie jest ich mnóstwo dookoła; stwierdzono jednocześnie, iż w 1880 roku okręt Jej Królewskiej Moci "Alert" przeszukał obszar, w którym rzekomo miała znajdować się ta płyuczna, ale bezskutecznie. Nie była to jedyna próba - kilka statków szukało jej, niektóre jš znalazły, ale nigdy nie zlokalizowano jej dwukrotnie w ciele tym samym miejscu.

Opuciliśmy Panamę i początkowo płynęliśmy szybko, lecz już następnego dnia okazało się, że unosimy się nieruchomo na gładkiej jak lustro wodzie. Znosiliśmy to cierpliwie przez dwadzieścia cztery godziny, po czym uruchomiliśmy silnik i ruszyliśmy naprzód. Campbellowi nie podobały się staromodne powiedzonka o malowanych statkach na malowanych oceanach, zwłaszcza gdy opowiedziałem mu innš legendę - o statku, który dryfował w Zatoce Panamskiej przez czterdzieci lat, aż wreszcie zbutwiał i rozpadł się na kawałki.

Szkoda, że musieliśmy użyć silnika, gdyż oznaczało to, iż będziemy mieli mniej paliwa na zasilanie stacji badawczej i na czerpanie próbek; jednakże zdaniem Campbella czas był równie cenny jak paliwo, a ja nie mogłem nie przyznać mu racji. Musiałem pamiętać o Pauli.

Campbell rozesłał mnóstwo depeš do swoich szpicli, polecajšc im, żeby nie spuszczała oka z wszelkich ruchów statku Suareza i Navarro, a odkšd znaleliśmy się na morzu stał się nerwowy. Mylę, że nie przywykł do tego, żeby być odcięty od telefonu. Często siedział przy radiu ale chociaż potrzebował informacji, niezbyt chętnie je otrzyny-

wał, a już zdecydowanie nie chciał odpowiadać. Mielimy doskonały radiotelefon, który sam kazał zainstalować; był to efekt najnowszych osiągnięć elektroniki, zasięg aparatu pokrywał cały Pacyfik. Nie chciał

99

jednak posługiwać się nim z obawy, że Suarez i Navarro będą przechwytywać komunikaty radiowe.

W końcu nadeszła wiadomość, że zarzucili kotwicę w Port Moresby w Papui, gdzie podobnie jak w Darwin siedzisz cicho i nic nie robisz.

Campbell niepokoił się ich bezczynnością nie mniej, niż gdyby byli nieustannie aktywni.

Wszyscy poczuliśmy się lepiej, gdy dzięki silnikowi "Esmeralda" ruszyła naprzód. Sunęła po spokojnym morzu ze stałą szybkością dziewięciu węzłów, tam, gdzie mieliśmy złapać południowo-wschodni pasat i znaleźć wspaniałą żeglarską pogodę. Wkrótce trafiliśmy na wiatr południowy i wzięliśmy kurs na południowy-zachód, płynąc tylko pod skonymi żaglami z takim bocznym przechyłem, że spienione fale zalewały poręcz nadburcia na zawietrznej. W miarę upływu dni wiatr stopniowo zmieniał kierunek na południowo-wschodni, aż wreszcie nadszedł dzień, w którym zorientowaliśmy się, że już rzeczywiście jesteśmy w sferze pasatów. Wcisnęliśmy duże czworoboczne żagle na przedni maszt i "Esmeralda" wyprostowała się.

Były to ojczyste wody Kane'a i chociaż woleliśmy nie polegać na jego słowach, on szafował radami dotyczącymi oczekiwanych warunków meteorologicznych. - Kawałek dalej napotkamy sztormy

wirowe - mówił. - Nie ma co się martwić, nie sš zbyt duŹe,
ale, słowo daję, szybkie. NadchodŹš błyskawicznie, więc trzeba
dobrze wytrzeszczać oczy.

Campbell okazał się marnym Źeglarzem i spędział wiele czasu na
swej koi, Źałujšc, Źe statki w ogóle zostały wynalezione. Nie przywykł
do tego, Źe nie panuje nad sytuacjš, i mówił, iŹ na pokładzie wród
ludzi wykonujšcych wszelkiego rodzaju tajemnicze prace szybko
i dobrze bez jego rozkazów, czuje się jak pište koło u wozu. Na lšdzie
musiał być postrachem podlegajšcych mu inŹynierów-górników.

Klara natomiast była dobrym Źeglarzem. Pracowała cięŹko na
pokładzie, demonstrujšc podniszczony kombinezon Źeglarski, o którym
nam wspomniała w panamskiej restauracji, oraz zdrowš opaleniznę.

Cieszyła się wielkim uznaniem całej załogi, która traktowała jš jako
nieoczekiwanš premię za ten odcinek rejsu. Rzeczywicie pomagała
kucharzowi i pełniła wachty jak wszyscy, lecz ponadto pochłaniała
ksišŹki z naszej biblioteczki, przy czym szczególnie zainteresowała jš
kolekcja Geordiego o wyprawach na małych jachtach, gdyŹ wiele
z tych ksišŹek dotyczyło Pacyfiku.

Pewnego wieczora porozmawialimy ze sobš, a ja spojrziałem na
mojego brata nieco inaczej - oczami Klary.

Była to jedna z tych nieprawdopodobnych nocy, jakie zdarzajš się

100

w tropikach. wiecił sierp księŹyca i skrzyły się gwiazdy jak garć
diamentów rozrzuconych po niebie. Wiatr piewał w olinowaniu,

woda szeptała i chichotała do "Esmeraldy", a za rufę rozpocierał się biały, pienisty ład z błyskami fosforescencji.

Stałem na dziobie statku, gdy podeszła do mnie Klara. Spojrzała na wietlistš księżycowš ciężkę biegnšcš przez morze i powiedziała: - Chciałabym, żeby ten rejs trwał bez końca.

Skończy się. Nawet Pacyfik ma granice.

Kiedy dopłyniemy do Minerwy?

Może nigdy. Najpierw musimy jš odszukać. Ale w jej pobliżu znajdziemy się za tydzień, jeli pogoda się utrzyma.

Mam nadzieję, że trafnie rozszyfrowaliśmy ten rysunek - rzekła. - Czasami żałuję, że spróbowałam je zinterpretować. Co będzie, jeli popełnilimy błšd?

Po prostu będziemy musieli wymyśleć co innego. Odgadnięcie dróg, jakimi biegły myli Marka, nigdy nie było łatwym zadaniem, nawet w najlepszych czasach.

Umiechnęła się. - Wiem.

Czy dobrze znała Marka?

Czasami myślałam, że znam go doć dobrze. W końcu przekonałam się, że go w ogóle nie znam. - Umilkła na chwilę. - Tata nie bardzo wierzy w to, co mówię o Marku - to znaczy o jego uczciwoci; miał o nim dobre zdanie - przeważnie.

Mark miał wiele twarzy - powiedziałem. - Pracował dla twojego ojca i chciał co od niego, więc pokazywał mu swoje najlepsze, najjaniejsze oblicze. Twój ojciec nigdy naprawdę nie znał Marka.

Wiem. Mówisz metaforycznie i z należytym szacunkiem dla waszej matki, Mark był pozbawionym skrupułów sukinsynem.

Zaskoczyło mnie to, a jednocześnie nie byłem zdziwiony. - Co się stało?

Tamtego wieczora byłam trochę zła, a ty na dodatek dogryzałaś mi, kiedy nazwałaś tę piewaczkę "jeszcze jedną z dziewczynek Marka". - Powiedziała z namysłem. - Widzisz, ja uważam, że można by mnie uznać za "jeszcze jedną z dziewczynek Marka". Zwykła sprawa. Wydarza się to tysiąc razy dziennie gdzieś na wiecie, ale gdy przydarza się tobie, to boli. Straciłam głowę dla Marka. Pogrążyłam się w różowych snach - on był tak diabelnie atrakcyjny.

Kiedy chciał być. Mark swój czar umiał włączyć i wyłączyć jak światło elektryczne.

On dopuścił do tego, żeby tak się stało, niech go diabli - ciśnęła Klara. - Mógłby to przerwać w każdej chwili, ale pozwolił,

101

żeby do tego doszło. Słyszałam już z dala dźwięk weselnych dzwo-
nów, kiedy odkryłam, że jest żonaty - może niezbyt szczęśliwie, ale żonaty.

On posłużył się również tobą, żeby uzyskać dojrzenie do twego ojca - powiedziałem łagodnie. U Marka takie postępowanie nie było niczym dziwnym.

Teraz wiem o tym. Na Boga, chciałabym wiedzieć o tym wcześniej. Bawiliśmy się wtedy doskonale, a ja myślałam, że będzie to

trwało wiecznie. Czy pamiętasz...?

Spotkanie w Vancouver? O tak.

Zastanawiałam się wtedy, dlaczego nie żyjecie ze sobą w zgodzie.

Wydawała się taki chłodny. Myślałam, że jesteś jakim podejrzanym typem, a Mark wygadywał na ciebie głupstwa...

- Nie przejmuj się tym wszystkim. Co się wydarzyło?

Wzruszyła ramionami. - Nic, w ogóle nic. Odkryłam jego

tajemnicę w tym samym mniej więcej czasie, gdy tata miał kłopoty

z Suarezem i Navarro, więc nie powiedziałam o tym ani jemu, ani

nikomu - chociaż przypuszczam, że czego się domyłał. Czy

zauważyła, że chwali Marka tylko jako naukowca, niejako człowieka?

- I wtedy Mark zniknął.

Włanie. Odszedł i nie zobaczyłam go już nigdy. - Patrzyła na

morze przed dziobem. - A teraz jest martwy - jego ciało leży gdzie

daleko - ale nadal kręci ludmi. Mark steruje nami wszystkimi nawet

teraz - czy zdajesz sobie z tego sprawę? Ty i ja, tata i banda Suareza

i Navarro, twój przyjaciel Geordie i wasi komandosi - wszystkimi

manipuluje martwy człowiek o długich rękach.

Nie przejmuj się - uspokajałem ją. Wydawała się przepełniona

gorącością. - Mark nie kręci nikim. My wszyscy wiemy, co robimy,

a robimy to, bo chcemy. Mark nie żyje i koniec.

Był czas, by zmienić temat. Posłużyłem się metodą klasyczną.

Klaro, opowiedz mi o sobie. Co robisz? Kiedy umarła twoja

matka?

Kiedy miałam sześć lat.

Kto cię wychowywał? Twój ojciec często przebywał poza domem, prawda?

Zamiała się. - Ach, wszędzie jedziłam razem z tatś. On mnie wychowywał.

To musiało być nie byle jakie dowiadczenie.

Tak, to było zabawne. Oczywiście musiałam spędzać mnóstwo czasu w internatach, ale zawsze wracałam do taty na wakacje. Rzadko jednak siedzieliśmy w domu - przeważnie gdzie wyjeżdżaliśmy.

102

Czasami na narty w zimie, czasami do Europy, Australii lub Ameryki Południowej w czasie dłuższych wakacji. Zawsze byłam z tatś.

A więc dużo podróżowała po wiecie.

Niekiedy były z tym problemy. Tata bywał na wozie i pod wozem - nie zawsze był bogaty. Czasami mieliśmy pieniądze, a czasami nie, ale tata zawsze dbał o mnie. Chodziłam do dobrych szkół i do dobrego college'u. Dopiero w zeszłym roku odkryłam, że kiedy, gdy tata miał dobrś passę w interesach, odłożył pewien fundusz dla mnie. Nawet gdy był zrujnowany, nigdy go nie tknęł, bez względu na to, jak bardzo potrzebował pieniędzy.

Wyglśda na to, że to wspaniały człowiek.

Kocham go - powiedziała po prostu. - Kiedy banda Suareza i Navarro wbiła mu nóż w plecy, byłam już wystarczająco duża, by zrozumieć porażkę. Zabrałam się za studiowanie stenografii i tak

dalej, a on zrobił ze mnie swojsz zaufans sekretarkę, gdy nie stać go było na zatrudnienie kogo w tym charakterze. To była najmniejsza rzecz, jakś mogłam dla niego zrobić - nie wierzył już nikomu, a musiał mieć przy sobie kogo, komu mógłby ufać. Co prawda w tym czasie ja sama nie miałam zbyt wiele wiary w siebie.

Wydaje mi się, że utrzymał się na powierzchni.

Jest twardy - owiadczyła dumnie. - Taty nie można złamać i założę się, że w końcu Suarez i Navarro będś żałować, iż kiedykolwiek posłyszeli o nim. To już się przedtem zdarzało i zawsze się zrewanżował.

Ja nadal pracuję dla niego. Ja... - zająknęła się.

Powiedz, co masz na myli.

Sprawdziłam cię w Londynie, kiedy przygotowywalicie się do tego rejsu. Nie chciałam, żeby tata znów się sparzył. Poza tym...

Nazywam się Trevelyan?

Tak mi przykro. Ale musiałam. Wypadłe doskonale, wiesz o tym. - Po raz pierwszy, odkśd jś poznałem, była trochę oniemielona. - Dosyć o Campbellach. A co o Trevelyanach - o tobie?

- Co o mnie? Jestem po prostu ciężko pracujścym naukowcem.

Rozemielimy się oboje, naszś doć beztroskś podróz badawczś z pewnościś trudno było okrelić jako ciężkś pracę, a to stwierdzenie wyranie rozładowało jej napięcie.

W tych czasach większoć naukowców zdaje się patrzeć w górę, nie w dół.

Ach, kosmiczne bzdury - odparłem.

Nie wydajesz się nastawiony zbyt entuzjastycznie.

Bo nie jestem. Mylę, że to strata pieniędzy. Amerykanie

wydajš trzydzieci miliardów dolarów, aby wysłać człowieka w kosmos;

103

w końcu może to kosztować dziesięć razy więcej. Wynosi to około dwunastu tysięcy dolarów na każde półtora kilometra kwadratowego pozbawionego powietrza powierzchni Księżyca. Na Ziemi można dostać tańsze i lepsze grunty, a gdyby zainwestowano tyle pieniędzy w morze, to zyski byłyby jeszcze większe. Sšdzę, że naszym nowym wyzwaniem, terenem pionierskich działań, jest morze, a nie kosmos.

Umiechnęła się, posłyszawszy misjonarskš nutkę w moim głosie. - Więc dlatego zostało oceanografem?

Mylę, że dlatego. Zawsze byłem zakochany w morzu.

A Mark? Co go do tego skłoniło? Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek znała dwóch braci bardziej się różniących od siebie.

Marka pożerała ambicja - powiedziałem. - Dlaczego wybrał ten zawód - nie wiem, ale mylę, że jednym z powodów mogła być zazdrość w stosunku do mnie, choć Bóg jeden wie, o co miałby być zazdrosny. Kiedy umarł mój ojciec, Mark całkiem się rozbestwił; matka nie umiała sobie z nim poradzić. Odkšd ona umarła, nie miałem z nim nic wspólnego - Mark poszedł swojš drogš, a ja swojš. Nie zawsze było wygodnie mieć w tej samej branży brata takiego jak on. Ludzie czasami mylš nas - z mojš szkodš.

A jego korzyści.

Czy to możliwe? Dzięki ci, szlachetna pani! - Mówiąc te słowa ukloniłem się i odniosłem wrażenie, że nagle staliśmy się sobie nieco bliżsi.

Trevelyan to nazwisko kornwalijskie, prawda? Czy jeste Kornwalijczykiem?

Tak. Jesteśmy potomkami fenickich i kartagińskich kupców, którzy przyplływali do nas po cynę. Hannibal jest imieniem nadal popularnym w Kornwalii, chociaż nie w naszej rodzinie, dzięki Bogu.

Bujasz.

Nie bujam, to fakt.

Tej nocy rozmawialiśmy długo, swobodnie i beztrąsko o wszystkim, co jest pod słońcem i księżycem, a kiedy w końcu zeszła do swej kabiny, wiedziałem już trochę więcej zarówno o samej Klarze, jak i o jej ojcu. Campbell był człowiekiem niełatwym do oceny, nie lubiłem mówić o sobie i poświęcającym większość czasu swoim sprawom zawodowym. W rozmowie z Klarą uzyskałem trochę informacji o jego dotychczasowym życiu i byłem bardziej niż kiedykolwiek przekonany, że jest to człowiek, któremu można zaufać.

No i była jeszcze sama Klara. Przyłapałem się na rozmyślaniu, czy byłaby jeszcze w stanie zaufać drugiemu Trevelyanowi, czy też Mark obrzydził jej Trevelyanów na całe życie. Planowałem następne posu-

104

nięcie przeciw Markowi. Spędziłem dłuższy czas myśląc o Klarze, zanim położyłem się do łóżka.

Wtedy pomyślałem nagle o tym, co mi powiedziała o Marku - o jego martwej ręce przesuwałej ludzi tu i tam, jak pionki na szachownicy. To była prawda; wszystko, czego już dokonaliśmy lub co właśnie robiliśmy, wyrastało z Marka i jego charakteru. Zupełnie tak, jak gdyby Mark był właścicielem teatrzyku kukielkowego, a my marionetkami, za jego pieszczelowate ręce kociotrupa pociśgały za sznurki. Z tš makabrycznš mylš zapadłem w sen.

2

Zgodnie z przewidywaniami Kane'a weszliśmy w obszar małych sztormów wirowych. Napotykalimy tršby wodne, od małych dziesięciometrowych, do potworów o rednicy piętnastu metrów u podstawy. Nawałnice te urozmaicały żeglugę, jeli tylko zachowywało się ostrożność. "Esmeralda" płynęła pod wspaniałym błękitnym niebem, gdy nagle horyzont ciemniał się; w cišgu kilku minut woda stawała się czarna i zrywał się gwałtowny wichur. Gdy sztorm minšł, tęcza nurzała swe końce w morzu i pojawiał się znów wierny pasat, który niósł nas do serca Pacyfiku, ku południowo-wschodniemu krańcowi Francuskiej Polinezji.

Szesnastego dnia od wyjcia z Panamy Geordie obliczył wyniki południowych pomiarów i ogłosił: - Jesteśmy już prawie na miejscu. Po południu wpływamy na teren badań.

Postanowiliśmy, żeby załodze nie mówić za dużo, więc Geordie zebrał ich i oznajmił tylko, że ja chcę szukać okrelonego rodzaju warunków występujących w wodach oceanu, lecz wszyscy majš

wypatrywać płycizn. Każdy ze słuchaczy wiedział, że niewiele jest wokół nich lśdu, więc polecenie to mogło wydawać się trochę dziwne.

Mimo to chętnie zorganizowali dyżury w taki sposób, że na każdej wachcie był dodatkowy obserwator, a na przednim maszcie często czuwał marynarz wyposażony w lornetkę. Według mnie był to jedynie znak, że badania sš w toku, gdyż nie spodziewałem się, żeby wypatrzili cokolwiek, lecz u reszty załogi czynności te znacznie ożywiły zainteresowanie naszymi poszukiwaniami. Zaplanowaliśmy też, że w miarę kontynuowania rejsu będziemy od czasu do czasu pobierać z dna próbki, żeby załoga nie wyszła z wprawy.

Wczesnym rankiem następnego dnia siedzieliśmy z Campbellem i Geordiem w kabinie nawigacyjnej, studiując mapę morskš i "Pilota".

105

W tym miejscu "Erato" zlokalizował Minerwę - to było w 1890 roku - powiedziałem. - W roku 1920 inny statek zaobserwował jš tutaj, rozcišgającš się na dwie mile morskie na wschód-północny-wschód. Jak pisze Robinson, różnica wynosi dziesięć mil.

To dziwne, że w cišgu trzydziestu lat widziano jš tylko dwa razy - zauważył Campbell.

Niezbyt dziwne - odparł Geordie. - Te wody sš raczej mało uczęszczane, zwłaszcza teraz, gdy silnik zajął miejsce żagli. Nie opłaca się płynć tu tylko w celach handlowych. - Położył dłoń na mapie. -

Jest kilka możliwości. Jedna z tych obserwacji była poprawna, a druga

błędna - wybierajcie, która jest która. Możliwe też, że obie były błędne; albo obie poprawne i Minerwa jest płyciznš wędrujščš - co się czasem zdarza.

Albo obie były błędne, a Minerwa mimo to jest wędrujščš płyciznš - powiedziałem sceptycznie.

- Albo sš dwie płycizny - wyraził przypuszczenie Campbell.

Rozemielimy się wszyscy. - Chwycilicie, o co chodzi -

pochwalił nas Geordie. Pochylił się znów nad mapš. - A więc

umieciemy te dwie lokalizacje w rodku prostokšta - dwadziecia

pięć na pięćdziesiąt kilometrów. Wymaga to przebadania tysišca

dwustu pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych, ale będziemy pewni.

Zacniemy od obydwu i będziemy posuwali się ku rodkowi.

- Spróbujmy dotrzeć od razu do sedna sprawy - zaproponował

Campbell. - Popłyńmy najpierw do każdego ze zlokalizowanych

miejsc i zobaczymy, co tam jest.

Geordie nie przejšł jednak tej koncepcji. - To zależy od pogody.

Nie zbliżę się do tych dwóch punktów, o ile morze nie będzie

wystarczajšco spokojne. Czytalicie, co napisał Robinson - że nie

było można odróżnić fal przybojowych od sztormowych. Moglibyśmy

znaleć tę płyciznę zbyt szybko i rozedrzeć dno "Esmeraldy".

Mamy echosondę - przypomniałem. - Powinna dać nam

znać, gdzie woda staje się płytsza.

Do diabła z niš! - zakłšł Geordie. - To ty jeste oceanografem

i powiniene wiedzieć, że te wyspy sš szczytami podwodnych gór.

Prawdopodobnie w odległości pół kilometra od Minerwy będzie głębia. Moglibyśmy płynąć po wodzie o głębokości dwudziestu sżni, a koralowa iglica wyprułaby nam flaki.

Masz rację, Geordie. Minerwa prawdopodobnie jest pšczkujšcym atolem. Dajmy jej jeszcze milion lat, a będzie prawdziwš wyspš.

Nie możemy czekać miliona lat - powiedział kwano Camp-

106

bell. - W porzšdku, ty jeste szyprem. Zrobimy porzšdne badania w obrębie twojego prostokšta.

Wzięliśmy się do roboty. Geordie ocenił, że musielibymy przejć co najwyżej w odległości dwóch kilometrów od Minerwy, aby jš zauważyć. Oznaczało to, że będziemy musieli przebyć około dwustu pięćdziesięciu kilometrów, żeby przebadać obszar tysišca dwustu pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych. Używaliśmy silnika jak najoszczędniej, ograniczyliśmy naszš szybkość do pięciu węzłów i mniej, i tym sposobem poszukiwania prowadzone wyłącznie przy wietle dziennym zajęłyby blisko dwa dni.

Pierwszy etap poszukiwań nie przyniósł żadnego efektu i wieczorem stanęliśmy w dryfie, wiedząc że jutrzejszego ranka okrelenie naszej aktualnej pozycji będzie piekielnš pracš, ze względu na szybkość dryfowania na tym obszarze oraz czynnik niepewności, wynoszący co najmniej jeden węzeł. Geordie zwrócił na to uwagę Campbellowi, aby uwiadomić mu, że nasze poszukiwania różniš się znacznie od po-

szukiwania pewnego terenu na lądzie, który przynajmniej pozostaje na miejscu. Campbellowi wcale się to nie podobało.

Tego wieczora, wolnego od pracy na pokładzie, załoga podczas kolacji zasypała mnie pytaniami. Wszyscy byli ciekawi i pomyślałem, że to nie jest właściwy sposób postępowania z nimi - byliby bardziej przydatni i mieli więcej zapału, gdybymy przynajmniej częściowo wtajemniczyli ich w tę historię. Ponadto ciekawiła mnie reakcja Kane'a, a tak się złożyło, że był on wśród członków załogi nie pełniących w tym czasie wachty.

O co w tym wszystkim chodzi? - zapytał Ian Lewis.

Włanie, czego my tu szukamy?

Spojrzałem na Geordiego, napotkałem jego wzrok i lekko skinłem głową. - W porządku, chłopcy, szukamy tu czego trochę dziwnego.

Byli bardzo przejęci; zrozumiałem, że mam rację, rozmawiając z nimi o tym.

- Czy słyszeliście o Minerwie?

Oprócz pomruków i gestów przeczenia nie wywołało to niczyjej reakcji, z wyjątkiem jednej osoby. Kane gwałtownie podniósł głowę. -

Recife de Minerve! - powiedział z barbarzyńskim akcentem. Wszyscy odwrócili się teraz, by spojrzeć na niego. - Tego szukacie? Jeli tak, to słowo daję, życzę nam wszystkim powodzenia! - Zachichotał, ciesząc się chwilą swej przewagi nad pozostałymi członkami załogi.

- Co to takiego?

Opowiedziałem im pokrótce o przedmiocie naszych poszukiwań

i o jego zwodniczej naturze.

107

Ale po co to wszystko? - chciał wiedzieć Danny Williams.

No cóż, to jest ekspedycja oceanograficzna - odrzekłem -

a faceci tacy jak ja zawsze interesują się tajemniczymi rzeczami - na tym polega nasz zawód. Rozumiecie, wody wokół nowo tworzącej się wyspy są czym fascynującym.

Zaakceptowali to wyjawienie, chociaż posłyszałem, jak Danny powiedział cicho do swego sąsiada: - Zawsze uważałem, że ci naukowcy mają lekkiego wira, a to, co usłyszałem, potwierdza moje zdanie.

Wkrótce wszyscy umilkli, jakby stali się nieco bardziej czujni wobec rozciągającego się wokół w mroku nocy morza, a wtedy podszedł do mnie Kane i szepnął cicho, tak, żebym tylko ja go słyszał.

- Hm, to ma co wspólnego z pańskim bratem, panie Trevelyan?

Byłem ostrożny. - Dlaczego pytasz?

- No, on pracował w tej samej branży, prawda? I umarł niezbyt daleko stąd. Czy on nie szukał czegoś z tamtym facetem?

Spojrzałem w ciemność ku północnemu wschodowi, gdzie w odleg-

łości stu mil morskich za niewidocznym horyzontem leżały wyspy

Tuamotu. - Tak, umarł niedaleko stąd, ale nie sądzę, żeby miał z tym

coś wspólnego. Nie jestem tu szefem, wiesz o tym. To wyprawa

Campbella.

Kane zachichotał drwiśco. - Szukać Minerwy! To tak, jakby

w czarnej jak węgiel piwnicy szukać Murzyna - którego w dodatku tam nie ma. - Pozostał jeszcze chwilę, gdy jednak nie wyciśgnął ze mnie nic więcej, odszedł, po czym w ciemności znów posłyszałem jego chichot. Uwiadomiłem sobie, że mam zacinięte pięci.

Następnego dnia wstaliśmy z Geordiem przed wschodem słońca.

Mielimy nadzieję, że nie będzie chmur, gdyż chcielibyśmy określić swoją pozycję. Dokonywanie obserwacji astronomicznych o wicie jest trudne i trochę niepewne, ale musieliśmy w miarę możliwości ustalić, jak daleko zniosło nas w ciągu nocy, bo inaczej nasze poszukiwania byłyby daremne.

Geordie wziął właśnie do ręki stoper, kiedy powiedziałem mu o pytaniu Kane'a. - Robi się wcibski, no nie? - skomentował.

Nie wiem, to pytanie było naturalne.

Nawiasem mówiąc, nie żałuję, że powiedziałem chłopcom. Inaczej denerwowaliby się. Gdyby był na pokładzie statku, który na rodku Pacyfiku nagle zaczyna pływać w kółko, to chciałby wiedzieć dlaczego, prawda? Ale zastanawia mnie Kane - doć szybko powiśzał to z Markiem.

Powiśzał to w sposób naturalny. Niech go diabli, umiejętnie przedstawia siebie jako niewinnego, prawda? - Posłyszałem gorycz

108

w swoim głosie i byłem zadowolony, że mogłem przestać się zajmować tym tematem. - O, już jest słońce!

Geordie złapał słońce sekstantem, a potem powiedział: - No cóż,

zobaczymy, gdzie jesteśmy. - Poszliśmy do kabiny nawigacyjnej, Geordie obliczył naszą pozycję i naniósł ją na mapę. - Zniosło nas przez noc około siedmiu mil. Jest tu przed płynący z szybkością trochę ponad pół węzła na południowy wschód. Dobrze, teraz, gdy wiemy, gdzie jesteśmy, możemy obliczyć, dokąd płynąć.

Przystąpiliśmy do poszukiwań. Geordie na przednim maszcie umieścił marynarza, którego zmieniano co godzinę, ponieważ olepiący blask morza mógł powodować zmęczenie oczu. Postawił też drugiego na dziobie, z surowym poleceniem, by patrzył prosto przed siebie - nie chciał, żeby Minerva znalazła nas. Mogłoby to oznaczać katastrofę.

Dzień był całkowicie stracony. Miał podniecające momenty, jak wtedy, gdy dostrzeżono Minewę, lecz okazało się, że to tylko delfiny igrały na falach, ku uciesze Klary i innych szczerów lądowych. Poza tym nie było nic. Znowu stanęliśmy w dryfie i przeczekałimy drugą noc. Następny dzień był w dużej mierze powtórzeniem poprzedniego.

Ostatni etap poszukiwań prowadził bezprecedensowo przez obie zarejestrowane pozycje Minerwy, a my byliśmy pełni obaw, bo wiatr skręcił ku północy i na wzburzonych falach pokazały się białe baranki.

Wieczorem odbyliśmy konferencję w kabinie nawigacyjnej.

Co mylicie? - zapytał Campbell. Był szorstki i zdenerwowany w najwyższym stopniu.

W ciągu ostatnich trzech czy czterech godzin mogliśmy ją przeoczyć. Te grzywacze bynajmniej nie ułatwiały nam zadania.

Campbell grzmotnął pięciś w stół. - Więc zrobmy to jeszcze raz.

Nie wszystko - ostatni kawałek. - Wyranie zawziśł się, żeby tak postšpić.

Geordie spojrzal na mnie. - Powiedz mi: kiedy znajdziesz Minerwę, co z niś zrobisz?

Do licha, to głupie pytanie - odparłem, ale zaraz zmieniłem zdanie, gdy zrozumiałem, do czego zmierza.

Prawdopodobnie jesteśmy teraz nie dalej niż pięć mil morskich od Minerwy. Mówiłem, że warunki, które wytworzyły nasze rekordowe bryłki, miały charakter lokalny. Co właściwie rozumiesz przez "lokalny"?

Nie dowiem się, dopóki nie znajdę tego miejsca. Może to być obszar dwudziestu pięciu kilometrów kwadratowych, a może mieć i sto trzydzieci tysięcy kilometrów.

109

- Myle, że powiniene tu opuć swój czerpak i zobaczyć, co można znaleźć. Być może jesteśmy w samym rodku twojego "lokalnego obszaru".

Poczułem się bardzo głupio. W tej mieszaniu nadziei i nudy, która wypełniała dotychczas nasze dwudniowe badania, zapomniałem, po co naprawdę tu jesteśmy - a to przecież ja układałem plany działania na poczštku rejsu. - Masz rację, Geordie. Straciliśmy trochę czasu i to jest moja wina. Oczywiście możemy czerpać próbki, a jednocześnie nadal wypatrywać Minerwy.

Campbell i Klara wyrzucili się rozchmurzyli. Perspektywa, że będziemy robili co innego niż powolne krążenie tam i z powrotem, była nęcąca; zastanawiałem się jednak, jak długo będzie trwało to nowe zainteresowanie, zanim też zaniknie. Nie miałem żadnej nadziei na wielkie odkrycie. Zaczęłem przygotowywać wyciągarkę do działania. Morze było lekko wzburzone i pocętkowane białymi grzywaczami, a "Esmeralda" przechyliła się trochę, gdy ustawiliśmy wyciągarkę na burcie. Dzięki przeprowadzonym wcześniej ćwiczeniom, poszło to dosyć gładko, chociaż musiałem wziąć Campbellów na stronę i zwrócić im uwagę, że nie powinni przejawiać zbytniego zapału - dla innych miała to być normalna procedura badawcza.

Echometr zarejestrował głębokość nieco mniejszą niż cztery kilometry.

Tego dnia pobralimy próbki z dna w dwóch miejscach, a następnego - w pięciu. Dwa razy działania te zostały przerwane, gdy zaobserwowaliśmy coś, co bardzo przypominało rafę koralową, znajdującą się jakieś metrów pod wodą, lecz w obu przypadkach okazało się, że są to masy zielonkawych wodorostów pływających na powierzchni. Były też fałszywe alarmy, gdy zauważono ławice ryb. Ja miałem mnóstwo pracy w laboratorium przy analizowaniu wydobytego z dna materiału, w których często znajdowały się także cząsteczki pochodzenia wulkanicznego - ucieszyło mnie to, ponieważ potwierdziło niektóre z teorii, które rozważałem w myśli. Wydobyliśmy wiele bryłek manganowych, lecz wyniki analiz były słabe, co bardzo

rozczarowało innych, ale nie mnie. Ja nie spodziewałem się niczego.

Przy niadaniu, pod nieobecność reszty załogi, pokazałem Camp-

bellowi plik papierów z obliczeniami. - Włanie takiego materiału

można było tu oczekiwać. Wysoka zawartość manganu, niska kobaltu.

W istocie kobaltu jest mniej niż zwykle - tylko dwie dziesiąte procentu.

Głos zabrał Geordie: - Pobieraliśmy próbki tylko na zachód od

tego miejsca, gdzie według nas znajduje się Minerwa - a co z naszymi

poszukiwaniami po wschodniej stronie?

110

Zgodziłem się, a on powiedział: - W porządku, popłyniemy tam

dzisiaj.

Demontowanie wciśgarki i stawianie żagli na tak krótki rejs nie

miało wiele sensu, więc zaraz po niadaniu uruchomiliśmy silnik

i w ten sposób przepełniliśmy te parę kilometrów. Morze znów się

uspokoilo, falowało tylko łagodnie pod podmuchami pasatu i nie

tworzyły się grzywacze, co ułatwiało obserwację.

Była to wachta Iana Lewisa, ale ja zastępowałem go przy sterze.

Nie miałem dużej praktyki żeglarskiej, więc chciałem poduczyć się

trochę, kiedy tylko mogłem, przy spokojnej pogodzie i pod czujnym

okiem Iana lub Geordiego.

Klara siedziała obok rozmawiając ze mną. - To jest życie! -

powiedziała. - Miałam dziś latającą rybę na niadanie. Taffy schował

ją dla mnie - myślę, że się we mnie kocha.

Twój ojciec nie jest z tego zadowolony - zauważyłem.

Biedny tata, jest taki rozczarowany. Ale tak samo jest z każdym jego nowym przedsięwzięciem, Mikę. Dopóki idzie mu dobrze, jest u szczytu szczęścia, a kiedy co zawodzi, spada na samo dno. Ciśgle mu powtarzam, że dostanie wrzodów żołądka.

Podobno jest to choroba ludzi bogatych, tak samo jak art-retyzm. To go powinno pocieszyć - powiedziałem. - Tylko...

W tym momencie z dziobu rozległ się załamujący się z podniecenia głos Danny'ego Williamsa.

- W lewo! W lewo! Ster lewo na burt!

Kto inny zaczął krzyczeć.

Zakręciłem rozpaczliwie kołem sterowym i "Esmeralda" idąc na wiatr przechyliła się gwałtownie. Trzymając się kurczowo koła zdążyłem tylko dostrzec kipiela spienionych wód w świetle słońca, po czym ku mej ogromnej uldze znalazł się przy mnie Ian i przejął ster.

Puciłem go wpadając na Klarę, która także straciła równowagę.

Okrzyki i tupot bosych stóp uwiadomiły mi, że cała załoga wbiega na pokład, żeby zobaczyć, co się dzieje. Spostrzegłem echosondę i przez jedną nieprawdopodobną sekundę widziałem wskanik wietlny wirujący wokół tarczy. Wyglądało to tak, jak gdyby dno szło do góry, żeby w nas uderzyć.

Ian pozwolił "Esmeraldzie" nadal wykonywać zwrot przez sztag, aż spieniony obszar wód znalazł się wyprzedzając nami, a następnie wyrównał kurs; wskanik wietlny echosondy zawirował w przeciwną stronę równie szybko, Ian przymknął przepustnicę silnika, a ja wziłem

głęboki oddech, żeby się uspokoić. Geordie biegł ku nam po pokładzie.

- Co to było, u diabła? - krzyczał.

111

Mylę, że bylimy cholernie blisko rozbicia się o rafę - chyba jś znalelimy - wysapałem, mając jeszcze trudności ze złapaniem tchu.

Wszyscy tłoczyli się na rufie, by popatrzeć na kipiela jasnej, spienionej wody, lecz z miejsca, w którym się znajdowaliśmy, nie można już było dostrzec niczego pod nią. - O ile nie są to znowu ryby...

Nie, to rafa - stwierdził Ian. - Widziałem jś - wystawała z wody mniej więcej na trzydzieci centymetrów. A w dodatku wtedy piekielnie szybko robiło się coraz płycej.

Campbell wyszedł spod pokładu, wydawał się zaskoczony i niezbyt przytomny. Być może spał. - Co się stało?

- Sądzę, że znalelimy Minerwę.

Spojrzał za rufę i zobaczył to, co my wszyscy próbowaliśmy lepiej przeniknąć wzrokiem. - Co to? - rzucił z niedowierzaniem.

Czy to wszystko? - zapytała Klara. Niektórzy członkowie załogi, którzy nie byli żeglarzami, wydawali się tak samo zbici z tropu.

A czego wy wszyscy oczekiwaliście? Statui Wolności? - odparłem.

Mamy jś, chłopcy! Chociaż na końcu wiata, ale znalelimy jś! - Geordie był rozradowany i ożywiony, a zarazem bardziej niż kiedykolwiek niespokojny o bezpieczeństwo swego statku.

Kiedy Danny Williams pojawił się na rufie, wpadł w prawdziwy szal klepania po plecach. - Dobra robota, miały oczy otwarte - powiedziałem mu, a on wyglądał na bardzo zadowolonego.

- Boże, nigdy w życiu tak się nie bałem - owiadczył. - Pojawiła się ni stąd, ni zowąd - raz było już widać, raz nie. Myślałem, że ten cholerny statek wpadnie na niś. Był dosyć zręczny przy tym kole.

Usłyszałem pomruk uznania i teraz na mnie przyszła kolej, by wyglądać na zadowolonego.

Geordie zwrócił się do Iana: - Chciałbym, żeby utrzymywał "Esmeraldę" dokładnie w tym miejscu, gdzie jest teraz. Założę się, że jeśli staniemy w odległości paru kilometrów od rafy, to nigdy nie znajdziemy jej znowu. Chryste, całe szczęście, że jest prawie najniższy poziom wody, inaczej nie pokazałaby się w ogóle. W tym tempie wynurzy się tylko do mniej więcej metra.

- Będą tu kępy koralu dookoła - powiedziałem, potwierdzając ostrzeżenia Geordiego. - I głęboka woda między nimi a właściwie rafą. Poza tym będzie laguna. Tworzy się atol.

Zauważyłem, że wszyscy słuchają z zainteresowaniem, oprócz Iana i pełniących wachtę obserwatorów, więc nieco rozwinąłem swój wywód. - Ta iglica, która była pod nami, nie może być zbyt stara, bo w przeciwnym razie byłaby wyższa i mielibyśmy tu wyspę. Ale ten koral dopiero co zaczął się formować.

Co rozumiesz przez "dopiero co"? - zapytał podejrzliwie

Geordie.

W cięgu ostatnich pięciu czy dziesięciu tysięcy lat. Zorientuję się lepiej, kiedy będę mógł obejrzeć go dokładnie.

Przypuszczałem, że to powiesz. Ale go nie obejrzysz. Mylisz, że moglibyśmy dotrzeć do rodka tej płytki?

Wszyscy spojrzeliśmy za rufę w stronę Minerwy -jeli rzeczywiście była to Minerwa. - Nie - powiedziałem niepewnie. - Nie, chyba nie.

Campbell najwyraźniej miał na ustach jakie pytanie, które bardzo chciałby zadać, ale nie publicznie. Ruchy jego głowy i gwałtowne gesty wiadczyły, że pragnie zamienić kilka słów na osobności, więc wymknąłem się podnieconej cięgle załodze i razem z Klarš zeszlimy za nim na dół.

Tam Campbell zabrał głos: - Przepraszam, że przerwałem ten wykład czystej wiedzy, ale jaki to ma związek z bryłkami manganowymi? Czy mylisz, że teraz będziemy mieli więcej szczęścia?

Na tym właśnie polega kłopot - odpowiedziałem spokojnie - nie wiem, jak będzie z naszym szczęciem. Większość bryłek jest bardzo starych, lecz te Marka są stosunkowo młode. Miał on teorię, którą teraz zaczynam rozumieć, że tworzą się one bardzo szybko pod wpływem aktywności wulkanicznej. Tutaj aktywności wulkanicznej nie brakowało, ale jak na mój gust miała ona miejsce stanowczo zbyt dawno. Było dosyć czasu na długi, powolny wzrost koralu, a to nie całkiem pasuje.

A więc to jeszcze jeden cholerny fałszywy alarm - powiedział ponuro Campbell.

Niekoniecznie. Mogę się mylić. Jest to do ustalenia jedynie przez czerpanie próbek.

3

Więc czerpalimy.

Kiedy tylko było to możliwe, Geordie przeprowadził dokładne obserwacje rafy. - Rozstrzygnę sprawę raz na zawsze - owiadczył. - Będziemy krążyć wokół rafy ostrożnie i niezbyt blisko, dokonując ciśnień pomiarów głębokości i nanosząc na mapę wszystko, co zobaczymy. A potem postanowimy, co robić dalej.

Po przyjęciu jego warunków wyruszyliśmy. Geordie podprowadził "Esmeraldę" na tyle blisko, na ile się odważył i czerpak powędrował za burtę. Wyobrażałem sobie, jak opuszcza się w dół na końcu liny

113

8 - Noc błędu

niby ogromny stalowy pajśk, opadając wzdłuż nieprawdopodobnych urwisk Minerwy i pogłębiając się coraz głębiej w otchłań.

Operacja ta nie przyniosła żadnych rezultatów - bryłek manganowych nie było w ogóle.

Nie przejąłem się. - Oczekiwałem tego. Opłynęmy Minerwę dookoła i spróbujmy znów z drugiej strony. - Popłynęliśmy więc wzdłuż płycizny i spróbowaliśmy znowu, z tym samym wynikiem - bryłek brak.

Pomyślałem, że prawdopodobnie były na tym obszarze, lecz wszystko popsuło wypiętrzenie naszej ulubionej rafy. Teraz już wszyscy nazywaliśmy ją Minerwś, chociaż Geordie i ja zdawaliśmy sobie sprawę, że może to być zupełnie inna rafa - okoliczne wody były znane z wędrujących płycizn, czyli vigias. Postanowiłem spróbować w większej odległości od tego ródła zakłóceń.

Tym razem zaczęliśmy znajdować bryłki, które wydobywaliśmy jak worki kartofli. Znow byłem zajęty w laboratorium, lecz ogarnęło mnie przygnębienie. - To jest materiał standardowy - powiedziałem mojemu małemu gronu słuchaczy. - Wysoka zawartość manganu, niska kobaltu, tak samo jak przedtem. Ponadto jest tu zbyt głęboko, by wydobywać je w celach komercyjnych. Ale badania przeprowadzimy solidnie. - I dzień po dniu czerpalimy próbki, ciśgle dokonując zmian pozycji, a wyniki moich analiz nadal wiadczyły o nieskuteczności naszych usiłowań.

Pewnego wieczoru Geordie i ja porozumieliśmy się ze sobą i postanowiliśmy zakończyć tę imprezę. Wypłynęliśmy z Panamy przed przeszło dwoma, niemal trzema tygodniami, a zależało mi na tym, żeby dotrzeć do Thaiti przed przybyciem "Eastern Sun". Geordie nie obawiał się o stan zapasów, ani nawet wody - dzięki jego starannemu planowaniu moglibyśmy w razie potrzeby pozostawać na morzu do szeciu tygodni -*- ale zdawał sobie sprawę, że tego typu działalność, czy raczej bezczynność, zaczyna denerwować załogę, składając się po części z ludzi, którym niemal obiecał podniecające przygody. Campbell

był już gotów rzucić wszystko w diabły. W poszukiwaniach lśdowych byłby bardziej wytrwały, lecz tam nie podejmował decyzji w cišgu pierwszych dni przeznaczonych na ogólne rozpoznanie, zwykle stopniowo dochodził do niej. Postanowiliśmy więc ogłosić koniec poszukiwań i następnego ranka odpłynšć do Thaiti. Wiadomoć tę wszyscy przyjęli z ulgš, najwidoczniej wygasło już podniecenie, wywołane znalezieniem poszukiwanej przez nas rafy. Campbell przeszedł ciężkim krokiem przez pokład ku zejciu, miał zgarbione plecy. Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z tego, że nie jest to młody człowiek.

114

Mocno go to ruszyło - powiedziałem.

No, tak - potwierdził Geordie. - Co będziemy robić teraz -
gdy już opucimy Papeete?

Dużo o tym mylałem. Gdyby nie ten przeklęty pamiętnik,
to Rafa Minerwy byłaby ostatnim miejscem, w którym szukałbym
bryłek o wysokiej zawartoci kobaltu, ale bazgroły Marka za-
pnotyzowały nas.

Nie wiemy nawet, czy miał on na myli Minerwę. Czy sšdzisz,
że był na fałszywym tropie?

Nie wiem, na jakim był tropie - to jest włanie cholerne.

Przekartkowałem tylko jego notatniki, zanim je ukradziono, i niewiele
mogłem przez ten czas przyswoić. Ale jedna rzecz cišgle się tam
pojawiała, a była to kwestia zjawisk wulkanicznych.

Wspominała już o tym wczynie - zauważył Geordie. - Czy

zapoznasz mnie z tš tematykš?

Mylę, że warto zrobić jeszcze jeden mały wykład - ale chcę zaprosić na niego także Campbella i Klarę. Zwróci to ich myli w innym kierunku. Geordie, zbierzcie się tu we troje po obiedzie i postaw jednego z chłopców na straży, żeby nie pozwolił się zbliżyć Kane'owi. Tak czy owak, będš myleć, że to narada wojenna.

Tak więc jeszcze tego samego wieczora stanšłem przed swojš małš klasš. Na stole rozłozylę mapę fizycznš dna morskiego na kuli ziemskiej.

- Zapytalicie mnie kiedy, skšd się bierze mangan, a ja odpowiadzałem, że z rzek, ze skał i z aktywnoci wulkanicznej. Od tego czasu parę razy zastanawiałem się poważnie nad tš ostatniš kategoriš.

Ale na początek przypomnijmy sobie, że w Pacyfiku pełno jest bryłek manganowych, podczas gdy w Atlantyku nie ma ich wcale. Dlaczego?

Ta metoda pedagogiczna, polegajšca na domaganiu się odpowiedzi od klasy, jest zawsze skuteczna. - Mówiłem, że ma to co wspólnego z osadami - przypomniał Geordie.

- To jest odpowied ortodoksyjna. Nie jest ona zupełnie fałszywa, jeli bowiem tempo osadzania się jest wysokie, to bryłki przestajš rosnąć - zostajš pokryte osadami i tracš kontakt z wodš morskš, koloidalnym medium. Dzięki Amazonce i Mississipi tempo osadzania się jest w Atlantyku doć duże, ale nie sšdzę, żeby to było wystarczajšce wyjanienie. Chcę wam co pokazać.

Wszyscy pochylili się nad mapą.

- Pewien fakt dotyczący Pacyfiku rzuca się w oczy: ten ocean jest otoczony ogniem. - Mój ołówek zakreślił linię, zaczynając się w Ameryce Południowej. - Andy są wulkaniczne, tak samo Góry

115

Skaliste. - Zawisł nad północnoamerykańskim wybrzeżem Pacyfiku. -

Tu jest Uskok świętego Andrzeja, przyczyna trzęsienia ziemi w San

Francisco w 1908 roku - Moja ręka przeniosła się wielkim łukiem nad

Północnym Pacyfikiem. - Czynne wulkany są tu, na Aleutach i w całej

Japonii. Nowa Gwinea jest bardzo wulkaniczna, podobnie jak wszystkie

wyspy dookoła; tu jest Rabaul, miasto otoczone szczytami

- wszystkie są czynne. Dawniej było ich pięć, lecz w 1937 roku było

trochę zamieszania: Wyspa Wulkanów w ciągu dwudziestu czterech

godzin przekształciła się w duży stożek, przy czym zginęło trzystu ludzi.

Przesunąłem rękę dalej na południe. - Nowa Zelandia - wulkany,

gejzery, gorące źródła - wszelkie oznaki. Jeszcze dalej na południe do

Antarktydy i mamy dwa cholernie duże wulkany - Mount Erebus

i Mount Terror. To zamyka koło - podróż dookoła Pacyfiku.

Teraz zajęłem się obszarami leżącymi bardziej na wschód. - Pod

względem zjawisk wulkanicznych Atlantyk jest obszarem dość spokoj-

nym, może z wyjątkiem Islandii. Był olbrzymi wybuch Mount Pelee .tu

na Karaibach, ale jak widzicie, jest to tuż za kręgiem Pacyfiku -

a Krakatau jest w nim, po drugiej stronie Jawy. Jedyne miejsce, gdzie

można znaleźć pewną ilość bryłek manganowych, to Czarne Plateau

- a jest interesujące, że to Plateau znajduje się dokładnie tam, gdzie przepływa prąd z Karaibów, które, jak już wspomniałem, są wulkaniczne.

Geordie, dotychczas pochylony nad mapą, wyprostował się.

Masz diabło dużo miejsc do wyboru.

Na tym polega problem. Ponadto w dnie Pacyfiku są wulkany, o których nie wiemy - do diabła, obecnie jesteśmy niemal dokładnie nad szczytem jednego z nich. Wiemy jednak, iż istnieje obszar bogaty w kobalt, i stawiam w zakład swoją reputację, że znajdziemy go na terenie wulkanicznym.

Jeli rozumiem cię właściwie, to bryłki manganowe w Pacyfiku, te zwykłe, które występują w największej liczbie miejsc, wzrastały powoli przez miliony lat w wyniku długotrwałej aktywności wulkanicznej - powiedział Campbell. - Ty jednak sądzisz, że są miejsca, gdzie bryłki te mogły rosnąć szybciej pod wpływem szczególnej, niedawnej aktywności wulkanicznej.

O to właśnie chodzi - i dzięki szybkiemu wzrostowi będą one miały wysoką zawartość kobaltu, dużą zawartość niklu i tak dalej.

Metale te są zatrzymywane wtedy, gdy znajdują się dookoła, zanim rozproszą się we wszystkich wodach Pacyfiku.

Hm. To jeszcze nie mówi nam, gdzie ich szukać.

Chcę trzymać się zachodniego Pacyfiku - owiadczyłem

116

zdecydowanie. - Jest tu mnóstwo znanych wulkanów podmorskich,

a lepiej szperać tu naokoło niż tracić czas. - Miałem też oczywiście inne powody - chciałem rozpocząć swoje dochodzenie w sprawie mierci brata, lecz aż nazbyt dobrze zdawałem sobie sprawę z tego, że w oczach Campbella realizacja komercyjnego przedsięwzięcia jest głównym, a może jedynym uzasadnieniem naszych działań. On także miał pewien motyw osobisty, lecz niekoniecznie wystarczający.

Było wiele spraw do przemyślenia i rozmowa nie kleiła się.

Niebawem zabrał głos Geordie. - W porządku, płynmy do Papeete, zobaczymy, co zadecydujemy po drodze - oznajmił stanowczo.

4

Do Tahiti płynęliśmy pod żaglami, kierując się najpierw na południe, żeby ominąć wyspy Tuamotu, a następnie szliśmy już kursem bezprecedensowym. Geordie nie chciał żeglować przez ten archipelag, skoro nie było to konieczne; jego nazwa, jak nam powiedział, oznacza "Wyspy Niebezpieczne", i rzeczywiście nie są one wcale mniej niebezpieczne, niż by wynikało z nazwy - jest to ogromny obszar, pełen koralowych atoli i najeżony ostrymi zębami raf, przy czym nie wszystkie są zaznaczone na mapach.

Oceniłem, że powinniśmy dotrzeć do Papeete w tym samym mniej więcej czasie co "Eastern Sun", jeśli statek ten będzie się trzymał opublikowanego rozkładu rejsu. Oczywiście chciałem, abymy dopłynęli jako pierwsi - nie miałem ochoty pozostawić tam Pauli bez ochrony.

W tej fazie rejsu Campbell ożywił się wyranie i podjudzany przez Klarę stopniowo odzyskiwał swą energię. Rozmawialiśmy nadal

o naszych perspektywach - starałem się go przekonać, że nie porywamy się z motyką na słońce, lecz w rzeczywistości sam nie byłem o tym zbyt mocno przekonany, co mnie bardzo martwiło. Klara znowu lęczała nad pamiętnikiem Marka, usiłując wyjanić jeszcze parę tajemnic. Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że się jej to nie uda - dosyć mieliśmy kłopotów z Recife de Minerve. Schowała reprodukcje tekstu i rysunków, lecz przedtem przerysowała te bazgroły do swego notesu i studiowała je skrycie od czasu do czasu.

Żeglowało się dość przyjemnie, nie było jednak tego radosnego ożywienia, które panowało w pierwszej części naszego rejsu z Panamy. Mimo decyzji, że zaczynamy od nowa, wszyscy byliśmy trochę przygnębieni. Poza tym długo już przebywaliśmy na morzu i odczuwaliśmy nieprzepartą chęć, by znów pochodzić po stałym lądzie.

117

Wszyscy więc przyjęliśmy z ulgą zapowiedź Geordiego, że Tahiti jest już blisko i możemy je ujrzeć w każdej chwili. Lunch jedliśmy na pokładzie, a konwersacja była swobodna i beztroska. Klara siedziała w pewnej odległości, cisgle studiując te cholerne rysunekzki.

Ląd prosto z dziobu! - zawołał Taffy Morgan i wszyscy podnieśli się z miejsc, by po raz pierwszy spojrzeć na Tahiti. Była to tylko mała plamka na horyzoncie i musiało jeszcze upłynąć sporo czasu, zanim mogliśmy rozróżnić więcej szczegółów. Pochwaliliśmy nawigację Geordiego, a potem staliśmy beczynnie przy relingach obserwując, jak plamka zyskuje coraz wyraźniejsze kontury, kiedy do

Klary podszedł Kane.

Zostawiła to pani na pokładzie, panno Campbell. Mogło spać za burtę.

I podał jej notes, otwarty na tych stronach, na których widać było kilka rysunków Marka. Wszyscy patrzyliśmy na to w zupełnej ciszy.

Dziękuję, panie Kane - powiedziała chłodno Klara.

Nie wiedziałem, że umie pani rysować.

Nie umiem, w każdym razie niezbyt dobrze.

Kane wyszczerzył zęby w uśmiechu i przytknął w otwarte strony.

- Na to wygląda - zgodził się. - To ładna krowa, trzeba przyznać, ale ten sokół wydaje się dość chudy i obszarpany.

Klara zdobyła się na uśmiech i wzięła od Kane'a notes. - Tak, nigdy nie będę artystką - powiedziała.

Geordie odezwał się szorstko: - Kane, czy już splisowałeś ten nowy fał?

- Zaraz to zrobię, panie szyper, nie ma strachu. - Odszedł dziarskim krokiem, a ja dopiero teraz odetchnąłem. Klara szepnęła cicho: - O Boże, tak mi przykro.

Campbell poczekał, aż Kane znikł z oczu i upewnił się, że nikt inny nie może nas usłyszeć. - Klaro, to chyba najgorsze głupstwo, jakie można było zrobić.

Przecież powiedziałam, że mi przykro.

Nie sądzę, żeby to miało jakie znaczenie - wtrąciłem spokoj-

nie. - To nie jest oryginalny pamiętnik - nie ma w nim odręcznych zapisków Marka. A zgodnie z tym wszystkim, co wiemy, Kane nie zdaje sobie sprawy, że ten pamiętnik w ogóle istnieje.

Kto może zdawać sobie sprawę - zauważyła Klara. - Ten typ, Ramirez, który wysłał ludzi, żeby ukradli rzeczy Marka - on może wiedzieć o pamiętniku.

Jeli Kane zajmuje niskie miejsce w ich hierarchii, to nie wie

118

wszystkiego. Nie sǔdzę, aby to, co zobaczył, miało jakiegokolwiek znaczenie. Zapomnij o tym.

Klara spojrzała znów-na rysunki i nagle umiech usunǔł z jej twarzy wyraz napięcia. - Teraz, kiedy Kane wspomniał o krowie, mylę, że chyba rozwikłałam jeden z tych okropnych kalamburów Marka. Ale nie podniecaj się, tato - to tylko wysunięte na chybił-trafił przypuszczenie.

Wskazała krowę i narysowane obok spłaszczony pólkole.

Czytałam sporo i znalazłam gdzie, że wyspy Tuamotu mają też innǔ nazwę - Wyspy Nizinne (Low Islands). Ten spłaszczony przedmiot to nizinna wyspa na morzu. Obok napisał słowo "lub" (OR) i narysował krowę. Oba te rysunki odnoszǔ się do tego samego miejsca - wysp Tuamotu.

Na miłość boskǔ, dlaczego? - zapytał Campbell.

Krowy mówiǔ "muu" - one ryczǔ (ang. low) - i wybuchnęła miechem. Musiałem przyłǔczyć się do niej; nawet Campbell zaczął się

umiechać, gdy zrozumiał żart. Jeli Klara miała rację, to był to dobry żart. O incydencie z Kanem przestaliśmy myśleć.

Gdy "Esmeralda" zbliżyła się do Tahiti, morze ustąpiło miejsca mglistozielonym górcom, a potem, gdy żeglowaliśmy wzdłuż wybrzeża, zobaczyliśmy falę przybojową załamującą się na plażach. Wszyscy zaczęliśmy marzyć o zimnym piwie na lądzie.

Papeete, Perła Pacyfiku, to miłe miasto ze wszystkimi zwykłymi urządzeniami, bankami, szpitalem, sklepami i tak dalej, lecz także zbiorowisko blaszanych baraków, wybudowane na tropikalnej wyspie, a więc odrobinę plugawe; otoczenie jednak jest cudowne. Po przybyciu tam przycumowaliśmy niemal przy głównej ulicy, a niewiele jest portów na wiecie, w których można to uczynić. Z przystani widoczna jest w odległości dziewięciu mil morskich wyspa Moorea, wulkan, który wybuchnął w zamierzchłej przeszłości, pozostawiając galimatias szczytów i iglic pochyłonych pod nieprawdopodobnymi kątami. Jest to jeden z najwspanialszych widoków wiata, a jednak niełatwo mu zrekompensować wszystkie niedogodności zwiększane z zamieszkiwaniem w Papeete.

W przystani rozglądałem się dookoła szukając "Eastern Sun", lecz nie było go nigdzie; próbowałem więc zrelaksować się, gdy czekaliśmy na odprawę celną. Campbell był niespokojny, bardzo zależało mu na tym, żeby zejść na ląd i sprawdzić, czy na pocztę jest coś dla niego. Nie miał wiadomości o ekspedycji Suareza i Navarro. Ja także nie byłem zbyt cierpliwy. Chciałem uzyskać

odpowiedź na pewne pytania, więc zamierzałem dołożyć wszelkich

119

starań, żeby zobaczyć się z gubernatorem. Uważam, że należy zaczynać od samej góry.

W końcu zjawił się celnik, przeprowadził bez popiechu dokładną kontrolę i odszedł; teraz mogliśmy wreszcie zejść na brzeg. Przedtem jednak zapytałem go, kiedy ma przybyć "Eastern Sun" a wtedy wydarzył się jeden z tych rzadkich cudów, jakie przytrafiają się w życiu.

- Ten statek wycieczkowy, monsieur? Może tu być w każdej chwili, słyszałem przez radio. Według rozkładu przychodzi jutro.

Zanim wszyscy zniknęli ze statku, zagadnąłem Geordiego: -

Wymień mi dwóch najtwardszych facetów spośród tych, których tu masz.

Pierwszy na pewno będzie Ian Lewis - odpowiedział natychmiast. - A potem jest trudny wybór między Taffym i Jimem Taylorem.

Chodzi mi o takiego, który jest dobry w walce bez użycia broni.

Więc Ian i Jim. Taffy jest specjalistą od noża. Kogo chcesz załatwić?

Paula Nelson przybędzie jutro na "Eastern Sun", a to miasto jest dla niej niezdrowe. Chcę, żeby wyszedł jej na spotkanie, bo ciebie pozna, wziął ze sobą tamtych dwóch, zabrał ją i przyprowadził tutaj - cała i zdrowa. Każdy, kto spróbuje zrobić jej coś złego, ma być porządnie sflekowany.

Słuchał uważnie, a potem skinął głową. Wiedziałem, że Paula

będzie w dobrych rękach.

- W porządku, Geordie, pozostawiam wam swobodę użycia

waszych nieczystych metod. My będziemy chcieli wyposażyć na nowo

statek do rejsu tak, żebyśmy mogli odpłynąć w każdej niemal chwili,

więc ostrzeż załogę, żeby nie schodziła z drogi cnoty. Każdy, kto trafi do

więzienia, zostanie tam. Ja będę się starał o rozmowę z gubernatorem.

W głównym urzędzie pocztowym czekała na Campbella obfita

korespondencja. Zanim jeszcze zszedłem na ląd, wrócił dwigając plik

papierów i razem z Klarą zniknęli pod pokładem. Miałem nadzieję, że

da jej trochę wolnego czasu, i przyszło mi na myśl, żeby zaprosić ją

tego wieczoru na obiad. Byłoby miło jeść bez zbyt bliskiego sąsiedztwa

innych osób, lecz jeszcze milej z samą tylko Klarą. Zabrałem dokumen-

ty ze swojej kabiny i wyruszyłem do siedziby gubernatora. Okazało

się, że jest to le rozplanowana budowla w pónowiktoriańskim

tropikalnym stylu, otoczona dużym ogrodem.

Zgodnie ze swymi oczekiwaniami musiałem stoczyć formalną

utarczkę z całym zastępami urzędników niskiego stopnia, sekretarzy

itd., ale byłem wytrwały i w końcu wskazano mi pomieszczenie,

w którym miałem oczekiwać wezwania na krótką audiencję u guber-

120

natora. Był to wysoki mężczyzna o trupio bladej twarzy z cienkim

włoskiem. Siedział za imponującym biurkiem zawalonym papierami.

Nie wstał na powitanie, lecz wyciągnął do mnie rękę nad blatem.

Mister Trevelyan, co mogę dla pana zrobić? Proszę usiść.

Dziękuję, że zgodził się pan mnie przyjąć, monsieur... e ...

Nazywam się MacDonald - powiedział ku memu zaskoczeniu i umiechnął się widząc wyraz mojej twarzy. - Z wami, Anglikami, zawsze jest tak samo - nie możecie pojąć, dlaczego noszę szkockie nazwisko - a powinnicie wiedzieć, że jednym z marszałków Napoleona był MacDonald.

Pomyślałem, że to jeden z gambitów, stosowanych zwykle przez niego wobec gości z Anglii, więc zapytałem uprzejmie: - Czy jest pan jego krewnym?

Tak myślał mój ojciec, lecz po tych poronionych osiemnastowiecznych rewolucjach wielu Szkotów osiedliło się we Francji. Ja osobiście nie sądzę, żebym pochodził od marszałka Francji. - Przybrał bardziej urzędowy ton głosu. - W czym mogę panu pomóc, mister Trevelyan? - Mówił po angielsku płynnie, zaledwie ze ładem obcego akcentu.

Mniej więcej rok temu mój brat zmarł na Wyspach Tuamotu, na jednym z mniejszych atoli - powiedziałem. - Wydaje się, że w jego mierci jest coś tajemniczego.

MacDonald podniósł brwi. - Co tajemniczego, mister Trevelyan?

Czy wie pan coś o tej sprawie?

Obawiam się, że nic mi nie wiadomo o mierci pańskiego brata.

Po pierwsze, jestem tu od niedawna, w dodatku jako zastępca gubernatora; gubernator Francuskiej Polinezji wyjechał na urlop. Po drugie, nikt nie zapamięta szczegółów każdej mierci, każdego wypadku

na tak wielkim obszarze jak ten.

Ja nie określiłbym mierci, a może zamordowania mego brata jako wypadku; widocznie jednak gubernator zapatrywał się na tę sprawę inaczej. Zdołałem wyrazić swoje rozczarowanie nie opuszczając demonstracyjnie gabinetu, co niewłaściwie było jego pragnieniem, więc zdecydował się mnie wysłuchać.

- Mamy chyba co w aktach - powiedział i podniósł słuchawkę.

W czasie gdy rozmawiał, otworzyłem swój skoroszyt i wybrałem stosowne dokumenty.

Położył słuchawkę. - Mówił pan o jakiej tajemnicy, mister Trevelyan.

- Mark - mój brat - umarł na jakim bezimiennym atolu.

Leczył go doktor Schouten, który mieszka na wyspie zwanej Tanakabu.

121

Twarz MacDonalda wyciągnęła się. - Powiedział pan - doktor Schouten?

Tak. Oto fotokopia wiadectwa zgonu. - Podałem mu dokument, a on przestudiował go uważnie.

Wydaje się, że jest w zupełnym porządku.

Przytaknąłem sarkastycznie. - Tak, jest wypełnione dobrze - pod względem formalnym. Proszę zwrócić uwagę, że stwierdzono tu, iż mój brat zmarł na zapalenie otrzewnej po operacji wyrostka robaczkowego.

MacDonald skinął głową. Miałem kontynuować, lecz przeszkodziło

mi w tym pojawienie się urzędnika, który położył akta na biurku

MacDonalda. Ten otworzył skoroszyt i zaczął przeglądać jego zawartość. Przerwał tę czynność w połowie, podniósł głowę i przyjrzał mi się uważnie, po czym znów zatopił wzrok w papierach.

W końcu odezwał się: - Widzę, że Brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych prosiło o szczegóły. Tu jest ich list i odpowiedź mojego zwierzchnika.

- Mam ich kopie - powiedziałem.

Znów studiował dokumenty. - Wszystko wydaje się w porządku, panie Trevelyan.-

Położyłem na biurku jeszcze jedną fotokopię. - To jest uwierzytelniony odpis oświadczenia złożonego przez angielskiego lekarza, który stwierdził, że kilka lat temu usunął mojemu bratu wyrostek robaczkowy.

Przez chwilę nie docierało to do niego, a potem nagle zrozumiał.

Drgnął, jakbym go trafił harpunem, i szybko chwycił fotokopię.

Przeczytał ją kilka razy, po czym położył na biurku. - A więc wygląda na to, że doktor Schouten pomylił się - powiedział powoli.

- Tak by się wydawało - zgodziłem się. - Co pan wie o nim?

MacDonald rozłożył ręce. - Ani razu go nie widziałem - rozumie pan, on nigdy nie odwiedza Tahiti. Jest Holendrem i mieszka na wyspach mniej więcej od dwudziestu lat, udzielając pomocy lekarskiej ludności archipelagu Tuamotu.

Ja jednak pamiętałem grymas na twarzy gubernatora i miałem

poczucie, że wie on więcej.

- Sł z nim jakie problemy, nieprawdaż? Jest alkoholikiem?

Pije, tak - ale każdy pije. Ja też piję - odparł tonem łagodnej nagany. Najwyraźniej nie miał ochoty angażować się w tę sprawę.

Czy jest dobrym lekarzem?

Nigdy nie było żadnych skarg.

Pomyślałem o doktorze Schoutenie, mieszkającym na odległym

122

archipelagu, zdaleka od centrum administracyjnego w Papeete. Skargi na jego kwalifikacje zawodowe nic by nie dały, zwłaszcza jeśli większość jego pacjentów rekrutuje się spośród miejscowej ludności.

- Czy doktor Schouten przybył do Papeete z doniesieniem o mierci mojego brata? - zapytałem.

MacDonald zajrzał do akt. - Nie, nie było go tutaj. Poczekał na statek płynący do Papeete i wtedy przesłał list z załączonym wiadectwem zgonu. Nie zostawiłby swego szpitala, żeby odbyć tak długą podróż z powodu jednej mierci - rozumie pan, jest ich wiele.

A więc nikt nie widział mojego brata z wyjątkiem doktora Schoutena i dwóch mężczyzn, którzy go znaleźli - i nikt nie przeprowadził żadnego dochodzenia, nikt nie przesłuchał Kane'a, Hadleya czy doktora?

Pan się myli, mister Trevelyan. Nie znajdujemy się w centrum nowoczesnej, cywilizowanej metropolii. Wyspy Tuamotu są oddalone

o wiele setek kilometrów, a nasz personel administracyjny jest nieliczny -

ale zapewniam pana, że przesłuchania przeprowadzono. Naprawdę.

Pochylił się do przodu i zapytał chłodno: - Czy panu wiadomo, mister Trevelyan, że w tym czasie, kiedy pański brat zmarł, był on podejrzany o morderstwo i krył się przed policjś?

- Rzeczywiście słyshałem tę nieprawdopodobnś historyjkę. Takie schludne zamknięcie tej sprawy musiało być bardzo wygodne dla waszej policji.

To mu się nie spodobało i w jego oczach pojawiły się błyski. -

W Polinezji Francuskiej, istnieje pewien specyficzny problem. Wyspy te majś godnś pozazdrozczenia opinię ziemskiego raju. Dlatego też ciśgnś tu ludzie z całego wiata, spodziewajśc się beztroskiej i wygodnej egzystencji. Mylś, że będś mogli żyć, zbudowawszy sobie krytś strzechś chatkę i jedzśc owoce z drzew. Mylś się. Koszty utrzymania sś tu równie wysokie, jak wszędzie na wiecie. Ci ludzie, którzy tu przybywajś, sś często - nie zawsze - nieudanymi wytworami cywilizacji. Większoć odchodzi, gdy przekonajś się, że wyspy nie sś rajem, za jaki się je uważa. Inni zostajś i przyczyniajś nam kłopotów. Naszym zadaniem nie jest udzielanie pomocy zdegenerowanym włóczęgom, lecz utrzymywanie poziomu życia własnych obywateli. A kiedy jaki nikomu nieznanym biały, który już popadł w kłopoty, umrze, to nie robimy z tego powodu zbyt dużego zamieszania.

Postukał palcem w akta. - Zwłaszcza kiedy jest autentyczne

wiadectwo zgonu, które zdaje się być w porzśdku, zwłaszcza gdy

podejrzewamy, że może być mordercą, a już szczególnie wtedy, gdy

123

wymykał się tahitańskiej policji i uciekł, aby umrzeć na jakim atolu trzysta kilometrów stąd.

Z niejakiś trudności utrzymałem panowanie nad sobą. - Tak, rozumiem to wszystko, ale czy teraz przeprowadzi pan dochodzenie?

Mój brat - co łatwo może pan sprawdzić w tych dokumentach - był naukowcem, nie włóczęgą. I przyzna pan, że z tym wiadectwem zgonu co jest nie w porządku.

MacDonald wziął z biurka oświadczenie angielskiego lekarza. -

To prawda, nie można człowiekowi dwukrotnie usunąć wyrostka robaczkowego. Tak, na pewno porozmawiamy jeszcze z tym doktorem. - Zapisał co w notatniku. - Zamiast wysłać depezę do lokalnych władz, wyznaczę urzędnika, który osobiście przeprowadzi z nim rozmowę. Zrobię to przy najbliższej okazji, kiedy kto będzie płynął na wyspy Tuamotu.

Odchylił się do tyłu i czekał na moje podziękowania.

Kiedy to będzie? - zapytałem.

Mniej więcej za trzy miesiące.

Trzy miesiące!

Pański brat już nie żyje, mister Trevelyan. W żaden sposób nie mogę przywrócić mu życia. A poza tym jesteśmy ludmi bardzo zapracowanymi - zarządzam obszarem o powierzchni ponad dwóch i pół miliona kilometrów kwadratowych. Musi pan zdawać sobie

sprawę, że administracja nie może przestać funkcjonować, gdy my...

Nie proszę pana o wstrzymanie działań administracji. Proszę tylko o przeprowadzenie dochodzenia w sprawie mierci człowieka!

Zrobimy to - odparł spokojnie. - I stwierdzimy, że doktor popełnił błąd w dobrej wierze. Może pomylił dwóch pacjentów, którzy zmarli tego samego dnia. To nic nowego, ale szkoda byłoby zniszczyć go za jeden błąd. Na tych wyspach lekarze są nam potrzebni, mister Trevelyan.

Spojrzałem w oczy MacDonalda i uwiadomiłem sobie, że mam przed sobą kamienną cianę. Przez trzy miesiące nie zrobił nic, a potem cała sprawa zostanie zatuszowana i zasnuta biurokratyczną pajęczyną.

Napisałem na kawałku papieru adres mego adwokata. - Byłbym zobowiązany, gdyby poinformował mnie pan o wynikach waszego dochodzenia. Może pan napisać na ten adres.

- Powiadomię pana, mister Trevelyan. Jestem pewny, że wyjaśnienie będzie proste. - Podniósł się na pół z fotela, wyrzucił do zrozumienia, że audiencja skończona.

Poszedłem natychmiast do konsula brytyjskiego, lecz nie przyniosło

124

mi to żadnej satysfakcji. Konsul był wytworny i uprzejmy; dowodził jednak, że wszystko, co powiedział MacDonald, jest prawdą, i że pozostaje mi tylko czekać. - Niech się pan nie martwi, mister Trevelyan, oni zbadają tę sprawę. Ustal, czy stary Schouten się

pomylił.

Nie brzmiało to jednak przekonująco nawet dla niego samego.

- Jakiego rodzaju człowiekiem jest ten Schouten? - zapytałem. -

Mylę, że pan go zna.

Konsul wzruszył ramionami. - Typ starego wyspiarza - jest tu

od lat. Dawniej zrobił sporo dobrej roboty.

Ale ostatnio już nie?

No cóż, zestarzał się i...

Zagląda do kieliszka - dodałem złoliwie.

Konsul spojrzał ostro. - Niech pan go za bardzo nie potępia. Stracił

całą rodzinę, kiedy Japończycy dokonali inwazji na Nową Gwineę.

- Czy to usprawiedliwia umiercanie pacjentów? - powiedziałem

cierpko.

Nie było na to rozsądnej odpowiedzi; opanowałem się i zmieniłem

nieco temat.

Słyszał pan o człowieku nazwiskiem Jim Hadley?

Taki duży Australijczyk?

Tak, to właśnie on.

Oczywiście tutaj nie był nigdy - powiedział konsul. - Nie

było między nami żadnych oficjalnych kontaktów, ale widywałem go

w różnych miejscach. Jest tu dobrze znany jako facet dość bezwzględny,

taki, któremu lepiej nie wchodzić w drogę. Pański brat wynajął jego

szkuner na pewien czas.

Czy naprawdę jest taki nieokrzesany?

Zmarszczył brwi. - Niewštpliwie. Zupełnie nie nadawałby się na uczestnika tea party w konsulacie. Ja bym go nie polecał.

A co powiedziałby pan o facecie nazwiskiem Kane?

To ten drugi Australijczyk? Jego wspólnik, jak sšdzę - widywałem go z Hadleyem. Nigdy z nim nie rozmawiałem, ale obawiam się, że odpowiedź brzmi tak samo.

Proszę mi powiedzieć szczerze -- czy nie sšdzi pan, że administracja zwleka w tej sprawie?

Westchnął. - Będę musiał mówić bez ogródek, mister Trevelyan.

Pański brat zmarł w tym czasie, kiedy ukrywał się przed policjš. Był podejrzany o morderstwo. - Ponieważ chciałem mu przerwać, podniósł rękę. - Nie, niech pan mi nie mówi, że to mieszne.

Większość morderców ma braci, podobnych do pana, którzy nie chcš

125

uwierzyć w nic złego o swym najbliższym krewnym, zwłaszcza gdy słyszš to po raz pierwszy.

Wcale nie zamierzałem tego powiedzieć, ale wołałem nie zaprzeczać.

Kiedy zmarł, a wiadectwo zgonu podpisał wykwalifikowany lekarz, policja odwołała poszukiwania, co według mnie było zupełnie naturalne. W tej chwili administracja jest usatysfakcjonowana i nie ma powodu, by podejrzewać kogo innego. Ale wczniej czy póniej zabiorš się do zbadania nowego materiału dowodowego, jakiego pan im dostarczył.

Kiedy lady zostaną już zupełnie zatarte.

Naprawdę rozumiem pański punkt widzenia - rzekł konsul. -

Nie sǔdę, żebym mógł co na to poradzić. Ale będę próbował.

I tym musiałem się zadowolić.

Kiedy znów wszedłem na pokład "Esmeraldy", czułem się mocno przygnęiony. Spodziewałem się, że moje informacje będę niszczytel-
skim wstrząsem, a zostały potraktowane jak męczyca czkawka. Klara
była na pokładzie i zapytała pogodnie: - Prawda, jaka to piękna
miejscowość?

mierdzi tu - powiedziałem z goryczą.

Co cię tak rozwścieczyło? Wydaje się, że nie byłby zmartwiony,
gdyby cała ta wyspa zniknęła w morzu.

To ci cholerni Francuzi z kolonii. Sprawiedliwość - tak, ale
w żółwym tempie. Brytyjczycy też nie sǔ tu dużo lepsi.

Nie udało się z gubernatorem?

Ach, przeprowadź nowe dochodzenie za trzy miesiŕce - lub
za trzy lata. Gubernator nie chce utracić swego cennego Schoutena.

Gdyby zbyt dokładnie wejrzał w tę sprawę, mógłby być zmuszony
aresztować doktora za postępowanie nie licujŕce z etykŕ zawodu, a on
nie chce tego uczynić, więc nie przejmuje się tym wszystkim - zwleka
w nadziei, że sprawa ulegnie zapomnieniu. Ma dużo waŕniejszych
rzeczy do zrobienia, niŕ szukanie zabójcy Marka.

Klara okazała mi współczucie a ja zacząłem trochę się odprężyć. Po
chwili poczułem się już tak dobrze, że poprosiłem ją, aby zjadła ze mnŕ
obiad i ku mej radoci zgodziła się od razu. Tymczasem poprosiłem

i udałem się na poszukiwanie Geordiego; znalazłem go majstrującego przy silniku w asyście dwóch członków załogi. Wszyscy inni zeszli na ląd. Wziłem Geordiego na bok i opowiedziałem mu, co się zdarzyło.

Wytrzeł ręce z oleju i powiedział: - A więc zostało zablokowany.

- Na to wygląda, przynajmniej jeśli chodzi o pomoc ze strony władz.

- Czas wywrzeć pewien nacisk na Campbella. Bez niego nie

126

dostaniemy się nigdzie, jeśli chcemy spotkać się z Schoutenem. Szkoda, że nie możesz zinterpretować jednego z tych rysunków w taki sposób, aby oznaczał Tanakabu - albo może znalazłby jakie ważne naukowe powody, żeby tam popłynąć.

- Równie dobrze tam, jak gdzie indziej - mruknąłem ponuro. -

Popracuję nad tym.

Przez resztę dnia wędrowałem po mieście, szukając odpowiedniej restauracji; a kiedy nadszedł wieczór, Klara i ja oderwalimy się od codziennych trosk i przyjemnie spędziliśmy czas, unikając wszelkich tematów związanych z rejssem i dążąc do lepszego wzajemnego poznania. Campbell wynajął dla siebie i Klary pokoje w hotelu na czas naszego pobytu w Papeete, ale ja odrzuciłem jego propozycję, żebym także się tam zatrzymał, więc na zakończenie wspólnego wieczoru odprowadziłem Klarę do jej nowego tymczasowego domu i wróciłem na statek. Czuję się zmęczony, lecz dosyć szczęśliwy. Nazajutrz wczesnym rankiem zobaczyłem "Eastern Sun" wpływający do przystani. Geordie

wraz z Ianem i Jimem zniknęli ze statku, a ja wędrując po pokładzie spotkałem Danny'ego Williamsa, który właśnie wrócił z miasta.

Dzień dobry, Mike - odezwał się. - Akurat skończyłem swoją detektywistyczną robotę.

Co się dzieje?

Szyper powiedział niektórym z nas, żebyśmy mieli Kane'a na oku. Wczoraj był na poczcie i tak dalej, a potem utknął w lokalu zwanym "Bar Quina". Dzisiaj kazałem Nickowi chodzić za nim i wysłałem Billa, żeby znów pokręcił się koło Quina - mylimy, że to jego miejsce spotkań. Wczoraj pytał tam o kogo.

Niele - pochwaliłem. - Ale dlaczego nie ty sam? Masz dość zabawy w glinę?

Uważałem, że lepiej będzie się wycofać. Chodziłem za Kanem po całej Panamie i pomyślałem, że gdybym tu robił to samo, on mógłby się połapać.

Skinąłem głową z zadowoleniem. Danny robił użytek ze swego mózgu. Po chwili na pokład weszli Campbell i Klara, wyranie wypoczęci i gotowi rozpocząć od nowa; zdecydowałem więc, że moment ten jest równie dobry jak każdy inny, by popracować nad Campbellem. On jednak mnie uprzedził.

- Klara powiedziała mi, że chcesz dotrzeć do tego Schoutena.

Spojrzałem na Klarę. Nie rozmawiałem z nią o tym, ale musiała czytać w moich myślach i byłem jej za to wdzięczny.

- Myle, że w tych okolicznościach mógłby to być dobry pomysł

- odrzekłem.

127

Campbell zmarszczył brwi. - Nie znam się na tym. - Pogrzebał w kieszeniach i wyciągnął list. - Suarez i Navarro znów płyną - kieruj się na Rabaul. Wkrótce powinni tu być.

- Nie wiesz, czy robiś jakie badania dna morskiego?

Potrząsnął głową. - Mój człowiek nie pisze nic na ten temat, ale nie sądzę, aby mógł o tym się dowiedzieć bez obserwacji z samolotu.

- Czy chcesz płynąć w ład za nimi?

Campbell znów potrząsnął głową z rozdrażnieniem, jak gdyby oganiał się od much. - Wcale nie chcę tego robić. Wydaje się jednak, że ty nie wiesz, dokąd teraz popłynąć, a Ramirez przypuszczalnie wie. Być może powinniśmy ruszyć za nim.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem niewielką grupkę idącą ku nam po pokładzie - drobną figurę Pauli Nelson między Ianem i Jimem oraz eskortującego ich Geordiego z walizką Pauli w ręku. - Jest miss Nelson - powiedziałem. - Zobaczymy, co to nam da. Jeżeli potrafi tutaj zidentyfikować mi Hadleya, to może nie będziemy musieli szukać Schoutena.

Campbellowi i Klarze powiedziałem już wcześniej, że Paula ma przybyć do Papeete, i oboje byli jej bardzo ciekawi. Podeszedłem do Pauli, która widząc mnie wydawała się szczerze uradowana, powitałem ją i przedstawiłem reszcie towarzystwa. Zrobiłem oko do Iana, który wyszczerzył zęby w umiechu. - Nie było żadnych kłopotów -

oznajmił. - Nikt nie próbował podskoczyć.

Dziękuję, przyjaciele. Miło nam cię widzieć, Paulo. Czy miała dobrš podróż?

Była cudowna! Nigdy przedtem nie płynęłam na dużym statku wycieczkowym. I wiesz - sšdzę, że nie masz nic przeciw temu - ale nie odpracowywałam swej podróży. To było zabawne być dla odmiany po prostu jednš z turystek.

To wspaniale - odrzekłam. Zanim zdšżyłem powiedzieć więcej, spostrzegłem, jak Nick Dugan podchodzi i mówi co do Geordiego, który natychmiast skierował lornetkę na wejście do portu. Zostawiłem Paulę z Campbellami i szybko dołšczyłem do Geordiego.

Nick zwrócił się do mnie: - To jest mężczyzna, który rozmawiał z Kanem w "Barze Quina". - Pokazał go. - Włanie wszedł na pokład szkunera - oni odpływajš.

Wzišłem lornetkę i skierowałem jš na szkuner. Ogromny mężczyzna stał przy sterze, najwyraniej wydajšc rozkazy swej załodze. Odpływali bardzo szybko i nie było juź czasu do stracenia. Tknięty nagłym przeczuciem ostro przywołałem Paulę i podałem jej lornetkę.

- Spójrz na ten statek i powiedz mi, czy rozpoznajesz kogo.

128

Miała trochę kłopotów z nastawieniem ostroci, lecz potem poradziła sobie i zaparło jej dech ze zgrozy. - To jest Jim Hadley - wyszeptała - a to jego statek, " Perła".

Campbell chwycił lornetkę i sam zaczął obserwować.

Gdzie jest Kane? - zapytał gwałtownie.

Siedział nadal w barze, kiedy ostatni raz go widziałem -

odrzekł Nick. - Bili chodzi za nim krok w krok.

Przyłszył się do nas Ian Lewis, który najwyraźniej miał wielką ochotę natychmiast wyruszyć w pocig. - Kiedy możemy odpłynąć, panie szyper? - zagadnął Geordiego.

Nieprędko, a poza tym na statku brakuje połowy załogi -

odparł Geordie. - Ale nie ma potrzeby go cigać -- widziałem ten szkuner w Panamie. Płynie za nami, niech go diabli.

A więc w Panamie Kane znów skłamał - stwierdziłem. -

Ciekawe, co powie tym razem?

Powie, że nie mógł tu nigdzie znaleźć swego kumpla Hadleya,

i poprosi, żebyśmy mu pozwolili zostać na "Esmeraldzie" trochę dłużej - próbował odgadnąć Geordie.

Jan spojrział na niego i pokiwał z namysłem głową. - Panie

szyper, myślę, że już czas, abymy wszyscy wiedzieli, co jest grane - powiedział uprzejmie. - W każdym razie, kim jest ten facet?

Wymieniliśmy spojrzenia z Geordiem. Istotnie był już najwyższy czas.

Geordie zwrócił się do Iana - Zbierz chłopców - to znaczy tylko naszą paczkę, bez zawodowych marynarzy z mojej stałej załogi.

Zapoznamy was z całą tą sprawą jeszcze dzisiaj - myślę, że spotkamy się trochę później gdzie na lądzie. Tak czy owak, będę zadowolony, kiedy już zostanieie wtajemniczeni w to wszystko.

- Przyjdzie do mojego hotelu - zaprosił nas Campbell, przejmijcie - jak to lubił czynić - inicjatywę. - Załatwię pokój dostatecznie duży, by pomieścił nas wszystkich, i podzielimy się posiadanymi przez nas informacjami. Pani też, miss Nelson. Mike, chcę z tobą zamienić parę słów.

Odprowadził mnie na bok.

- Mam poczucie, jakbyśmy w tej sprawie ponieśli porażkę.

Mylałem, że będziemy mogli użyć Kane'a do dostarczania Ramirezowi fałszywych informacji, ale to nie wychodzi. Kane donosi o każdym naszym ruchu, a my nie dowiadujemy się niczego.

Rozemiałem się. - Założę się, że jego sprawozdanie sprawi sporo kłopotu Ramirezowi. Miałby cholernie dużo roboty, gdyby chciał odnaleźć to miejsce, gdzieśmy ostatnio czerpali próbki.

129

9 - Noc błędu

Campbell obserwował szkuner "Perła", wychodzący na pełne morze przez przejście w rafie. - Co teraz zrobimy?

Nie możemy gonić Hadleya; nie wiemy dokąd się udaje, a ma zbyt dużą przewagę na starcie, żebyśmy mogli płynąć za nim. Poza tym na tych wodach jest on u siebie w domu i z łatwością mógłby się nas pozbyć. Gdybyśmy robili co za pośrednictwem instancji administracyjnych, to byśmy się nie wywikłali z biurokratycznej pajęczyny.

Pozostaje Schouten...

Wiedziałem, że to powiesz. Ale Ramirez jest w Rabaul. Co on

tam robi?

Przypuszczalnie czeka, żeby popłynąć za nami, gdyż myli, że trafiliśmy na coś cennego. Jestem pewny, że Suarez i Navarro nie wiesz więcej niż my, bo inaczej już byliby na miejscu. Ale to wszystko zaczęło się od śmierci Marka, a Schouten był przy niej obecny. Ssdzę, że powinniśmy z nim pomówić, choćby po to, żeby uzyskać odpowiedzi na pewne nierozstrzygnięte dotąd pytania.

Skinął głowę. - Klara też tak uważa. Wysunęła myśl, że może nie wszystkie rzeczy Marka odesłano do Anglii - Schouten mógł ukryć jakie materiały. Co mylisz o tym?

- Będę musiał zapytać Pauli - może coś o tym wiedzieć.

Campbell zabębnił palcami w podstawę masztu. - Wiesz, mocno się zastanawiam nad tą sprawą. Ostatecznie zrobiliśmy głupstwo z tą Minerwą i straciliśmy cały miesiąc. Teraz trzeba prawie dwóch tygodni, żeby wrócić i spotkać się z Schoutenem, a te dwa tygodnie mogą być bezcenne. Bóg wie, co będzie robił Ramirez.

Umilkł, a ja pozwoliłem mu pomyleć przez parę minut.

- Przypuszczam, że możemy znaleźć coś, co wszystko znacznie uproci. W porządku, to jest warte ryzyka. Popłyniemy tam. Ale jeśli nie uzyskamy żadnych odpowiedzi, to odwołuję całą imprezę.

Zbyt mnie uradowała jego decyzja, abym martwił się tą pogrozką.

Zajmę się nią później, jeżeli będzie to konieczne. Wróciliśmy do dziewczyn, które gawędziły z Geordiem.

Płyniemy do Tanakabu - poinformował ich krótko. Geordie
wyglądał na bardzo zadowolonego, Klara rozpogodziła się; tylko
Paula, co zrozumiałe, wydawała się zaintrygowana.

Paulo - zwróciłem się do niej - może wiesz, czy oprócz tych
przedmiotów, które wysłała do kraju, Mark miał jeszcze co gdzie
indziej?

Nie wiem tego na pewno, Mikę, ale nie sądzę, żeby tak było.

W czasie, kiedy był ze mną, nigdy nie miał dużo rzeczy.

130

Zawitała mi pewna myśl. - Paulo, po południu wemiesz udział
w zebraniu, które - jak na pewno zdajesz sobie sprawę - będzie
bardzo poufne. Masz przecież dużo istotnych dla nas informacji.

Przypuszczalnie wkrótce potem odpłyniemy, a ponieważ przyjechała
tu na moją prośbę, nie mogę tak po prostu cię zostawić. Rozumiesz,
jestem teraz za ciebie odpowiedzialny. Czy chciałaby popłynąć razem
z nami?

Obserwowałem reakcje wszystkich obecnych. Campbell przyjął już
wobec Pauli postawę dobrego wujaszka i wydawał się tak zadowolony
z siebie, jakby to był jego pomysł. Geordie wyglądał na zrezygnowanego
- teraz miał dwie kobiety na pokładzie i jeszcze mniej wolnego
miejsca. Miałem obawy co do Klary, ale chociaż odnosiła się do Pauli
dość oficjalnie, to jednak nie okazywała otwartej wrogości i przyjęła
moją propozycję dość spokojnie, dodając nawet własny uprzejmy
komentarz.

- Czemu nie? Myślę, że byłoby to miłe także dla mnie.

Paula oniemiała. Jej wielkie ciemne oczy przesunęły się po nas

wszystkich i znów skierowały się na mnie, a ja spostrzegłem, że niemal nie była w stanie pojąć, o co chodzi.

Pomyśl o tym. Czy już kiedy żeglowała?

Tak, trochę. Tylko w tych stronach. Byłam kiedy na "Perle"

z... z przyjacielem.

Możesz kupić sobie to, czego tu będziesz potrzebować. Nie jest

u nas tak le, jemy dobrze i nie będziesz musiała spać w hamaku -

powiedziałem zachęcająco. Miałem wrażenie, iż spośród nas wszystkich

prawdopodobnie ona jedna wierzy, że Mark nie był skończonym

sukinsynem. Byłoby dobrze mieć przy sobie kogo, kto był całkowicie

po jego stronie.

Co zrobimy z Kanem? - zapytał Geordie.

Trzymaj go na uboczu - wemiemy go ze sobą, jeli poprosi.

A on to zrobi. Potem, po rozmowie z Schoutenem, zadamy mu parę

drażliwych pytań. Do tego czasu po prostu miej go na oku, Geordie.

Nie będzie z tym kłopotu - odrzekł. - To nie jest zbyt duży

statek, wiesz przecież.

Rozdział piśty

1

Następnego dnia odpłynęliśmy na Wyspy Tuamotu, rozgłaszając

przedtem, że będziemy powoli zmierzać w kierunku Indonezji. Zrobili-

my to nie tylko na użytek Kane'a, który zgodnie z naszymi przewidy-

waniami zareagował prośb, by mógł zabrać się z nami także na ten odcinek rejsu, lecz też i po to, by MacDonald nie dowiedział się przez urzędników portowych, że zamierzam porozmawiać z jego bezcennym doktorem Schoutenem - mógłby mieć co przeciw temu.

Przez przejście w rafie wypłynęliśmy na otwarte morze, kierując się na zachód, dopóki nie przestaliśmy być widoczni z lądu. Wtedy Geordie wydał rozkaz, by zmienić kurs na północny. Tak się złożyło, że przy sterze był właśnie Kane, który przyjął ten rozkaz bez komentarza, ale parę godzin później, kiedy zakończył już służbę, a nowy sternik wziął kurs na wschód, zwrócił się do mnie: - Płyniemy w złym kierunku, panie Trevelyan, jeśli mamy dostać się do Nowej Brytanii.

- Kto powiedział, że płyniemy do Nowej Brytanii? - Kane popełnił błąd. Nigdy przy nim nie wspomnieliśmy o Nowej Brytanii, ale wiedziałem, że mówiąc to myślał prawdopodobnie o Ramirezie.

Zręcznie zatuszował swoją omyłkę. - Ach, myślałem, że za-
trzymacie się w Rabaul, bo to najlepsze miejsce do uzupełnienia paliwa - rzucił swobodnie.

- Szef ma tu jakie niedokończone sprawy - powiedziałem krótko, a on poprzestał na tym, chociaż widziałem, że myli intensywnie.

Nie potrafiłem się powstrzymać od przygadania mu. - Myślałem, że twój kompan Hadley będzie na ciebie czekał w Papeete.

- Właśnie, dobry kumpel z niego, prawda? Ale zostawił dla mnie

wiadomość, że nie może czekać. W każdym razie nie mam nic przeciw

132

temu, żeby wam pomagać - zakończył z nutą wspaniałomyślności w głosie.

Kane niewstydliwie miał tupet - teraz on nam udzielał pomocy!

Żeglując przez archipelag Tuamotu Geordie zachowywał dużą ostrożność, do tego stopnia, że nie dopuszczał Kane'a do steru. Nie wiedzieliśmy nadal, na czym polega jego gra, ale nie mieliśmy ochoty, żeby rozmylnie rozbił statek o jakąś rafę. Geordie pilnie studiował mapy i wybierał drogę między setkami wysp archipelagu, zawsze kierując się ku Tanakabu, znajdującej się na jego odległym krańcu.

Klarze podobały się Tuamoty. - Zupełnie jak na filmie - powiedziała uszczęliwiona, gdy zobaczyła jaki atol na horyzoncie. -

Czy nie moglibyśmy podpłynąć bliżej i obejrzeć go?

Wziłem ją za łokieć. - Chod ze mną. Chciałbym ci coś pokazać. - W kabynie nawigacyjnej pokazałem jej naszą pozycję. - Tu jest ten atol - czy widzisz te znaczki rozsiane w odległości około szeciu kilometrów od wyspy. Czy wiesz, co to jest?

O Boże, oczywiście - odpowiedziała. - Rify koralowe otaczające każdą z wysp.

Paskudne i ostre - dodałem. - Nie chciałbym być teraz bliżej tego atolu. Możemy przybić do brzegu tylko wchodząc przez jedno z zaznaczonych na mapie przejść, skądinąd jest to tutaj cała lokalna wiedza. - Pomyślałem o Hadleyu, który był tu gdzieś na swej

"Perle". Czy płynął za nami?

Mam nadzieję, że nie popełniamy błędu - powiedziała poważnie Klara, wyczuwając mój nastrój. - Musimy znaleźć coś użytecznego. Tata doć się już wciekał z powodu fiaska na Minerwie.

Możemy nie znaleźć nic, co dotyczyłoby bryłek manganowych, ale spodziewam się, że dowiemy się czegoś o Marku. A jedno może prowadzić do drugiego. - Zmieniłem temat. - Jak się zgadzacie z Paulš?

Klara milczała przez chwilę, potem odezwała się: - Mylę, że nie powinnam jej lubić - rozumiesz, dwie dziewczynki Marka powinny mieć ochotę wydrapać sobie oczy.

Przestań mi już dogadywać z tego powodu.

Dochodzę jednak do wniosku, że ją lubię. Odkryłam, że nigdy nie byłam zakochana w Marku, to było jakieś zalepienie, a kiedy przekonałam się, jakś potrafi być nędznš kreaturš, wszystko mi przeszło. To nie miłość. Paula wiedziała, jaki był, i nie robiło jej to różnicy - nadal kochała go mimo wszystko. To jest prawdziwa miłość - ja nigdy takiej nie przeżyłam. Już nie jesteśmy rywalkami. Odczułem ulgę. Dwie kobiety, które sš ze sobš na noże, mogš spowodować cholerne mnóstwo kłopotów, szczególnie na małym statku.

133

Co się tyczy Pauli, to odprężyła się i spędzała czas całkiem przyjemnie. Ponieważ czuła się swobodnie wśród mężczyzn, a przede wszystkim pozostawiła daleko za sobš zarówno niebezpieczeństwa jak i rywalizację zawodowš, wkrótce stała się jeszcze jednym cennym

nabytkiem dla całej załogi "Esmeraldy". Niekiedy piewała dla nas wieczorami i czerpała zadowolenie z tych kameralnych występów przed wdzięczną publicznością. Campbell zdawał się traktować ją jak niezwykłą, lecz miłą widzianą honorową siostrzenicę.

Gdy zostawiliśmy już za sobą główne zgrupowanie wysp, Geordie mógł ustalić kurs na Tanakabu nie kłopotząc się zbytnio o rafy czy mielizny. Kane zdawał sobie sprawę z tego manewru i znów rozmawiał ze mną na ten temat. - Dokąd płyniemy, na nowe tereny badawcze? - zapytał.

- Być może szef chce jeszcze raz przyjrzeć się Minerwie - odpowiedziałem.

Spojrzał na słońce: - Mamy jak na to trochę za duże odchylenie na północ, czyż nie?

- Albo może chce popatrzeć na Tanakabu? - zasugerowałem, wiadomie dotykając drażliwego miejsca. Było to niebezpieczne, lecz i tak wkrótce dowiedziałyby się o tym.

Kane spojrzał na mnie z chytrym wyrazem twarzy - Czy ma to co wspólnego z pańskim bratem?

Podniosłem brwi. - Dlaczego tak sądzisz?

No cóż, w Tanakabu mieszka Schouten.

Czyżby?

Włanie, ale myślę, że już chyba wykorkował. Mocno zaglądał do kieliszka, kiedy go ostatnio widziałem. Był starym, skończonym pijaczyną.

O ile mi wiadomo jeszcze żyje - odrzekłem. Odczuwałem pokusę, by ciśgnąć dalej tę rozgrywkę z Kanem, ale powstrzymałem się. Kane nie powiedział nic więcej, lecz roztropnie się wycofał. Po paru minutach zobaczyłem, jak schodzi na dół, najwidoczniej na jakie bardziej intymne rozmyłania w swej kabinie; dzielił jś z dwoma innymi marynarzami, którzy obecnie przebywali na pokładzie. Chociaż teraz musielimy ić ostro pod wiatr przeciw pasatowi, to jednak uzyskalimy dobry czas i juź trzeciego dnia wieczorem zbliżalimy się do Tanakabu. Słońce zanurzało się w morzu, gdy Geordie przyglśdał się pilnie rafie przez lornetkę, a następnie studiował mapę. - Wejdziemy przy użyciu silnika. Kanał jest trochę za wśski, żeby wygodnie wpłynść pod żaglami, Ian, bśd gotów do zwijania żagli. Przypatrywał się nadal uważnie rafie, o którś rozbijały się fale, gdy

134

podszedł do nas Shorty Powell, jego radiowiec. - Złapałem zabawny komunikat, panie szyper - powiedział, po czym spojrział na mnie.

Geordie uspokoił go: - W porzśdku, jed dalej. Co było w nim zabawnego?

- Była w nim mowa o nas.

Nadstawiłem uszu, a Geordie odwrócił się do niego. - Wymieniono nasze nazwiska?

Nazwę statku - odrzekł Shorty. - "Esmeralda".

Co mówili o nas? - zapytałem.

Shorty skrzywił się bolenie. - To znaczy... nie wiem. Kręciłem

gałkš i złapałem tę stację w przelocie, a zanim wróciłem na to miejsce, gdzie powinna być, przestała już nadawać. Uchwyciłem tylko parę słów: "...na pokładzie Esmeraldy. Ona jest..." Ale co wam powiem. Postawiłbym dziesięć do jednego, że to mówił Australijczyk. - Myślę, że lepiej powiadomić o tym pana Campbella - powiedział Geordie .

Przywołaliśmy go więc i biedny Shorty został wymaglowany jak nigdy w życiu. W końcu Campbell zapytał: - No dobrze, jak daleko, według ciebie, była ta stacja?

Shorty wzruszył ramionami. - Tego nie można określić, jeli się nie ma dwóch namiarów kierunkowych na danš stację. Ale jeli kto spędził pół życia na prowadzeniu nasłuchu, to ma już swego rodzaju instynkt. Powiedziałbym więc, że było to jedno z dwojga - albo diabelnie silna stacja daleko, albo słaba stacja cholernie blisko.

Dobrze, chłopie, ale która z nich? - dopytywał się niecierpliwie Campbell.

Myślę, że była to słaba stacja bliżutko - ale nie kaźcie mi tego udowodnić.

W porzšdku, Shorty, dziękuję ci. Uważaj wokół tej częstotliwości. Może złapiesz co jeszcze - powiedział Geordie.

Gdy Shorty odszedł, a Geordie zajął się znów swš nawigacjš, Campbell zwrócił się do mnie: - Co o tym sšdzisz?

Nic nie sšdżę. To, że jaki Australijczyk wspomniał o "Esmeraldzie", nie wystarczy, żeby wycišgać daleko idšce wnioski.

To musiał być Hadley - stwierdził stanowczo Campbell. -

Oddałbym swoje trzonowe zęby, żeby się dowiedzieć, do kogo mówił

- chyba do kogo na lśdzie.

Zaprzestaliśmy tych dociekań, kiedy wpłynęliśmy w przejście między rafami. Geordie stał na dziobie; zapadał mrok. Kanał był wśki, miał ostry zakręt, a ciemności w połśczeniu z prśdem o szybkości czterech węzłów sprawiały, że przejście to było bardzo trudne. Jednakże

135

wpłynęliśmy na lagunę i rzuciliśmy kotwicę z dala od brzegu, naprzeciw wiateł dużej osady. Mała flotylla czóten wypłynęła na nasze spotkanie i wkrótce kilkunastu Polinezyjczyków wspięło się na pokład.

Postanowiłem nie czekać do rana, lecz działać od razu. Był dopiero wczesny wieczór, przypuszczalnie najlepsza pora na spotkanie z zapracowanym lekarzem, a ponadto obawa przed pocigiem dodawała mi bodca. Podniosłem głos. - Gdzie mogę znaleźć lekarza - doktora Schoutena? - zapytałem.

Gwar wzmógł się i krępy, przysadzisty mężczyzna o ujmujścym, szerokim umiechu przepchał się na czoło grupy. - Ci chłopcy nie mówiś angielski - oznajmił. - Oni mówiś francuski. Ja mówię angielski. Ja byłem w Hawaje.

Nazywam się Mikę - powiedziałem. - A jak ty się nazywasz?

Ja jestem Piro.

W porzśdku, Piro. Gdzie znajdę doktora?

Ach, Schoutena? - Piro machnął rękš. - On na drugiej

stronie wody. On w - hópital. Ty rozumiesz hópital?

Jest w szpitalu, tam po drugiej stronie?

Tak jest.

Jak mógłbym się tam dostać?

- Pojedziesz ze mnš - wezmę ciebie w jeepa.

Spojrzałem w ciemność. - Jak to daleko?

Piro wzruszył ramionami. - Niedaleko. Może dwajcia minut.

- Wemiesz mnie teraz?

Pewnie. Chod teraz. - Nagle stał się ostrożny. - Ty

zapłacisz mi?

Tak, zapłacę. - Zwróciłem się do Campbella otoczonego

tłumem popychających się krajowców i powiedziałem: - Równie

dobrze mogę spotkać się z Schoutenem dzi wieczorem. Powiedz

Geordiemu, żeby dobrze pilnował Kane'a - nie pozwólcie mu zejć

na lšd. Może próbować.

Pojadę z tobš - odrzekł Campbell.

Nie, lepiej nie. Ale wezmę eskortę - chyba Jima Taylora. -

Wymieniłem jego nazwisko, bo stał najbliżej, chwyciłem go za rękaw

i przyciśgnšłem do siebie, po czym krótko powiedziałem mu o co

chodzi. Umiechnšł się, skinšł potakujšco głowš i odszedł, by znaleźć

Geordiego i powiadomić go o mojej decyzji.

Campbell popatrzył na mnie uważnie, potem mocno ucisnšł mi

rękę. - Bšd ostrożny, synu. Nie zrób czego głupiego.

- Nie zrobię - obiecałem. - Ale, na Boga, dotrę do prawdy.

nieszczelnej i chybotliwej. Kiedy znalelimy się na lądzie, Piro zaprowadził nas do swojej największej chluby - starego jeepa. Był to relikw pozostawiony przez falę wojny, która przetoczyła się przez Pacyfik - i wyglądał na to. Większa część karoserii została zerwana i silnik był bezwstydnie nagi, podobnie jak berbecie, które wrzeszczały i wiergotały, a ich duże oczy, błyszczące w wietle pochodni, otwierały się jeszcze szerzej na widok obcych. Wdrapalimy się do rodka, gdzie usadowiłem się na twardej drewnianej skrzyni bez obicia, podczas gdy Piro uruchamiał silnik. Strzelał i kaszłał, lecz zapalił, Piro wrzucił ze zgrzytem bieg i pojechalimy po plaży, podskakując na nierównościach i omijając kępy palm, ledwo widoczne w wietle słabych reflektorów. Hałas był okropny. Ta nagła zmiana warunków po morskim rejsie na pokładzie "Esmeraldy" była wprost szokująca.

Piro był bardzo dumny ze swego pojazdu. - Najlepszy samochód na Tanakabu - oznajmił radonie, gdy trzęlimy się w piekielnym hałasie.

Czy doktor Schouten ma samochód?

Hę, hę, nie! Doktor nie ma nic - tylko lekarstwa.

Przejechalimy obok ciemnej bryły ogromnego magazynu kopry, a potem znalelimy się na wśskim trakcie prowadzącym przez plantację palm; Piro wskazał na niś machnięciem ręki. - Te drzewa

sš moje. Wszyscy mamy drzewa.

- Czy doktor ma drzewa?

- Jednš mašs działkę, niedužo. On zbyt zajęty leczeniem i kra-
janiem.

Skręciliśmy w gšb lšdu i straciliśmy z oczu morze, co wydawało
się niemożliwe na tak małej wyspie, lecz nadal wród hałasów
wydawanych przez samochód słyszałem nieustanny huk fal przy bojo-
wych uderzających o brzeg. Po paru minutach znów wjechalimy na
plażę i Piro wskazał rękš do przodu. - Tam jest hópital.

W oddali widać było duży rój wiateł, znacznie większy niż
w przypadku osady, z której wyjechalimy. - To wielki szpital jak na
tak mašs wyspę, Piro - powiedziałem.

- Ho, ho, jest tu mnóstwo chłopców z innych wysp - bardzo
chorych. Mnóstwo wahines też. Dužo trędowatych i ludzi z guzami.
Kolonia trędowatych! Poczulem dreszcz atawistycznego przeraże-
nia. Chociaž w teorii wiedziałem, że tršd nie jest szczególnie zaraliwy,
to jednak sporód wszystkich chorób ta budzi największš odrazę i nie
bardzo miałem ochotę jechać do takiej kolonii.

Piro zdawał się wcale tym nie przejmować i radonie zjechał

137

z plaży prosto na teren szpitala, gdzie zatrzymał się przed długim,
niskim budynkiem. - Schouten jest tutaj - powiedział. - Czy
chcesz, żeby ja poczekać?

Tak, mozesz poczekać - odpowiedziałem. - Nie będę tu

długo. Jim, jeli nie masz nic przeciw temu, to nie wchod ze mnš, ale bšd gotów, jeli cię zawołam.

Jasna sprawa, Mikę. - Jim pochylił się i poczęstował Pira papierosem.

Wszedłem po dwóch stopniach na długš werandę i zastukałem do drzwi. Jaki głos odpowiedział - lei! lei! - więc powędrowałem po werandzie do pokoju w odległym krańcu budynku. Był to gabinet, w którym widoczny przez otwarte drzwi siedział za biurkiem wysoki mężczyzna, piszšc co w wietle lampy Colemana. Miał pod rękš opróżnionš do połowy butelkę brandy i pełnš szklanę.

- Doktor Schouten? - zapytałem.

Podniósł wzrok: - Qui?

- Przepraszam, ale bardzo słabo znam francuski. Czy mówi pan po angielsku?

Umiech rozjanił i przeobraził jego zniszczonš twarz. - Tak, mówię po angielsku - rzekł i wstał. W kwiecie wieku musiał ważyć ponad sto kilogramów koci i mięni, lecz teraz jego ciało było sflaczałe i miękkie, a w oczy rzucał się przede wszystkim wydatny brzuch. Jego twarz była poorana i pokryta bliznami, a dwie głębokie bruzdy od nosa do kšcików ust tworzyły obwisłe podbródki, które trzęsły się u jego policzków.

Podał mi rękę i powiedział: - Nie często mamy tu obcych na

Tanakabu - przynajmniej nie w tej części wyspy. - Miał silny

holenderski akcent, lecz jego angielszczyzna była równie płynna jak

gubernatora.

Dopiero co przy płynęliśmy - odrzekłem.

Wiem. Widziałem wiatła waszego statku, gdy płynęlicie przez przejście w rafie, a potem usłyszałem, jak przyjechał jeep Pira. -

Wskazał ręką na okno. - To dlatego nie widzi pan żadnych pacjentów dookoła - czasami ich widok wywołuje wstrząs u przypadkowych gości, więc przy tych okazjach trzymam ich w ukryciu.

Otworzył kredens. - Napije się pan czego? - powiedział.

- Nazywam się Trevelyan - powiedziałem.

Schouten upuścił wyjętą z kredensu szklankę, która rozbiła się na podłodze. Gwałtownie odwrócił głowę i spojrzał na mnie przez ramię.

Zobaczyłem, że jego twarz przybrała chorobliwie żółty kolor pod opalenizną, a przerażone oczy spoglądały ukradkiem.

138

Trevelyan? - wymamrotał,. Wydawało się, że mówienie sprawia mu duże trudności.

Tak.

Odwrócił się. - Chwała Bogu - powiedział. - Myślałem, że pan nie żyje.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem. - Nie żyję? Dlaczego miałbym nie żyć?

Usiadł za biurkiem, jego dłonie uchwyciły kurczowo brzeg blatu.

- Ale oni mówili, że pan umarł - powiedział cicho. Jego oczy

wyrażały udrękę i zdawały się patrzeć na co innego - co okropnego.

Wtedy zrozumiałem - on myli, że ja to Mark! - Kto powiedział, że umarłem? - zapytałem.

Wypisałem wiadectwo zgonu - tu na tym biurku. Na nazwisko Marka Trevelyana. Zmarł pan na zapalenie otrzewnej. - Patrzył na mnie, a w jego oczach był strach.

Jestem Michael Trevelyan - owiadczyłem spokojnie - Mark był moim bratem.

Wydał długie, drżące westchnienie, potem opucił wzrok na szklankę stojącą na jego biurku, chwycił ją i opróżnił jednym łykiem.

- Chyba będzie lepiej, jeśli opowie mi pan o tym - powiedziałem. - Nie odrzekł nic, tylko zgarbił się, unikając mego wzroku. -

Powiedział pan za dużo - i za mało - cisnąłem. - Musi mi pan opowiedzieć, co się stało Markowi.

Doktor był starym człowiekiem, wyniszczonym samotnością, alkoholem, widokiem ludzkiego ciała odpadającego od koci i nie potrafił wytrzymać psychicznego maltretowania. Cechowała go jaka zaciętość, lecz w istocie był słaby, a ja potraktowałem go brutalnie.

- Mój brat nie miał zapalenia wyrostka - to było niemożliwe.

A jednak sfałszowało wiadectwo zgonu. Dlaczego?

Zgarbił się nad biurkiem, ręce z zaciniętymi pięciami trzymał przed sobą i milczał.

- Mój Boże, cóż za lekarz z ciebie? - szydziłem. - Nie spodoba się to twojemu stowarzyszeniu lekarzy - zostaniesz skrelony,

Schouten. A może powieszony, lub zgilotynowany. Człowiek poniósł śmierć, a ty przyczyniłeś się do tego. W najlepszym razie pójdziesz na długie lata do więzienia.

Pokręcił powoli głowę, a potem zamknął oczy, jakby pod wpływem bólu.

- Już teraz jeste przedwcześnie postarzały, a dziesięć lat w kryminale nie wyjdzie ci na zdrowie. Zabiorę ci twoją brandy i na próżno będziesz krzyczał, błagając o nią. A więc, co się stało z Markiem?

139

Otworzył oczy i spojrzał na mnie ponuro. - Nie mogę powiedzieć.

- Nie możesz, czy nie chcesz?

Mięsie jego twarzy napięły się i nadal milczał uparcie.

- W porządku - powiedziałem. - Pójdziesz z nami. Wracamy do Papeete i przedstawię swoją historię gubernatorowi. Aresztuję cię, Schouten. Nie wiem, czy francuskie prawo przewiduje możliwość aresztowania przestępcy przez zwykłego obywatela, ale zaryzykuję. Daję ci dziesięć minut na zapakowanie tego, co chcesz wziąć ze sobą.

W Schoutenie co się działo i wiedziałem, że już go mam. Podniósł gwałtownie głowę i utkwiał we mnie wzrok. - Ale ja nie mogę zostawić szpitala - zaprotestował. - Co się stanie z ludmi, którzy są tutaj?

Nacisnąłem mocno. - Co się stanie z tym szpitalem, kiedy będziesz w więzieniu? lub nawet martwy? We swoje rzeczy i chod.

Nagle wstał, odpychając do tyłu krzesło. - Pan nic nie rozumie.

Nie mogę zostawić tych ludzi - niektórzy z nich by umarli. Jestem tu

jedynym lekarzem.

Patrzyłem na niego bez współczucia. Miałem nad nim brutalną przewagę i musiałem już wykorzystać - nie mogłem zrobić nic innego.

- Trzeba było pomyśleć o tym, zanim zabiłem mojego brata - odparłem.

Jego mięśnie napięły się i przez chwilę myślałem, że rzuci się na mnie. - Jeste duży, Schouten, ale stary i słaby! - powiedziałem ostro. - Mam więcej siły niż ty, wiesz o tym, więc nie zbliżaj się do mnie, bo stłukę cię na kwane jabłko. Mam na to wielką ochotę.

Usta Schoutena drgnęły i prawie się umiechnął. - Nie miałem zamiaru pana atakować, mister Trevelyan. Jestem spokojnym człowiekiem. Nie cierpię przemocy - i nie zabiłem pańskiego brata.

- A więc, na miłość boską, co jest z tobą? Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, co się stało?

Usiadł znowu i ukrył twarz w dłoniach. Gdy podniósł głowę, zobaczyłem, że policzki miał mokre od łez. Powiedział z trudem: - Nie mogę zostawić szpitala, ale pan musi zagwarantować mu bezpieczeństwo, mister Trevelyan. Widzi pan, oni zagrozili, że spalą szpital.

Spalą szpital! Kto to powiedział?

Co ja mogłem zrobić? Miałem im pozwolić, żeby go spalili? -

To, co zobaczyłem w jego oczach, sprawiło, że zacząłem mu współczuć.

Odpowiedziałem łagodnie: - Nie, nie mogłem tego zrobić.

- Co by się wtedy stało z moimi ludmi? Miałem pięćdziesięciu pacjentów - jaki byłby ich los?

Wziłem butelkę i nalałem trochę brandy do szklanki. - Proszę,

wypij to.

140

Wziął szklankę i przyjrzał się jej, a potem postawił na biurku. -

Nie, nie czas teraz na to. - Jego głos był silniejszy. - Nie mogłem

nic na to poradzić. Zmusili mnie, żebym to zrobił - i nie miałem

wyboru. Mogłem tylko ukryć zbrodnię lub stracić szpital. - Gwał-

townie wyciśgnął ręce. - Pomyślałem, że ci ludzie tutaj sš ważniejsi

niż pociśgnięcie mordercy do odpowiedzialności. Czy miałem rację?

- Co się stało z Markiem? - zapytałem spokojnym głosem.

Jego oczy stały się chłodne. - Musi pan obiecać ochronę szpitalo-

wi - nalegał.

Szpitalowi nic nie będzie. Co się stało mojemu bratu?

Został zamordowany - rzekł Schouten. - Na szkunerze, tam

na tej lagunie.

Wydałem z siebie długie westchnienie. Teraz sprawa była już jasna.

Wszystkie mgliste podejrzenia skryształizowały się w tym momencie,

a ja czułem tylko ogromną litość dla tego zniszczonego człowieka

siedzšcego za biurkiem.

- Proszę mi opowiedzieć, jak to było - powiedziałem powoli.

Więc Schouten opowiedział. Policzki mu się zarumieniły, a głos

stał się silniejszy. Jego relacja była rzeczowa, nie starał się usprawied-

liwić, przyznawał, że postšpił le, ale mylał tylko o swoich pacjentach.

Była to smutna i okrutna opowieć.

- Szkuner wpłynął na lagunę na początku zeszłego roku. Był to obcy statek, podobnie jak wasz. Jedyne statki, jakie wchodziły do przystani w Tanakabu, to łodzie z koprą, ale wtedy nie był czas na nie. Zarzucił kotwicę dokładnie naprzeciw szpitala, o, tutaj - skinął głową w kierunku morza. - Dwóch mężczyzn zeszło na ląd. Jeden był mniej więcej pańskiego wzrostu, bardzo chudy. Drugi był duży, taki jak ja. Powiedzieli, że zdarzył się wypadek, w wyniku którego zmarł człowiek. Chcieli, żebym wystawił świadectwo zgonu. Wziąłem moją walizkę, z tego tu kłosa, i powiedziałem, że udam się na statek, ale wielki mężczyzna zaprzeczył, że nie, to nie jest konieczne, tamten człowiek już umarł, wszyscy to widzieli, i potrzebny jest im tylko - by tak rzec - papierek.

Schouten umięknął się lekko. - Wymiałem ich i poinformowałem, że to, czego chce, nie jest możliwe, że lekarz musi obejrzeć ciało. Wtedy wielki mężczyzna uderzył mnie. - Dotknął palcem policzka i powiedział, jakby się tłumaczył - Nic nie mogłem zrobić, nie jestem już młody.

Rozumiem. Czy padały jakie nazwiska?

Wielki mężczyzna miał na imię Jim, ten drugi, którego imienia nie pamiętam, tak go nazywał. Wymieniali jeszcze jakie nazwisko, ale je zapomniałem.

141

W porządku. Co się wydarzyło potem?

Byłem zdumiony. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego ten człowiek

mnie uderzył. Wstałem, a on uderzył mnie znowu. Potem podniósł

mnie, posadził na tym krzele i kazał wypisać wiadectwo zgonu.

Moje usta zacisnęły się. Było aż nazbyt prawdopodobne, że wielkim mężczyzną był Hadley, a tym drugim - Kane. Pomyślałem, że policzę się z Kanem, gdy tylko wrócę na "Esmeraldę".

- Nie chciałem tego zrobić - ciśgnął Schouten. - Zapytałem, dlaczego nie mogę zobaczyć ciała, a wtedy ten drugi mężczyzna zamilkł i powiedział, że zrobiła się z niego papka, i że ten widok nawet lekarza przyprawiłby o mdłoci. Wtedy zrozumiałem, że stało się coś bardzo złego. Pomyślałem, że zabili kogo, kto nie mógł tak po prostu zniknąć - dlatego musieli mieć wiadectwo zgonu.

Skinąłem potakująco głową. - Co było potem?

Wielki mężczyzna uderzył mnie znowu i bił tak długo, dopóki ten drugi nie kazał mu przestać. Powiedział, że w ten sposób nie osiągnie niczego. Potem podszedł do mnie i bardzo delikatnie otarł mi krew z twarzy, a kiedy wielki mężczyzna siedział i pił, on rozmawiał ze mną.

O czym?

O szpitalu. Powiedział, że jego zdaniem to dobry szpital i że zrobił wiele dobrego na wyspach. Zapytał, ilu mam pacjentów; poinformowałem go, że około pięćdziesięciu. Chciał wiedzieć, czy ich leczę, więc odpowiedziałem, że tak, niektórych, lecz inni są nieuleczalni.

Po prostu opiekuję się nimi. Wtedy zadał pytanie, co by się stało, gdyby nie było szpitala na Tanakabu, a ja odrzekłem, że byłoby bardzo źle - wielu ludzi by zmarło.

Schouten chwycił mnie za rękę i wykrzyknął: - Powiedziałem mu to wszystko! Powiedziałem z własnej woli! Nie wiedziałem, o co mu chodzi.

Mów dalej - rzuciłem sucho.

Wielki mężczyzna zaczął się miać, a potem uderzył mnie i rzekł: "A więc uważaj, co ci powiem. Wypiszesz nam wiadectwo zgonu, albo spalimy cały ten cholerny szpital".

Opucił głowę na rękę. - Co mogłem zrobić? - zapytał stłumionym głosem.

Byłem wciekły, bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Gdyby Kane i Hadley byli w tym pokoju, zabiłbym ich bez litoci.

Schouten powiedział załamującym się głosem: - Zapewnił mnie, że wcale się nie przejmie, jeli pacjenci spalą się także - nic go to nie obchodzi. - W jego oczach, utkwionych we mnie było nieme przerażenie. - Kiedy to mówił, bez przerwy zapalał zapalki.

142

Więc podpisał pan wiadectwo zgonu.

Tak. Sporządziłem je tak, jak chcieli, a potem podpisałem.

Wtedy wielki mężczyzna uderzył mnie znowu, a ten drugi powiedział:

"Jeli piniesz komu słowo, dowiemy się o tym i wrócimy, a wtedy wiesz, co się stanie z tym zbiorowiskiem słomianych chałup, które nazywasz szpitalem". Potem wielki mężczyzna podpalił strzechę, tu na górze, a kiedy starałem się ugasić ogień, wyszli. Obaj się zamiewali.

Spojrzałem na sufit, gdzie było widać kawałek nowego poszycia.

Jakiej narodowości byli ci mężczyźni?

Mieszkałem kiedyś na Nowej Gwinei - jest to terytorium powiernicze Australii - i spotykałem tam wielu Australijczyków. Ci mężczyźni byli Australijczykami.

Czy widział ich pan potem?

Schouten przytaknął ponuro. - Tak, wielkiego mężczyznę. On ciśgle tu wraca. Mówi, że nie spuszcza mnie z oka. Przychodzi, pije mojś brandy i zapala zapaliki. Wracał już trzy razy.

Kiedy był ostatnio?

Mniej więcej miesiąc temu.

Zapewne był to Hadley - nieprzyjemny charakter, sđdzśc z tego, co o nim słyssałem. Wielu podobnych do niego było strażnikami w obozach koncentracyjnych hitlerowskich Niemiec, ale typ ten spotyka się we wszystkich narodach. Ci dwaj nie byli dobrś reklamś dla Australii.

- Nie odważyłem się zawiadomić policji. Bałem się o szpital - powiedział Schouten.

Przebiegłem jeszcze raz w mylach tę okropnś historię. - Czy nie przypomniał pan sobie tego nazwiska, które pan usłyszał?

Potrżssnś głowś. - Jeszcze nie, ale myślę, że to chodziło o trzeciego członka załogi z tego statku - on nie był tutejszy.

Co to za człowiek?

Nie zszedł na lśd, ale widziałem go na pokładzie szkunera -

bardzo wysoki, chudy mężczyzna z haczykowatym nosem; bardzo niady. Widziałem go tylko raz, kiedy statek wpływał na lagunę. Pomyślałem przez chwilę o tym, ale nic mi się nie przypominało. - Przepraszam za to, co się wydarzyło, doktorze Schouten - powiedziałem. - Ale zdaje pan sobie sprawę, że będzie pan teraz musiał zawiadomić władze.

Skinął energicznie głową. - Tak, teraz zdaję sobie z tego sprawę. Ale wtedy tak bardzo obawiałem się o swoich pacjentów. To jest odosobniony atol - nie ma tu policji, nie ma nikogo, kto by bronił przed ludmi stosującymi przemoc. Boję się nadal. - Spojrzał mi

143

w oczy. - Co przeszkodzi tym ludziom, lub innym podobnym do nich, wrócić tutaj?

- Wiem, kim są ci mężczyźni - odpowiedziałem szorstko. - Nie będę już pana niepokoić.

Zawahał się, po czym rzekł: - No tak. Napiszę list, który wemie pan do Papeete. Rozumie pan, ja nie mogę zostawić szpitala.

Rozumiem. - List Schoutena z pewnością wywrze spore wrażenie na MacDonaldzie. Bardzo chętnie doręczę mu ten list osobiście.

Czy od razu wyle pan ludzi, którzy nas będą chronili? Obiecał pan, że nie stanie się nam żadna krzywda.

Pomyślałem, że moglibyśmy zostawić z nim paru naszych chłopców, dopóki tu nie wrócimy, lub nawet przed odpłynięciem wysłać radiowś

depeszę z prośbą o pomoc. Jeli Hadley istotnie nas ledzi, to popłynie za nami z powrotem do Papeete, a jeżeli po naszym odjeździe zejdzie tu na ląd, to dwóch komandosów Geordiego wystarczy na niego aż nadto.

- List nie zajmie mi wiele czasu, ale musi pan rozgocić się tutaj, kiedy będę pisał - powiedział Schouten. - Nie chciał pan wypić ze mną przedtem - czy wypije pan teraz?

- Będzie to dla mnie zaszczyt, doktorze - odrzekłem.

Podszedł do kredensu i wyjął nową szklanę, strzącając przy tym na podłogę potłuczone kawałki. - Kiedy się pan przedstawił, doznałem wstrząsu - westchnął. - Myślałem, że zmarły ożył.

Nalał mocnego drinka i podał mi. - Jest mi bardzo przykro z powodu pańskiego brata, mister Trevelyan. Musi pan mi wierzyć.

- Wierzę panu, doktorze. Żałuję, że potraktowałem pana tak szorstko.

Skrzywił się. - Nie tak szorstko jak ten wielki mężczyzna.

No tak, pomyślałem, rzeczywiście mniej szorstko, ale obaj dokonaliśmy operacji na tym samym odkrytym nerwie - lęku Schoutena o jego pacjentów i szpital. Poczulem wstyd za siebie samego. Szybko dokończyłem drinka i obserwowałem doktora skrobiącego piórem po papierze. Zorientowałem się, że potrwa to jeszcze chwilę, więc zapytałem go, kiedy skończy.

Szczegółowe zrelacjonowanie tej historii będzie wymagało sporo czasu - odpowiedział. - W dodatku nie piszę po angielsku tak dobrze, jak mówię. Jeżeli pan poczeka, to oczywiście zje pan ze mną

obiad.

Nie, dziękuję. Wrócę na mój statek i wydam polecenie, żeby
kto został tu z panem, gdy odpłyniemy z powrotem do Papeete.

Przyjdę tu jeszcze pónym wieczorem albo wczesne rano.

144

Schouten skłonił głowę. - Jak pan sobie życzy. Cieszę się, że będę
miał ochronę osobistš. Zabrał się znów do pisania, a ja wstałem, żeby
wyjć. Kiedy już byłem przy drzwiach, odezwał się: - Chwileczkę,
mister Trevelyan. Włanie co mi się przypomniało.

Czekałem koło wyjcia, a on wstał zza biurka. - Pytał pan
o nazwisko - o to, które wymienili. Wielki mężczyzna powiedział je,
a ten drugi kazał mu milczeć.

- Jakie ono było?

Schouten odprowadził mnie na werandę. Gdy Piro nas zobaczył,
uruchomił silnik swego jeepa. Schouten powiedział: - To było obce
nazwisko -jakby hiszpańskie. Brzmiało ono: Ramirez.

2

Po przejechaniu kilometra jeep się zepsuł. Ryk silnika ucichł
i zatrzymaliśmy się gwałtownie. Piro wyskoczył z wozu, pochylił się nad
silnikiem i zapalił zapałkę. - On trup - oznajmił pogodnym tonem.

Niecierpliwiłem się, bo zależało mi na szybkim powrocie na
"Esmeraldę". Chciałem stłuc Kane'a na miazgę. Wiedziałem, że żaden
człowiek nie wcieka się bez końca - nie można cišgle żyć na tym
poziomie pobudzenia - pielęgnowałem więc swój gniew, bo chciałem

dać mu swobodne ujęcie. Jim Taylor wyczuł moje napięcie i roztropnie powstrzymywał się od zadawania mi jakichkolwiek pytań.

Piro zapalił jeszcze jedną zapałkę i zajrzał badawczo we wnętrzności jeepa. Następnie podniósł głowę i powiedział wesoło: - Nie pojedzie.

Co się stało?

Nie ma essence.

Do cholery, dlaczego nie zatankowałeś? Dlaczego nie spojrzaleś na wskaźnik paliwa?

On zepsuty.

- Dobrze, pójdziemy pieszo - musimy tylko trzymać się plaży.

Piro sprzeciwił się. - Nie pieszo. Canoe tu niedaleko. Pojedziemy na wodzie.

Przeszliśmy za nim paręset metrów po plaży. W miejscu, gdzie droga skręcała w głąb lądu, Piro skierował się ku brzegowi. - Tu jest canoe, sir - zawiozę was z powrotem.

Było to tylko parę kilometrów, ale w ciemnościach wydawało się, że więcej. W czystym powietrzu bardzo szybko zobaczyliśmy wiatła kotwiczne "Esmeraldy", lecz minęło chyba sporo czasu, nim zbliżyliśmy się do niej na odległość głosu. Przy jej burcie było jeszcze kilka członów,

145

10 - Noc błędu

a na statku panowała wiścieczna atmosfera - najwyraźniej załoga

i krajowcy wspólnie spożywali wieczorny posiłek. Kiedy wspinałem się na pokład, przy poręczy nadburcia czekali Campbell, Klara i Paula,

którzy poznali od razu, że nie jestem w radosnym nastroju. Zapytałem

Campbella szeptem: - Gdzie jest Kane? - Nie dostrzegłem go

podczas dokonanego już przez siebie ogólnego przeglądu pokładu.

Geordie ma go na oku. Dał mu robotę pod pokładem. Co się stało, mój chłopcze?

Ten sukinsyn i Hadley zabili Marka - powiedziałem.

Paula z sykiem wciśnęła powietrze. - Jeste pewien? - zapytał Campbell.

Może nie dałoby się tego dowieć w sędzie, ale ja jestem o tym przekonany. - Przypomniałem sobie łzy na policzkach Schoutena. -

Chcę pogadać z Kanem - teraz!

On nie wygląda na mordercę.

A kto wygląda? - odparłem z goryczą. - Wysłuchałem obrzydliwej historii. Ramirez też był w nią zamieszany.

Campbell drgnął. - Jak do tego doszedłeś?

Czy możesz go opisać?

Oczywiście. To wysoki, chudy facet z haczykowatym nosem podobnym do dziobu orła. Ma paskudną bliznę po lewej stronie twarzy.

Zgadza się. Był tam, kiedy Mark został zabity. Schouten widział go i opisał mi jego wygląd, wszystko oprócz blizny, a Hadley wymienił jego nazwisko. Jest on w to wszystko porządnie wmieszany, siedzi w tym aż po uszy - mam nadzieję, że skrucę mu kark. Ale najpierw chcę Kane'a.

Campbell zwrócił się do Klary i Pauli. - Idcie do swoich kajut

dziewczęta.

Paula posłusznie skierowała się ku drzwiom, natomiast Klara

próbowała się sprzeciwić. - Ależ tato, ja,..

Głos Campbella zabrzmiał jak wist bicza. - Id do swojej kajuty!

Wyszła bez słowa, a on zwrócił się do mnie.

- Zostaw to wszystko - powiedziałem. - Powiadom Iana

i znajdmy Kane'a.

Zszedłem do dziobówki, ale Kane'a tam nie znalazłem, nie było go

też na pokładzie. Zwołaliśmy załogę i zaczęliśmy przeszukiwać statek,

ale po Kanem nie było ani ladu. Szczęki rozbolały mnie, tak długo

już trzymałem je zacinięte.

- Zwiął - orzekł Ian.

- Geordie, gdzie jest Geordie? - zapytałem.

Ale Geordie zniknął także.

146

Pobiegłem na pokład i zobaczyłem, że nadal wałęsa się po nim

wielu krajowców. Zawołałem Pira, który wyłonił się z ciżby.

Czy pomożesz nam odnaleźć dwóch ludzi na wyspie? Czy

możecie jś przeszukać?

Jakich ludzi?

Kapitana i jednego z załogi. Kapitan to ten wielki mężczyzna,

którego widziałe, kiedymy tu przyплыnęli. Drugi jest chudy i wysoki.

Trzymajcie się z dala od niego - jest niebezpieczny.

Piro potarł czubek głowy. - Nie - bez - pieczny?

- On jest zły. Może walczyć - może cię zabić.

Piro wzruszył ramionami. - Ty zapłacisz - my znajdziemy.

Zszedł do swojego czółna z dwoma czy trzema spośród naszych ludzi, a Ian już zarządził, by spuścić naszą szalupę, która kołysała się nad burtą. Piro wykrzykiwał polecenia w swym języku do zelektryzowanych nagle krajowców. Spod pokładu wyszedł Campbell. - Masz rewolwer? - zapytał mnie.

Nie potrzebuję broni. Rozerwę tego sukinsyna na strzępy.

Chod tu! - rozkazał i pociągnął mnie pod wiatło. Otworzył zaciniętą pięć i zobaczyłem leżący na jego dłoni nabój. - Znalazłem to na podłodze koło jego koi - kulka kalibru 0,38. Kane musiał upuścić ją w popiechu, a to znaczy, że jest uzbrojony.

O Boże, musimy zatrzymać tych krajowców, którzy go szukają - zawołałem. - Nie chcę żadnych trupów.

Odwrociłem się, żeby pobiec na pokład, ale Campbell przytrzymał mnie za ramię i wsunął do ręki co ciężkiego. - Tu masz rewolwer - powiedział. - Czy potrafisz strzelać?

Chwyciłem mocno broń. - Wkrótce się dowiem. - Wetknąłem ją w kieszeń lekkiej kurtki z kapturem, którą miałem na sobie. - Lepiej zostań tutaj.

- Synu - odparł Campbell - nie jestem aż tak stary - jeszcze nie.

Spojrzałem w jego zimne jak lód oczy i powiedziałem: - Wobec tego lepiej się pospieszmy. - Wybiegliśmy na pokład i opuciliśmy się

do szalupy. Popatrzyłem na brzeg. Małe wiatelka poruszały się w ciemności, tam i z powrotem, czasami znikając, gdy liście palmowe zasłaniały pochodnie, i pojawiając się znowu. - Cholera, już zaczęli poszukiwania. - zwróciłem się do Iana. - Kane jest uzbrojony.

- Ruszamy! Reszta jest już na brzegu. Oni orientuj się w sytuacji -

Było nas sześciu. Silnik zapalił od razu i kiedy mknęliśmy ku brzegowi, powiedziałem do otaczających mnie mężczyzn: - Słuchajcie, chłopcy, szukamy Geordiego. Jeśli natkniecie się na Kane'a, trzymajcie się od

147

niego z dala. Nie naciskajcie go za mocno - ma rewolwer. A kiedy spotkacie tubylców, to odelijcie ich z powrotem do wioski.

Co właściwie zrobił Kane? - zapytał Taffy Morgan.

Zabił człowieka - odrzekł chłodno Campbell.

Nie rozmawialiśmy już więcej, dopóki łódź nie przybiła do brzegu.

Na plaży czekał Piro. Na jego twarzy w świetle pochodni widać było podniecenie. - Znaleliśmy go - oznajmił lakonicznie.

- Którego? - zapytałem szybko.

Pokazał gestem. - Tego wielkiego, teraz on w chacie.

Westchnąłem z pewną ulgą. To na pewno Geordie. - Piro, czy możesz odwołać swoich ludzi - zatrzymać ich? Nie powinni szukać tego drugiego. On ma rewolwer.

Piro skinął na jednego ze swych przyjaciół, który podniósł do ust wielką konchę. Zahuczał żałobny ton, rozchodząc się daleko przez plantacje. Zobaczyłem, że wiatelka zaczyna się płynąć z po-

wrotem ku wsi.

- Chodmy do niego.

Znalelimy Geordiego w jednej z chat. Jego twarz była straszliwie zmasakrowana, z głębokimi ranami ciętymi na czole i policzkach. Piro powiedział: - Znaleć go w drzewach - był spać na ziemi.

Pomyślałem, że musiał doznać wstrząsu mózgu, bo z poczłtku mówił trochę od rzeczy, ale jednak był w stanie rozmawiać z nami.

Zobaczył, że Kane ucieka ku brzegowi w jednym z czółen, i pogonił za nim w innym czólnie; Nie miał czasu zawołać nikogo, bo bał się stracić Kane'a z oczu. cigajšc Kane'a minšł wie i wbiegł między drzewa. Tam wpadł w zasadzkę.

Na miłoć boskš, kto się zaczął na ciebie?

To musiał być Hadley. Chłop wielki jak słoń - powiedział z żalem Geordie. - Wyszedł zza drzewa i wsadził mi lufę między żebra.

Nie spodziewałem się tego - mylałem, że Kane jest sam. Zaskoczył mnie, zmusił, żebym odwrócił się twarzš do niego, i zaczął mnie bić. -

Tu Geordie osłabł, lecz za chwilę przyszedł do siebie. - Uderzał wielkim rewolwerem. Zrobił ze mnie maskarę. A ten sukinsyn miał się. Potem ršbnšł mnie parę razy w głowę i - straciłem przytomność.

Umiechnšł się słabo. - Chyba mylał, że mnie zabił, ale ja mam doć twardš czaszkę. Przepraszam, że zawałilem tę robotę, Mikę.

- W porzšdku, Geordie. Nikt z nas nie spodziewał się czego podobnego. Przykro mi tylko, że oberwałe tak mocno.

Jego zakrwawiona twarz wykrzywiła się w złowrogim umiechu. -

Dodaj to do rachunku za mój palec - powiedział cicho. - Trzani

go raz ode mnie.

148

- Będziesz musiał poczekać na swoją kolej. Już się ustawia

kolejka chętnych do wygarbowania skóry Hadleya i Kane'a. -

Wstałem. - Myślę, że będzie lepiej, jeśli weźmiemy cię z powrotem na statek.

Weszli dwaj mężczyźni z mocno poruszonej ostatnimi wydarzeniami drużyny Geordiego, wzięli go delikatnie pod rękę i poprowadzili do szalupy. Inni zaczęli się gromadzić, gdy Piro wezwał ich do chaty.

Zapytałem go niecierpliwie: - Czy jest tu inny statek? - Jeśli Hadley wracał tu kilka razy, Piro z pewnością znał "Perłę". Odpowiedź Pira wstrząsnęła nami wszystkimi, chociaż byliśmy już na nią przygotowani.

Tak, przypłynął tu. On popłynął do hópital - jeden, dwa godziny.

Niech to wszyscy diabli - zaklął Campbell. - Przepłynął przez to przejście za nami - w ciemności i bez wiatła! To cholernie dobry żeglarz.

- Wcale go nie kocham bardziej z tego powodu - odparłem.

Jaki człowiek wbiegł do chaty i, wyranie przejęty, szybko mówił co do Pira w jego języku. Piro wyglądał na wstrząśniętego; skinął na mnie, żebym wyszedł na dwór. W ciemności wskazał ręką kierunek, gdzie niebo nad horyzontem było rozjarzone migotliwym czerwieniem. -

Hópital, on się pali - rzekł.

- Chryste!

Ludzie gromadzili się tłumnie, wydając okrzyki przerażenia na widok pożaru.

Jak możemy się tam dostać - szybko - my wszyscy? -

Przekląłem jeepa, pozostawionego bez paliwa na plaży.

Wielkie canoe - odrzekł Piro. - Płynie szybko. Szybciej niż pieszo. - Pobiegnął gdzieś w ciemność.

Hadley spalił szpital! - powiedziałem.

Campbell wpatrywał się w lunę na niebie. - To zwykły wariat!

Dlaczego on to zrobił? - zapytał.

- Groził, że to zrobi. Nie ma teraz czasu na opowiadanie.

Popłyniemy tam w czółnach. Piro poszedł je zorganizować. A gdzie jest Ian?

Za plecami usłyszałem słowa wypowiedziane miękkim akcentem górali szkockich - Tu jestem.

- We czółno i wracaj na "Esmeraldę". Niech jak najszybciej płynie w kierunku szpitala. Jest dość lekka - laguna powinna być bezpieczna; tylko trzymaj się plaży. Po prostu zaprowad tam statek.

Nie odpowiedział nic, lecz popędził w kierunku plaży.

Piro dotknął mojego ramienia. - Chodcie do canoe.

149

Większość naszych ludzi stłoczyła się w szalupie, a pozostali, jak również mnóstwo tubylców, zabrali się w wielkim canoe. Pomieściło ono dwudziestu ludzi. Nie było zbyt szczelne, ale, na Boga, istotnie

było szybkie! Wiołarze zajęli miejsca tyłem do dziobu łodzi, która pomknęła po wodzie z dużą prędkością, zostawiając za sobą kilwatek więcej od fosforescencji i z łatwością utrzymując się na równi z naszymi motorami szalup.

Przebycie pięciu kilometrów dzielących nas od szpitala zajęło tylko dwadzieścia minut, lecz przez ten czas mogliśmy się przekonać, że pali się cały szpital. Widzieliśmy czarne postacie, biegnące we wszystkie strony na tle płomieni; zastanawiałem się, ilu pacjentów się uratuje. Byłem tak pochłonięty widokiem wydarzeń rozgrywających się na brzegu, że nie zauważyłem statku. Campbell potrząsnął mnie za ramię i pokazał go.

Szkuner stał na kotwicy dokładnie na wysokości szpitala. Nie zobaczylibyśmy go w ciemnościach tej okropnej nocy, gdyby nie szalejący pożar, który rzucał czerwone blaski na jego biały kadłub. Krzyknąłem do Campbella - Co mamy robić - płynąć do szkunera czy do szpitala?

- Do szpitala - musimy ratować pacjentów.

Canoe wbiło się w piasek plaży niezbyt daleko od szpitala; wszyscy bryzgając wodą dobiegliśmy do brzegu i pobiegliśmy w kierunku ognia. Zobaczyłem, że Campbell wydobyl pistolet automatyczny, dziwną broń z niezwykle długą, cienką lufą. Ja wyciągnąłem rewolwer, który mi dał, i popędziłem naprzód, z trudem dotrzymując kroku biegnącym komandosom. Cały szpital płonął gwałtownie, suche strzechy z liści palmowych paliły się jak słoma i płomienie strzelały

prosto ku niebu w tę bezwietrzną noc.

Wbiegłem na otwartą przestrzeń między dwiema płonącymi chatami, a tam zobaczyłem należącą do szpitala przystań. Włanie odpływała łód i przez trzask płomieni usłyszałem nagły ostry ryk silnika.

- Odpływaj! - krzyknąłem, wycelowałem w łód i nacisnąłem spust. Nie stało się nic - zapomniałem zwolnić bezpiecznik. Campbell przykucnął, jakby szykował się do skoku i wycelował ze swego osobliwego pistoletu, potem jednak wyprostował się i potrząsnął głową. - Za daleko. Szkoda, że nie mam karabinu.

- Ale nie możemy pozwolić im uciec! - wciekałem się.

Campbell potrząsnął mnie brutalnie za ramię. - Chod!

Rzuciłem ostatnie spojrzenie na oddalającą się w kierunku "Perły" łód, która już zniknęła w ciemnościach, po czym pobiegłem plażą za innymi, aby dołączyć do reszty naszej załogi z szalupy. Usłyszałem,

150

jak kto krzychał: - Nie ugascie tego pożaru - ratujcie ludzi! -

i pobiegłem w kierunku domu Schoutena.

Na próżno. Miejsce to było objęte ogniem, ryczącym morzem płomieni strzelających w nocne niebo na wysokość piętnastu metrów.

Zadałem sobie pytanie, czy to jest stos pogrzebowy Schoutena, i czy miał lżejszą miarę niż zaczął się pożar.

Obiegając dokoła domu, aby zobaczyć, jak wygląda z tyłu, wpadłem na kobietę siedzącą na cieżce. Gdy odzyskałem równowagę, obejrzałem się i zobaczyłem, że kobieta trzyma na kolanach głowę Schoutena. Jej

zawodzenia przebijały się przez trzask i huk płomieni: - Aaaaah, le

pauvre docteur, le pauvre docteur!

Nachyliłem się i zauważyłem, że jej suknia jest nadpalona i podarta.

Przypuszczalnie wyciśgnęła ciało Schoutena z palącego się domu.

Kiedy mnie zobaczyła, wydała okrzyk, podniosła się z trudem

i krzycząc uciekła w ciemności rozciągając się za szpitalem. Z pewnością pomyślała, że jestem z bandy Hadleya.

Ukląknąłem przy Schoutenie na jedno kolano. Widok był przykry,

gdyż przestrelono mu głowę, i to nie jeden raz. Miał oderwaną

szczękę i małą niebieską dziurkę w lewej skroni. Prawa skroń znikła

- znajdował się w niej otwór o poszarpanych brzegach, tak duży, że

mogła się w nim zmieścić pięć, a mózg wylewał się przez niego na

cieżkę.

Wstałem, zatoczyłem się i musiałem chwycić się drzewa, żeby nie

upać. Potem wymiotowałem tak, że o mało nie wyrzygałem wewnątrz-

noci, aż w końcu wyprostowałem się, słaby, drżący i oblany potem.

Ledwo przyszedłem do siebie, gdy przybiegł Nick Dugan z twarzą

poczerniałą od dymu; chwycił mnie za ramię i pomógł się podnieć. -

Dobrze się czujesz?

Za chwilę - już dobrze.

Zobacz, Mikę - to "Esmeralda". Pospieszyli się.

Spojrzałem na lagunę i zobaczyłem "Perłę" ruszającą w drogę, a za

nią "Esmeraldę" zbliżającą się z największą szybkością, z silnikiem

pracującym na pełnych obrotach; jej falę dziobową barwiły na

czerwono odbłaski z płonącego brzegu. "Perła" poruszała się jeszcze powoli i widząc zmieniający się kształt położenia dziobu "Esmeraldy" byłem pewny, że Ian zamierza podjąć próbę zatrzymania statku przeciwnika, podchodząc jak najbliżej do jego burty lub nawet taranując go.

Jednakże szkuner dzięki swojemu silnikowi stopniowo nabierał szybkości i umknął przed zagrażającym mu dziobem "Esmeraldy".

Ian znowu zmienił kurs, tak by przecisnął się z kursem "Perły", lecz

151

niemal w momencie zderzenia szkuner skręcił zręcznie w bok i bukszpryt "Esmeraldy" zadrasnął tylko jego bok. Gdy oba statki się mijały, z "Perły" dała się słyszeć strzelanina, na którą odpowiedział grzechot wystrzałów z naszego statku. Zastanawiałem się, kto u nas miał broń i kto jej użył.

Potem "Perła" znalazła się poza zasięgiem ostrzału, kierując się przez lagunę do przejścia w rafie; gdy się oddaliła na jej pokładzie pojawiły się wiatła. "Esmeralda" zrezygnowała z pocigu i skierowała się do brzegu. Usłyszałem, jak jej silniki się zatrzymały. Ratowanie szpitala miało pierwszeństwo, a ponadto ciganie w ciemności uciekającego szkunera było zbyt niebezpieczne.

"Perła" znikła nam z oczu.

3

wit odsłonił chaos. Smugi dymu ze spalonych budynków nadal wznosiły się spiralami ku niebu, a pacjenci - ci, którzy przeżyli -

gromadzili się na plaży wraz z przyjaciółmi i pozostałym personelem szpitala. Piro dokonał obliczeń - lista ofiar śmiertelnych obejmowała czterdzieści osób, nie licząc Schoutena.

Wszyscy byliśmy zmęczeni, poparzeni i przygnębieni.

Campbell z poszarzałą twarzą rozglądał się dookoła, przypatrując się miejscu, które było sceną tak nieludzkiego okrucieństwa. -

Sukinsyny! - Kipiał wściekłości. - Przeklęci mordercy. Będą za to wisieć.

- Nie będą, jeśli ja pierwszy ich dostanę - powiedziałem.

Siedzieliśmy skuleni na paru ławach, trzymając kubki z gorącą kawą, którą dostarczono na brzeg z naszej brygantyny. Nie mieliśmy na statku tyle prowiantu, żeby wystarczająco zaopatrzyć wszystkich, ale rozdzieliliśmy to, co mogliśmy, a mieszkańcy wioski przynieśli własną żywność dla pogorzalców, którzy wyszli z pożaru z życiem, lecz doznali silnego wstrząsu. Paru mężczyzn przeszkolonych przez Schoutena dokonywało heroicznych czynów udzielając pierwszej pomocy, potrzeby były jednak znacznie większe.

Nam także zadano dotkliwy cios - wiatło poranka ujawniło, że nasze okrętowe radio zostało rozbite. Prawdopodobnie zrobił to Kane przed swoją ucieczką ze statku. Nie mogliśmy teraz w żaden sposób wezwać pomocy, chyba że udalibyśmy się po nią osobiście, Ian, który dokonywał cudów prowadząc "Esmeraldę" nocą wzdłuż wybrzeża, teraz potępiał siebie za to, że nie upilnował radia; my jednak wyperswadowaliśmy mu, że wtedy trudno to było przewidzieć. Ja nie

byłem jeszcze nawet na statku, żeby odwiedzić Geordiego, ale wszyscy zapewnili mnie, że nic mu nie będzie, jeli tylko pozostanie w swej koi.

Campbell powiedział: - Nie mogę zrozumieć, dlaczego Suarez i Navarro zdecydowali się na co takiego. To wręcz niewiarygodne, choć sam ci opowiadałem, jaka to zdemoralizowana banda.

Jego słowa nie wywarły na mnie wrażenia. - Znasz historię Anglii?

Gwałtownie podniósł głowę: - Co to ma do rzeczy?

- Był taki angielski król - chyba Henryk II - który miał, jako swój głos sumienia, biskupa Tomasza Becketa. Istnieje legenda, że pewnego dnia przy obiedzie król powiedział: "Czy nikt nie uwolni mnie od tego buntowniczego kapłana?" Słyszęc te słowa czterej jego rycerze natychmiast wyruszyli w drogę i zamordowali Becketa w katedrze w Canterbury.

Pogrzebałem stopś w piasku. - Gdy król dowiedział się o tym, był przerażony i wstrząśnięty. Pokajał się przed Kociołem i odprawił pokutę; mimo to ostatecznie poradził sobie ze wszystkimi - nie miał już Becketa na karku.

Wskazałem na spalony szpital. - W firmie Suarez i Navarro odbywa się zebranie zarządu i jaki pulchny, nudny dyrektor mówi: "Chciałbym, żebyśmy mogli zrobić co z Campbellem i tym wcibskim facetem, Trevelyanem". Wobec tego kto taki jak Ramirez wyrusza w drogę i robi co, a jeli wszystko załatwi jak należy - to znaczy Campell i Trevelyan zostaną przystopowani - to otrzyma premię i nie

będzie musiał odpowiadać na żadne pytania. Dywidendy akcjonariuszy firmy Suarez i Navarro rosł, a ponieważ dyrektor by zemdłał, gdyby zobaczył ucięty palec, więc nie będzie badał zbyt dokładnie, w jaki sposób wykonano tę robotę, żeby nie zepsuć sobie apetytu.

Ale nas nie zaatakowali.

Bezporednio nie. Ta masakra była bardziej typowa dla Hadleya - sadystyczna zemsta, niejako przy okazji. Nie sądzę jednak, żebyśmy teraz nie byli zagrożeni.

Campbell popatrzył na żalosną grupę pacjentów siedzących na plaży. - A więc nie doszłoby do tego, gdybyśmy tu nie przyplłynęli - powiedział powoli.

Miałem metaliczny posmak w ustach. - Nie. Schouten bał się tego, co się stanie, a ja go zapewniłem, że nic mu nie będzie.

Obiecałem, że otrzyma ochronę. Jak cholernie to wszystko spar-taczyłem.

Obaj zamilkli. Za wiele było do powiedzenia.

Klara szła ku nam plażą, niosąc torbę z zestawem pierwszej pomocy. Wyglądała na zmęczoną i smutną, lecz czułem do niej

153

większą sympatię niż kiedykolwiek. Chciałem wziąć ją w ramiona, lecz co mi w tym przeszkadzało - a ona odgadła mój zamiar i zrozumiała, dlaczego nie mogłem go zrealizować.

- Mikę, masz okropnie poparzone ręce. Zabandażuję je.

Spojrzałem na swoje dłonie i ramiona. Przedtem nie zwróciłem na

nie uwagi, ale teraz zaczynały mnie boleć.

Zajęła się moimi rękami, a pracując powiedziała z opuszczoną głową: - Tato, myślę, że zrobisz tu użytek ze swojej księżeczki czekowej.

Księżeczka czekowa nie przywróci życia piętnastu ludziom - odezwałem się szorstko.

Wy mężczyźni jesteście cholernymi głupcami - odparła gniewnie. - Co się stało, to się nie odstanie, a poza tym, nie wy to zrobiliście, chociaż domyłam się, że obaj obwiniacie siebie samych. Ale szpital spłonął i jaki los czeka tych biednych ludzi? Trzeba co zrobić dla nich - nie możemy po prostu odejść mówiąc "No cóż, to nie my podłożyliśmy ogień", nawet jeśli to prawda.

- Przepraszam, Klara - powiedziałem. - Ale co możemy zrobić?

Campbell wsunął ręce głęboko do kieszeni. - Będzie tu nowy szpital - i to porządny. I lekarze, i dobre wyposażenie. Ufunduję całą cholerną instytucję. - Jego głos stał się twardszy. - Ale Suarez i Navarro zapłacą za to, w ten czy inny sposób.

Odszedł plaż, a tymczasem Klara smarowała mi ręce jakąś chłodną emulsją. - Co to za rodek? - Zapytałem. Musiałem porozmawiać o czymś mniej bolesnym, chociaż moje pulsujące górne kończyny nie były pod tym względem najlepszym tematem.

- Żel z kwasem taninowym. Dobry na oparzenia.

Nikt nie miał czasu poinformować nas, co wydarzyło się na statku - powiedziałem. - Może ty mogłabyś to zrobić? Nie

wiedziałem, że mamy broń.

Kilku mężczyzn ma rewolwery, nie licząc mojej zbrojowni taty.

Chyba jesteś strasznie naiwny.

Kto strzelał z "Esmeraldy"?

- Paru ludzi z załogi i ja - odrzekła krótko.

Podniosłem brwi. - Ty?

- Jestem dobrym strzelcem. Tata mnie nauczył. - Zaczęła

bandażowanie. - Myślę, że trafiłam jednego z nich - i wydaje mi się,

że to był Kane. -- Nagle jej głos załamał się. - Ach, Mike, to było

okropne. Nigdy nie strzelałam do człowieka, tylko do tarcz. To było...

Byłam spowity bandażami, ale jako zdołałam otoczyć rękami jej

ramiona, a ona ukryła twarz na mojej piersi. - Zasłużył na to, co go

154

spotkało, Klaro. Musisz tylko rozejrzeć się dookoła, żeby się przekonać

o tym. Zabiła go?

Podniosła głowę, a jej twarz była blada i mokra od łez. - Nie

śdżę - wiatło było słabe, a w dodatku wszystko wydarzyło się tak

szybko. Myślę, że chyba trafiłam go w ramię. Ale... ja usiłowałam go

zabić, Mike.

- Ja też - odparłem. - Ale mój rewolwer nie wypalił. Nie

jestem zbyt dobry w strzelaniu, ale starałem się i nie żałuję tego.

Opanowała się. - Dzięki Mike. Jestem głupia.

Potrząsnęłam głową. - Nie, Klaro, nie jesteś. Zabijanie nie

przychodzi łatwo ludziom takim, jak my. Nie jesteśmy wciekłymi

psami w rodzaju Kanea czy Hadleya, kiedy jednak staniemy naprzeciw wciekłych psów, to myślę, że naszym obowiązkiem jest starać się je powstrzymać wszelkimi dostępnymi sposobami - nawet jeśli jedynym sposobem jest zabicie ich.

Spojrzałem w dół na czubek jej głowy i poczułem, że mam dość tego całego cuchnącego interesu. Nagle przyszło mi na myśl, iż spalony szpital z leżącymi tu i ówdzie trupami nie jest najlepszym miejscem na wiecie, by powiedzieć dziewczynie, że się jest w niej zakochanym. Powinienem poczekać z tym do czasu, kiedy będzie spokojne morze, romantyczne wiatło księżyca, a w tle tony miłosnej pieni, dobiegające z salonu.

Przez chwilę miałem powyżej uszu całej tej gonitwy. Nie obchodziło mnie wcale, jak doszło do śmierci Marka, gdzie się znajduje ten jego głupi kobaltowy skarb. Chciałem nie mieć już nic do czynienia z całą tą sprawą - z wyjątkiem Klary. Nie mogłem jednak wywikłać się z tego tak łatwo. Rozpoznałem objawy wyczerpania i usiadłem prosto, żeby wziąć się w garść.

Klara widziała wyraz moich oczu i szybko odwróciła wzrok, lecz myślę, że wyczytała w nich wszystko. - Musimy teraz przejść przez to, Mikę. Nie możemy pozwolić, żeby Suarezowi i Navarro uszło to na sucho - jeśli to rzeczywiście oni. Gdybyśmy to zrobili, wszystko byłoby na próżno.

Wiem; ale nie będzie to trwało wiecznie, Klaro. Nadejdą lepsze dni. Ja już czuję się dobrze. Czy oprócz mnie który z naszych

chłopców doznał jakich obrażeń?

Oparzenia, kilka zadrańnięć. U nikogo nie sš gorsze niż u ciebie - odpowiedziała.

Dobrze. Trzeba zacząć uprzętać tę parcelę. Miejscowi ludzie będą musieli poradzić sobie sami, dopóki nie będziemy mogli dotrzymać słowa. - Zostawiłem jš i poszedłem tam, gdzie stał Piro.

155

Zdawałem sobie sprawę z tego, że Klara patrzy na mnie. Dałbym wszystko, żeby być z niš gdzie indziej, a nie na tej plaży.

- Co teraz zrobicie? - zapytałem Pira.

Zwrócił ku mnie smutnš twarz. - Będziemy budować znowu.

Wszyscy ludzie z Tanakabu będą budować więcej - dużo chat. Ale nie ma doktora...

- Słuchaj, Piro - powiedziałem - tamten człowiek, pan Campbell, ma pieniądze, więcej niż potrzebuje. Przyle wam lekarzy i będziecie mieli prawdziwy szpital, taki jak w Papeete. Ale najpierw musimy tam wrócić i powiedzieć policji, co się tu stało. Czy mógłby mi to opisać na papierze?

Okazało się jednak, że Piro nie potrafi pisać, a nawet nie umie się podpisać, co było okolicznociš bardzo niepomylnš - chciałem wzišć do Papeete powiadczony opis wydarzeń, jednak po mierci Schoutena nie było nikogo, kto mógłby to zrobić.

Zmarłych pochowaliśmy na cmentarzu szpitalnym. Pytałem o księdza, lecz widocznie Schouten sam występował w tej roli przy podob-

nych okazjach. Przyniesiono Biblię, a Campbell powiedział kilka słów, chociaż niewielu tubylców mogło go zrozumieć: - Powierzamy ziemi ciała tych, którzy stali się ofiarami straszliwej zbrodni. "Zemsta jest moja", rzekł Pan, ale może użyje On ludzi takich jak my jako swoje narzędzie. Mam nadzieję, że tak się stanie.

Potem odwrócił się i odszedł plaż, smutny i samotny.

Schoutena złożono do grobu w miejscu nieco oddalonym od innych pochowanych. Przyszło mi na myśl, że może wynikało to stąd, iż był on innego wyznania; prawdopodobnie jednak mieszkańcy wyspy chcieli jako wyróżnić jego miejsce spoczynku i niewstępliwie z głębokim smutkiem opłakiwali jego śmierć. Pomyślałem, że ma lepszy pomnik niż te, jakie kiedykolwiek mógł sobie wyobrazić, że stanę się jego udziałem, i byłem z tego zadowolony.

Gdy odpływaliśmy po południu, wyspiarze uprzętnęli już rumowisko, a większość pacjentów została rozlokowana po domach. Nie udało się nam znaleźć niczego, co moglibyśmy wziąć ze sobą jako świadectwo tragedii - rejestry szpitalne i wszystkie osobiste rzeczy Schoutena uległy całkowitemu zniszczeniu. Zrobiliśmy jednak sporo zdjęć, między innymi grupy krajowców wymieniających uciski dłoni z Campbellem i Ianem - jako dowód naszych przyjaznych stosunków - a także uczestników zbiorowego pogrzebu.

Kiedy już opuszczaliśmy Tanakabu, płynąc przejściem między rafami, Ian stojąc za kołem sterowym "Esmeraldy" zapytał ze

smutkiem: - Co to za ludzie, że mogli zrobić co takiego? Mówiłem nam, Mike, że są niebezpieczni - ale oni są chyba szaleni.

- Muszą być psychopatami - odrzekłem. - Z tego, o czym się dowiedziałem od doktora Schoutena, wynika, że Hadley na pewno jest psychopatą.

Na pokład wszedł Shorty Powell z pobladłą twarzą; jednocześnie pojawił się Campbell, który wyglądał na bardzo wzburzonego. - Co wam pokażę - oznajmił i zaprowadził mnie i Iana do kabiny Kane'a.

Na koi leżał niewielki przyrząd brązowego koloru; przed kilkoma minutami znalazł go Skorty, rozpoznał bez trudu i pokazał Campbellowi.

To walkie-talkie, przenośny aparat nadawczo-odbiorczy z nadwyżek armii amerykańskiej, sprzedawany w cenie około piętnastu dolarów sztuka. Jego zasięg na lądzie jest niewiele większy niż osiem kilometrów, natomiast na wodzie można się porozumiewać na większą odległość.

Powiedzmy około dwa razy tyle - uzupełnił Shorty.

To dlatego szkuner Hadleya pojawił się w tak stosownym momencie. Stąd też był ten cholerny komunikat, który złapał Shorty.

Powiedziało wtedy, że to stacja o małej mocy i bardzo bliska, ale kto by pomyślał, że nadawano z tego właśnie miejsca na "Esmeraldzie"?

Campbell skinął potakująco głową. Prawdopodobnie płynęli za nami przez cały Pacyfik. Szkuner przypuszczalnie trzymał się w takiej odległości, że jego kadłub był ukryty za horyzontem, i Hadley mógł sobie ucinąć miłe pogawędki z Kanem.

Wziłem aparat i obejrzałem go z ciekawości. - Sądzę, że Kane nie jest wystarczająco bystry, by mógł sam wpaść na taki pomysł. To wskazuje na istnienie organizacji.

Ramirez! - rzucił bez wahania Campbell.

Bardzo prawdopodobne - zgodziłem się. Starałem się włącznie wykombinować, jakie jeszcze wnioski można wycisnąć z tego odkrycia, kiedy przyszła po mnie Paula, a Ian wrócił na pokład. - Geordie prosi, żeby go odwiedził - powiedziała. Wyglądała na zmęczoną, spędziła bowiem cały rano pomagając Klarze na tej okropnej plaży. Umiechnąłem się do niej i ucisnąłem ją serdecznie na znak przyjaźni i dla dodania otuchy.

Jak on się czuje?

Będzie zdrowy, ale w Papeete potrzebna mu będzie opieka lekarska, może założenie szwów. Nie jestem wykwalifikowaną pielęgniarką, wiesz przecież. - Przyszło mi na myśl, że biorąc pod uwagę niebezpieczeństwa, na jakie już naraziliśmy, i wstrząsające sceny, jakie widziała, trzyma się zadziwiająco dobrze; potem jednak pomyślałem, że cechuje ją wrodzona nieustępliwość i wytrzymałość.

157

Mógł mu zostać blizny na całe życie - dodała.

Zmasakrowanie twarzy kolbą pistoletu to parszywa sprawa.

Przeklęty Hadley! - powiedział Campbell.

Zastaliśmy Geordiego w koi, a jego oczy spoglądały na mnie

bystro między zwojami bandażu. Powiedziano mu już o pożarze

i rozbitej radiostacji, ale chciał dowiedzieć się więcej.

Jak się czujesz? - zagadnąłem go.

Nie najgorzej, jeli wziąć wszystko pod uwagę. Ale nie znam jeszcze całej tej historii. Co zaszło zeszłego wieczoru między tobą a doktorem? - dopytywał się, a ja uwiadomiłem sobie ze zdziwieniem, iż od tego czasu tyle się wydarzyło, że nie miałem czasu przekazać nikomu strasznej opowieści. Upewniwszy się, że Geordie czuje się na tyle dobrze, by móc jej wysłuchać, zaprosiłem do jego kajuty Paulę, Klarę i Campbella. Słuchali mnie w głuchym milczeniu.

To okropna historia - powiedziałem ponuro na zakończenie.

Okropna - potwierdził Geordie. - Oni muszą być niespełna rozumu.

Nie sądzę, żeby Kane był chory umysłowo - odrzekłem. - To Hadley jest szaleńcem, a już na pewno psychopatą. Kane jest bystrzejszy niż mylelimy. - Opowiedziałem Geordiemu o walkie-talkie.

Zrobili nas w konia i wcale mi się to nie podoba - odezwał się Campbell. - Myślę jednak, że tym swoim ostatnim wyczynem przeszli sami siebie. Przypuszczam, że Hadley wpadł w szal i że Ramirez nie będzie zadowolony, gdy się o tym dowie.

Myślałem o tym wszystkim, staraj się ułożyć tę łamigłówkę - rzekł Geordie. - Wydaje mi się jednak, że niektóre kawałki nie pasują.

Jakie?

Po pierwsze, powiedziały, że zdaniem Schoutena Kane i Hadley zamordowali Marka, i że Ramirez był przy tym. Dlaczego mylisz, że oni zabili Marka?

Zastanawiałem się nad tym. Było co takiego, o czym wspomniał biedny stary Schouten - że Hadley rozemiał się, kiedy doktor chciał zobaczyć ciało, i powiedział, że ten widok nawet lekarza przyprawiłby o mdłoci. Co to miało znaczyć, według ciebie?

Biorąc pod uwagę wszystko, co wiemy o Hadleyu, mogło to znaczyć, że Mark był torturowany.

Ale dlaczego mieliby torturować Marka? - Powinienem poczuć się le na samś myl o tym, ale jako to wszystko stało się dla mnie problemem raczej teoretycznym.

158

A dlaczego torturuje się kogo? Chcieli wydobyć z niego informacje.

Ramirez także był tam. Mylę, że chcieli się dowiedzieć, gdzie trzeba szukać bryłek o wysokiej zawartoci kobaltu.

Tak - zgodził się Campbell. - Już to sobie przemyślałem. Czy Mark im powiedział?

Nie wiem. Mark dbał o własną skórę, ale potrafił odnosić się bardzo pogardliwie do ludzi takich jak oni - zapewne nie zdawał sobie sprawy, co naprawdę zamierzają, dopóki nie zabrali się do

roboty, a wtedy mogło już być za późno.

Dziewczyny wpatrywały się we mnie w milczeniu, przerażone wizją, jaka wynikała z tego rozumowania. Ale Geordie ujął go w słowa. - Masz na myśli to, że Hadley znów wpadł w szal, posunął się za daleko i Mark zginął, zanim mógł cokolwiek powiedzieć?

Tak przypuszczam. Najwyraźniej nie wiesz, gdzie się znajdują te bryłki, bo inaczej nie płynęłyby tak za nami. Pochowali więc swój błąd, sterroryzowali doktora i wysłali Hadleya po rzeczy Marka, spodziewając się znaleźć w nich jakie wskazówki. Hadley spartaczył sprawę i pozwolił, by rzeczy mojego brata wymknęły mu się z rąk dzięki tobie, Paulo - więc Ramirez udał się do Anglii, żeby je odzyskać, posługując się Kanem jako zwiadowcą i łącznikiem.

Wszystko chyba się zgadza - odrzekł Geordie.

Położył się na koi i wydawał się już bardzo zmęczony, więc zostawiliśmy go samego. Wszyscy byliśmy wyczerpani i przygnębieni, a powrotny rejs do Papeete nie sprawił nikomu z nas przyjemności.

Płynęliśmy szybko i wszystko szło dobrze aż do czasu, gdy znaleliśmy się w odległości około dwóch godzin drogi od Papeete, myśląc z utęsknieniem o zejściu na ląd. Planowałem, że zaraz po wejściu do portu udam się z Ianem, Campbellem i jednym lub dwoma członkami załogi na policję, zostawiając resztę, aby pilnie strzegła statku, a zwłaszcza Geordiego i dziewczyn. Nie mieliśmy pojęcia, gdzie może być "Perła", lecz chciałem uniknąć wszelkiego ryzyka.

Siedziałem w swojej kabinie, kiedy z góry przekazano mi polecenie,

żebym szybko stawiał się na pokładzie, Ian, który pełnił obowiązki szypra, wskazał na łód za naszš prawš burtš. Była to szybka motorówka, która okršżała nas w doć dużej odległoci. - Te chłopaki płynš okropnie szybko, Mikę. Oni co knujš. Wyglšdajš na rzšdowych.

Podał mi lornetkę; rozpoznałem łód patrolowš o charakterze wojskowym; miała nawet zamontowane małe działko szybkostrzelne na pokładzie dziobowym. Zamiast nazwy oznaczona była numerem, 159

a kiedy się jej przyglšdałem, zawróciła i zaczęła płynšć wprost ku nam. - Lepiej zawołaj Campbella - powiedziałem.

Łód patrolowa podpłynęła do "Esmeraldy" i z silnikiem pracujšcym na wolnych obrotach trzymała się w odległoci około pięćdziesięciu metrów. Oficer przy sterówce podniósł do ust tubę i nad wodš popłynšł ku nam potok francuskich słów.

Podniosłem ręce i zacząłem machać gwałtownie, żeby dać znać, że nie rozumiem. Inny mężczyzna wzišł tubę i zawołał po angielsku - "Esmeralda", zatrzymać się, bo będziemy strzelać!

Spojrzałem na działo. Obsługiwało je dwóch marynarzy - jeden włanie wsuwał z trzaskiem magazynek, a drugi obracał lufę, nakierowujšc jš na nasze ródokręcie.

Co u licha! - wybuchnšłem. Nie można jednak dyskutować z armatkš, Ian energicznie wydał rozkazy i szybko zaczęto zwijać żagle, a członkowie załogi nie odbywajšcy włanie wachty wbiegli po

schodach na pokład, wśród nich Campbell.

Co się dzieje, u diabła? - zapytał głośno.

Jestemy zatrzymani przez marynarke wojenną - odrzekłem -

w tradycyjnym stylu. Jeli się nie zatrzymamy, oni otworzą ogień; tak powiedział ten człowiek.

Campbell patrzył na działko jak urzeczony. - Niech to wszyscy diabli - powiedział. - Piraci?

- Niezupełnie. To łód rzeczowa.

Wszystkie żagle zostały zwinięte, "Esmeralda" utraciła szybkość i zaczęła kołysać się wzdłużnie. Łód patrolowa zbliżyła się, a następnie podpłynęła do naszej burty. Rzucono liny i oficer wskoczył na pokład, a za nim trzech marynarzy. Miał rewolwer, a marynarze byli uzbrojeni w pistolety maszynowe. Nasi ludzie cofnęli się, zaskoczeni i zaniepokojeni tym wszystkim; zobaczyłem jak Campbell wykonuje ukradkiem gwałtowne gesty, nakazując dziewczynom pozostać pod pokładem.

- Mister Trevelyan? - warknął oficer.

Zrobiłem krok do przodu. - To ja.

Jeden z pistoletów maszynowych uniósł się, tak że wylot lufy był wycelowany w mój żołądek. - Jest pan aresztowany.

Patrzyłem na niego w osłupieniu. - Za co?

Campbell energicznie zrobił krok do przodu. - Ale zrozumcie... -

zaczął. Oficer zrobił ruch ręką, pozostali dwaj marynarze podnieśli swoje pistolety i rozległy się złowrogie trzaski zwalnianych bezpieczników, Ian chwycił za ramię Campbella, który cofnął się.

- Dowiedcie się wszystkiego w Papeete. - powiedział oficer. -

Pana poproszę o przejście na pokład mojej łodzi. Wy - tu zwrócił się

160

do Iana - popłyniecie za nami korzystając z silnika. Ci ludzie pozostaną na statku z wami. Proszę, żebyście nie robili żadnych głupstw.

Spojrzałem w jego chłodne szare oczy i doszedłem do wniosku, że nie żartuje. Czułem ogromną niechęć do opuszczania "Esmeraldy", ale naprawdę nie miałem wyboru i bez słowa przeszedłem na łód patrolową. Poddano mnie krótkiej rewizji, a następnie sprowadzono na dół do kabiny wyposażonej w minimalnym stopniu, można by rzec: pływającej celi. Kiedy znalazłem się w niej, usłyszałem dźwięk zamkniętych na klucz drzwi.

Zostałem sam.

4

Byłem mocno przygnębiony - nie wiedziałem, co się dzieje, ale nie miałem żadnego sposobu, żeby się tego dowiedzieć, chociaż przychodziły mi na myśl różne przypuszczenia - nawet aż za dużo.

Gdybym chociaż mógł z kim porozmawiać, czułbym się lepiej, ale było to niemożliwe. Zastanawiałem się, w jaki sposób uzasadnić to wszystko.

Parę kilometrów dzielących nas od Papeete przebyliśmy z niewielką szybkością, żeby "Esmeralda" mogła nadżyć; niewstpliwie nadal znajdowała się pod grobem działa. W mojej kabynie nie było żadnego

iluminatora, niewiele też mogłem usłyszeć, ale z łatwociś rozpoznałem, kiedy przybilimy do nabrzeża. Zebrałem siły, przygotowując się na wszystko, co mogło się zdarzyć. W ciśgu kilku minut otworzono drzwi mojej celi i wyprowadzono mnie na słońce; zobaczyłem, że jesteśmy znów w Papeete, ale nie na naszym dawnym miejscu - wyglśdało to na basen marynarki wojennej. Zobaczyłem "Esmeraldę" przycumowanś obok nas, ale na pokładzie nie było żadnego z moich przyjaciół, kręcili się tam tylko francuscy marynarze. Na mnie czekało auto policyjne. Kiedy schodziłem na brzeg i wsiałem do policyjnego wozu, wydawało mi się, że mam nogi z ołowiu.

Zawieziono mnie na komisariat, a tam natychmiast, bez żadnych formalności, umieszczono w celi. Była przytłaczająśco ponura. Minęło dobrych parę godzin, po czym znów mnie wypuszczono i pod eskortś zaprowadzono do dużego gabinetu, gdzie za biurkiem siedział mężczyzna o twarzy pokrytej cętkami i gniewnej minie. Stanśłem przed nim wraz ze swś eskortś, a inny mężczyzna zajął miejsce przy drzwiach za naszymi plecami. Zdecydowałem się na plan działania

161

11 - Noc błędu

polegajścy na natychmiastowym przejściu do ofensywy. Przyjęcie potulnej postawy byłoby dla mnie nie do zniesienia, a ponadto nie byłoby rozsśdne, ponieważ mogłoby sugerować, że czuję się winny, podczas gdy ja nie poczuwałem się do niczego. Dlatego włanie, kiedy tylko człowiek za biurkiem zaczął mówić, przerwałem mu.

Domagam się widzenia z konsulem brytyjskim!

Proszę usiść!

Nie. Nie odpowiem na żadne pytania, o ile nie będzie przy tym obecny konsul.

Uderzył w blat biurka otwartš dłoniš, a wtedy posadzono mnie na krzele siłš. Dostrzegłem na biurku tabliczkę z nazwiskiem, z której dowiedziałem się, że mam do czynienia z niejakim Jacquesem Chaman-tem; był na niej także tytuł, który przetłumaczyłem sobie w myli - naczelnik policji. Wyglšdało na to, że jestem na samym szczycie.

Musiało być całkiem le. Miałem już podejrzenie, okropne podejrzenie, o co tu chodzi.

- Nie będę się z tobš patyczkował, Trevelyan. - Jeszcze jeden mówiący zupełnie zadowolajšcš angielszczyznš. - W Tanakabu miała miejsce masakra, którš spowodowała - i odpowiesz za to głowš.

Patrzyłem na niego z oburzeniem. - Czy pan oszalał?

Oparł łokcie na biurku. - Mam tu twoje dossier. Przybyłe do Papeete w zeszłym tygodniu i wysunšłe bardzo poważne oskarżenia przeciw doktorowi Schoutenowi, zamieszkujšcemu na Tanakabu; oskarżenia, które zrujnowałyby jego reputację jako lekarza. Powie- dziano ci, że zostanš podjęte kroki w celu zweryfikowania tych oszczerstw, ale to ci nie wystarczyło. Opuciłe Papeete z zamiarem żeglowania ku zachodowi, lecz zamiast tego popłynšłe do Tanakabu. Wbrew swemu postanowieniu słuchałem bez słowa.

- Przybyłe na Tanakabu, oczywiście pokłóciłe się z Schoutenem

i zamordowała go. Aby zatrzeć za sobą lady, podłożyła ogień pod jego dom, od czego zajął się cały szpital, a to pociągnęło za sobą wiele ofiar śmiertelnych. Twoja załoga również jest w to zamieszana. Wszyscy jesteście winni.

Zamrugałem i poprawiłem się na krzele, oszołomiony pasją brzmiejącą w głosie naczelnika i całą tą paskudną sytuacją. Rejs powrotny do Papeete odbył się bardzo szybko, a o ile mi było wiadomo, nikt na Tanakabu nie miał radiotelefonu, więc o tym, co się wydarzyło, policja mogła się dowiedzieć w jeden tylko sposób. Uchwyciłem się paru jego wypowiedzi i postanowiłem wykorzystać je jak najlepiej.

- Czy to możliwe, że nie wie pan dokładnie, ilu ludzi zginęło? Czy

162

miał pan bezpośredni kontakt z wyspą? - zapytałem szybko. Nie wiedziałem, ile będę miał czasu, zanim każe milczeć.

Zawahał się i już wiedziałem, że jestem na właściwym tropie.

- W jaki sposób uzyskał pan te informacje? Czy od człowieka nazwiskiem Hadley, ze statku "Perła"?

Trafiłem w sedno - to był strzał w dziesiątkę. Zakaszłał, dziwnie speszony, po czym powiedział: - Nie widzę, żeby to czyniło jakąkolwiek różnicę, ale ma pan rację. Mister Hadley opisał bardzo szczegółowo te straszne wydarzenia na Tanakabu. Owiadczył, że sam ledwo uszedł z życiem i że próbował pan staranować jego statek.

Dobrze! Zmusiłem go już do obrony. Teraz to ja powinienem mówić,

nie on. Wyczułem słaby cień wstąpiwości w jego głosie i naciskałem dalej.

- Powiedział pan, że "oczywiście" pokłóciłem się z doktorem Schoutenem. Co w tym "oczywistego"? Pożegnałem się z nim po długiej rozmowie, w której nie doznałem żadnej krzywdy. Jest wiadek tego, mieszkaniec wyspy zwany Piro. To on zawiózł mnie swym autem do doktora, gdy zszedłem ze statku na ląd. On także zawiadczy, że pospieszyliśmy ratować szpital, kiedy już płonął - i to samo uczyni wielu innych wyspiarzy. Nie macie prawa mnie aresztować. Ani nikogo z nas!

Słuchał uważnie i nie przerywał mi. Policjanci za mną stali jak posługi. Nie wiedziałem, czy sprawy przybierają korzystny dla mnie obrót, ale czułem się trochę pewniejszy.

- Dlaczego nie zapozna się pan dokładnie z dokumentami, panie Chamant? Ma pan w nich czarno na białym, że Hadley jest tym człowiekiem, który rzekomo znalazł mojego brata - ja jednak oświadczam, że go zamordował, a Schouten powiedział mi to samo. Nie mogę teraz tego dowiedzieć, ale wszystko poza tym potrafię udowodnić.

Przypomniałem sobie jeszcze jeden fakt i zaprezentowałem go z triumfem.

Zrobiłem zdjęcia. Wywołajcie ten film. On powie wam wszystko.

Mister Trevelyan, słucham uważnie. Oczywiście sprawdzimy pański aparat fotograficzny i wysłaliśmy już policyjny łód patrolowy do Tanakabu. Jednakże nadal wiele pozostaje do wyjaśnienia i nie jest pan jeszcze zwolniony z aresztu.

Mam panu mnóstwo do powiedzenia - odparłem. - Ten przeklęty sukinsyn i jego kumpel Kane - to oni są tymi zbrodniarzami, których pan poszukuje. Zamordowali Svena Norgaarda, zamordowali mojego brata, zamordowali tego biedaka Schoutena i umiercili czternastu pacjentów jego szpitala. Spalili ich żywcem, słyszy pan - spalili tych nieszczęśliwych żywcem!

163

Chamant skinął na dwóch policjantów, którzy chwycili mnie za ramiona. W gniewie straciłem zupełnie panowanie nad sobą i usiłowałem wdrapać się na biurko w szalonym dżęeniu do ukazania Chaman-towi prawdy. Opadłem z powrotem na krzesło, otrzewiałem trochę i starałem się odzyskać zimną krew. Przez chwilę panowała cisza, wszyscy bowiem zastanawiali się nad tym, co powiedziałem.

- Gdzie jest teraz Hadley? -zapytałem, chcąc kontynuować ofensywę.

Chamant w milczeniu przyglądał mi się uważnie jeszcze przez chwilę, następnie skinął poważnie głową. Wydał polecenia jednemu z mężczyzn, mówiąc co do niego szybko po francusku, i funkcjonariusz ten pospiesznie wyszedł z pokoju. Potem spojrzał na mnie. - Nie jestem jeszcze gotów uwierzyć panu. Ale zapewniam pana, że ponownie porozmawiamy z mister Hadleyem. Tymczasem proszę, żeby pan wyjanił mi to, jeli pan potrafi.

Wskazał małą skrzynkę, znajdującą się na stojącym z boku stole, i jeden z pozostałych policjantów przyniósł ją na biurko. Po otwarciu,

ujrzałem kilkanacie pudełek z amunicją i cztery pistolety. Dwa rozpoznałem od razu.

Cztery pistolety z wystarczającą ilością amunicji, by rozpocząć wojnę, mister Trevelyan. To nie jest wyposażenie spokojnego statku, ani naukowej ekspedycji.

Gdziecie je znaleli? - Domyślałem się jednak gdzie i byłem zaniepokojony. Mogło to zahamować postępy, jakie poczyniłem.

Trzy w kabynie waszego mister Campbella. Jeden w posiadaniu mister Wilkinsa, waszego kapitana.

Zrobiłem niezdecydowany gest. Nie wydawało mi się, żebym miał tu wiele do powiedzenia.

Czy widział je pan przedtem?

Tak, dwa z nich. - odrzekłem. - Pan Campbell dał mi ten pistolet, gdy stwierdziliśmy, że Kane uciekł z naszego statku. Muszę opowiedzieć panu całą historię po kolei, aby była zrozumiała. Ten drugi pistolet miał sam Campbell. Ale... Żaden z nas nie strzelił ani razu! Jeli dokonacie ekshumacji Schoutena, to stwierdzicie, że dostał on, jak sądzę, trzy kule.

Strzelano jednak z pozostałych dwóch pistoletów.

Tak, na naszym statku, kiedy Hadley uciekał. Próbowaliśmy staranować jego statek, żeby go zatrzymać i oddać w ręce sprawiedliwoci. - Pomyślałem, że zwrot ten nawet w uszach Francuza zabrzmiał wystarczająco melodramatycznie, by go przyprawić o mdłości.

- Proszę mi opowiedzieć tę historię.

Opowiedziałem, unikając jakiegokolwiek wzmianki o naszych poszukiwaniach bryłek manganowych, a także o Ramirezie i firmie "Suarez i Navarro". Uznałem, że to za bardzo skomplikowałoby sprawę. Powiedziałem tylko, że Hadley, który kiedy wynajmował szkuner mojemu bratu i Norgaardowi, z nieznanymi mi przyczynami pokłócił się z nimi, zamordował obu i wplątał w tę zbrodnię doktora Schoutena. Przybyłem tu szukać prawdy i poruszyłem gniazdo os. Moja opowieść była szczegółowa i dramatyczna. Chamant robił notatki od czasu do czasu, lecz mówił mało.

Kiedy skończyłem, powiedział: - Proszę to wszystko zrelacjonować pisemnie i podpisać. Pozwolę panu wrócić na statek, ale musi pan przyjść do wiadomości, że ani panu, ani nikomu z załogi nie będzie wolno opuszczać kwater. Zostanie tam wystawiona warta policyjna. Przerwał, gdyż wrócił wysłany przezeń funkcjonariusz, który podszedł wprost do niego i, wyrażając poruszenie, szeptał mu coś do ucha. Obaj podeszli do okna, by wyjrzeć na zewnątrz, i nadal z przejęciem rozmawiali półgłosem po francusku. Mimo to odgadłem, o czym mówią.

- Chodzi o Hadleya, prawda?

Odwrócił się twarzą ku mnie.

- Pozwolicie mu uciec, czy nie tak? Dajcie zwać stąd temu bandycie i mordercy!

Skinšł powoli głowš. - Tak, najwidoczniej odpłynšł. Musi pan zrozumieć, że nie było żadnego powodu, aby go zatrzymać, po tym, gdy dostarczył nam tych informacji i złożył zeznanie. Nie spodziewaliśmy się, że odpłynie - tu jest jego macierzysty port!

Z jego sposobu mówienia wywnioskowałem, że jest zakłopotany do tego stopnia, że zapomniał, iż mówi do aresztanta. Domylałem się, dlaczego. Hadley był tu z pewnością znany jako chuligan przyczyniający wielu kłopotów. Zapewne był już inwigilowany przez policję, choćby ze względu na swe powiżzania z Markiem i Norgaardem, a zgodnie z tym, co wiedziałem o nim, także z wielu innych powodów. Pozwalając mu uciec, pan Chamant fatalnie się skompromitował. Doznawałem jednocześnie uczucia wciekłoci i triumfu.

Pan Chamant wziął się w garć i wydał polecenia, by odprowadzono mnie z powrotem na "Esmeraldę", a ja byłem z tego niezmiernie zadowolony. Areszt domowy wydał mi się błahostkš w porównaniu z zamknięciem w celi. Wszedłem na statek i nie przejšłem się zbytnio widokiem uzbrojonych policjantów, paru na pokładzie i jeszcze kilku na nabrzeżu, ani też małš grupkš widzów kręcących się wokół, jak

165

gdyby czekali na rozpoczęcie widowiska. Gdy sprowadzano mnie na dół, udało mi się nawet wyszczerzyć do nich zęby i pomachać rękš, co wywołało ich zachwyty i dezaprobatę straży.

Pod pokładem mój powrót wywołał gwar i ten sam nastrój pełnego napięcia oczekiwania, jaki panował na nabrzeżu, tylko że tu był on

zabarwiony niepokojem i zdenerwowaniem. Wszyscy skupili się wokół mnie i zaczęli zarzucać pytaniami.

- Poczekajcie! - powstrzymałem ich dobrodusznie. - Mamy mnóstwo czasu - aż za dużo. Najpierw chcę się umyć, a potem dostać garnek kawy i co do jedzenia. Kto jest kucharzem?

Stanowczym krokiem skierowałem się do swej kajuty, aby się przebrać, pozostawiając innym troskę o moje wewnętrzne potrzeby - zatrzymałem się zaskoczony widokiem Geordiego, leżącego na koi w kajucie, którą dzieliliśmy przez cały czas.

Geordie! Co u diabła tu robisz? Czy nie powiniene być w szpitalu? - zawołałem oburzony takim nieludzkim traktowaniem rannego, ale on uspokoił mnie niedbałym ruchem ręki.

Czuję się wietnie, chłopcze. Cieszę się, że cię widzę. Co się z tobą działo?

Geordie, opowiem wszystko tobie i innym, gdy tylko umyję się i napiję trochę kawy. Naprawdę dobrze się czujesz?

Rzeczywiście wyglądał dużo lepiej, a schludne szwy na jego twarzy i staranniejsze bandażowanie wiadczyły o fachowej opiece. Kiedy się rozbierałem, powiedział: - Chcieli mnie stąd zabrać, ale się nie dałem.

Nie dokucza mi nic takiego, z czym nie poradziłaby sobie ta ich liczna dochodząca pielęgniarka. Powiem jej, żeby obejrzała i ciebie.

Wskazał ruchem głowy moje ręce, nadal częściowo pokryte oparzelizną, chociaż podczas krótkiego powrotnego rejsu zaczęły się całkiem dobrze goić. Szybko umyłem się i wreszcie zasiadłem w salonie

nad niadaniem, otoczony przez całš załogę "Esmeraldy" - prócz jednego jej członka. Czulem niezmiernš ulgę nie widzšc oblicza Kane'a wród innych twarzy.

Powiedzialem im tyle, ile musieli wiedziec, zachowujšc parę bardziej osobistych uwag póniej, dla Geordiego i Campbella.

On jest w przykrej sytuacji, ten Chamant - zauważył Campbell. - Juž wtedy, gdy rozmawiał ze mnš, miał niewesołš minę, a teraz, po ucieczce Hadleya, musi miec jeszcze więcej powodów do zmartwień.

Rozmawiał z tobš?

O tak, i z dziewczynami, i z Ianem - chciał tež rozmawiac z Geordiem, ale nasz szyper włanie wtedy czuł się bez porównania gorzej. - Geordie, usadowiony wygodnie w znajdujšcej się w salonie

166

koi, mrugnšł do mnie, a ja uwiadomiłem sobie, że przyniesione przeze mnie nowiny zdumiewajšco dodały wszystkim otuchy. Choć formalnie i my, i nasz statek bylimy nadal zatrzymani, to jednak nie ulegało wštpliwoci, że w gruncie rzeczy wybrnęlimy z tarapatów dzięki argumentom, jakie przedstawiłem naczelnikowi policji; brakowało nam tylko wolnoci fizycznej, nie było jednak ladu tego zniewolenia duchowego, które zwykle wišze się z uwięzieniem.

- Opowiedz mi o waszej rozmowie - poprosilem Campbella.

Najwyraniej była ona doć zabawna. Zamiast wzišc sobie do serca fakt, że przyłapano go na posiadaniu małej zbrojowni pod kojš,

Campbell zachowywał się niefrasobliwie i wcale się tym nie przejął.

Owiadczył, że ma na te pistolety stosowne pozwolenie, że jest znanym kolekcjonerem i nie wyobraża sobie, by w podróży nie mógł poćwiczyć strzelania do celu, i że w każdym razie użyto tylko jednego spośród tych pistoletów - i to strzelała z niego jego córka, broniąc się dzielnie przed napacisz ze strony statku pełnego krwiożerczych piratów.

Ubolewał z powodu kiepskiego strzału Klary i zdawał się w ogóle nie troszczyć o to, że zraniła człowieka; żałował raczej, że go nie zabiła na miejscu. Wyszło na jaw, iż Kane'owi podczas jego pobytu w Papeete wyjęto kulę z ramienia - jak na ironię, zabiegu dokonał ten sam lekarz, który opiekował się Geordiem. Rana Kane'a nie była, jak się zdaje, niebezpieczna, czym Campbell był mocno rozczarowany.

Dostał solidną reprimendę za to, że nie zgłosił pistoletów po przybyciu do Papeete, grożono mu ich konfiskatą, ale zdołał się jako wykręcić i skończyło się tym, że zostały opieczętowane na czas naszego postoju.

Okazało się, że jeden z pistoletów należy do Nicka Dugana, który także został zbesztany. Według Klary podczas walki "Esmeraldy" z "Perł" były jeszcze w użyciu przynajmniej dwa inne małe pistolety, ale podczas przeprowadzonej na statku rewizji żadnego z nich nie znaleziono, więc nie zadawałem żadnych pytań. Dowiedziałem się także, że Geordie ma na pokładzie dubeltówkę, ale nie tylko mógł okazać formalne pozwolenie, lecz ponadto zgłosił ją wcześniej w urzędzie celnym w Papeete. Była to jedyna broń na statku, która nie

została użyta w żadnej akcji.

Campbell stawiał się ostro, podobnie jak ja, a dla zwiększenia wiarygodności swych słów powoływał się na poparcie wszelkich możliwych instytucji, jakie tylko przyszły mu na myśl. Pan Chamant najwyraźniej potraktował go tak samo, jak mnie - pozwolił mi mówić bez ograniczeń, słuchał uważnie, a na koniec zwolnił na statek,

167

stawiając jedynie dość łagodny warunek, żeby sporządził pisemną relację z tych wydarzeń. Wszystko wskazywało na to, że nasza opowieść została zaakceptowana, i rzeczywiście późnym popołudniem, kiedy odholowano "Esmeraldę" do boi cumowniczej, z dala od nabrzeża, strażnicy zaczęli wypuszczać nas na pokład, dwójkami i trójkami, żebyśmy zażyli trochę ruchu. Sytuacja wyraźnie się poprawiła i wszyscy tego wieczoru położyliśmy się spać w nastroju znacznie lepszym niż mieliśmy na początku dnia.

5

Następnego ranka starszy rangsownik policyjny przybył na statek i zebrał od wszystkich formalne zeznania, co zajęło sporo czasu, chociaż niektórzy z nas przygotowali je już wcześniej i musieli tylko w obecności urzędnika złożyć pod nim swoje podpisy. Zabrał też mój aparat fotograficzny, a ja modliłem się, żeby zdjęcia wyszły dobrze. Pojawił się lekarz, żeby jeszcze raz obejrzeć Geordiego, a Campbell przyparł go do ciany i zarzucił ogromną liczbę pytań dotyczących szpitala na Tanakabu oraz możliwości nakłonienia innego lekarza do

szybkiego wyjazdu na tę wyspę.

Wszyscy zaczęliśmy odczuwać niepokój i zdenerwowanie. Mimo pewnego rozluznienia rygorów, nadal nie mogliśmy opuszczać "Esmeraldy", a ponieważ poza tymi, którym pozwolono wyjść na pokład, bylimy trzymeni na dole przy zamkniętych lukach, w pomieszczeniach statku panowała taka duchota, że trudno było oddychać.

Po południu Geordie zawiadomił mnie, że chciałby porozmawiać, poszedłem więc do jego kabiny. Siedział w łóżku obłożony książkami. Twarz miał nadal obandażowaną, ale był wyraźnie dużo silniejszy, a skutki wstrząsu zniknęły już dawno.

Siadaj, chłopcze - powiedział. - Mylę, że co znalazłem.

W związku z czym? - zapytałem, chociaż mogłem się już domyślić. Kilka książek dotyczyło żeglugi morskiej, a wśród nich honorowe miejsce zajmował "Pilot". - Czy ma to co wspólnego z tymi przekłętymi bryłkami manganowymi?

Tak, ma. Ale posłuchaj przez chwilę, dobrze?

Poczułem jakie nieokreślone wierzbiecie w głębi czaszki. Pod koniec okropnych wydarzeń na Tanakabu całe te badania obrzydły mi zupełnie i nie chciałem już mieć z nimi nic wspólnego. Jeli chodzi o mnie, to bryłki te mogłyby leżeć na dnie oceanu do końca wiata, a odkąd morderstwo dokonane na Marku zostało mniej więcej

ujawnione, nawet pragnienie zapewnienia wiecznego spokoju jego duchowi ustąpiło miejsca tępej rezygnacji. Teraz jednak, gdy zostałem

pozbawiony zwykłej aktywności, nie mogłem opędzić się myśli, że byłoby dobrze mieć znów problem, nad którym łamałbym sobie głowę, i moje zawodowe zainteresowania jeszcze raz dały znać o sobie.

Dlatego zdecydowałem się wysłuchać Geordiego bez słowa protestu.

- Myślałem o tym wariacie Kanem - zaczął. - Wygadał się,

kiedy wspomniał o Nowej Brytanii - wcale nie powinna mu przyjść do głowy. Pomyślałem, że może za dużo powiedział nie tylko wtedy, zacząłem więc przypominać sobie wszystko, co kiedykolwiek mówił w mojej obecności, no i znalazłem. Przeczytaj, to bardzo interesująca i lekka lektura.

Podał mi drugi tom "Pilota Oceanu Spokojnego", otwarty w zaznaczonym miejscu, a ja zacząłem czytać tam, gdzie mi wskazał.

Zanim dotarłem do końca strony, podniosłem brwi ze zdumienia. Był to dość długi fragment i przyswojenie jego treści zajęło mi trochę czasu. Kiedy skończyłem, powiedziałem dyplomatycznie: - Bardzo interesujące, Geordie - ale dlaczego?

- Nie chcę zawczasu mówić "hop" - odrzekł z namysłem -

popęnilimy błęd z Minerwś, ale sądzę, że to jest wyjaśnienie tego drugiego rysunku z dziennika. Jeli oczywiście pasuje to do twoich profesjonalnych wymogów.

Pasowało.

- Powiemy o tym szefowi - zdecydowałem, a Geordie z radoci aż uniósł się na swym łóżku. Wodził rybę tak długo, aż w końcu wyciągnął ją na brzeg.

Wstałem, poszedłem po Campbella, Iana oraz Klarę, i przy-
prowadziłem ich do kabiny Geordiego. - Dobrze, Geordie, zaczynaj
od początku. - Widziałem, iż wszyscy byli zadowoleni tak samo jak
ja, że będą mogli zająć się czym nowym.

Mylałem o Kanem - powiedział Geordie. - Przejrzałem
w myli wszystko, co mówił. Przypomniałem sobie, że kiedy zobaczył
rysunki Klary, nazwał jeden z nich "chudym i obszarpanym sokołem".
My wszyscy widzieliśmy w nim orła, prawda? Poszukałem więc
w "Pilocie" sokołów i okazało się, że naprawdę istnieje Wyspa Sokoła -
Falcon Island. Jej miejscowa nazwa to Fonua Fo'ou, lecz nazywaj się
też Falcon Island, ponieważ w 1865 roku odkrył ją HMS "Falcon".

Ale gdzie jest "sztuczka ze znikaniem"? - zapytała Klara.

Na tym polega dowcip - odrzekłem. - Falcon Island znika.

Poczekaj chwilę - odezwał się Campbell zaniepokojony. -

Mielimy dość tych głupstw z Minerwś.

169

To zupełnie co innego - odparł Geordie. - Recife de Minerve
jest płyciznś, której dokładne położenie nie jest znane. Falcon Island,
czyli Fonua Fo'ou, ma położenie określone co do ułamka centymetra -
ale nie zawsze jest w tym miejscu.

Co, u diabła, chcesz przez to powiedzieć? - wybuchnśł

Campbell.

Geordie umiechnśł się szeroko i zwrócił się do mnie: - Lepiej ty

im powiedz - to ty jeste ekspertem.

- Falcon Island jest niewstpliwie wierzchołkiem podmorskiego

wulkanu typu eksplozywnego - owiadczyłem z całš powagš. -

Każdy taki wulkan wybucha często i wyrzuca z siebie parę miliardów ton

popiołu i żuzłu, co wystarczy do uformowania sporej wyspy. -

Zajrzałem do "Pilota". - W 1889 roku Falcon Island miała ponad dwa

i pół kilometra kwadratowego powierzchni i czterdzieci szeć metrów

wysokoci; w kwietniu 1894 roku nie było tam nic prócz płycizny, lecz

już w grudniu tego samego roku miała prawie pięć kilometrów długości,

dwa i pół kilometra szerokoci i piętnacie metrów wysokoci.

Wskazałem na stronice ksišżki. - Znajduje się tu długi rejestr jej

pojawień i zniknięć, lecz wymienię tylko dwa stosunkowo niedawne

zapisy - w 1930 roku wyspa miała dwa kilometry długości i sto

czterdzieci pięć metrów wysokoci. W 1949 roku znikła i w tym

samym miejscu głębokoć wody wynosiła dziewięć sšżni.

Podalem ksišżkę Campbellowi. - Wydaje się, że lšd ten jest po

prostu rozmywany przez fale. Materiały wyrzucane przez wulkan sš

prawdopodobnie doć sypkie, a wiele z nich rozpuszcza się w wodzie.

Jak to się wišze z twojš teoriš tworzenia się bryłek man-

ganowych? - zapytał.

Wišze się doskonale. Jeli te erupcje powtarzały się, powiedzmy,

co dwadziecia lat przez ostatnie sto wieków, to oznacza ogromnš iloć

materiałów wprowadzonych do wód oceanu. Procent zawartoci metali

był w nich znikomy, ale to nie ma znaczenia. W procesie tworzenia się

bryłek następowało strścianie i koncentracja wszelkich zawartych w wodzie metali, dzięki czemu sš one teraz gotowe do wydobycia.

Campbell wydawał się zbity z tropu. - Zawsze przychodzicie z najgorszym diabelstwem - poskarżył się. - Najpierw rafa, która może być, a może jej nie być, a teraz jaka cholerna znikajšca wyspa.

Jaki jest obecny stan tego wybryku natury?

Spojrzałem na Geordiego.

- Nie wiem. Sprawdzę w suplementach do "Pilota", ale często sš one drukowane z pewnym opónieniem. Może miejscowa ludnoć wie co o tym.

170

Gdzie się znajduje ta Falcon Island czy Fonua jak jej tam, kiedy jest na powierzchni?

Należy do Wysp Przyjacielskich - odrzekłem. Klara umiechnęła się na te słowa. - Znane teŹ one sš pod nazwš Archipelagu Tonga. Falcon Island leŹy w odległoci około czterdziestu mil morskich na północ od Tongatapu, największej wyspy archipelagu.

Campbell zmarszczył brwi. - To daleko od Rabaul, gdzie jest banda Suareza i Navarro. A takŹe daleko stšd, a Mark był tu.

- W połowie drogi międyz tymi dwoma punktami. - powiedziałem łagodnie.

Skinšł głowš z namysłem i przez parę minut wszyscy zastanawialiemy się nad tym. Po chwili zabrałem głos: - W wietle tych faktów

sǳdzę, że byłoby warto skupić uwagę na Falcon Island - jeli

zamierzasz kontynuować to przedsięwzięcie? - Spojrzałem pytająco na Campbella.

- Tak, oczywiście - stwierdził stanowczo. Optymistyczna strona jego natury zyskiwała przewagę. - Czy naprawdę mylicie, że warto tam popróbować?

Klara poparła mnie. - Byłam pewna, że te rysunki co znaczš.

- Minerwa oznaczała stratę dwóch miesięcy - odparł Campbell. -

Co o tym mylisz, Geordie?

Geordie spojrzał na mnie z ufnociš. - To on jest ekspertem.

Ian Lewis czekał z uprzejmš cierpliwoćiš. Był gotów pożegłować wszędzie i zrobić wszystko, czego będziemy chcieli. Mimo okropności, jakich był wiadkiem na Tanakabu, czuł się wspaniale z dala od nudy życia na rodzinnej farmie.

Sprawa dla nas była już rozstrzygnięta, podczas gdy Campbell wcišż jeszcze się zastanawiał. Lekka bryza wiejšca od otwartego portu odwróciła stronę lub dwie "Pilota", a ja przypadkiem spojrzałem w tym kierunku. Patrzyłem na stronicę książki z niedowierzaniem i po chwili wybuchnšłem miechem.

Campbell obruszył się: - Na miłoc boskš, co tu jest takiego miesznego?

Przekazałem przewodnik w ręce Geordiego i on także zaczął się miać. - Wydaje się, że prowadziliśmy nasze badania na niewłaciwej Minerwie. - powiedziałem. Spójrzcie: Rify Minerwy, dwieście szeć-

dziesišt mil morskich na południowy zachód od Tongatapu - to

znaczy tylko trzysta mil od Falcon Island.

Chcesz powiedzieć, że istnieje inna Minerva?

Dokładnie tak.

Georgie podał mu książkę. - Rify te sš precyzyjnie oznaczone na

171

mapie. Znajdujš się na plateau o długości czterdziestu pięciu kilomet-
rów. To podłoże jest twarde - muszle, korale i żuźle wulkaniczne, na
głębokoci od pięciuset pięćdziesięciu do tysiřca stu metrów.

Materiał podobny jak w przypadku Falcon Island, ale duźo,
duźo starszy i dobrze utrwalony - wtrřciłem.

Nie ma tu żadnej wzmianki o bryłkach manganowych -
zauwaźył Campbell.

Sš to dane marynarki wojennej, która nie pobierała próbek
z dna czerpakiem. Przeprowadzała tylko sondowania przy uźyciu
nawoskowanego ciężarka, w celu pobrania materiału dennego. Bryłka
manganowa - nawet mała - jest zbyt ciężka, Źeby przylepić się
w wosku.

W małej kajucie wzmagał się nastrój radosnego podniecenia. -

No cóź, mylę, Źe to wystarczy. - powiedział Campbell. Poźeglujemy
na wyspy Tonga. - Popatrzył srogo na nas wszystkich. - Ale byłoby
lepiej, Źeby tym razem nie było żadnych pomyłok.

Podjęliśmy więc decyzję, co będziemy robić po opuszczeniu Papee-
te -jeli opucimy Papeete.

Czas nam się dłużył.

Łód patrolowa odpłynęła do Tanakabu i wróciła po trzech dniach. Tymczasem nasza sytuacja trochę się polepszyła, lecz niewiele. Wszystkim członkom załogi pozwolono schodzić grupami na ląd, lecz Ianowi, Campbellowi, Klarze i mnie nadal nie było wolno opuszczać statku - Geordiemu także, choć z nieco innych powodów. Pauli udawało się uzyskać zezwolenia na wyjście do miasta, głównie dzięki temu, że znała chyba wszystkich, z policjantami włącznie, lecz statek opuszczała tylko pod eskortą Jima lub Taffy'ego i nie pozostawała na brzegu długo, nie bardzo wierząc w to, że Hadley naprawdę się ulotnił.

Czwartego dnia Campbella i mnie zawieziono na komisariat policji, a tam zaprowadzono do tego samego gabinetu co przedtem, w którym czekał na nas pań Chamant.

Był całkiem sympatyczny. - To, co stwierdziliśmy na Tanakabu, zgadza się z waszymi zeznaniami. Zwróciłem uwagę na fakt, że mister Trevelyan odwołał poszukiwania, gdy tylko stwierdził, że ten osobnik, Kane, jest uzbrojony, co przemawia na waszą korzyść. Dowiedziałem się także, że uratowalście życie wielu pacjentów szpitala, wiadomo

172

też, że wszyscy znajdowaliście się na pokładzie waszego statku, kiedy zastrzelono doktora i wybuchł pożar. Fotografie także się przydały.

Były to dobre wiadomości, a jego słowa miały zapewne zastąpić

przeprosiny, których nigdy się nie doczekaliśmy.

- Kiedy możemy odpłynąć? - zapytał Campbell.

Chamant wzruszył ramionami. - Nie możemy was zatrzymywać.

Gdybyśmy mieli Kane'a i Hadleya, to oczekivalibyśmy, że zostanieecie i złożycie zeznania na ich rozprawie, ale...

Ale ich nie znaleźcie - powiedziałem z goryczą.

Jeli sś na terytorium Polinezji Francuskiej, to ich złapiemy.

Ale Pacyfik jest wielki.

Przynajmniej władze wydawały się przekonane o winie Hadleya

i Kane'a, która wczniej lub póniej i tak wyszłaby na jaw. Kilku

mieszkańców Tanakabu widziało Hadleya na lśdzie i rozpoznało go,

więc zdziwiłem się jeszcze bardziej, dlaczego zatrzymali się w Papeete,

aby skierować policję na fałszywy trop, zamiast po prostu wziść nogi

za pas. Pomyślałem jednak, że zapewne Hadley, którego procesy

mylowe nie były rozwinięte tak dobrze jak jego brutalność, naprawdę

sśdził, że zostaniemy uznani winnymi zbrodni, i w ten sposób pozbyłby

się nas raz na zawsze. Trudno było odgadnąć jego myli. Skoro teraz

sami byli cigani przez prawo, będs mieli mniej czasu na płynięcie za

nami; uzgodnilimy już, że będziemy działać tak, jakby nie istnieli, bo

inaczej nie osiśgnimy niczego.

Możecie udać się, dokśd chcecie, mister Campbell.

Pożeglujemy na zachód, tak jak zapowiedzielimy poczstkowo -

poinformował go Campbell. - Bierzemy kurs na archipelag Tonga.

Jeli ich tam napotkamy, to damy znać władzom. - Bylimy teraz

skłonni do współpracy, bo chcielibyśmy bez dalszych przeszkód móc zająć się własnymi sprawami.

Bardzo dobrze, panowie - powiedział Chamant. - Możecie płynąć. Wydam polecenie, żeby zdjęto warty policyjne. Ale przez resztę pobytu tutaj starajcie się zachowywać wzorowo. Ponadto zalecam wam usilnie, żebyście wkrótce opucili te wody. Pańska rodzina... - wskazał na mnie - członkowie pańskiej rodziny sprawiali tu kłopoty, niezależnie od tego, czy ma pan takie intencje, czy nie.

A my nie chcemy mieć kłopotów na głowie.

Campbell cisnął mocno mój nadgarstek. - Dzięki, mister Chamant. Przywiśzujemy dużą wagę do wszystkiego, co pan powiedział.

A teraz, czy byłby pan łaskaw zapewnić nam jakiś rodek transportu, żebyśmy mogli wrócić na nasz statek?

Nie miał ochoty spełnić tej proby ze względów zasadniczych, ale

173

w końcu odwieziono nas do portu, po czym odbyliśmy krótki bieg do

"Esmeraldy", aby jak najszybciej przynieść pożądane wiadomości

o odzyskanej wolności. Każdy członek załogi zasłużył na parę dni

wolnego i ani Campbell, ani ja nie pożalowaliśmy im tego czasu.

Radio zostało naprawione, lecz mieliśmy jeszcze mnóstwo roboty

z planowaniem rejsu, zanim wreszcie mogliśmy wyjść w morze, biorąc

kurs na Wyspy Przyjacielskie, z których jedna mogła tam być, lub też

mogło jej nie być.

Dobrze było znów płynąć po morzu, posuwając się naprzód dzięki niezawodnym podmuchom pasatu. Rejs do Tonga miał trwać około szeciu dni i wkrótce Weszlimy znów w normalny tok zajęć pokładowych.

Georgie był wszędzie. Chociaż jego twarz wyglądała jak mapa pola walki, był w wystarczająco dobrej formie i przejął dowództwo od niezbyt chętnie zdającego je Iana, który chlubił się tym krótkim okresem sprawowania funkcji szypra. wieży wiatr zdmuchnął ostatnie lady z Tanakabu, na czym skorzystaliśmy wszyscy, a zniknięcie Kane'a doprowadziło do zrezygnowania z resztek konspiracji. Wszyscy byli teraz wtajemniczeni w całą sprawę, włącznie z członkami specjalnej ekipy Geordiego, ponieważ uznaliśmy, że uczciwość wymaga, aby ostrzec każdego przed zagrażającym niebezpieczeństwem; nikt jednak nie skorzystał z oferty Geordiego, że opłaci ich podróż do domu, jeli zechcą od nas Odejść.

Paula także pozostała z nami. Przyjęliśmy to z góry za rzecz naturalną, a ona dostosowała się tak dobrze do trybu życia na statku, że nikt się nie zdziwił, gdy postanowiła towarzyszyć nam nadal. Ona i Klara zgadzały się ze sobą doskonale.

Ja zagłębiłem się w podręcznikach i mapach. Chciałem studiować przeszłość, więc poprosiłem Geordiego o mapy nawigacyjne tego obszaru.

Nie znaczy to, że będzie z nich wiele pożytku - zauważyłem. -

Pršdy te mogły zmienić się znacznie w cišgu ostatnich pięćdziesięciu lat. Dlatego właśnie Mark pracował z Norgaardem, który był ekspertem od tego rodzaju spraw.

Na mapach nawigacyjnych zaznaczone sš tylko pršdy powierzchniowe - odrzekł Geordie. - Kto wie, co się dzieje pod powierzchnią?

175

- Sš przyrząd, które mogš dostarczyć tego rodzaju informacji, chociaż ja nie mam takiej aparatury. Ale i one nie mogłyby nas niestety poinformować, co się działo pięćdziesiąt tysięcy lat temu - wyjaśnił. - Tu jest Fonua Fo'ou. To jest ciepłe odgałęzienie Południowego Pršdu Równikowego, który płynie koło tej wyspy w kierunku południowo-zachodnim. Wynikałoby stšd, że złoża bryłek powinny się znajdować na południowy zachód od wyspy. Jednakże jest to pršd powierzchniowy - niżej mogš być inne, płynšce w odmiennych kierunkach. Będziemy musieli to sprawdzić, jeli nam się uda.

Zmarszczyłem brwi na znak dezaprobaty dla swych własnych słów.

- Rzecz w tym, czy te pršdy zmieniły kierunek w cišgu ostatnich pięćdziesięciu lat? Nie wiem, ale nie sšdzę, żeby tak było. To niezbyt długi czas.

Geordie parsknął.

Dotknšłem palcem mapy. - Tu jest miejsce, którym się naprawdę martwię. To rów Tongański - nasza wcišgarka pozwala czerpać tylko do głębokoci dziewięciu kilometrów, za głębia w tym Rowie

znana jako Horizon Depth przekracza dziesięć.

Niezły rowek - powiedział sucho Geordie. - Można się utopić w takiej głębokiej wodzie.

Jeżeli bryłki o wysokiej zawartoci kobaltu formujš się na dnie tego rowu, to tracimy czas - cišgnšłem, ignorujšc jego żarty. -

Można by je wydobywać, ale nie byłoby to opłacalne przedsięwzięcie - równałoby się po prostu wyrzucaniu pieniędzy do oceanu. Nawiasem mówiąc, nie wspomniałem o tym szefowi. Przypuszczenie takie wywołałoby tylko niepokój i zniechęcenie, a może być zupełnie nieuzasadnione.

Nic mu nie powiem - obiecał.

Ja jednak szukałem Campbella z innego powodu i znalazłem go czytającego księżkę w jego ulubionym miejscu na pokładzie. Gawędziliśmy przez parę minut o statku i pogodzie, po czym zapytałem: -

Czy to prawda, co powiedziała Klara - że jeste pierwszorzędnym strzelcem?

Nie jestem taki zły - odrzekł skromnie, choć z pewnym zadowoleniem z siebie.

Chciałbym nauczyć się strzelać. Na Tanakabu mój pistolet nie wystrzelił, a te sukinsyny zwiały mi sprzed nosa.

Wyszczrzył zęby w szerokim umiechu. - Co się stało?

Sšdzę, że zapomniałem zwolnić bezpiecznik.

Pomylałem włanie, że to mogło być przyczynš - oznajmił. -

Niewštpliwie niewiele wiesz o tej zabawie.

Nie wiem nic - stwierdziłem stanowczo.

Dobrze. Nie masz więc żadnych złych nawyków, których musiałby się wyzbyc. Poczekaj tu. Przyniosę pistolety.

Wrócił z czterema pistoletami i położył je na pokładzie. Trzy już widziałem, a jeden był dla mnie nowy, lecz dokładnie taki sam jak ten, który już miałem w ręku. Nie zapytałem, gdzie były ukryte. -

Nie wiedziałem, w jakiego rodzaju kłopoty się wpakujemy - powiedział - więc na wszelki wypadek wziłem te dwie sztuki kalibru 0,38 dla ciebie i Geordiego.

A dla siebie?

Ach, ja lubię te, kalibru 0,22. Jeden jest mój, drugi Klary - ona jest dość dobrym strzelcem, chociaż musi jeszcze poćwiczyć.

Zawsze myślałem, że kaliber 0,22 jest nieprzydatny, gdy trzeba walczyć z ludmi - zdziwiłem się.

Mówisz jak gliny. Oni zawsze myślą, że nie można używać żadnych innych pistoletów, jak tylko kalibru 0,38 lub większych - powiedział Campbell z pogardą. - Spójrz na to inaczej - kim są ludzie, którzy na co dzień posługują się pistoletami?

Pomyślałem chwilę. - Policja, wojsko, przestępcy i hobbyści - tacy jak ty.

- Słusznie. Otóż zawodowy oficer w wojsku nie ma wiele czasu na ćwiczenie się w strzelaniu, podobnie oficer rezerwy mobilizowany

w czasie wojny - więc dajś mu największy pistolet, jaki może utrzymać, taki, którego kula ma piekielnś siłę uderzenia - czyli kaliber 0,45. Majśc takś broń nie musi być dobrym strzelcem. Jeli tylko trafi przeciwnika w rękę, ten pada jak długi.

Campbell wziśł do ręki pistolet kalibru 0,38. - Policjanci ćwiczś więcej, toteż zwykle wyposażajś ich, lub zaopatrujś się sami w tę włanie broń. Przyjemny, poręczny pistolet, który dobrze się mieci w niewielkim, nie rzucajścym się w oczy futerale, choć w zwiśzku z tym jego lufa jest zbyt krótka, co zmniejsza w pewnym stopniu celnoć. Będiesz musiał duzo ćwiczyc, żeby dobrze strzelać z pistoletu tego typu.

Odłozyl go i wziśł pistolet kalibru 0,22. - Żeby poslugiwać się tym, trzeba koniecznie być dobrym strzelcem; kula jest mała i nie zdoła samś siłś uderzenia powalic przeciwnika, więc musisz umieć umiecić jś we właciwym miejscu. Ale za to jest niezwykle celny - w kaźdym razie ten. Kiedy napotkasz człowieka, który zwykl nosić pistolet 0,22, omijaj go z daleka, zwłascza jeli spiłował muszkę, bo to znaczy, że strzela nie celujśc - że to urodzony strzelec.

- Jaki to ma zasięg? - zapytałem.

177

12 - Noc błędu

- Ach, one wszystkie sś cholernie dalekosiężne, ale nie w tym rzecz. Liczy się zasięg celnego ognia, a ten u żadnego pistoletu nie jest duzy. Facet, który jest przeciętnym strzelcem, położy człowieka z broni

kalibru 0,38 z odległości dziesięciu metrów; pierwszorzędny strzelec z dwudziestu. Nie mówię o strzelaniu do celu z tej odległości - lecz o akcji, kiedy tamten facet też mierzy do ciebie.

Pomachał długolufowym 0,22. - Z tej broni zabiję człowieka znajdujścego się w odległości trzydziestu metrów - może trochę dalej.

Powiedziało kiedy, że zabiło człowieka. Czy to z tego pistoletu?

Tak, swego czasu w Ameryce Południowej. Indianie zamieszkujący dżunglę nie lubiś, gdy kto wkracza na ich terytorium.

Nie powiedział na temat nic więcej, a ja się nie dopytywałem.

Tak więc zaczął mnie uczyć strzelać. Najpierw zapoznał mnie z podstawowymi zasadami, rozbierajśc pistolety na części i wyjaniajśc ich działanie. Potem pokazał mi, jak stać, a na koniec - jak trzymać broń.

- Nie będę z tobś tracić czasu na postawę klasycznś - oznajmił. -

To dobre dla policjantów i mistrzów w strzelaniu do celu. Gdyby próbował jś przyjśc, zostałby podziurawiony jak sito, zanim by zdśżył wycelować w swego przeciwnika. Chcę, żeby zaczął od strzelania na lepo, bez celowania. Jest to co, co się ma w sobie, albo się tego nie ma - zobaczmy, czy ty to masz. Pokaż palcem masz.

Zrobiłem to, a on sprawdził kierunek. - Niele. Gdyby twój palec był luśś pistoletu - trzymanego nieruchomo - to przedziurawiłby masz tylko trochę w bok od linii rodkowej. Zrób to jeszcze raz.

Więc zrobiłem to jeszcze raz - i jeszcze - i jeszcze. Potem podał mi pistolet kalibru 0,38. - Zrób to teraz.

Skierowałem pistolet ku masztowi, ale Campbell potrząsnął głową. -

Chybiłby o ćwierć metra. Ułóż palec wskazujący wzdłuż lufy i spróbuj znowu.

Wykonałem polecenie, tym razem z lepszym rezultatem. - Nie będziesz tak trzymał palca przy strzelaniu - powiedział. - Mógłbyś go stracić. Ale chcę, żeby umiał wskazywać lufę tak samo, jak wskazujesz palcem.

Przez cały czas trwania naszego rejsu do Tonga ćwiczył mnie cztery godziny każdego dnia. Początkowo wszyscy członkowie załogi tłoczyli się wokół nas, prosząc o udzielenie lekcji również im, lecz Campbell odmówił stwierdzając, że jeden uczeń to wszystko, na co go stać, a resztę nie ma zapasowych pistoletów. Geordie potwierdził jego słowa. Ci, którzy mieli własne pistolety, ćwiczyli trochę strzelanie do celu, ale nikt nie miał za dużo amunicji i niedługo tylko my kontynuowaliśmy nasze zajęcia.

178

Musiałem się nauczyć, jak mierzyć z pistoletu stojąc, siedząc, leżąc, a w końcu po nagłym obrocie. Następnie skoncentrowałem uwagę na ruchu palca przy oddawaniu strzału, każąc mi naciskać spust łagodnie, bez nagłego szarpnięcia. Spiłował zaczep spustowy tak, by zaskakiwał przy bardzo, lekkim nacisku, a potem ćwiczył mnie w wyciąganiu pistoletu, błyskawicznym odbezpieczeniu go, kierowaniu na cel i naciskaniu spustu - wszystko w jednym płynnym ruchu.

Trzeciego dnia oddałem pierwszy strzał.

Campbell umieścił prowizoryczną tarczę na dziobie statku, a kiedy

stanšwszy koło przedniego masztu nacisnšłem spust, byłem pewny, że chybiłem. On jednak zaprowadził mnie do tarczy i pokazał dziurkę w odległoci tylko pięciu centymetrów od rodka. - Trafiłby przeciwnika doć dobrze z dziesięciu metrów - stwierdził. - Daj mi jeszcze rok lub dwa, a zrobię z ciebie dobrego strzelca.

Wzišł swój pistolet kalibru 0,22, i stojšc w tej samej odległoci oddał szeć strzałów w cišgu szeciu sekund. - Obejrzyj teraz tarczê - zachęcił mnie.

Małe dziurki utworzyły kształtne kółko otaczajšce większy otwór, jaki pozostał po mojej kuli. - Trochê czasu, a będziesz potrafił zrobić to samo - odpowiedział na moje szczere pochwały.

Wštpię, czy będziemy mieć czas, jeli w niedalekiej przyszłoci natkniemy się na Kane'a i spółkê.

Mylisz, że się spotkamy? O ile wiem, statek Suareza i Navarro jest nadal w Rabaul.

- Nie sšdzę, aby tam pozostali - odparłem. - Będš nas tropić.

Campbell nagle stracił humor. - Skšd wiemy, że to właciwy trop? Opieramy się tylko na wziętym z sufitu przypuszczeniu, że parę nagryzmołonych rysunków rzeczywiście co znaczy.

Odwrócił się i zszedł na dół, a pistolety zwisały ciężko w jego rękach.

2

Wyspê Tongatapu zobaczyliśmy rankiem szóstego dnia po opuszczeniu Papeete. Nuku'alofa, najbardziej na południe wysunięty port archipelagu Tonga, leży na północnym brzegu tej wyspy, więc Geordie

zmienił kurs "Esmeraldy".

- W "Pilocie" znalazłem notatkę, że na tych wodach trzeba bardzo uważać na oznaki podwodnej aktywności wulkanicznej - powiedział - a także na nowo utworzone płycizny.

Umiechnąłem się. - To brzmi dobrze z mojego punktu widzenia.

179

- Trochę gorzej z mojego. Ja jestem odpowiedzialny za ten statek.

Wpłynęliśmy jednak do portu nie zauważywszy niczego niezwykłego, po czym zarzuciliśmy kotwicę czekając na urzędników portowych.

Nuku'alofa jest miastem typowym dla wysp Pacyfiku: drewniane domy z dachami z ocynkowanej blachy, zastygłe na zawsze w pónowiktoriańskich formach. Kiedy wydawało się, że Nuku'alofa będzie głównym portem handlowym i punktem zaopatrzenia statków w węgiel na Zachodnim Pacyfiku: jednakże w końcu na pierwsze miejsce wysunęła się Suva na Wyspach Fidzi, być może z tak błahego powodu jak to, że jej nazwa była łatwiejsza do wymówienia. W każdym razie Nuku'alofa straciła swoją szansę i zapadła w niekończące się odrętwienie.

Gdy tylko pozwolono nam zejść na ląd, Campbell jak zwykle najpierw skierował swe kroki do urzędu pocztowego. Ja poszedłem z dziewczynami, które chciały wynająć sobie pokoje w hotelu. Klara stwierdziła, że sprzykrzyły się jej prysznice ze słonej wody. - Moje włosy są w nieładzie, a w dodatku pełno na nich soli, której nie mogę

się pozbyć. Muszę je obciść - owiadczyła. - Potrzebuję więcej słodkiej wody i trochę luksusu.

Po zastanowieniu się powiedziałem: - Wygląda na to, że moglibyśmy zatrzymać się w Nuku'alofa przez pewien czas. Chyba będzie lepiej, jeśli zrobię to samo - wezmę pokój dla siebie i dowiem się, czy Georgie nie chciałby drugiego. Statek jest nie najgorszym miejscem, jeśli można zejść z niego co jakiś czas.

Również Paula czuła się tu szczęśliwsza, spotkanie Hadleya i w ogóle kogokolwiek znajomego było bowiem mało prawdopodobne. Dla nas wszystkich pobyt tutaj był znacznie bardziej relaksujący niż drugi postój w Papeete.

Pojechalimy pod hotel i Klara zawołała: - Mój Boże, spójrz na to piernikowe чудо! - Rzeczywiście, był to obiekt muzealny, z niezliczonymi krytymi ocynkowanymi blachami wieżyczkami i kopułkami, wyrastającymi w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach; w rodku panował przyjemny chłód i półmrok, a wielkie migła elektrycznych wentylatorów leniwie mieszały powietrze.

W recepcji spotkał nas zawód, kiedy poprosiliśmy o pięć pokoi - mieli tylko trzy, jeden pojedynczy i dwa dwuosobowe. - To nam wystarczy, jeśli nie masz nic przeciw temu, żeby znów zamieszkać razem z Paulą - powiedziałem do Klary. - Georgie i ja wziemy drugą dwójkę, a twój ojciec będzie mógł mieć pokój jednoosobowy.

Recepcjonista usprawiedliwiał się gorzko. Ostatnio wystąpiło

niespotykane dotąd zapotrzebowanie na pokoje. Wychodząc z recepcji pomyślałem, że mimo wszystko Nuku'alofa chyba jeszcze wyprzedzi Suvę.

Umówiłem się z dziewczynami, że mniej więcej za godzinę spotkam się z nimi w hallu, i poszedłem na górę wymoczyć się w goršcej kšpieli.

Wycišgnšłem się wygodnie i snułem plany, że zabiorę gdzie Klarę dzi wieczorem - pierwsza okazja od chwili opuszczenia Papeete.

Kiedy zszedłem na dół, zastałem je już w umówionym miejscu nad wysokimi, oszronionymi szklankami piwa. - Dobry pomysł - pochwaliłem i spojrzałem na etykietkę na butelce. Było to piwo australijskie - Swan. Przez chwilę znów znalazłem się w Londynie, w ponury deszczowy dzień milion lat temu. - To ulubiony trunek Kane'a.

Może wpadnie tu się napić.

Klara patrzyła gdzie za mnie. - Tata idzie do nas.

Campbell podszedł do stołu z plikiem korespondencji w ręku i nieodłšcznym wyrazem strapienia na twarzy. Klara powiedziała: - Napij się zimnego piwa, tato. To najlepsze na taki upał.

Opadł ciężko na trzcinowe krzesło, które zatrzeszczało ostrzegawczo. - Mylę, że znalelimy się w niewłaciwym miejscu - odezwał się oschłym tonem.

Skinšłem na kręšcego się w pobliżu kelnera i zamówiłem dwa piwa. - Co się stało?

Rozłożył telegram. - Banda Suareza i Navarro przeniosła się znowu - do Noumea w Nowej Kaledonii.

Podniosłem brwi. - Interesujące, lecz niewiele z tego wynika.

Zastanawiam się, co oni tam robiś?

- Nie wiem, ale nie wyglśda mi to zbyt dobrze. Według naszych kalkulacji nie wiedzś, gdzie znajduje się to złoże, a więc po kiego diabła krzśś po Pacyfiku? Można by odnieć wrażenie, że sś tak samo zagubieni jak my.

Klara powiedziała z namysłem: - Może Mark podał im przed mierciś fałszywe wskazówki?

Potrzśsnśłem przeczśco głowś. - Nie, gdyby tak zrobił, to staraliby się sprawdzić te informacje, a wiemy, że nie próbowali. Ale my nie jesteśmy zagubieni - przynajmniej nie sśdzimy, aby tak było.

Znajdujemy się tu w okrelonym celu.

Spojrzałem w stronę otwartych drzwi do hallu i zobaczyłem za nimi recepcjonistę pochylonego nad księğś gości. Powiedziałem: - Przepraszam na chwilę - i wyszedłem do foyer, gdzie odbyłem z nim interesujścś pięciominutowś pogawędkę, połśczonś z dyskretnym przekazaniem banknotu. Wróciłem do towarzystwa, usiadłem i pociśgnśłem długi

181

powolny haust zimnego piwa. Potem odezwałem się: - Jesteśmy we właciwym miejscu.

Wszyscy utkwili we mnie wzrok. - Skśd wiesz? Skśd to w ogóle można wiedzieć?

- Niejaki Ernesto Ramirez wynajśł w tym hotelu szeć pokoi.

Jeszcze się tu nie pojawił. - odrzekłem.

Campbell wydawał się zaskoczony, a Klara wydała okrzyk szczerej radości. Zauważyłem natomiast, że Paula wyranie skurczyła się na swym krzele. - Pomyślałem, że to trochę dziwne, aby hotel był tak pełen właśnie teraz, więc postanowiłem sprawdzić, o co tu chodzi. To Ramirez wynajmł pokoje i z góry hojnie za nie zapłacił; napisał, że nie wie dokładnie, kiedy tu będzie, ale pokoje muszą być wolne.

Niech go diabli - rzekł Campbell. - Ale co on robi w Noumea?

Mylę, że przez cały czas kręci się w tym rejonie, powoli zbliżając się do miejsca, w którym się znajdujemy, i czekając na wiadomości dokąd się mamy udać, tak żeby mógł nas spokojnie ledzić z pewnego dystansu.

Ale teraz przybywa tutaj, chociaż nie minął nawet dzień od naszego przybycia do Nuku'alofa - zauważyła Klara. - W jaki sposób mógł się dowiedzieć? I dlaczego tym razem nie trzyma się na odległość?

Płynąc tu widzieliśmy kilka statków, a ponadto nie ukrywaliśmy tego, że naszym celem jest archipelag Tonga. Przypuszczam, że w jaki sposób przekazano mu tę informację. Nie potrafię natomiast odgadnąć, dlaczego teraz dąży niejako do zwania z nami. Ale on nie domyśla się, że my wiemy o jego przybyciu, a ponadto mamy nad nim przewagę już na starcie - jesteśmy tutaj.

On musi wiedzieć, że przy płynęliśmy w to miejsce - powiedział Campbell z ponurym wyrazem twarzy. - Na pewno zostawił tu swego człowieka. Założę się, że są teraz w kontakcie.

Nie zostaniemy tutaj długo - odparłem. - Wkrótce wyruszymy na czerpanie próbek. Moglibyśmy jednak rozpuścić pogłoskę, że

płyniemy gdzie indziej, i w ten sposób wciśnięć go w pułapkę.

W walce wręcz mieliśmy przynajmniej szansę co zrobić.

Jednakże to wszystko było bardzo wstydliwe i w ogóle nie byliśmy pewni, co dzieje się wokół nas.

Jaki maś statek? - zapytałem.

Prawie taki sam, jak nasz - troszkę większy. Nazywa się "Sirena".

A więc jeśli odpłynie teraz, to dotrze tu nie wcześniej niż za tydzień.

Campbell z trzaskiem postawił na stole pustą szklankę. - Musimy zatem wyruszyć jak najszybciej - oświadczył.

182

Spostrzegłem Geordiego wchodzącego do foyer i pomachałem mu ręką, a on podszedł do stołu. Był brudny i wyglądał na zmęczonego, a na pół zagojone szramy na twarzy nie wpływały dodatnio na jego urodę. Ręką uczernioną smarem postawił na stole mały szklany słoik i oznajmił: - Mamy awarię.

Usiądź i napij się piwa - powiedziałem.

Jaką awarię? - Chciał wiedzieć Campbell.

Geordie usiadł i westchnął. - Chciałbym się napić piwa - przyznał. Odkręcił pokrywkę słoika i pokazał, że jest w nim pełno smaru. Popchnął słoik ku mnie i rzekł: - Rozetrzyj trochę tego między palcami i powiedz mi, co czujesz.

Palcem wskazującym nabrałem odrobinę smaru i potarłem go

kciukiem. Był gładki i liski, taki jaki powinien być smar, lecz zdawało mi się, że wyczuwam w nim ziarenka piasku. Campbell też sięgnął do słoika i sam przeprowadził próbę.

Skąd to wzięło? - zapytał.

Ten smar pochodzi z głównych łożysk wciśgarki - odrzekł

Geordie. - A smar w łożysku bębna wciśgarki jest taki sam - cały zanieczyszczony karborundem.

Chryste! - powiedziałem. - Gdybyśmy użyli tej wciśgarki, to całe to diabelstwo by się zatarło. Jak na to wpadłem?

Po części kwestia okresowej konserwacji. Ale także zastanawiałem się, co bym zrobił, gdybym był Kanem i chciał tu zatrzymać pana Campbella. Nie szukałem niczego określonego, rozumiecie, lecz pomyślałem, że przypatrzę się wciśgarce. Nigdy bym nie przypuszczał, że znajdę proszek szlifierski zmieszany ze smarem łożyskowym.

Campbell zaklął z wciekłości, po czym spojrzał na Paulę. -

Przepraszam - wymamrotał.

Nic nie szkodzi. Znam te słowa.

Ile trzeba czasu, żeby doprowadzić to do porządku? - zapytałem.

Tydzień - odrzekł stanowczo Geordie. - Będziemy musieli dokładnie rozebrać całą wciśgarkę, a to mnóstwo roboty. Ale nie tym się martwię.

To jeszcze mało? - burknął Campbell. - Co tam trzymasz w zanadrzu?

Mylę o szkodach, których mógł narobić Kane, a których dotąd nie znalelimy. Nie przypuszczam, żeby dobrał się do silnika - ale co jeszcze zrobił?

Nie mógł wiele - odparłem. - Cały czas był pod obserwacją.

Dobrał się do wciśgarki - odrzekł z uporem Geordie.

183

- Geordie ma rację - odezwał się Campbell. - Nie możemy brać niczego na wiarę. Musimy sprawdzić cały statek.

Dziewczyny siedziały milcząco, lecz czułem, że ich frustracja nie jest mniejsza od naszej. Jeżeli chodziło o opónienie naszych operacji, to plan ten mógł się powieć. Jeli jednak Kane miał też nadzieję, że nas zniechęci, to le znał swego szefa - spośród nas wszystkich Campbell był najbardziej zdeterminowany, żeby wszystko naprawić i kontynuować poszukiwania.

Opróżniłem swoją szklanę. - Zabierajmy się do roboty. Zamknąłem laboratorium na klucz, lecz sądzę, że lepiej będzie, jeli także je skontroluje.

Wróciliśmy na "Esmeraldę", zbierając po drodze załogę, po czym natychmiast zszedłem do laboratorium. Pracowałem pilnie przez parę godzin, ale nie znalazłem nic złego - spektroskop był w porządku, a zawartość wszystkich butli wydawała się zgodna z etykietkami.

Z pewnego punktu widzenia straciłem tylko czas - lecz z drugiej strony wiedziałem przynajmniej, że w moim laboratorium niczego nie zepsuto.

Ian zszedł na dół z próbkami oleju napędowego z głównych

zbiorników. - Szyper chce, żeby je zbadać. - rzekł.

- Zbadać na co?

Wyszczерzył zęby. - Na wszystko, czego nie powinno być w oleju napędowym.

Przelałem próbki na płytki Petriego i spaliłem je. Próbka ze zbiornika prawoburtowego pozostawiała niewielki osad, lecz po próbce z lewego zbiornika zostało lepkie paskudztwo na dnie płytki.

Poszedłem na pokład, by zobaczyć się z Geordiem. - Dobrał się do lewego zbiornika paliwa - poinformowałem go. - Myle, że nasypał do niego cukru.

Geordie zaklął najgorszymi słowami. - Wydawało mi się, że zużywamy cholernie dużo cukru. A więc na to był potrzebny. Co z prawym zbiornikiem?

W porzřdku.

Kane nie mógł dostać się niepostrzeżenie do prawego zbiornika, który znajduje się tuż koło steru. Z lewym jest inaczej. Pamiętam, że zwykł doć często siadywać koło niego, kiedy nie miał wachty.

Zadanie nie było trudne - trochę cukru za każdym razem.

Przeważnie szlimy pod żaglami. Gdyby nie to, wszystko wyszłoby na jaw wczniej w przykry sposób. Ale całe paliwo, jakiego używaliśmy, braliśmy z podręcznego zbiornika w maszynowni i po prostu uzupełnialiśmy ubytek w porcie.

Wszedł Campbell . - Co za ponure miny?

Opowiedziałem mu, a on zaklął z wciekłością.

Zrzucimy to paliwo - rzekł. - Nie możemy wylać go w porcie, bo narobimy piekielnego hałasu, więc wyjdziemy w morze i tam się go pozbędziemy.

W porządku - powiedział Geordie. Napelnię podręczny zbiornik w maszynowni z prawego głównego. Będziemy potrzebowali trochę paliwa, żeby płynąć dalej.

Nic z tego - odparł Campbell. - Kane mógł być na tyle sprytny, że by wrzucić tam co innego. Napelnimy zbiorniki nowym paliwem od tutejszego ajenta Shella. - Zawahał się. Całkowite oczyszczenie zbiornika będzie trudne, na dnie leży prawdopodobnie mnóstwo nie rozpuszczonego cukru. Kiedy wleje się nowe paliwo, może być również do niczego.

Mogę robić badania wody na zawartość cukru - powiedziałem. - Będziemy płukać zbiorniki, aż będą czyste. Jakie jest tutaj zaopatrzenie w wodę, Geordie? Wolałbym używać słodkiej niż słonej wody.

Mamy szczęście. W porze suchej brakuje wody, ale myślę, że teraz jest jej pod dostatkiem, choć przyjdzie nam słono za nią zapłacić.

Zaczął już zastanawiać się nad tą robotą. - Będziemy musieli czekać, dopóki zbiorniki nie wyschną. Chyba potrafię zmontować urządzenie, które będzie wpompowywać do nich gorższe powietrze - to powinno przyspieszyć wysychanie.

- Zrób tak - zgodził się Campbell. - Jak mylicie, ile trzeba

czasu, żebyśmy znów byli gotowi do wyjścia w morze?

Zrobiliśmy obliczenia i znów nam wypadło, że nie mniej niż tydzień. Ale straciliśmy naszą przewagę. Będzie dobrze, jeśli wydo-
staniemy się stąd, zanim pojawi się Ramirez.

- On może czekać, dopóki nie wyruszymy.

Snucie domysłów było jednak zajęciem jałowym więc przestali-
my na tym.

3

Następnego dnia wyszliśmy w morze, wypompowaliśmy obydwa
główne zbiorniki i napełniliśmy je słodką wodą. Sprawdziłem zawartość
cukru i wykryłem znaczną jego ilość w wodzie z lewego zbiornika, więc
wypompowaliśmy ją i wróciliśmy do Nuku'alofa. Tam, ku wielkiemu
zdziwieniu dostawców, napełniliśmy znów słodką wodą zarówno
zbiorniki na wodę, jak i na paliwo, a potem wypłynęliśmy w morze.

185

Stwierdziłem jeszcze trochę nie rozpuszczonego cukru w lewym
zbiorniku, więc powtórzyliśmy wszystko od początku. Tym razem
przekonałem się, że zbiornik jest czysty, w związku z tym wróciliśmy
do portu i Geordie skonstruował swoje urządzenie na gorące powietrze,
aby wysuszyć zbiorniki przed napełnieniem ich nowym olejem napę-
dowym. Zajęło to nam parę dni, lecz zawsze pracowała tylko część
załogi, a pozostałym pozwalaliśmy zabawić się na lądzie. Bóg wie,
jakie opowieści krążyły w porcie, lecz nasi chłopcy otrzymali rozkaz,
aby zachować spokój i trzymać język za zębami.

Podczas gdy Geordie z jednš grupš, wspomagani przez Campbella, doprowadzili do porzšdku wcišgarkę i jej pomocnicze wyposażenie, Ian zorganizował drugš grupę, mającš za zadanie zdemontowanie takielunku "Esmeraldy". Zdjęli całe olinowanie, zarówno ruchome jak i stałe, i wszystko skontrolowali. Nie znaleli nic złego i kiedy skończyli, bylimy pewni, że jesteśmy dobrze przygotowani do wyjścia w morze. Zajęło to jednak sporo czasu.

Nie wykrylimy żadnych innych aktów sabotażu. Kane starannie wybrał to, co mogło przynieć nam najwięcej szkody - proszek szlifierski w smarze i cukier w paliwie. Gdyby nie był pod nadzorem, zapewne udałoby mu się jeszcze bardziej pomieszać nam szyki, ale i tak nabrudził aż nadto.

Jeli chodzi o zapasy żywnoci, Campbell podjął icie napoleońskš decyzję. - Wyrzucić wszystko! - polecił.

- Nie musimy wyrzucać konserw w puszkach - zaprotestował Ian, którego oszczędna szkocka dusza osłupiała ze zdumienia.

Campbell jednak nie ustępował. - Wyrzucić wszystko. Ten sukinsyn był zbyt sprytny jak na mój gust. Nie mam wcale ochoty na gulasz z cyjankiem.

Wobec tego podczas ostatniego kontrolnego wyjścia w morze wywalilimy do wody zapasy żywnoci, a także od nowa wyskalowalimy echometry, porównując ich wskazania z dokonanymi przez nas za pomocš sondy i z zaznaczonymi na mapach pomiarami głębokoci. Aparatura okazała się w porzšdku, ale należało się

upewnić. Miejscowi handlowcy byli zachwyceni naszymi hurtowymi zakupami artykułów żywnościowych i niewstpliwie wszystko to przyczyniło się do plotek na temat "Esmeraldy". Gdy upłynęło siedem dni od chwili wykrycia sabotażu Kane'a, Geordie stwierdził:

- No, mniej więcej mamy to już za sobą. Jesteśmy przygotowani do rejsu.

- Miejmy nadzieję, że Kane nie zostawił żadnych niespodzianek, których nie znalelimy - powiedziałem. - Nie chciałbym, żebyśmy

186

po rozpoczęciu czerpania stwierdzili, że dno statku odpadło. Co z silnikiem, Geordie?

Wykrzywił twarz w grymasie. - Nic złego. Ale musimy wszystko rozebrać, żeby się upewnić.

- To jest właśnie najgorsze w sabotażu - ta niepewność.

Kiedy wieczorem zebraliśmy się w hotelowym hallu, Campbell zapytał mnie o następne posunięcie. - W jaki sposób zabierzemy się do poszukiwań?

Opieram się na założeniu, że może być co między Falcon Island a Minerwś. Dzieli je odległość trzystu mil morskich. Popłyniemy do Falcon i co dziesięć mil będziemy pobierać próbkę materiału dennego na kursie bezporednim do Minerwy. Jeli nic nie znajdziemy, to będziemy powtarzać tę czynność na kursach równoległych, na wschód i na zachód od pierwotnego.

A więc pierwszym naszym posunięciem jest znalezienie Falcon

Island.

Zamyliłem się, potrząsnąłem głową i po chwili odpowiedziałem:

- Nie, zmieniłem zdanie. Myślę, że zaczniemy od Minerwy - zrobimy to w drugą stronę.

Zainteresowało ich to. - Dlaczego tak postanowiła - dlaczego mylisz, że ma to jakie znaczenie? - zapytał Campbell.

Mark był oceanografem i prawdopodobnie jego dociekania zmierzały w tym kierunku co nasze - zapewne tworzył teorie wulkaniczne bardzo podobne do wysuniętych przeze mnie. Gdyby bryłki o wysokiej zawartoci kobaltu znajdowały się gdzie w pobliżu Falcon, to po co wspominałby w ogóle o Minerwie? Sądzę, że bryłki te są w sporej odległości od Falcon Island, być może całkiem blisko Minerwy. A kiedy Mark zaznaczał oba te punkty w dzienniku, to myślał o źródle ich pochodzenia - którym jest Falcon - oraz o miejscu, w pobliżu którego się znajdują, czyli o Minerwie.

To brzmi logicznie - rzekł Campbell. - Z tego jednak mogłoby wynikać, że bryłki te nie znajdują się na kursie bezpośrednio między Falcon Island a Minerwą. Do diabła, mogł być nawet po drugiej stronie tych raf.

Albo rozsiane na całym obszarze między nimi - zauważyła Klara. Rzeczywiście, to też było możliwe.

Zrobimy tak. - powiedziałem. Wyruszamy stąd i żeglujemy na zachód, dopóki nie trafimy na szlak Falcon - Minerwa. Skracamy w kierunku Minerwy i pobieramy próbki co piętnacie kilometrów.

Jeli nic nie znajdziemy, to zawracamy ku Falcon i płyniemy kursem równoległym; biorąc próbki przez cały czas, opływamy Falcon dookoła

187

i wracamy znów w nieco większej odległości od kursu bezprecedensowego.

Co o tym mylicie?

Omawialiśmy tę sprawę przez chwilę, a następnie poszliśmy na obiad. Cieszyłem się, że znów wyruszymy na morze; za każdym razem, kiedy weszliśmy do portu, zdarzało się coś złego - podpalenie, niesłuszne aresztowanie, sabotaż, czy po prostu złe wiadomości.

Podczas posiłku Klara trściła mnie łokciem i mruknęła: -

Spójrz tam.

Rozejrzałem się wokół, lecz nie mogłem dostrzec niczego niepokojącego. - O co ci chodzi?

- Kelnerzy przed chwilą zestawili dwa stoły i nakryli je do obiadu. - odpowiedziała cicho. - Przygotowali miejsca dla omiu osób.

Zerknąłem jeszcze raz. Miała rację. - Ramirez! - rzuciłem, a ona kiwnęła głową. - To zupełnie możliwe.

Popatrzylimy w kierunku wejścia do sali, lecz nikogo nie było tam widać.

Nie mów tacie - szepnęła. - Wcieknie się, jeli zobaczy Ramireza. Nie chcę tu żadnej awantury - trzeba ojca spokojnie stąd wyprowadzić.

Najlepiej we go na górę i połóż do łóżka - jeli ci się to uda.

Geordie i ja wychodzimy teraz i wracamy na "Esmeraldę", żeby

popchnąć sprawy naprzód - spróbujemy wypłynąć jutro wczesnie

rano. Do tego czasu musicie znaleźć się na statku.

Dam sobie z tym radę - odrzekła.

Ludzie Ramireza nie pojawili się w jadalni przed naszym wyjściem, a Klara i Paula zaprowadziły starszego pana na górę, nie pozwalając mu zorientować się, że wykonujś nim posunięcie jak pionkiem szachowym. Wydawało się, iż sś w tym dobre, i nabrałem nadziei, że następnego dnia pokierujś Campbellem równie zręcznie. Gdy tylko wyszli, powiedziałem do Geordiego: - Uważamy, że Ramirez już tu jest. Lepiej pakujmy manatki.

Skśd wiesz?

Klara wykryła to metodś Sherlocka Holmesa i mylę, że ma rację. - Wskazałem przygotowany stół.

Wstśpilimy do recepcji i uregulowaliśmy rachunek, korzystajśc z pustego foyer, a potem poszliśmy do naszego pokoju spakować rzeczy. Wziśłem jeden z dwóch rewolwerów, które powierzył mi Campbell, i rzuciłem go Geordiemu. - Szef mówi, że to dla ciebie.

Potrafisz się nim posługiwać?

Zważył go w rękę. - Żebyś tylko miał Kane'a lub Hadleya przed lufś, to już ci pokażę. Masz naboje?

188

Podzieliłimy amunicję, załadowaliśmy pistolety i zesłimy na dół z naszymi workami żeglarskimi. Czulem ciężar pistoletu w kieszeni kurtki i wydawałem się sobie trochę mieszny, jakbym wcielił się

w gangstera z pięciorzędnego filmu. Jednakże w rzeczywistości nie było w tym nic zabawnego - mogłem być zmuszony do użycia tej broni.

W połowie krętych schodów zatrzymałem się i wyciągnąłem rękę, by powstrzymać Geordiego. W foyer chyba było pełno ludzi, gdyż usłyszałem gwar rozmów. Mówili po hiszpańsku.

Poczekaliśmy, dopóki tłum nie przeszedł do jadalni, prowadzony przez wysokiego, chudego mężczyznę o jastrzębiej twarzy, który był zapewne Ramirezem. Odpowiadał opisowi przedstawionemu przez Campbella, chociaż nie mogłem dostrzec blizny; na jego widok poczułem jak fala złości podchodzi do gardła. Gdy foyer opustoszało, wyszliśmy z hotelu.

Na pokładzie "Esmeraldy" spotkaliśmy Iana. Geordie zapytał szorstko: - Jakie nowe statki weszły do portu w ciągu ostatniej godziny czy dwóch?

A jakże - odparł Ian. - Ten. - Wskazał w stronę morza i spostrzegłem ciemny kształt statku zakotwiczonego nieco bliżej wejścia do przystani. Trudno było określić jego wielkość, ale na podstawie wiateł kotwicznych oceniłem, że był mniej więcej tych samych rozmiarów co "Esmeralda"; może trochę większy, lecz niewiele.

To statek Suareza i Navarro - powiedział Geordie i Ian utkwili w nim zdumiony wzrok.

Zbudzić załogę. Trzymać wachtę - dwóch ludzi z każdej

strony i obserwator na przednim maszcie. I żadnych dodatkowych wiatel - nie chcę pokazać, że dzieje się co niezwykłego. Mamy być gotowi do odpłynięcia w każdej chwili. Ilu was jest na statku?

Większość chłopców, a resztę mogę doć łatwo zebrać.

Zrób to natychmiast.

- Tak jest, sir! - zawołał ochoczo Ian i pędem zbiegł na dół.

Geordie spojrział na statek majaczšcy w ciemności. - Zastanawiam się, czy jest tam Hadley lub Kane? - rzekł cicho.

- Nie było ich w grupie Ramireza w hotelu - odpowiedziałem. -

Być może bojš się zejć na lšd. Do tej pory we wszystkich portach

Pacyfiku musiano juź wydać nakaz ich aresztowania. Z drugiej strony

nie ma powodu, by w ogóle byli na tym statku. Hadley przecieź nadal

ma swojš "Perłę", a pamiętaj - nie mamy żadnego dowodu, że oni

tu przyplłynęli lub dołšczyli do Ramireza po opuszczeniu Papeete.

189

- To prawda - przyznał pośępnie Geordie.

- Mam co do zrobienia w laboratorium - powiedziałem. -

Muszę przygotować je do badań w czasie rejsu. Zobaczymy się póniej.

Zdšżyłem popracować zaledwie godzinę, gdy Geordie przyszedł do

mnie z Ianem. - Mamy pomysł - oznajmił Geordie. Obaj byli tak

ożywieni, że przyszło mi na mył, iź planujš jakš psotę.

O co chodzi?

Chłopczy myłš, że Kane i Hadley mogš być na statku Ramireza.

Chcš tam popłynšć i wzišć ich.

Chryste, nie mogš tego zrobić!

Dlaczego nie?

Wiecie cholernie dobrze, że jest całkiem nieprawdopodobne, aby tam byli. To tylko wymówka dla tego głupstwa, jakie chcecie zrobić.

Przypućmy jednak, że tam sš? To by rozwišzało całe mnóstwo problemów. Przekazujemy ich policji i Ramirez jest załatwiony.

Będzie za bardzo zajęty wyjanieniem, dlaczego udziela schronienia parze ciganych przez prawo morderców, aby mógł nas ledzić.

Zastanowiłem się nad tym i potrząsnłem przeczšco głowš. - Nie, jest to zbyt ryzykowne i diabelnie zbliżone do piractwa. Campbellowi nie spodobałoby się wcale.

- Słuchaj - powiedział Geordie. - Chłopczy sš porzšdnie nagrzeni. Nie spodobały się im twoje opowieci, nie podobało się im to, co ci dwaj zrobili na Tanakabu; poza tym cholernie nie odpowiadała im robota, którš musieli tu wykonywać przez cały tydzień z powodu Kane'a. Majš powyżej uszu cišgłego zastraszania - do niektórych strzelano na lagunie Tanakabu i to także się im nie spodobało. Nie wiem, czy potrafię ich powstrzymać.

Spostrzegłem błysk w oku Geordiego. - Przypuszczam, że nie za bardzo się starałe, prawda, Geordie?

Najeżył się. - Dlaczego, u diabła, miałbym się starać? Ja też mam porachunki z Hadleyem, pamiętasz? Nie zapominaj, że stłukł mnie pistoletem. A Kane dokonał sabotażu na moim statku, nie Campbella!

Przypućmy, że jednak ich tam nie ma?

Na pewno dowiemy się czego pożytecznego. - Zauważyłem, że teraz już sam włóczył się w to przedsięwzięcie i przestał udawać, że jest mu przeciwny.

Ach, Mike, przesadzasz - powiedział Ian. - To będzie tak łatwe, jak wyciśnięcie pstręga z cudzego strumienia, gdy dozorca wyskoczył na kieliszek do baru.

No tak, przesadzam, powiadasz? Czy będziecie łaskawi powiedzieć mi, co właściwie zamierzacie?

190

Ian spojrział na Geordiego, który rzekł: - No cóż, Mike, to wygląda tak. Pomyślałem, że warta to sposób obrony poniekąd bardzo dobry, ale trochę bierny, jeli rozumiesz, co mam na myli. Wysłałem więc paru chłopców na łódź, żeby trochę się rozejrzeli. Znaleli duży część załogi tego pudła w barze, gdzie pili na umór. Sami mieszańcy. Gronie wyglądjajšca banda, to prawda, ale sš już prawie nie do użytku.

A Kane'a ani Hadleya nie widzieli?

Żaden ich nie zauważył. W każdym razie, jeli odliczymy jeszcze tę waszš grupkę w hotelu, to wiemy, że na statku Ramirezza zostało diablo mało ludzi.

Oni także będą pilnować statku. - powiedziałem. - Ramirez nie jest zupełnym głupcem, a wie, że jesteśmy tutaj.

Słusznie - zgodził się Geordie. - Ale tym także się zajęłem.

Wysłałem Taffy'ego i Billa Huntera łodziš, aby sprawdzili sytuację

na miejscu. Bili jest naszym najlepszym pływakiem i przyjrzał się dokładnie ich statkowi. - Zachichotał nagle. - Wiesz, co zrobił? Najpierw opłynął go wpływ dookoła, potem wdrapał się po lewej burcie, starannie obejrzał pokład, opucił się do wody z drugiej strony i wrócił, żeby zdać sprawę. Tak wygląda ich pilnowanie.

Musiał to zrobić bardzo cicho - zamyliłem się.

Ach, z tym nie ma kłopotu - odrzekł Ian. - My jesteśmy ludmi cichymi i spokojnymi.

Mniej więcej tak cichymi i spokojnymi, jak stado rekinów. One też nie robiś dużo hałasu.

No, więc jak będzie? - zapytał błagalnie Geordie.

Musiałoby to być zrobione bez pistoletów. Żadnego zabijania.

Tylko gołe pięci.

I może jaki kołek - podsunął niemiało Ian.

Jestecie krwiożerczś bandś. To cholernie głupi pomysł, ale zgadzam się na niego - pod pewnymi warunkami.

Geordie radonie wyszczerzył zęby. - Wiedziałem, że masz w sobie co ze swego ojca, Mikę!

- Tata oddałby was pod sśd wojenny za niesubordynację, wiecie o tym cholernie dobrze. W porzśdku, oto warunki. Po pierwsze -jeli znajdziecie Kane'a lub Hadleya, to żeby im włos nie spadł z głowy - przekażemy ich policji w stanie nienaruszonym. Nie wolno nam popsuć sobie sytuacji. Po drugie - jeli ich nie znajdziecie, to prędko

wróćcie tutaj. Tak czy owak, musimy diabelnie szybko wydostać się z Nuku'alofa - będzie nas szukał Ramirez, a może i policja. Z tego

191

wynika trzeci warunek - musimy sprowadzić na statek Campbella i dziewczyny.

Geordiemu zrzęła mina. - To znaczy, że nic z tego nie będzie.

On nigdy się na to nie zgodzi, zwłaszcza z dziewczętami na pokładzie.

Nie musi o tym wiedzieć zbyt wczonie. Wylesz kogo do hotelu i sprowadzisz ich na statek we właściwym czasie.

A właściwy czas nadejdzie wtedy, gdy będzie za póno, żeby nas zatrzymać - odgadł Geordie. - Mikę, mój chłopcze, diabelnie się namęczysz wyjaniając staremu, co my tam robimy.

Wyjanienia odłożę na później - odparłem. - I jeszcze warunek numer cztery- idę z wami. Ja też mam rachunki do wyrównania.

4

Wybór odpowiedniego momentu był niełatwy. Nie wiedzieliśmy, jak długo Ramirez i jego ludzie pozostaną w hotelu, ani nawet, czy zamierzają wrócić tej nocy na statek. Nie chcieliśmy natknąć się na nich, bo wtedy na pewno nie obyłyby się bez hałasu.

Ponadto Campbella i dziewczęta trzeba było wyprowadzić z hotelu pod nosem Ramireza, co także było trudnym zadaniem. Ułożyliśmy więc pewien plan.

Do sprowadzenia Campbella z hotelu Geordie wybrał Nicka

Dugana. - On bije się chyba najlepiej z nas wszystkich - wyjanił. -

Ale nigdy nie walczy po cichu. Trzeba trzymać go z dala od głównej operacji, choć nie będzie z tego zadowolony.

Pogadałem z Nickiem i wysłałem go natychmiast. - Masz dwa zadania - powiedziałem. - Przede wszystkim: uważać na Ramireza.

Jeli który z jego ludzi zrobi ruch wiadczy o zamiarze powrotu na statek, przemkniesz się do nabrzeża i nadasz nam sygnał wietlny.

Wtedy operacja zostanie ostatecznie odwołana. Jasne?

Tak jest. - Okazał się zaskakująco potulny.

Zaczynamy o dwudziestej trzeciej trzydzieci. Dokładnie w tym momencie wejdiesz do pokoju pana Campbella i dasz mu notatkę, którą napiszę. Nie wcześniej i nie później niż o dwudziestej trzeciej trzydzieci - to ważne.

Rozumiem - powiedział Nick.

Masz zegarek?

Pokazał swój naręczny zegarek, a kiedyśmy zsynchronizowali go z moim, zastanowiłem się, ile razy mój ojciec robił to samo przed akcją.

192

- Zapłaciłem ich rachunki razem z moim - nie muszę więc zatrzymywać się przy recepcji. Portierów nie ma. Przypraw tu Campbella i dziewczyny jak najszybciej i jak najciszej - nie pozwól też, żeby zobaczył was Ramirez czy kto z jego bandy.

Zamieniłem kilka słów z Billem Hunterem. - Jak oni tam pilnują, Bili?

Umiechnął się. - Przypuszczam, iż sš przekonani, że dobrze -
według ich standardów. Ale nie ma się czym przejmować. Pójdzie jak
po male.

Geordie powiedział mi, że jeste najlepszym pływakiem, więc
wyruszysz jako pierwszy. Musisz jednak robić to bardzo cicho, bo
podniosš alarm. Twoim zadaniem będzie znaleźć najspokojniejsze
miejsce na statku, aby wcišgnąć tam nas wszystkich.

Nie przejmuj się - powiedział beztrosko. - To będzie jak
w dawnych czasach.

Gdy się już skierowałem do wyjcia, odezwał się: - Hm... Mikię...

Tak, Bili?

Dobrze jest pracować znów z Trevelyanem.

Byłem wzruszony. - Dzięki, Bili. Nie wiesz, jak bardzo to sobie
cenię.

W końcu bylimy gotowi. Szło nas szeciu - Geordie, Ian, Taffy,
Jim, Bili Hunter i ja. Danny'ego Williamsa zostawilimy, by dowodził
statkiem i tymi członkami załogi Geordiego, którzy nie należeli do
jego drużyny, a ja powiedziałem mu - Danny, jeżeli co pójdzie le,
odpływaj stšd jak najszybciej, gdy tylko pan Campbell z dziewczynami
i Nickiem znajds się na pokładzie, nawet gdyby to oznaczało
pozostawienie nas. Pan Campbell nie może być w to wmieszany,
rozumiesz?

Kapuję - odrzekł - ale wszystko pójdzie dobrze.

Geordie kręcił się niespokojnie. - Jim, wzišłe swoje graty?

Mam, co trzeba - odrzekł Jim. - Nie martw się, panie szyper.

Podszedłem do Geordiego. - Co to za graty?

- Nic wielkiego - odparł niedbale. - Kołki do obkładania liny

i podobne głupstwa. Która godzina?

Spojrzałem na fosforyzujące wskazówki mojego zegarka. - Dwu-

dziesta trzecia dwadziecia osiem. - Spieszyliśmy się bardzo, żeby się przygotować, lecz ostatnich parę minut wlokło się niemiłosiernie.

- Idziemy - oznajmił. - To będzie gra do jednej bramki.

Opuciliśmy się do większej z naszych dwóch łodzi ratunkowych, Ian

i Taffy wzięli wiosła i łód bezszelestnie odbiła od statku. Okrążyliśmy

rufę "Esmeraldy" i skierowaliśmy się w stronę wejścia do portu.

193

13 - Noc błędu

Mylałem o wszystkim, co mogło się nie udać, o tym, co powie

Campbell, gdy wrócimy, i wymyślałem sobie od idiotów. Pochyliłem

się ku Geordiemu i szepnąłem: - Jeli Taffy wziął ten swój cholerny

nóż, to powiedz mu, żeby go zostawił na dnie łodzi. Nie chcę, by

istniała możliwość, że go użyje.

- Nie ma sprawy - odrzekł półgłosem. - Zostawił nóż na

statku - powiedziałem mu, żeby to zrobił.

Wkrótce potem Ian i Taffy przestali wiosłować, łód chwilę jeszcze

sunęła po wodzie, aż w końcu zatrzymała się, kołysząc się łagodnie.

Bili miał na sobie ciemny kombinezon i kiedy przewijał się przez burzę,

zobaczyłem tylko błysk jego zębów w wietle księżyca.

- Czy jesteście pewni, że ta latarka jest wodoodporna? - mruknął

Geordie.

- Jest O.K. - odparł Bili. - Dam wam sygnał, gdy tylko będę gotów.

Odplynął bez jednego plunięcia, a my siedzieliśmy w ciszy czekając na sygnał. Wydawało mi się, że trwa to bardzo długo; siedząc tak zastanawiałem się, co ja robię w tym porcie na krańcach Pacyfiku, gdzie zamierzam dokonać aktu piractwa. Pomyślałem, że bardzo stąd daleko do mojego gabinetu w instytucie.

Minęło już sporo czasu, prawda? - zagadnąłem Geordiego.

Przestań się martwić - odpowiedział Geordie. - Jesteśmy profesjonalistami.

Westchnąłem i próbowałem się odprężyć na twardej ławce łodzi, nie przestając ani na chwilę wpatrywać się w statek Ramireza. Nagle zobaczyłem na nim błysk wiatła, tak słaby i krótkotrwały, że nie byłem pewny czy go rzeczywiście widziałem, czy też moje oczy płatają figle.

- To jest to - odezwał się Geordie przyciszonym głosem. -

Wiosłujemy razem. Teraz delikatnie.

Posuwaliśmy się do przodu powolnymi, miarowymi pociśgnięciami wiosła, aż wreszcie zamajaczyła nad nami burta statku. Co uderzyło mnie w twarz i gwałtownie zerwałem się z miejsca. Geordie mruknął mi do ucha: - Cicho, na miłość boską!

Zorientowałem się, że Geordie idzie wzdłuż łodzi. - Bili to dobry chłopiec. Spuścił nam linę. Przywiśz ją tutaj. - Powiedział jak zwykle tym

niskim, cichym głosem, który był znacznie bardziej efektywny niż szept.

Jim przywiślał linę na dziobie, a Geordie rzekł: - Pójdę pierwszy.

Wspiął się jak małpa i zniknął za nadburciem. Za nim podszczył Ian,

a potem ja - okazało się, że moi towarzysze skorzystali z drabinki

sznurowej, która zwisała tuż nad łodziś. Moje oczy przywykły do

ciemności i stwierdziłem, że z pomocś ubywajšcego księżyca i bladych

194

wiateł kotwicznych widzę doć dobrze. Nie było nikogo na pokładzie,

ale z rufy dobiegł cichy gwar głosów.

Kto podszedł do nas i przyciszony głos Billa odezwał się nieocze-

kiwanie blisko: - Nakryłem jednego z nich.

Co z nim zrobię? - zapytał Geordie.

Nic wielkiego. - W głosie Billa była radoć. - Ale nieprędko

się zbudzi.

Pozostali uczestnicy naszej akcji też już znaleli się na pokładzie

i Geordie powiedział:

Podzielmy się na pary - ja wezmę Mike'a. Zastosujemy starš

sztuczkę "do tyłu - do przodu".

Co to takiego? - zapytałem, starajšc się mówić niskim głosem,

tak jak on.

- Cicho! Kto nadchodzi. Jim i Taffy - bierzcie go.

Dostrzegłem dwie postacie pełnšce po pokładzie i znikajšce

w ciemnościach. Potem usłyszałem to, co bardziej czułe ucho Geordiego

pochwyciło duzo wczesniej - miarowy odgłos kroków zbliżajšcych

się od strony rufy. Mężczyzna ukazał się zza rogu pokładówki; starajśc się nie rozlać zawartoci niósł w ręku kubek, prawdopodobnie kawy przeznaczonej dla kogo na dziobie.

Nagle, ku mojemu zaskoczeniu, czarny kształt zupełnie nie ukrywajśc się wyrósł przed nim i posłyszałem uprzejmy głos Taffy'ego: -

No dobrze, to ładny pomysł, żeby przynieć mi kawy.

Mężczyzna zatrzymał się i cofnął w zdumieniu. Chciał włanie się odezwać, gdy co błysnęło mu przed twarzš, a on podniósł ręce chwytajśc się za szyję. Taffy zręcznie chwycił spadajšcy kubek.

Mężczyzna nie podjśc walki. Zrobił dwa chwiejne kroki i runśc na pokład. Zobaczyłem Jima pochylajšcego się nad nim, a następnie obaj przyciścgnęli go do nas, przy czym Taffy użył do tego tylko jednej ręki.

Czy kto chce goršcej kawy? - zapytał. - Nie wylała się ani kropla.

Przestań się wygłupiać - warknął Geordie.

Co mu się stało? - zapytałem.

Nic mu nie będzie. To dwóch - ilu naliczyłe, Bili?

Pięciu na pokładzie - kiedy byłem tu przedtem. Ale nie wiem, ilu jest na dole.

Jim i Taffy knebnowali i wiśczali swojš ofiarę. Geordie powiedział: - My to skończymy. Idcie na rufę i oczyćcie pokład.

Rozpłynęli się w powietrzu jak kłęby dymu, a ja pomogłem

Geordiemu dokończyć tę robotę. Mężczyzna był zwiotczały i całkiem nieprzytomny. - Co u diabła Jim mu zrobił? - szepnąłem.

- Jedwabna chusta z ciężarkiem w jednym rogu. Stara sztuczka

Thuggów - dusicieli, nauczyliśmy się jej od hinduskiego instruktora.

Ale tego człowieka Jim nie udusił, wkrótce przyjdzie do siebie.

Usłyszałem głuchy łoskot na rufie. Geordie mlasnął językiem: -

Kto był nieostrożny. Chodmy, chcę się przekonać, czy Bili wykonał swoją pracę jak należy.

Podniósł się i ruszył beztrąsko naprzód, nie starając się kryć.

Zatrzymał się przy włazie dziobowym i sprawdził go ręką. - Bili jest dobrym fachowcem. Nikt z dołu tędy nie wyjdzie.

Następnie zaczął szperać wokół, aż wreszcie znalazł to, czego szukał - leżące twarzą w dół marynarza, który trzymał tu wachtę.

Geordie obrócił bezładnego człowieka na wznak i zaczął mu wiżać ręce. - To nie znaczy, że nie ufam ocenie Billa - wyjął. - Ale lepiej być zupełnie pewnym. Ty zwiż nogi. Użyj do tego jego sznurowadeł.

Wszystko to było trochę podobne do snu. Geordie fachowo wiżał ręce majtka i gawędził przy tym tak spokojnie, jak mógłby to czynić każdy dobry rzemieślnik pracujący przy swoim warsztacie. - Przepraszam, Mike, że trzymam cię z dala od tej zabawy, ale zupełnie brak ci dowiadczania. Na tego rodzaju imprezie mógłby zrobić jakiś błąd i wszystko by diabli wzięli.

Patrzyłem w półciemności na masywną postać Geordiego i zdałem sobie sprawę z czego, o czym nigdy przedtem wiadomie nie pomy-

lałem. Wyszkolono go na fachowego zabójcę i mój ojciec miał w tym swój udział. Nauczono go chyba paru tuzinów sposobów wyeliminowania człowieka z akcji, na pewien czas lub na stałe, więc okazywał amatorowi pełne rozbawienia lekceważenie profesjonalisty. Po raz pierwszy pomyślałem, że to po moim ojcu Mark odziedziczył jakąś część swej bezwzględności, aczkolwiek przekształconą w dziwny i przykry sposób.

- Wszystko w porządku, Geordie. - powiedziałem. - Pracujemy wspaniale. Wystarczy mi, że patrzę i uczę się.

Z rufy dobiegł nas cichy jak szept, niemal niesłyszalny gwizd i Geordie podniósł czujnie głowę. - Skończyli. Chodmy zobaczyć, jak sprawa się przedstawia.

Ruszyliśmy naprzód, idąc tak swobodnie, jakby statek należał do nas. Geordie powiedział półgłosem: - Nigdy nie skradaj się bez potrzeby. Nic nie wygląda bardziej podejrzanie. Przypuśćmy, że kto obserwuje teraz pokład - moglibyśmy być po prostu dwoma marynarzami z załogi tego statku.

Zwolnił krok, kiedy podchodził do pokładówki, skąd strumień

196

wiatła padał na pokład. Zajrzał ostrożnie do rodka zza uchylonych drzwi, po czym parsknął. - Powinienem się domylić - zauważył z rezygnacją.

- A to łakomczuch z tego Taffy'ego. Co ty tam robisz, Taffy?

Wszedł do rodka, a ja za nim - okazało się, że prowadzi wprost do kuchni. Taffy właśnie kroił chleb. - Robię sobie kanapkę, panie

szyper - odrzekł.

Ty cholerny żarłoku. Ilu załatwiłeś?

Trzech.

Kane? Hadley?

Ani ladu. Jeli w ogóle sš na statku, to na dole. Ale nie

uciekńš - zamknęlimy włazy.

Dobrze, teraz otworzymy je i zrobimy porzšdek pod pokładem

- powiedział Geordie. - Tylko tego nam trzeba, żeby który z nich

doszedł do wniosku, że chce zaczerpnąć wieżego morskiego powietrza,

po czym by stwierdził, że nie może wyjć na pokład. Kiedy skończysz

kolację, mister Morgan, wszyscy bylibymy ci bardzo zobowiřzani,

gdyby wrócił do pracy. A "nim wyjdiesz z kuchni sprzřtnij po sobie,

a będzie wiodło się dobrze tobie".

- Tak jest, panie sierżancie - odrzekł Taffy.

Weszlimy do sterówki, gdzie znalelimy pozostałych uczestników

naszej wyprawy, Ian za pomocš klucza nastawnego odkręcał centralńš

rubę mocujšcš łozyska koła sterowego. Spojrzał na Geordiego

i powiedział z namaszczeniem: - Moglibymy im teř narobić trochę

kłopotu, skoro juř tu jesteśmy. - Wyciřgnął rubę i niedbale cisńš

jš za burtę, po czym zakręcił kołem. - Myle, że będš mieli odrobinę

trudnoci ze sterowaniem.

Bardzo ładnie, ale trochę przedwczenie - stwierdził Geor-

die. - Najpierw skończmy robotę. Mikę i ja wemiemy właz dziobowy

i oczycimy dziobówkę. Ian i Bili, bierzcie ten luk tutaj. Jim, znajdziesz

Taffyego napychającego swój kałdun w kuchni - wemiecie ródok-
ręcie. Macie swój sprzęt?

Ja mam, panie szyper.

W porzřdku. Wszyscy zejdziemy równoczenie. Dam sygnał -
i starajcie się nie robić za duzo hałasu. Chod, Mike.

Gdy dotarlimy do włazu dziobowego, Geordie stanřł. - Damy
im minutę na przygotowanie się. Pokiwał smutno głowř. - Ten
cholerny Walijczyk.

Spojrzałem ku rufie. Na pokładzie nie było nic widać, panował
zupełny spokój. Pomylałem, jakie to wszystko było łatwe - jak
dotřd. Ci eks-komandosi zdawali się traktować naszř akcję jak żart
i przypuszczałem, że istotnie była ona fraszkř dla ludzi, którzy

197

w czasie wojny nie dawali Niemcom chwili spokoju. Nie pozwoliłem
się jednak zwieć; to tylko ich wysoka sprawnoć i fachowoć sprawiały,
że wszystko wydawało się łatwe.

Nagle wzdrygnřłem się - to Geordie wydał ten przytłumiony
gwizd, który słyzałem przedtem. - Chodmy - powiedział cicho. -

Ja pierwszy.

Podniřł delikatnie pokrywę włazu i zaczął schodzić na dół.

Dziobówka była słabo oświetlona jednř lampř i wydawała się pełna
tajemniczych cieni. Kiedy znalazłem się na dole, zobaczyłem, że
Geordie blokuje drzwi prowadzřce do pomieszczeń ródokręcia za
pomocř małego drewnianego klina, który wyjřł z kieszeni. Gdy juź je

zabezpieczył, odwrócił się, aby zlustrować dziobówkę. Trójkątna przestrzeń, utworzona przez dziób statku, była zastawiona rzędami piętrowych, potrójnych koi. Pomyślałem, że upchali tych sukinsynów jak sardynki w puszcze. Wtem rozległo się chrapanie - Geordie szybko rozejrzał się dokoła, położył palec na ustach, nakazując mi zachowanie ciszy, i zaczął bardzo ostrożnie posuwać się naprzód. Po chwili dał mi znak ręką, że mogę się zbliżyć. Wzrok miał utkwiony w rodkowym legowisku piętrowej koi, na którym spał paskudnie nieogolony marynarz. Geordie zbliżył usta do mojego ucha i szepnął: - Sprawdź inne kaje.

Obszedłem na palcach dziobówkę, zaglądamy do każdej koi, lecz nie znalazłem nikogo. Wróciłem do Geordiego i pokręciłem przecząco głową.

- W porządku, obudmy tę piśc królową. - odezwał się głono.

Mężczyzna zachrapał znowu, cofając przy tym górny wargę.

Geordie potrząsnął go za ramię. - Chod, kolego. Przygotuj się na spotkanie swego przeznaczenia. - Mężczyzna otworzył oczy i popatrzył na niego niezbyt przytomnie, a wtedy Geordie uderzył go w podbródek pięścią jak młotem.

Potał sobie kostki i powiedział, jakby się usprawiedliwiając: -

Nie lubię bić piścego człowieka. Jako wydaje mi się to trochę nie fair.

Przyjrzałem się marynarzowi. Był nieprzytomny.

Geordie znów rozejrzał się po dziobówce. - Dziewięciu z każdej

strony. Wpakowali tu osiemnastu. Ministerstwo Handlu nigdy nie pozwoliłoby temu statkowi wpłynąć do portów brytyjskich. No dobrze, zobaczmy, co tu jeszcze mamy. Następne pociśgnięcie, Mike, może być szczęśliwe.

Wyciśgnął klin spod drzwi i otworzył je ostrożnie. Sprawdziliśmy wszystkie pomieszczenia, zagłsdajśc nawet do toalet. - Nie ma to jak 198

złapać faceta ze spuszczoneymi portkami - zachichotał. Nie znalelimy nikogo.

Statek zakołysał się trochę mocniej i obaj zesztynielimy w napięciu, ale nieprzyjaciel się nie pojawił. Kontynuowalimy więc pomału naszą robotę, aż nagle na końcu korytarza zobaczylimy jaki cień i ukazał się Taffy. Jadł jabłko.

Geordie parsknął. - Spójrż na niego. Pomyłałby, że powinien utyc, prawda? Dokładnie taki sam był w wojsku-wojował, a jednocześnie napychał się ile wlezie. - Pozostały jeszcze dwie kajuty między nami a Taffym i każdy z nas sprawdził po jednej, z negatywnym wynikiem. - Co znalelicie? - zapytał Geordie.

Taffy chrupał swoje jabłko. - Ian upił jednego chłopaczka - to nie był Kane, i nie taki duży, żeby zgodnie z waszym opisem mógł być Hadleyem.

Cholera! Więc tych sukinsynów tu nie ma. My załatwilimy jednego - to razem siedmiu.

My jednego na dziobie, a poza tym jeszcze dwóch, panie szyper

- powiedział Taffy. - To znaczy, że na statku jest siedmiu.

Geordie zaczął liczyć. - Najmniej piętnastu spiło się na lądzie - to razem dwudziestu dwóch. A jeszcze omiu w hotelu - w sumie trzydziestu.

Zbyt duża załoga jak na taki statek - orzekł Taffy z miną kogo wyrażającego głęboki myś.

Więc jest to okręt wojenny - warknął Geordie. - Nie potrzebowaliby całej tej bandy do samej tylko żeglugi. Gdzie jest Jim?

W maszynowni.

Dobrze. Ty pęd na pokład i trzymaj wachtę. Nie przypuszczam, żeby który z oficerów przyszedł teraz na statek, ale będzie wracać załoga, a i Ramirez może wpaść na pomysł przeprowadzenia kontroli.

Poszlimy na rufę i znalelimy tam Iana rozbijającego biurko w jednej z większych kajut. Miałem zaprotestować, ale zdałem sobie sprawę, że teraz już nie ma znaczenia, co zrobimy - oprócz morderstwa. - Tu mieszka Ramirez - wyjanił.

W biurku nie znalelimy nic ciekawego ani użytecznego dla nas, więc szybko przeszukalimy jego ubrania. Były eleganckie i liczne, jak na potrzeby okrętowego życia. Gdy pracowaliśmy, Ian zapytał: -

Znalelicie tych ptaszków?

- Ani jednego - odrzekłem. - Zrobiliśmy głupstwo. Campbell będzie wciekły.

Ian był niepokieszony. - Mój facet nie jest Hadleyem. Ma czarną brodę.

Geordie nadstawił uszu. - Czy jesteście pewni, że to nie on lub Kane z zapuszczoną brodą?

- Tak - odparł Ian. - Jest zbyt długa. Kane'owi nie mogła aż tak urosnąć w tym czasie, a Hadley był gładko golony. A jest prawdziwa - pociśnięłem za nią.

Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że Geordie odsuwa dywan odsłaniając wpuszczony w deski sworzeń z kółkiem. - Co to takiego?

- zapytałem.

- Zaraz się przekonamy. - Chwycił kółko i pociśnięł, otwierając klapę w podłodze. Wyjął latarkę z kieszeni i oświetlił otwór.

- Chryste! - sapnął i wyciśnięł stamtąd pistolet maszynowy.

Popatrzyliśmy w milczeniu na broń, a potem Geordie odezwał się: - Mówiłem wam, że to prawdziwy okręt wojenny.

- Zobaczmy, co tam jeszcze jest - powiedziałem.

Po pięciu minutach leżało wokół nas tyle broni, że wystarczyłoby jej do rozpoczęcia niewielkiej wojny. Były cztery pistolety maszynowe, piętnaście karabinów różnego typu, pół tuzina pistoletów i tuzin granatów ręcznych.

Zdobyłem się na miech. - Ciekaw jestem, co by pomyślał na widok naszych czterech pistoletów. - Nie czułem się jednak zbyt dobrze, patrząc na naszą zdobycz; moje ręce, do tej chwili suche, teraz zaczęły się lekko pocić.

Geordie zwrócił się do Iana: - Swego czasu byłe dość dobrym

rusznikarzem. W jaki sposób unieszkodliwiłby ten arsenał?

- W przypadku karabinów wystarczy wyrzucić zamki. W pistoletach zniszczymy iglice.

- Dlaczego nie wywalić wszystkiego za burtę? - zapytałem.

Geordie mrugnął do mnie. - To także zrobimy, ale wtedy ta hałastrza zajmie się nurkowaniem, a chcę, żeby to był daremny wysiłek, Ian, zabierz się jak najszybciej do psucia tej broni. Jesteśmy tu już zbyt długo.

Po upływie piętnastu minut, kiedy starajśc się uniknąć jakichkolwiek plusków, ostrożnie wyrzuciliśmy już za burtę wszystkie unieszkodliwione przedtem karabiny i pistolety, bylimy prawie gotowi do zakończenia akcji, Ian zawijał jeszcze ostatnie wyjęte z karabinów zamki w paski płótna i upychał je sobie po kieszeniach. Mielimy właśnie opuścić statek, kiedy Taffy nagle podniósł rękę. - Cicho! - powiedział półgłosem.

Zapadła zupełna cisza i chociaż wytężałem słuch, nic nie słyszałem.

Taffy szepnął: - Płynie łód.

Do moich uszu dotarło teraz ciche skrzypienie dulek i plusk wiosła.

Spojrzałem z niepokojem na Geordiego.

200

- Wemiemy ich - zdecydował. - Nie możemy pozwolić, żeby nasza akcja zbyt wczesnie wyszła na jaw. - Szybko wydał polecenia i mężczyźni rozproszyli się po pokładzie, znikajśc w zacienionych miejscach. Usłyszeliśmy lekkie uderzenie, gdy łód przybiła do drabinki wejciowej, po przeciwnej stronie niż ta, po której mielimy schodzić,

a po paru sekundach na tle nocnego nieba zobaczyliśmy sylwetkę tylko jednego człowieka. Kiedy wszedł na pokład, gwałtownie wciśnięłem powietrze w płuca.

Był to Kane.

Ja się nim zajmę - mruknęłam do Geordiego, który gestem wyraził zgodę. Chyłkiem ruszyłam naprzód. Kane szedł po pokładzie, a kiedy mnie mijał, wyprostowałam się i klepnęłam go po ramieniu.

Odwrócił się, a wtedy z całych sił uderzyłam go w szczękę. W chwili gdy padał, Ian stuknął go czymś w głowę i jednym, jak się zdawało, ruchem zawinął w kawał brezentu. Geordie wyjrzał przez poręcz i przekonał się, że Kane przyplłynął łódką sam. - Dzięki temu będziemy mieli spokój z Campbellem - powiedział z zadowoleniem.

Nie jestem tego taki pewny - odrzekłam, pocierając obolałe kostki palców. - Nie możemy teraz zaprowadzić Kane'a na policję.

Na pewno nie podobałyby się im nasze metody, a gdyby się dowiedzieli, co robiliśmy na tym statku, mielibyśmy kłopoty, niezależnie od tego, czy słuszość jest po naszej stronie, czy też nie.

Masz więcej racji niż mylisz, Mike - zgodził się Geordie. -

Odpłyniemy natychmiast i zabierzemy Kane'a ze sobą.

Załadowaliśmy się do naszej łodzi i powiosłowaliśmy do "Esmeraldy", a kiedy przepływalimy pod rufą statku Ramireza, spojrzałam w górę i zobaczyłam namalowaną jego nazwę - "Sirena". Gdy przebyliśmy już połowę drogi, nagle przyszła mi do głowy pewna myśl. - Geordie, co Jim robił w maszynowni?

-^ Nic wielkiego - odrzekł. Jim błysnął zębami w półwietle

i miałem właśnie zwrócić się wprost do niego, gdy Geordie przerwał

mi. - Szybciej, wy cholerni piraci - nie mamy dużo czasu. -

Wyglądało na to, że się diabelnie spieszy.

Gdy wspinalimy się na nadburcia "Esmeraldy", nagle przypom-

niałem sobie, że w czasie wojny Jim Taylor zyskał sobie sławę

specjalisty od materiałów wybuchowych. Nie miałem czasu rozwinąć

tej myśli, ponieważ Campbell wpadł na mnie z wściekłością.

- Co się u diabła dzieje?

Zauważyłem, że przestałem się pocić i jestem zupełnie spokojny.

Niewątpliwie reakcja wystąpi później. - Odrobina bezporedniej

akcji - odpowiedziałem chłodno.

201

Geordie już wydawał rozkazy, rycząc przyciszonym głosem. -

Uruchomić ten cholerny silnik! Odwiśzać wszystkie liny prócz

dziobowej! Szybko wciągnąć łód! - Na pokładzie zapanował

ożywiony ruch.

Cholerni głupcy! Przez was zamknę nas wszystkich! - Szalał

Campbell.

Lepiej w więzieniu niż w grobie - odparłem. - Nie wiesz, co

znalelimy na tym przeklętym statku.

Stań przy cumach! - usłyszałem głos Geordiego, a potem

warkot pracującego silnika.

Nic mnie nie obchodzi, coście znaleli - wciekał się Camp-

bell. - Czy zdajecie sobie sprawę, że dopuciliście się aktu piractwa?

Na szczęście hałas silnika zagłuszył jego słowa. W tej samej chwili

nadbiegł Ian. - Panie Campbell, tamten człowiek na molo chce

trochę pogadać z panem.

Obaj z obawą spojrzeliśmy na brzeg i zobaczyliśmy samotną

postać stojącą przy pomocie, który nasi ludzie mieli właśnie wciągnąć

na pokład. Powstrzymałem ich ruchem ręki. To był Ramirez.

- Na Boga, ja z nim pogadam! - wybuchnąłem.

Campbell poznał go od razu, a za naszymi plecami usłyszałem

gwar, gdy Nick Dugan podał szeptem załodze jego nazwisko. Posłałem

Nickowi szybkie spojrzenie, a on lekko potrząsnął głową, rozkładając

ręce na znak, że nie zetknął się z nim przedtem.

Campbell chwycił mnie za ramię. - Spokojnie, Mike, nie rób

niczego pochopnie. Nie żałuj mu złości, jakie tylko potrafisz

wymyślić. Powstrzymaj Geordiego, dobrze? - Zdumiewające było to,

że w miarę jak mój gniew wzrastał, jego opadał, i teraz Campbell

zdawał się całkowicie panować nad sobą.

Podszedł do pomostu, a ja krzyknąłem: - Zaczekaj, Geordie!

Nagła przeszkoda! Szef ma gościa! - i dołączyłem do Campbella.

Ramirez był sam, stał oparty niedbale o pachołek cumowniczy.

Oczywiście nie był jeszcze na "Sirenie" - nie zdążyłby tego zrobić,

a poza tym był zbyt spokojny. Campbell spojrzał w dół na niego. -

No więc? - zapytał chłodno.

Ramirez umiechnął się. - Po prostu przyszedłem was pożegnać.

Pomyślałem, że mniej więcej o tej porze będziecie odpływać. -

Uprzytomniłem sobie, że chociaż Nick Dugan go nie widział, on widział nas w hotelu lub zauważył, jak Campbell z Klarš i Paulš opuszczali hotel.

Podszedł do pomostu i wspisał się na pokład - elegancki mężczyzna w białym tropikalnym ubraniu.

202

Głos Campbella był lodowaty. - Nie musiał pan wchodzić na pokład, żeby nam to powiedzieć.

- Być może, ale tu jestem.

Trzeba przyznać - aby oddać sprawiedliwość nawet diabłu - że Ramirez miał stalowe nerwy. Gdybym zrobił to, co on, nie miałbym odwagi przybyć z odległości stu kilometrów i wejść na "Esmeraldę" sam, bez eskorty. Ale był on człowiekiem wyrafinowanym i inteligentnym, który polegał na znanym poczuciu sprawiedliwoci Campbella i zapewne zdawał sobie sprawę, że skrupuły powstrzymajš nas.

Niemniej jednak był odważny.

Pomyślałem, że powinienem was ostrzec - powiedział. -

Mam pewne plany i nie życzę sobie, żebyście przeszkadzali w ich realizacji. Dlaczego nie ustšpicie i nie oddalicie się stšd?

Nie interesujš mnie pańskie plany - odparł flegmatycznie Campbell.

Pan wie, co mam na myli, mister Campbell. Walczyliśmy już ze sobš i bardzo le pan na tym wyszedł. Tak samo będzie i tym

razem, jeli nie zejdziecie mi z drogi. - Miał typowy dla Hiszpanów nawyk gardłowego wymawiania głoski "h", lecz poza tym jego angielszczyzna była dobra. Pomyślałem, że nie potrafiłbym mówić równie płynnie po hiszpańsku.

Zaschło mi w ustach. - Ramirez, jeste przeklętym mordercš i postaram się, żeby zapłacił za to.

Podniósł brwi. - Mordercš?:- zapytał kpišco. - To oszczerstwo, mister Trevelyan. Kogo, według pana, miałem zamordować?

- Mojego brata, przede wszystkim - odrzekłem z gniewem.

Ramirez odrzucił głowę do tyłu i rozemiał się. - Drogi panie, chętnie stanę przed każdym sšdem na wiecie pod takim zarzutem. -

Błysnął zębami. - Nie ma pan żadnego dowodu. - I zamięł się znowu.

Było to aż nadto prawdziwe. Jedynym człowiekiem, który widział Ramireza na Tanakabu był doktor Schouten - a on też już nie żył.

- Nie wydaje mi się, Ramirez, żeby ta rozmowa miała sens - owiadczył Campbell.

Wyranie podniecony Geordie szarpnął mnie za rękaw. - Musimy odpływać - zaraz. Zanim to co wybuchnie.

- Jakie co, na miłość boskš?

Odcisnął mnie na bok i pospiesznie wyjanił przyciszonym głosem.

- Jim miał niewielki kawałek plastycznego materiału wybuchowego i przyklepił go do skrzyni korbowej ich silnika. Chciał wywalić dziurę w dnie statku, ale mu nie pozwoliłem - teraz tego żałuję.

Kiedy to powinno wybuchnąć?

W tym rzecz, że Jim nie wie. Zmajstrował przełącznik zegarowy ze zwykłego budzika, a takiego nie da się nastawić z dokładnościś do pięciu minut. Mylałem, że do tej pory już stśd znikniemy.

To postawi na nogi cały port!

- Ale jeli odpłyniemy, nie będzie to miało z nami nic wspólnego.

Nie można się było przeciwstawić usilnej probie, jaka brzmiała w jego głosie. Spojrzałem na Ramireza i powiedziałem: - Mylę, że powiniene mieć przywilej uprżstnięcia swojego własnego pokładu.

Geordie zrozumiał i natychmiast podszedł do pomostu, gdzie Campbell i Ramirez przyciszonym głosem toczyli zaciekły spór. Zauważyłem, że Geordie otarł dłoń o bęben wciśgarki, a potem ukradkiem dawał jakie znaki Ianowi i Taffy'emu. Reszta załogi zafascynowana przysłuchiwała się kłótni, z wyjśtkiem Jima, który z niepokojem wpatrywał się w ciemne wody za burtś. Dziewczśt nie było na pokładzie.

Geordie stanśł naprzeciw Ramireza i bez ogródek przystśpił do rzeczy. - Jestem kapitanem oraz włacicielem tego statku - i bardzo dbam o to, żeby nie było zadnego cierwa na pokładzie. Będzie mi miło, jeli pan nas opuci.

Ramirez zbladł i przyjrzał się uważnie jego pokrytej bliznami twarzy. - Ach, to dzielny i głupi mister Wilkins - powiedział

obraliwie.

- To ja - odrzekł Geordie. Wyciągnął rękę i wytarł o przód

liniśco białej marynarki Ramireza, pozostawiając na niej brudną

smugę czarnej oliwy. -- Jest pan plugawy, mister Ramirez.

Ramirez był tak zaszokowany tym postępkim oraz pogardą,

której był przedmiotem, że stał bez ruchu, lecz w jego oczach wzbierała

furia.

Geordie odezwał się znowu: - Jest pan ohydnie plugawy, mister

Ramirez. Myle, że przydałaby się kąpiel - prawda, chłopcy?

Prędko pojęli jego myl - prędzej niż Ramirez. Czterech z gronim

pomrukiem przyskoczyło do niego. Zobaczyłem, że ręka Ramireza

sięga do kieszeni z szybkością błyskawicy, ale Danny był jeszcze

szybszy. Ciśł silnie kantem dłoni i pistolet z hałasem upadł na pokład.

Wtedy chłopcy podniełi bezradnego Ramireza za ręce i nogi,

zanieli do burty, rozhutali i przerzucili nad poręczą, po czym

usłyszeliśmy głony plusk. Geordie nie tracił czasu na bezużyteczny

triumf. Odwrócił się, podniósł pistolet Ramireza i znow zaczął wydawać

rozказы. - Wciągnąć pomost! Nie stać tam i nie gapić się! Ian, bierz

ster i nie id wzdłuż brzegu! Odpływamy! Silnik powoli naprzód!

204

"Esmeralda" ruszyła, lecz Campbell nadal gapił się za burtę. Gdy

się wreszcie odwrócił, powiedział: - No, niech mnie diabli! - nie

zwracając się do nikogo w szczególności, lecz ze wzrokiem utkwionym

w Geordiego. Geordie nie zwracał na niego uwagi, wpatrywał się

w ciemność wydajśc rozkazy cichym, choć wyranie słyszalnym głosem.

Poprowadził nas koło upionych statków i boi ostrzegawczych,

zostawiajśc w tyle płynšcego z pluskiem Ramireza.

Kiedy zrównaliśmy się z zakotwiconš w przystani "Sirenš",

naszych uszu dobiegł niosšcy się nad wodš niezbyt głony głuchy

grzmot. Jednoczenie zobaczyliśmy wiatła błyskajšce z łodzi, która

dopływała do burty "Sireny". Nie ulegało wštpliwoci, że to wracała

załoga, by zastać na swym statku niezły bałagan. Wybuch z pewnością

nie wyszedł na dobre silnikowi. Zachowywalimy się cicho, dopóki

wszystkie statki nie zostały daleko za nami, a my weszlimy w jedno

z przejć w rafie przybrzeżnej. Wtedy dopiero podniósł się gwar

i zgiełk, bo każdy chciał się nareszcie wygadać . Wydajśc rozkaz

podniesienia niektórych żagli, Ian musiał krzyczeć, żeby go usłyszano.

Podniecenie na statku sięgało szczytu.

Geordie obracał się i szczyrzył zęby, a jego pokiereszowana twarz

janiała triumfem. Zaczšł chrapliwie piewać na całe gardło:

- Oh, we're off to see Ozzard - the wonderful Ozzard of Whiz!*

Wyglšdał zupełnie jak pirat, gdyż w jego ręku niedbale kołysał się

zdobywczy pistolet.

* Ach, wyruszamy, by zobaczyć Ozzard - cudowny, wspaniały Ozzard!

Rozdział siódmy

1

- Banda cholernych głupców! - stwierdził Campbell. - Co was

opętało, żeby zrobić co tak szalonego?

Ian szurał nogami, Geordie nie wyglądał na skruszonego, a ja podejrzewałem, że czeka nas dłuższa reprimenda, i perspektywa ta wcale mi się nie umiechała. "Esmeralda" płynęła z maksymalną szybkością i wiatła Nuku'alofa zniknęły już za rufą. Przy sterze stał Danny Williams, a Campbell zebrał nas trzech, żeby zmyć nam głowy.

A więc - zaczął Geordie - pomyśleliśmy, że to dobry pomysł, aby pójść i schwycić Kane'a albo Hadleya i ...

Kane! Hadley! Nie znajdziecie ich u Ramireza. Ramirez może być sukinsynem, ale ma głowę na karku - nie chce ryzykować, że kto powiśnie go z tymi dwoma, i teraz, też tego nie zaryzykuje.

Umiechnąłem się do Geordiego. - Nawiasem mówiąc, gdzie wsadziłeś Kane'a? - Zapytałem niedbałym tonem.

- Nie mamy aresztu na statku, ale teraz instalujemy co w tym rodzaju. Tymczasem trzymamy go pod straż w mojej kabinie.

Campbellowi opadła szczeka. - Czy chcecie przez to powiedzieć, że schwycicie Kane'a?

Oczywiście - odrzekłem. Nie powiedziałem, jak niewiele brakowało, żebyśmy nie osiągnęli naszego celu. - Myleliśmy, że oddamy go w ręce tongańskiej policji, lecz na przeszkodzie stanęły... hm... pewne okoliczności.

Jakie okoliczności?

Statek Ramireza uległ niedużej awarii - wyjaniłem. - Nie mogłem powstrzymać chłopców. - Posłałem Geordiemu przebiegłe spojrzenie, wszak przejść jego argument i użyłem przeciw Ca-

mpbellowi.

Jakiej awarii?

206

Jeden z nas miał wypadek z materiałem wybuchowym -
odparłem.

Czy chodzi o ten wybuch, który słyszeliśmy wypływając z portu?

Wysadzicie w powietrze ich statek? - Wyranie nie mógł w to
uwierzyć.

Ach nie, nic podobnego - łagodził Geordie. - Zrobiła się
dziura w skrzyni korbowej ich silnika, to wszystko. Nie będś nas
cigać tak szybko.

Nie będś musieli - odparł Campbell. - Jak mylicie, co teraz
robi Ramirez? Wrócił na statek - kipiśc ze wciekłoci dzięki wam,
głupcom - stwierdził, że jest on uszkodzony, a teraz, w swym nadal
mokrym ubraniu zgłosi się na najbliższy posterunek policji i oskarży
nas o napać i piractwo. Muszę powiedzieć, że w cišgu godziny szybka
łód patrolowa wyruszy z Nuku'alofa w pogoń za nami. I nie
wyjdziemy z tego tak, jak na Tahiti - tym razem jesteśmy winni.
Spoglšdalimy na siebie w milczeniu.

Albo może się nie zgłosi - wycedził powoli Campbell - po
tym, co mu naopowiadałem. - Wskazał głowš w kierunku rufy.

Co mu powiedziałe? - zapytałem. Spostrzegłem, że w oczach
Campbella pojawił się nagle ten sam błysk, który tej nocy zauważyłem

już wcześniej u Geordiego.

Powiedziałem, że tahitańska policja jest bardzo niezadowolona; że wież o Hadleyu i Kanem i majš wiadków, którzy widzieli Ramireza z nimi na Tanakabu, kiedy byli tam po raz pierwszy.

Jakich wiadków?

Umiechnš się do nas szeroko. - To włanie chciał wiedzieć

Ramirez. Powiedziałem, że widziało go trzech pacjentów szpitala i parę osób z personelu. Wymiał mnie, ale widać było, że trafiłem w dziesiątkę.

Nic nie wiem o żadnych wiadkach - zaprotestowałem.

Mikę, ty czasami masz doć powolnš orientację - o ile mi

wiadomo, nie było tam żadnych cholernych wiadków. Kto jednak

musiał pomyśleć szybko, żeby wycišgnšć nas z tej matni. Powiedziałem

Ramirezowi, że policja szuka dalszych dowodów, ale powiżzała go już

mocno z wydarzeniami na Tanakabu; gdyby więc poszedł do glin na

Tonga z jakimi historyjkami o pirackim napadzie na jego statek

i zatrzymali nas z tego powodu, to narobilibyśmy tyle szumu, że

szybko sprowadzono by na niego tahiazańskš policję.

No cóż, to interesujšce - odezwał się Geordie. - Wiemy, że

Ramirez był na Tanakabu - widział go doktor Schouten.

Włanie - potwierdził Campbell. - A skšd ma wiedzieć, czy

kto inny nie widział go także? Nie może ryzykować i będzie musiał

207

siedzieć cicho. Dopóki podejrzenia tahiańskiej policji pozostanš tylko podejrzeniami, dopóty będzie bezpieczny. Ale nie zrobi niczego, co

dałoby glinom dowody przeciw niemu. Przynajmniej mam takś nadzieję. Dlatego spodziewam się, że będzie milczał o waszym głupim wypadzie.

Nie pójdzie na policję, dopóki mamy Kane'a, który jest nasz kartś atutowś. - powiedziałem. - Ramirez nie odważy się nas oskarżyć, bo Kane dostałby się w ręce policji.

Mikę, to inteligentny człowiek. Inteligentny i wyrafinowany, kiedy to konieczne. Wcale nie dałbym głowy, że nie wykręci się z tego.

Jest jeszcze jedna sprawa - ciśgnśłem. - Być może ten wypad nie był taki głupi, jak mylisz - trochę nieprzemylany, przyznaję, ale wart ryzyka. To, co znalelimy na ich statku, było równie wyrafinowane, jak uderzenie młotem w głowę. - Zwróciłem się do Iana. -

Pochwal się swojś kolekcjś żelastwa.

Ian pogrzebał w różnych kieszeniach i wyciśgnśł zamki, które wyjšł z karabinów. Oczy Campbella rozszerzyły się, gdy patrzył na piętrżscy się stos, jaki utworzyły na pokładzie.

Miał dziesięć karabinów?

Piętnacie - poprawiłem. - Pozostałe były automatyczne.

Rozbilimy je i wyrzucilimy za burtę. Prócz tego cztery pistolety automatyczne i mnóstwo zwykłych.

Geordie sięgnśł do kieszeni, wyciśgnśł granat ręczny i podrzucił go niedbale. - Było też kilka sztuk tych jajeczek. Schowałem parę.

Niewiele w tym wyrafinowania, prawda? - zapytałem.

I ma dwa razy więcej ludzi niż trzeba - dodał Geordie. -

Chyba nie płaci całej tej licznej załodze po to, by trzymali po pół wachty. - Geordie także nie tracił żadnej okazji, żeby naszemu szefowi utrzyć nosa.

Campbellowi latały oczy, gdy ledził podrzucony przez Geordiego granat. - Przestań, na miłość boską! Wysadzisz nas wszystkich w powietrze. Zejdmy do salonu i wypijmy co - jest już cholernie późno.

Rzeczywiście, był już wczesny ranek, lecz mimo to wcale nie dokuczała mi senność; wydawało się zresztą, że inni czują się podobnie - nawet Campbell. Tylko Klara i Paula pojawiły się jedynie na krótko, po czym znów zniknęły pod pokładem.

Nic z tego - odrzuciłem propozycję Campbella. - Mam zamiar pogadać teraz z Kanem, a chcę być przy tym zupełnie trzeźwy. Słuchaj, Geordie, czy on jest przytomny?

Wystarczy kubeł zimnej wody, żeby go uzdrowić.

208

Zostawiliśmy Iana na pokładzie i we trzech zeszliśmy do kajuty Geordiego, gdzie znaleźliśmy Jima i Nicka Dugana, niewzruszenie pełniących wartę. Kane był przytomny i przerażony. Wzdrygnął się, kiedy weszliśmy do kajuty, skulił się w końcu koi, jak gdyby chciał zmaleć i pozostać niezauważony. W niewielkiej kajucie zrobiło się tłoczno po naszym wejściu, a Kane był i czuł się zupełnie osaczony. Wyglądał równie le jak wtedy, gdy zobaczyłem go po raz pierwszy w Londynie, nie ogolony i wynędzniały, a prawą rękę trzymał jako

niezgrabnie - przypomniałem sobie, że Klara postrzeliła go w ramię.

Gdy spojrzałem na niego, uciekł wzrokiem w bok.

- Patrz na mnie, Kane.

renice Kane'a poruszały się powoli, dopóki nie napotkały mojego wzroku. Jego krtań zadrgała, a oczy zaczęły mrugać i łzawić.

- Porozmawiasz z nami, Kane, i powiesz nam prawdę. Może mylisz, że nie, ale zapewniam cię, że powiesz. Gdyby bowiem nie mówił prawdy, to będziemy cię obrabiać tak długo, aż zaczniesz mówić.

Byłem na Tanakabu, Kane, i musisz wiedzieć, że nikt, kto widział, co tam się stało, nie będzie wybredny w doborze metod. Jestem cywilizowanym człowiekiem i mogę dostać mdłoci - ale nie licz na to, Kane, bo na tym statku jest kilkunastu mężczyzn, którzy bynajmniej nie sš tak delikatni jak ja. Rozumiesz? Czy wyraziłem się zupełnie jasno?

Nie napotkałem jednak na żaden opór z jego strony. Drgał mu język, oblizywał wargi i skrzeczał co bez zwišzku. Nadal występowała u niego reakcja na uderzenie w głowę i do problemów natury psychicznej dochodziły zaburzenia fizyczne.

- Odpowiadaj!

Głowa Kane'a zatrzęsa się. - Będę mówił - wyszeptał.

Daj mu whisky, Geordie - poleciłem. Wypił trochę, po czym jego twarz przybrała nieco bardziej naturalne barwy, usiadł procej, lecz strach w jego oczach wcale się nie zmniejszył.

W porzšdku - powiedziałem spokojnie. - Zacznijmy od samego poczštku. Przybyłe do Londynu, żeby odnaleć Helen

Trevelyan, a potem mnie. Dlaczego?

Jim sfuszerował - odrzekł Kane. - Pozwolił, żeby ten kuferek zniknął. Były w nim książki i kamienie. Musielimy je odebrać.

Ty, Ramirez i niektórzy z jego rzezimieszków, prawda?

Tak.

Ale nie odzyskalicie wszystkiego. Czy Ramirez wiedział o tym?

Powiedział, że musicie mieć co jeszcze. Nie wiedział, co.

Więc wysłał cię do mnie, żeby postarał się ustalić, co mamy?

Tak. I żebym zawiadamiał go, dokąd płyniecie, kiedy tylko będę

209

14 - Noc błędu

mógł. - Teraz Kane nawet bez pytania udzielał informacji i przesłuchiwanie go stało się łatwiejsze. Campbell z Geordiem milczeli i słuchali uważnie, zostawiając mi prowadzenie indagacji. Bardzo chciałem dowiedzieć się czego o Marku, lecz zdecydowałem się dojść do tej sprawy od innej strony, co miało także posłużyć do zbiccia Kane'a z tropu.

Zniszczyły nasze radio, prawda?

Tak, kazano mi to zrobić.

I prowadziły Hadleya i jego "Perłę" przez cały czas naszym

ładem? - Wiedzieliśmy już o tym, lecz dałem mu możność potwierdzenia tego faktu.

Dlaczego powiedzieliście policji w Papeete, że to my spaliliśmy szpital? Z pewnością nawet wy zdawaliście sobie sprawę, że bez trudu potrafimy odeprzeć ten zarzut.

Przez chwilę wydawał się niemal wytrącony z równowagi. - To

Jim. Jasna cholera, mówiłem mu, że to nie wypali. Nie można mu nic przetłumaczyć.

Kiwnąłem głowę i zmieniłem taktykę. - Wtedy, gdy zobaczyła na statku rysunki miss Campbell, czy miały one dla ciebie jakiś sens?

Hę? - był zupełnie zaskoczony i musiał dopiero przestawić się na nowy temat. - Nie, dlaczego miałyby mieć?

Rozpoznała na jednym z nich "chudego, obszarpanego sokoła".

Dlaczego to powiedziała?

Utkwił w nas mętne spojrzenie. - Nie mam pojęcia - może to miało coś wspólnego z Falcon Island?

Wymieniliśmy spojrzenia i spokojnie kontynuowałem.

Idmy dalej. Dlaczego miałyby mieć?

Ja... ja przypuszczam, że po prostu tak mi się to wymknęło. To wyglądało jak sokół, a może miałem go na myśli.

A co z tym Falcon Island?

Kane zawahał się, a ja przynagliłem go: - Dalej! Gadaj!

Nie wiem dużo o tym. Ramirez mówił trochę o Falcon Island, gdzie na archipelagu Tonga. Raz powiedział, że tam popłyniemy, kiedy już pozbedziemy się waszej bandy.

"Pozbedziecie się"? Jak miał to zrobić? I dlaczego?

Tego też nie wiem, panie Trevelyan. To ma coś wspólnego z tymi kamieniami, które wyciągacie z morza - tymi bryłkami, jak je nazywacie. On musiał się was pozbyć, zanim mógłby pożeglować na

Falcon Island, bo one sš włanie tam. Daję słowo, panie Trevelyan, ja

nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi!

Usłyszałem za sobš sapnięcie Campbella. - Czy wiesz dokładnie,

gdzie one sš?

210

- Nie, do czego takiego nigdy mnie nie dopuszczali, ani nikogo

z nas, oprócz... oprócz dowództwa.

W to mogłem uwierzyć. Niestety Kane zajmował zbyt niskie

miejsce w hierarchii, żeby miał dostęp do takich informacji. Znów

zmieniłem taktykę i nagle rzuciłem pytanie: - Kto zabił mojego brata?

Twarz Kane'a skurczyła się. - O Boże. To był Jim... i... i Ramirez.

Oni go zabili. - Wyglądał jak miertelnie chory.

- A ty im pomogłe.

Gwałtownie potrząsnął głowš. - Nie! Nie miałem z tym nic

wspólnego!

Ale byłę przy tym.

Nic o tym nie wiem.

Słuchaj, Kane, przestań nam tu łgać. Towarzyszyłe Hadleyowi.

kiedy przyszedł do doktora Schoutena po wiadectwo zgonu, nieprawdaż?

Przytaknął niechętnie.

Więc byłę wplštany w mierz Marka, niech cię diabli!

Ja go nie zabiłem. To Jim - a Ramirez wszystko zorganizował.

Kto zabił Schoutena?

Odpowied padła szybko. - To zrobił Jim - Jim Hadley.

- I znów byłe przy tym?

Ale nie zabiłe Schoutena, jak przypuszczam?

Nie!

I oczywiście nie podpaliłe szpitala, przez co zginęło w ogniu czterdzieści osób?

Nie zrobiłem tego - odrzekł Kane, - Podpalił Jim - to istny diabeł. On jest zupełnie zwariowany.

Ale byłe tam.

Już powiedziałem panu, że byłem.

- Więc zostaniesz skazany za współudział w przestępstwie.

Kane pocił się i cała twarz drgała. Zapytałem: - Kto zabił Svena Norgaarda?

Przez chwilę nie odpowiadał, a potem, jakby bojąc się naszych spojrzeń, powiedział: - Jim

- Nie jeste zbyt pewny tego, prawda? No, powiedz to jeszcze raz.

Nie wiem na pewno - nie byłem przy tym. Zrobił to Jim - albo pański brat.

Mój brat?

Czułem za plecami obecność Geordiego, co pomogło mi powstrzymać się od zrobienia czego nierozważnego.

- Gliny szukały go, prawda? - krzyknął tłumacząc się Kane. -

211

Skąd miałem wiedzieć, że tego nie zrobił? Zgodnie z tym, co słyszałem, mógł to zrobić - a mówiłem już panu, że nie byłem przy tym.

Powiedz mi więcej o moim bracie. Dlaczego został zabity?

Ramirez nie... nie powiedział mi - wymamrotał.

Nie bądź za sprytny.. Odpowiadaj na pytanie.

No, oni nigdy nic nie mówili. Mylę, że nie powiedział im czego, co Ramirez chciał wiedzieć. Miało to chyba co wspólnego z tymi kamieniami. Ja nigdy ... nigdy nie zabiłem ani jego, ani nikogo!

Podniosłem się i powiedziałem ze znużeniem: - No cóż, mój niewinny jak lilia przyjacielu, a więc nikogo nie zabiłem, nigdzie nie byłem i jeste tak czysty, jak wieża spadły nieg. Mylę, że jeste cholernym łgarzem, ale to nie ma znaczenia. Tak czy owak, będziesz sędzony za współudział w zbrodni. Mam nadzieję, że gilotyna jest tu nadal w użyciu.

Kane wzdrygnął się, a ja zwróciłem się do Campbella i Geordiego: - Czy macie jeszcze jakie pytania?

Wydaje się, że wyczerpałem temat - odrzekł szorstko Campbell. - W tej chwili nie potrafię niczego wymyśleć. Może później.

Geordie?

Potrząsnął przecząco głową.

- Wrócimy tu, Kane. Gdy tylko przyjdź nam do głowy jakie nowe pytania. Mylę, że kłamałem jak pies, a ostrzegłem cię, co się stanie, jeli będziesz kłamać. Lepiej zastanów się nad tym.

Kane wpatrywał się ponuro w ciankę działową. - Nie kłamałem.

- Na twoim miejscu, Kane, nie próbowałbym uciekać - dodał

Campbell - bo skończy się na tym, że będziesz bardziej sztywny niż

mrożona makrela. Bezpieczniej ci w tej kajucie niż na zewnątrz - nie cieszysz się sympatią załogi i jeśli cię zobaczysz, będziesz zapewne strzelać tak, żeby zabić. Więc daj sobie spokój i odpoczywaj. Będzie to z większym pożytkiem dla twojego zdrowia.

Po wyjściu z kajuty popatrzylimy na siebie posepnie. - Teraz mógłbym się napić - powiedziałem ociężale. - Czuję mdłoci aż gdzie w żołądku.

Usiedliśmy na chwilę w salonie, aby splukać zmęczenie i dać ujście emocjom nagromadzonym w ciągu kilku ostatnich, nerwowych godzin.

Było za wiele spraw do przemyślenia, a wszyscy dotkliwie potrzebowaliśmy snu. Geordie przeniósł Kane'a do małej, przystosowanej do tego celu kajuty, z której usunięto wszystko prócz koi, a drzwi były zamykane na kłódkę. Dzięki temu mogliśmy położyć się spać w naszych własnych kojach.

- Chciałbym wysłuchać całej opowieści o tej waszej zwariowanej

212

wyprawie, ale odłóżmy to na jutro. - oznajmił Campbell. -

I potrzebuję trochę pomysłów co do Kane'a.

Po tej uwadze poszliśmy spać przy blasku jutrzeńki, która ukazała się już na niebie pod koniec tego najbardziej aktywnego dnia mojego życia.

2

Następny dzień rozpoczął się póno dla wszystkich z wyjątkiem marynarzy na wachcie - był to spokojny i rozważny początek rejsu.

Na statku panowała atmosfera powciśgłiwego triumfu, w którym ani Campbell ani ja nie uczestniczyliśmy w pełni. Przy pónym niadaniu opowiadałem Klarze i Pauli o wydarzeniach minionej nocy. - Sprytnie wrócilicie na statek - pochwaliłem. - Dobra robota.

Nick był wspaniały. Ale ta robota nie była chyba zbyt dobra; - Ramirez musiał widzieć, jak wychodziliśmy - odrzekła Klara.

Niekoniecznie. On już przedtem zauważył "Esmeraldę" i wiedział, że tu jesteśmy. Nadal nie wiem, dlaczego w końcu przyszedł do nas. Z pewnością nie myślał, że zrezygnujemy i odpłyniemy, lub że na jego próbę podzielimy się z nim posiadanymi informacjami - zadumałem się.

Z tego, co o nim wiem, wynika, że wolał szybko doprowadzić do konfrontacji, po prostu po to, żeby przekonać się, jak zareagujemy na jego docinki - powiedziała Klara. - Nie sśdżę, żeby był szczególnie wyrafinowany.

Gdzie byłącie podczas tych emocjonujšcych wydarzeń?

Tata wyglšdał jak rozjuszony byk, gdy weszliśmy na pokład i zobaczył, co się dzieje. Był pewny, że skończy się to awanturš, a moŹe strzelaniem, więc kazał nam zejć na dół i obiecać, że tam pozostaniemy. - Zachichotała. - Widziałyśmy jednak, jak Ramirez wylatywał za burtę - to było fantastyczne.

Oszukałyście! - stwierdziłem.

Widziałyśmy, że pan Campbell da wam reprimendę, gdy tylko opucimy port. - powiedziała spokojnie Paula. - Stwierdziłyśmy, że

nie chcielibyście mieć przy tym publiczności, więc siedzieliśmy pod pokładem.

Mylę, że nam przebaczył - odrzekłem.

Wiemy, że schwytaliście Kane'a i sprowadzili go na statek - oznajmiła Klara i spoważniała. - Musielicie go przesłuchać, a to przykra robota. Czy dużo się dowiedzieliście?

213

- To było obrzydliwe, a w gruncie rzeczy nie dowiedzieliśmy się niczego. Kane to skończony łajdak.

Klara wyciągnęła rękę nad stołem i ujęła moją dłoń.

- To było dla ciebie straszne, biedny Mike - powiedziała Klara i znów rozpaczliwie zapragnęłam, żebym mógł być z nią gdzieś sam na sam. W tej chwili, jak na zamówienie, pojawił się Campbell i nasze ręce rozsunęły się. Klara podniosła się, żeby przygotować mu posiłek.

Przy niadaniu w towarzystwie Geordiego zapoznałem Campbella z wydarzeniami ubiegłej nocy. Gdy skończyliśmy naszą opowieść, nie mogłem powstrzymać się od miechu. - Na Boga, chciałbym tam być.

- Tato, przecież nie aprobowałby tego wypadu, - przypomniała Klara.

Westchnął. - Wiem, wiem. Ale niekiedy trzeba uderzyć bez względu na konsekwencje. Być może starzeję się i jestem zbyt ostrożny. -

Ile czasu, twoim zdaniem, zajmie Ramirezowi naprawienie uszkodzeń? -

Zwrócił się do Geordiego.

Diabelnie dużo, gdyby musiał być uzależniony od materiałów

i rodków dostępnych w Nuku'alofa. Ten silnik nie powinien już nigdy funkcjonować, jeli Jim odpowiednio umiecił ładunek.

Ramirez nie będzie liczył się z kosztami - przewidywał Campbell. - Oto, co zrobi: sprowadzi samolotem nowy silnik wraz z ekipą, która go zainstaluje. Liczę, że za trzy tygodnie - nie więcej niż za cztery - znów wyjdzie w morze i będzie nas ledził.

Ocean jest duży - powiedziałem. - Może nigdy nas nie znajdzie.

On wie co o Falcon Island i może się domyślać, że my także posiadamy jakie informacje. Miejmy jednak nadzieję, że słuszość jest po twojej stronie - odrzekł Campbell i podniósł szklaneczkę soku pomarańczowego. - Twoje zdrowie, kapitanie Flincie! Nigdy nie myślałem, że będę pływał z piracką załogą, i ciągle nie mam pewności, czy to aprobuję. Ale wykonalicie dobrą robotę.

Wypił, po czym dodał: - Oczywiście zakładam, że Ramirez nie pobiegnął na policję.

- Wkrótce się dowiemy. Umieciłem posterunek obserwacyjny na głównym maszcie i wydałem rozkaz, by wypatrywali, co jest za rufą - poinformował nas Geordie.

Campbell splótł ręce na stole. - Pomówmy teraz o Kanem.

Nasz szef, z wielu rozsądnych powodów, czuł się nieszczęśliwy na myśl o trzymaniu tego człowieka na statku. Konieczne było stałe pilnowanie go, zapewnienie mu wyżywienia, ruchu i kontroli wyranie pogarszającego się stanu zdrowia. Przypominał kamiń w bucie -

nieustannie doskwierające podrażnienie, które wszystkim będzie działać na nerwy. - Dopóki jest z nami, stanowi zagrożenie - oświadczył. -

Nie powiedział nam nic wartościowego - i nie myślę, żeby dużo wiedział - a jest niebezpieczny dla nas wszystkich w każdej chwili swego pobytu na statku. Co więc, u diabła, możemy z tym zrobić?

- Czy nie sądzicie, że byłby użyteczny jako zakładnik? - zapytałem.

Obaj spojrzeli na mnie z ironią. - Mówię, on jest dla Ramireza jeszcze bardziej bezwartościowy niż dla nas - odparł Campbell. -

W razie potrzeby zlikwidowaliby go w mgnieniu oka, bez chwili wahania. Być może jego jedyną wartością polega na tym, że w przypadku policyjnego śledztwa byłby świadkiem - ale i tak nie wiadomo, która ze stron odniosłaby korzyść z jego zeznań.

Wygląda na to, że Ramirez trzymał język za zębami. - zauważył Geordie. - Łódź patrolowa dogoniłaby nas do tej pory.

Być może - odrzekł Campbell. - Ale chcę zabezpieczyć nas od tej strony. Zamierzam nakłonić Kane'a do napisania zeznania, które kto na statku mógłby powiadczyć - kto, kto nie miał z nim bezpośredniego do czynienia. Jeden z członków twojej dawnej załogi, Geordie, nadawałby się do tego celu. A potem chcę Kane'a gdzie wysadzić.

Zostawić go na bezludnej wyspie? - zapytałem. - Jeszcze jedna piracka sztuczka?

Zgadzam się z panem, mister Campbell. - rzekł Geordie. -

Spójrzmy na mapy.

Niemal natychmiast znalazł to, czego szukał. Okazało się, że w północnej części grupy Tongatapu, niedaleko od trasy naszego rejsu, leży mała wysepka Mo'unga, na której, według "Pilota", znajduje się jedna wioska i plaża, gdzie przy dobrej pogodzie można wyładować towar czy wysadzać pasażerów. Rozpatrzyliśmy ten pomysł i nie znaleliśmy w nim nic złego, więc Geordie przystąpił do niewielkiej zmiany naszego kursu, podczas gdy Campbell zszedł na dół pogadać z Kanem. Ja nie chciałem oglądać go jeszcze raz tego ranka.

Campbell wrócił wkrótce i usiadł.

- Załatwione - oznajmił. - Powiedział, że napisze wszystko, co chcemy, ale kazałem mu trzymać się faktów, które zna - lub mówi że zna. Chce ratować własną skórę, ale nie ma nic przeciw obciśnięciu serdecznego przyjaciela Jima Hadleya. Uroczy człowiek. Nie czuje się dobrze. Mylę, że to lekki atak gorączki spowodowanej tą raną postrzałową, nic takiego, na co by pomogła kilkudniowa kuracja wypoczynkowa na tropikalnej wyspie. Jej mieszkańcy, w zamian

215

za jakie wynagrodzenie, zaopiekuj się nim do czasu, aż będziemy mogli zabrać go stamtąd lub wysłać po niego policjantów. To jedyny sposób, Mike.

Prawdę powiedziawszy, pozbyłbym się Kane'a ze statku równie chętnie jak wszyscy. wiadomo, że jest on tak blisko, a jednocześnie

pozostaje nietykalny, była trudna do zniesienia.

Stalimy cały ranek w niewielkiej odległości od plaży Mo'unga, podczas gdy Geordie i trzech ludzi z załogi odwiedzili Kane'a na brzeg. Zabrał się z nimi bez sprzeciwu, a nawet chętnie; zdawał się wcale nie troszczyć o to, jak długo będzie musiał tam pozostać. Geordie wrócił z wieciami o raczej obojętnym przyjęciu go przez tubylców, którzy byli przyjani i nie okazywali zbytnej ciekawości. Najwyraniej w swoim czasie oglądali wiele zachodnich oddziałów desantowych. Geordie pytał ich, przy użyciu mnóstwa gestów i z ogromnymi trudnociami lingwistycznymi, czy wiesz co o Falcon Island, i najlepsze rezultaty uzyskał wtedy, gdy wyrzucał w górę szeroko rozpostarte ręce i naladował aktywność wybuchajšcego wulkanu. Wywołało to miechy i chichoty wraz z potwierdzeniem, że istotnie zjawiska takie występujš gdzie w kierunku północnym, lecz żadnych dokładniejszych informacji nie udało się uzyskać.

Tak więc pozbylimy się Kane'a ze statku po raz drugi i znów wszyscy poczulimy wyranš ulgę. Pomylałem, że człowiek ten może i nie był mordercš, lecz z pewnością nędznš kreaturš.

Znowu wyruszyliśmy w drogę, a po pewnym czasie Geordie oznajmił: - Już prawie jesteśmy na szlaku między Fonua Fo'ou i Minerwš. Jeli wszystko dobrze pójdzie, jutro będziemy mogli zacząć czerpać próbki z dna - o ile zamierzacie zatrzymać się w tym celu.

- Wykorzystamy każdš chwilę z czasu, jaki dał nam Jim Taylor - odrzekł Campbell. - Równie dobrze możemy zacząć teraz. Po to

tutaj jesteśmy. Chod, Mike, napijemy się kawy. Chcę z tobą pogadać.

Kiedy nalałem kawy, powiedział: - Tej nocy dwa razy doznałem wstrząsu z waszego powodu. Pierwszy raz - kiedy dowiedziałem się, do czego jesteście zdolni, i drugi raz, kiedy powiedziały mi, co tam znaleźliście. Czy mylisz, że Ramirez planował napad na nas w prawdziwie pirackim stylu?

- Na podstawie tego, co mi opowiedziały o strajkach w twoich kopalniach, sądzę, że jest zdolny do akcji bezprecedensowej, gdy to mu odpowiada. Piractwo na tych wodach nie byłoby bynajmniej trudne; nie zanikło ono do tej pory. Przyjmuje się, że ofiarą pirackiej napadzi stała się niedawno "Jovita", lecz w rzeczywistości sprawa ta nigdy nie została do końca wyjaśniona.

216

Tak, czytałem o tym.

Nawet teraz dochodzi nadal do wielu aktów piractwa, niedaleko stąd - na wodach Indonezji, a także na wyspach Bahama, wszędzie.

Mylę, że Ramirez napadłby na nas, gdyby to było dla niego dogodnie.

Niewątpliwie chciałby, żebyśmy zaprowadzili go do złóż bryłek manganowych, a potem zatopiłby nasz statek z całą załogą. Któż by się kiedykolwiek dowiedział?

Mylę, że chciałby nas zatopić, nawet jeśli wie, gdzie są te złoża - stwierdził Campbell.

Po prostu, żeby pozbyć się ciebie? Tak, być może masz rację. Ale

on ma inny problem, który musi rozwiązać, zanim będzie to mógł zrobić.

Jaki?

Znaleć nas - powiedziałem krótko.

Campbell powiecił tej sprawie nieco uwagi. - Rozumiem. Jak powiedziało tej nocy, ocean jest duży. Powinnimy być bezpieczni, dopóki pozostaniemy na otwartym morzu. Gdy jednak wejdziemy do jakiegokolwiek portu, on nas znowu znajdzie. - Zabębnił palcami w stół. - Ale może mieć szczęście i tak czy owak znaleźć nas gdzie tutaj - o tym właśnie chcę z tobš porozmawiać.

Podniosłem brwi.

Wasza załoga to twardy zespół i wiem, że potrafiš się bić, jeli muszš - ale czy zechcš? Mówicie, że Ramirez ma około trzydziestu ludzi.

To zależy od rodzaju walki. - powiedziałem. - Może oczycilimy statek Ramireza z broni, a może nie. Jeli wystšpi przeciw nam z broniš palnš, to pójdziemy do Abrahama na piwo. Jeli będzie to walka wręcz, choćby najbardziej nieczysta, to mamy duże szansę.

Przy ich dwukrotnej przewadze?

Widziałem ludzi Geordiego w akcji. Trzeba przyznać, że atak ten przeprowadzili z zaskoczenia, ale przejawiali przy tym mniej więcej tyle emocji, jak gdyby znajdowali się na herbatce u pastora. Nasza załoga, a przynajmniej jej większość, to dobrze wyszkoleni komandosi. Ramirez ma szumowiny z dzielnic portowych.

Mam nadzieję, że tak jest, jak mówisz. Ale w każdym razie chciałbym porozmawiać z naszymi chłopcami. Człowiek powinien wiedzieć, o co walczy.

Oni wiedzą - odparłem spokojnie. - Widzieli szpital na Tanakabu.

To prawda. Lecz wart jest pracownik zapłaty swojej. Oni nie znają wartości tego, czego szukamy, a ja zamierzam im o tym

217

powiedzieć. Nie szkodzi wspomnieć o sutej premii, jaka ich czeka po zakończeniu wyprawy - bez względu na to czy dopisze nam szczęście w poszukiwaniach, czy nie.

- Wszyscy będą na pokładzie przy ustawianiu wciśgarki przy burcie - powiedziałem. - Mógłby wtedy pogadać z nimi.

Następnego dnia wczesnym rankiem przygotowaliśmy wszystko do czerpania próbek, a o dziesiątej Campbell miał przed sobą załogę zgromadzoną na pokładzie. Wdrapał się na wciśgarkę i zasiadł swobodnie na siodełku operatora, patrząc w dół na zebranych mężczyzn.

- Wiecie już trochę, o co w tym wszystkim chodzi -- zwrócił się do nich. - Ale nie wiecie wszystkiego. Więc wam powiem oficjalnie. Widzielicie, że czerpalimy próbki w paru miejscach tu i ówdzie, a ja wyjanę, czego szukamy.

Podniósł rękę, w której trzymał bryłkę.

To jest bryłka manganowa, całe dno oceanu jest pokryte takimi bryłkami. Ten konkretny okaz jest bezwartościowy, lecz te, których

szukamy, warte są mnóstwo pieniędzy. - Niedbale ciskał bryłkę za burtę.

Otóż pewien dżentelmen nazwiskiem Ramirez stara się nas powstrzymać. Przypuszczam, że wszyscy o tym wiecie - to właśnie było przyczyną dziwnych wydarzeń, które miały miejsce w ciągu ostatnich paru tygodni. Chcę, żeby ta sprawa była dla was zupełnie jasna. Ramirez szuka bryłek dla pieniędzy - ja też, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Różnica polega na tym, że moim zdaniem złóż starczy dla wszystkich, a ja nie jestem zachłanny. Nie będę przeszkadzał Ramirezowi, jeśli on nie będzie wchodził mi w drogę; jednakże on zebrał bandę zbirów i zdaje się palić do walki.

Ja miałem własny pogląd na tę sprawę. Byłem zupełnie pewny, że Campbell nie chce, aby Suarez i Navarro dysponowali jakkolwiek częścią odkrytego złoża, lecz chyba raczej ze względów moralnych niż ekonomicznych.

- Chcę teraz powiedzieć wam, chłopcy, jaka jest wasza sytuacja. Zanim podejmiecie jakkolwiek decyzję, dobrze byłoby, żebyście wiedzieli, że bez względu na to, czy dopisze nam szczęście w poszukiwaniach, każdy otrzyma spory premię na zakończenie tego rejsu - możecie to nazwać dodatkiem za ryzyko. Jeśli jednak natrafimy na bogate pokłady, to utworzę spółkę akcyjną do ich eksploatacji, a pięć procent akcji zostanie podzielone między załogę. Może nie wydaje się to dużo, ale pozwólcie mi powiedzieć, że nie będzie to drobne kwoty. Wszyscy w końcu możecie zostać milionerami.

Rozległ się gwar rozmów i grzmot oklasków. Głos zabrał Geordie:

218

- Myle, że mogę powiedzieć to w imieniu nas wszystkich, panie

Campbell - to jest hojny gest, który naprawdę nie był konieczny.

Całkowicie jesteśmy z panem.

Zabrział chór głosów wyrażających aprobatę, a Geordie podniósł

rękę. - Jeszcze jedna sprawa - powiedział. - Myle, że Taffy

Morgan zrezygnowałby ze swej premii, gdyby w zamian mógł otrzymywać podwójne porcje do końca rejsu.

Kaskada miechu przetoczyła się przez pokład.

Taffy zawołał: - Nie chcę nawet tego, panie szyper. Dajcie mi tylko sukinsyna, który spalił ten szpital!

miech zmienił się w grony pomruk i można by było współczuć

Hadleyowi, gdyby którykolwiek z tych mężczyzn spotkał go na swej drodze.

Campbell podniósł rękę, prosząc w ten sposób o ciszę. - A więc

sprawa załatwiona. Jeli kto chce dowiedzieć się czego więcej

o bryłkach manganowych, niech zapyta Mike'a - on jest naszym

ekspertem. A teraz mylę, że lepiej wemy się solidnie do pracy, zanim

pojawi się "Sirena".

Zszedł z wciśgarki i wzięlimy się do roboty.

Przy pierwszym opuszczeniu czerpaka dotknął on dna na głębokoci

ponad czterech kilometrów, a kiedymy go wyciśgnęli, było w nim

pełno bryłek. Wszyscy członkowie załogi widzieli ich dużo już przedtem,

lecz tym razem byli bardziej ciekawi. Danny podniósł jednš i zapytał: -

Czy te mogš być wartociowe?

- Mogš, i mam nadzieję, że sš. Będziesz pierwszym, który się

o tym dowie - odrzekłem.

Wzišłem pierwszych parę próbek do laboratorium i przystšpiłem

do pracy. Słyszałem, jak na pokładzie załoga zabezpieczała wcišgarkę,

a Geordie wykrzykiwał rozkazy, kiedy "Esmeralda" znów wyruszyła

w drogę. Nie pracowałem długo, gdy do pracowni weszły Paula i Klara.

- Przyszłymi zobaczyć, czy nie przydałybyśmy się na co -

oznajmiła Klara. - Będziesz miał mnóstwo pracy jak na jednš parę ršk.

Potarłem sobie podbródek. Źadna z nich nie mogła bez prze-

szkolenia posługiwać się spektroskopem, lecz w pozostałych pracach

mogłyby być bardzo pomocne. - Mam nadzieję, że potraficie dobrze

zmywać naczynia - powiedziałem i machnąłem rękš W kierunku

półek ze szkłem laboratoryjnym. - Ten zestaw trzeba rozkładać i myć

po kaŹdej analizie.

Będę to robić - zgłosiła się Paula. Przypatrywała się mojej

aparaturze. - To przypomina urzšdzenia, jakie pokazujš w horrorach.

Nie jestem jeszcze szalonym naukowcem, chociaŹ mógłbym

219

nim być, gdyby to wszystko się potłukło. Klaro, tu jest cholerne

mnóstwo roboty z rejestrowaniem danych. Pomagała ojcu w tego

rodzaju pracach. Czy z tym by sobie poradziła?

- Oczywiście. Po prostu powiedz, co trzeba robić.

Zabrałem się do analizy. Praca na statku, idącym w przechyle pod żaglami, nie była czym, do czego mnie przygotowywano, lecz sam byłem zdziwiony, gdy uprzytomniłem sobie, jak dużo się nauczyłem.

Skonstruowałem też pewne interesujące urządzenia, pozwalające radzić sobie z ruchem. Nie mogliśmy pozwolić sobie na to, że by stać w dryfie za każdym razem, gdy przeprowadzałem analizę,, zresztą wypróbowaliśmy to rozwiśzanie i ruch statku był wówczas jeszcze gorszy. Sprawdziłem wñanie pierwsze przybliżone wyniki, gdy poczułem, że szybkość statku maleje, a wkrótce potem uruchomiono silnik wciśgarki. Zorientowałem się, że Geordie zatrzymał statek, żeby pobrać następane próbki.

- Paulo, czy mogłaby rozebrać ten zestaw i przygotować go do oczyszczenia?-zapytałem. - Wkrótce dostaniemy nowś porcję bryłek.

Wzięła się do pracy, a ja podszedłem do Klary, by pomóc jej w sporzśdzaniu zapisów.

- To jest karta wciśgarki, na której zapisuje się pozycję i głębo-
kość. Tu masz arkusz spektografu z listś negatywów fotograficznych.

To jest analiza ilociowa, a to - ponumerowane połówki bryłek.

Wszystkie te dokumenty trzeba razem włożyć do skoroszytu. Teraz wypełniłem je sam, lecz następnym razem będę dyktował ci liczby.

Byłem zadowolony. Taka pomoc w prostych, rutynowych czyn-
nościach miała istotne znaczenie i doszedłem do wniosku, że wydatnie przyspieszy pracę. Przed nami była długa harówka - nie spodziewałem się, że trafimy głównś wygransz za pierwszym zanurzeniem czerpaka, i rzeczywiście nie trafiliśmy. Wyniki pierwszego czerpania były w po-

bliżu przeciętnej, włanie takie, jakich ortodoksyjny oceanograf oczekiwałby w odniesieniu do normalnej bryłki manganowej z Pacyfiku.

Wyszlimy z Klarš na pokład, aby odetchnąć wieżym powietrzem, akurat w tym momencie, gdy czerpak opuszczano za burtę. Obserwowałem bšbelki biegnšce ku powierzchni wody, po czym poszlimy na pokład dziobowy, gdzie usiedlimy, a ja poczęstowałem Klarę papierosem. Kiedy przechodziliśmy koło pracujšcych przy wcišgarce, wszystkie głowy zwróciły się ku nam, a Ian zawołał: - No i jak?

Szczęcie nam dopisało?

Umiechnšłem się i potršsnšłem przeczšco głowš. - Jeszcze nie, Ianie, ale do wieczora daleko.

- Dowiedziałem się od taty, jakie pytania zadawałe Kane'owi.

Czy mylisz, że powiedział trochę prawdy? - zagadnęła mnie Klara.

220

Nie ma szans. Łgał, jak najęty.

Chyba nie spodziewałe się, że przyzna się do zabicia kogo, prawda? Nie ulegało wštpliwoci, że będzie kłamał.

Nie to miałem na myli, Klaro. Może się zdziwisz, ale nie sšdzę, żeby on kogo zabił własnoręcznie. Wierzyłem mu, kiedy mówił, że za każdym razem robił to Hadley. Nie przypuszczam, aby Kane miał tyle miałoci, żeby kogokolwiek zabić, natomiast uwierzę we wszystko, jeli chodzi o Hadleya. Mylę, że to psychopata, Kane dał do zrozumienia, że nawet Ramirez nie potrafił go pohamować.

Oczywiście na dalszą metę nie ma to znaczenia - jeśli dostaniemy ich wszystkich, Kane będzie równie winny jak każdy z nich i zostanie odpowiednio ukarany.

A zatem mylisz, że Kane kłamał o czym innym.

Masz rację, ale niech mnie diabli, jeśli wiem, co to takiego.

Było jednak coś w jego sposobie bycia, gdy wypytywałem go o Marka.

Jaki skurcz strachu na twarzy, wyraz oczu, którego nie potrafiłbym określić. Myślę, że wydarzyło się coś jeszcze bardziej okropnego.

Jednakże ogólny przebieg zdarzeń jest dość oczywisty.

Klara zadrżała. - Nie miałam wiele współczucia dla Marka - nie mogłam mieć po tym, jak ze mną postąpił - jednak nic na to nie poradzę, że mi go żal. Co za żalospny koniec życia człowieka.

Skinęłam głowę. - Nie myślałbym o tym za wiele, Klaro. On jest martwy i nie czuje już niczego. Ten wiat jest dla żywych.

A ty należysz do żywych - pomyślałem patrząc na nią. Nie było romantycznego księżycy, tworzącego wietlistą ciężką na wodzie; siedzieliśmy w olepijącym blasku tropikalnego słońca. Żadna miłosna pień nie dobiegała z salonu, tylko rytmiczne szczęknięcie wciśgarki i warkot diesla. Powiedziałem: - Klaro, jeśli nam się powiedzie, to chciałbym poznać cię lepiej - dużo lepiej.

Spojrzała na mnie z ukosa: - A jeśli nam się nie powiedzie, to po prostu odejdziesz i nigdy nie zechcesz zobaczyć się ze mną znowu?

- To nie jest przyjemny sposób ujęcia tej sprawy.

- Ale według mnie właściwy.

Milczałem, szukajśc odpowiednich słów.

To dla mnie raczej nowe dowiadczenie - powiedziała Klara z iskierkš humoru w głosie. - Nigdy nie musiałam pracować nad tym sama. Przeważnie odpierałam awanse...

Ja nie czynię...

... bo albo nie byłam pewna, czy mi się dany mężczyzna podoba, albo dlatego, że czasami myślałam, iż biegajš za mnš, jako

221

za córčkš taty - tacy, którzy nigdy nie uważali jego pieniędzy za przeszkodę. Nie sšdzę jednak, żeby na tym polegał twój problem.

A może mylisz, że tylko bogaci powinni się żenić z bogatymi?

Już miałem odpowiedzieć co gniewnie, gdy nagle zdałem sobie sprawę, że drażni się ze mnš. Jej oczy wieciły figlarnie, lecz także - co stwierdziłem ze zdziwieniem - były pełne czułości. Powiedziałem, zacinajśc się: - Klaro, sš najróżniejsze...

Czekała, ale ja cišgle szukałem słów.

- Komplikacje? Ależ moglibyśmy uporać się z nimi wszystkimi.

Ach Mikę, jeste okropnie głupi - ale kocham cię za to jeszcze bardziej.

Po chwili odezwałem się: - Niech to diabli, Klaro, nie w taki sposób chciałem to zrobić.

- Przypieram cię do muru, Mikę? Dlaczego nie powiesz po prostu, co zamierzasz?

Więc powiedziałem. - Czy wyjdiesz za mnie, Klaro?

Na chwilę opuciła głowę, a potem spojrzała na mnie. - Oczywiście -
odpowiedziała. - Wemiemy lub u pierwszego księdza, jakiego napot-
kamy. Myślałam, że nigdy nie dojdiesz do tego punktu^ Jest przyjęte, że
dziewczyny oświadczają się mężczyznom tylko w roku przestępnym, lecz
mało brakowało, a byłabym zmuszona złamać tę zasadę.

Czułem się jednocześnie uradowany i słaby. - No cóż, niech mnie
diabli - powiedziałem i oboje wybuchnęliśmy miechem, po prostu
z radoci. Chciałem zrobić co zupełnie oczywistego, a mianowicie
wziść ją w ramiona, lecz w tej chwili trudno było o intymne
odosobnienie, więc najzwyczajniej ucisnęliśmy sobie ręce.

- Mike, nie mów jeszcze nikomu - poprosiła Klara. - Tata ma
teraz dosyć innych spraw na głowie. Mylę, że będzie z tego zadowo-
lony, ale chcę się upewnić, zanim mu powiemy, a nikt inny nie
powinien się dowiedzieć wcześniej.

Zgodziłem się z nią. Zgodziłbym się ze wszystkim, co by powiedziała
w tym momencie.

Rozmawialiśmy długo o różnych głupstwach, dopóki w końcu nie
wyciśnięto czerpaka. Nie mogę przypomnieć sobie, jak zeszlimy do
laboratorium - mylę, że szybowaliśmy w powietrzu.

3

Czerpalimy próbki i czerpali, zatrzymując się co dziesięć mil
w drodze do Raf Minerwy. Czerpalimy wykorzystując każdą odrobinę
dziennego wiatła, a ja pracowałem szesnacie godzin na dobę, jedząc

posiłki w laboratorium. Dziewczyny bardzo mi pomagały, ale i tak miałem mnóstwo pracy, a w dodatku zaczynałem się obawiać, że moje zapasy chemikalii wkrótce się skończą.

Jeszcze jedna rzecz sprawiała mi kłopot. Byliśmy nieustannie niepokojeni przez odwiedzających laboratorium członków załogi, którzy chcieli zobaczyć, co robimy. Nie tylko chodziło im o to, żeby być wiadkami uzyskania dobrych wyników - dowiedziałem się, że Taffy Morgan zorganizował totka na zawartość kobaltu w każdej próbce. Poszedłem pogadać z Geordiem.

- Słuchaj, tracę przez to mnóstwo czasu - zwróciłem się do niego. - Powiedz im, żeby się uspokoili.

Umiechnął się lekko. - Nie chcesz chyba stłumić ich entuzjazmu, prawda? Co ci powiem: podawaj mi codziennie wyniki dla kolejnych próbek, a ja będę wywieszał biuletyn.

- Tak będzie dobrze. Bierz dane od Klary.

Nabił fajkę tytoniem. - Campbell w swej wielkiej mowie wyskoczył z czym takim - że zrobi nas wszystkich milionerami. Mylisz, że w tym co jest?

Powiedziałbym, że jest on człowiekiem, który nie rzuca słów na wiatr.

Nie wstąpię w jego słowo - odrzekł Geordie. - Wstąpię, czy będzie mógł go dotrzymać. Jeli dziesięć do piętnastu milionów funtów stanowi zaledwie pięć procent sumy, jakś chce zarobić, to znaczy, że spodziewa się piekielnej forsy.

Tak, Geordie - przytaknąłem z powagą. - Ja też się
spodziewam. Mam nadzieję, że jeśli to złożę w ogóle odnajdziemy,
to przyniesie ono prawdziwą fortunę. Kiedy będę miał czas,
powiem Campbellowi, żeby nam podał konkretne liczby. To ci
otworzy oczy.

On już to zrobił.

Zaledwie zaczął.

- Zobaczymy - odparł Geordie, wyraźnie nie przekonany.

Czerpalimy. - i czerpali - i czerpali. Potem trafiliśmy na płytkie
dno, na głębokości około stu dwudziestu metrów. Geordie stwierdził
lakonicznie: - Ławica Minerwy.

Dobrze - pochwaliłem. - wietna nawigacja. Realizujemy
nasz plan - będziemy szukać dookoła. Ale najpierw chciałbym
pobrać próbkę ze dna ławicy, tak daleko w głąb płytki, jak tylko
możemy dopłynąć bez ryzyka.

Czy to nie strata czasu? - zapytał Campbell.

223

- Nie wiemy, dopóki tego nie zrobimy. A ja chciałbym ze
względu na naszą dokumentację - i moje teorie przekonać się o tym.
Straciliśmy czas. Z dna na głębokości sześćset metrów wydobyli-
my czerpak pełen żużli, martwych koralów i muszli. Bryłek manganowych
nie było w ogóle. Załoga spoglądała z rozczarowaniem na ten połów,
ale uspokoiłem ich. - Nie spodziewałem się tu niczego, więc się nie
martwcie. Przecież na zewnątrz ławicy bryłek jest pełno. Teraz możemy

skrelić ten obszar z listy, ale musiałem się upewnić.

Wróciliśmy tś samś trasś na skraj ławicy Minerwy i zaczęliśmy jś okrśzać w odległoci około dziesięciu mil, czerpiśc próbki z dużej głębokoci. Geordie obliczył na mapie: - Będziemy musieli opuścić czerpak mniej więcej szesnacie razy - zajmie to, powiedzmy, cztery dni.

Zabrało to nam trochę więcej czasu, lecz w ciśgu pięciu dni zrobiliśmy pełne kółko i nie znaleliśmy nic, Campbell, który jako pierwszy wznosił się na szczyty entuzjazmu i jako pierwszy pogrśzał w depresji, znów popadł w przygnębienie, a jego zły nastrój niepokoił załogę, która dzielnie pracowała. - Czy jeste pewny, że znajdujemy się we właściwym miejscu? - zapytał mnie, zresztś nie po raz pierwszy.

- Nie, nie jestem - odpowiedziałem szorstko. Też byłem trochę rozdrażniony. Dokuczało mi zmęczenie i nie miałem nastroju do udzielania odpowiedzi na głupie pytania. - Niczego, do diabła, nie jestem pewny. Mam do zaoferowania teorie, a nie pewniki.

Geordie był usposobiony bardziej pokojowo. - Nie zapominajmy, że kiedy przybyliśmy na wyspy Tonga, Ramirez pospieszył tu, jakby się paliło. Mylę, że jesteśmy we właściwym miejscu.

Wiele bym dał, żeby się dowiedzieć, gdzie oni sś w tej chwili.

Przypuszczałem, że zdśżyli naprawić silnik i bardzo byłem ciekawy, czy wypłynęli już w morze, aby nas szukać. Gdybyśmy mieli chociaż jakie takie pojęcie o tym, ile naprawdę wie Ramirez, byłoby nam łatwiej stawić mu czoło.

Campbell wtórował moim myłom. - Gdzie u diabła podziewajš

się teraz Suarez i Navarro? I gdzie sš te przekłete bryłki? Co będziemy robić, Mikę?

Dalej będziemy postępować zgodnie z planem. Płyniemy z powrotem ku Falcon Island kursem równoległym.

Na wschód, czy na zachód od kursu dotychczasowego? - dopytywał się Geordie.

Wzruszyłem ramionami i pogmerałem w kieszeni spodni. - Czy kto ma monetę? Można o to zagrać w orła i reszkę.

Campbell parsknął z oburzeniem.

224

Geordie wysunął bardziej praktyczną propozycję. - Dlaczego nie mielibyśmy zrobić jednego i drugiego? Kurs, którym płynęliśmy w tę stronę, przyjmiemy za linię rodkowš, i będziemy żeglować zygzakiem.

Pierwsza próbka z jednej strony, następna - z drugiej.

- To dobry pomysł. - pochwaliłem. - Zróbmy tak.

Płynęliśmy więc z powrotem, nadal trzymajšc się tej samej, starej, nudnej procedury. Silnik wcišgarki jęczał, czerpak wpadał z pluskiem do wody i po paru godzinach wynurzał się z ładunkiem, który następnie poddawałem analizie, by stwierdzić, że jest bezwartościowy.

Bryłek było mnóstwo, ale nie tych, które miały nam przynieć fortunę.

Załoga, była zajęta utrzymywaniem pokładu w czystoci i pracami konserwacyjnymi, a my wymyłaliśmy wszelkiego rodzaju gry i ćwiczenia, by wypełnić wolny czas.

Geordie jednak martwił się stanem mechanizmu wciśgarki. -

Przeciśżamy jś - narzekał. - Nie mamy czasu na normalnś

konserwację. Chodzi o linę - cała wymaga porzśdneho oczyszczenia i naoliwienia. Boję się, że może zerwać się przy którym ciśgnieniu, jeli jej nie skontrolujemy.

Campbell wysłuchał go z zaciniętymi wargami. - Nie. Musimy szukać dalej, dopóki mamy przewagę w czasie. Zrób, co się da, Geordie.

Wiedziałem, co ma na myli. Bylimy już w morzu przeszło dwa tygodnie i Ramirez mógł być wkrótce gotów do rozpoczęcia rejsu.

Dopóki przebywalimy na morzu, mielimy spore szansę, że nas nie znajdzie - ale wejcie do jakiegokolwiek portu byłoby niebezpieczne.

Kontynuowalimy więc poszukiwania, posuwajśc się zygzakiem ku Falcon Island i wydobywajśc bezwartociowe próbki z najwyraniej jałowego dna Pacyfiku.

I wtedy włanie trafilimy w sedno!

Mój głos zadrżał, gdy dyktowałem Klarze najważniejszy wynik. -

C - kobalt - cztery i trzydzieci dwie setne procenta.

Zaskoczona, podniosła wzrok. - Nie dosłyszałam, Mikę - przynajmniej tak mi się wydaje.

- Powtórzyłem drżścym głosem: - To jest to - cztery i trzydzieci dwie setne procenta kobaltu!

Patrzylimy na siebie bez słów. W końcu powiedziałem rozważnie:

- Przeprowadzimy analizę kolejnych bryłek z wydobytego ostatnio

ładunku. Paulo! Umyj wszystko jeszcze raz - dokładniej niż kiedykolwiek. - I całś trójkš z zapalem zabrałimy się do zwykłych, rutynowych czynności, które nagle stały się bynajmniej nie nudne.

Uzyskane wyniki rozłożyły się wokół pierwszego, jak na tarczy

225

15 -Noc błędu

strzelniczej otwory po kulach Campbella wokół mojego - od czterech i dwudziestu dziewięciu setnych do czterech i trzydziestu omiu setnych procenta. Czterokrotnie oznaczałem zawartość kobaltu i wszystkie dane były zgodne.

- Do diabła, muszę powiedzieć Geordiemu, żeby zmienił kurs! - krzyknšłem.

Popędziłem na pokład, zostawiajśc dziewczyny, które grzmociły się nawzajem po plecach. Przy sterze stał Ian. - Stop! - wrzasnšłem.

Wracamy do ostatniego miejsca czerpania!

Jego oczy rozszerzyły się. - Czyżby co znalazł?

- Znalazłem! Gdzie jest Geordie?

- Zszedł z wachty - myślę, że jest w swojej kabinie.

Zostawiłem Iana, żeby dopilnował zmiany kursu i zbiegłem na dół.

Ale wiadomość nie wywarła na Geordiem wrażenia. - Cztery procent to jeszcze daleko do dziesięciu - zauważył.

Jeste cholernym głupcem, Geordie. To jest dwa razy większy procent kobaltu, niż stwierdzony dotšd w jakiegokolwiek bryłce-manganowej, jeli nie liczyć tej, którą mieliśmy w Londynie. Musimy

ustalić linię brzegową obszaru koncentracji tego pierwiastka.

Dobrze - co teraz?

Popłyniemy z powrotem i będziemy krężyć po tym obszarze,
nie spuszczać oka z echosondy. To prawdopodobnie co nam powie.

Zeskoczył z koi i nałożył spodnie. - Mogę ci powiedzieć, że nie
będę miał z tym żadnych trudności. Dzięki Bogu, prowadziliśmy
dokładne zapisy naszej pozycji.

- Chod, powiemy szefowi.

Campbell już wiedział. Znaleliśmy go w laboratorium z dziewczynami,
przyglądającego się liczbom. Gdy weszliśmy, odwrócił się ku
nam, a jego oczy błyszczały oczekiwaniem. - Więc mamy to, Mikę?

Nagle stałem się powściągliwy. - Co znaleliśmy. - powiedziałem
ostrożnie. - Inna sprawa, czy to jest to, co mamy nadzieję znaleźć.

- Wy przekłęci naukowcy - mruknął. - Dlaczego nigdy nie
potraficie wyrażać się jednoznacznie?

Wyciągnąłem mapę, którą wykonałem na podstawie zapisów
echometru. - Tutaj biegnie grzbiet podwodny, mniej więcej z północy
na południe, - wyjaśniłem. - Jego szczyt znajduje się około dwóch
i pół kilometrów pod powierzchnią. Nasz drogi bryłki wydoby-
libyśmy tutaj, na wschodnim stoku tego grzbietu, na głębokości trzech
kilometrów i trzystu metrów. Chciałbym, żebyśmy zeglowali pod
kółkiem prostym do grzbietu, kierując się na wschód - w ten sposób.

Trzeba określić głębokość wody.

Mylisz, że głębokość może mieć z tym co wspólnego?

Tak. Obszar naturalnego nagromadzenia się największej liczby bryłek jest prawdopodobnie gdzie tutaj, a nie w tych miejscach, gdzie głębokość jest najmniejsza - chociaż nigdzie nie ma więcej warstw bryłek niż jedna.

A ja myślałem, że będą się one piętrzyć w wielkich stertach.

Przykro mi, ale nie - powiedziałem. - Takich stert nigdy nie znaleziono. Najlepsze materiały dowodowe, które uzyskano za pomocą fotografii głębinowej, wykazują, że w niektórych miejscach dno morskie ma pod warstwami osadów strukturę grudkowatą, co sugeruje, że mogłoby tam być znacznie więcej bryłek manganowych, ale w takim przypadku i tak przestałyby one rosnąć, odcięte od swej linii zaopatrzenia - wody morskiej.

Tym razem jednak słuchacze wyjątkowo nie byli zainteresowani moim zaimprovizowanym wykładem. Dodałem więc szybko, żeby poprawić wrażenie: - Nie martwcie się, będą tam te miliardy ton, które wam obiecałem, nawet jeśli leżą w jednej tylko warstwie. Jest jednak jeszcze mnóstwo rzeczy do ustalenia.

Gdy znalelimy się w pobliżu miejsca, gdzie wydobyliśmy z dna ostatnią próbkę, wielu członków załogi - trochę bez sensu - wpatrywało się w powierzchnię oceanu, jakby mogli tam coś zobaczyć.

- To właśnie tutaj. - powiedział Geordie. A teraz w którą stronę?

Nakreśliłem ołówkiem linię na jego mapie. - Trzymaj się, proszę,

tego kursu.

Kiedy płynęliśmy pod żaglami, z wyjątkową uwagą prowadziłem zapis echometru. Wykazywał on stopniowe zwiększanie się głębokości - nie nagły uskok, lecz dość łagodny spadek, jakby zbocze góry przechodziło w dolinę. Gdy przebyliśmy około dziesięciu mil, dno - po osiągnięciu czterech kilometrów głębokości - zaczęło znów stopniowo się wznosić.

Po upewnieniu się, że nie jest to tylko miejscowa zmiana, oznajmiłem: -

Chciałbym, żebyśmy wrócili mniej więcej dwie mile.

- Zgoda - odrzekł Geordie i szybko wydał stosowne rozkazy.

Większość tych manewrów wykonywaliśmy teraz za pomocą silnika,

ponieważ były zbyt skomplikowane, by korzystać z żagli.- Byłem

wdzięczny niebiosom za utrzymującą się niemal bezwietrzną pogodę,

dzięki czemu znoszenie powodowane przez wiatr i fale było minimalne.

Przez chwilę tylko pomyślałem z zazdroczą, jak łatwe by to wszystko

było na lądzie.

Campbell spoglądał na zapis echometru. - Co o tym mylisz?

- Pod nami jest coś w rodzaju doliny - odpowiedziałem. -

Zeszliśmy ze zbocza, przekroczyliśmy dolinę i zaczęliśmy się wspinać

227

na przeciwległe zbocze. Teraz chcę wrócić i czerpać tam, gdzie

najgłębiej - to jest około cztery kilometry.

Campbell potarł policzek. - Trochę głęboko, jak na komercyjne

urabianie złoża za pomocą żurawia lino włókowego. Traci się zbyt

wiele czasu na samo zanurzanie i wyciąganie.

- Jeli surowiec będzie wystarczająco wartościowy, to się powinno opłacać.

Chrzškńšł. - To włanie musimy ustalić.

Teraz już każdy wiedział, o co chodzi, i z napięciem obserwował czerpak pogrżajšcy się w wodzie, Ian obsługiwał wcišgarkę, a Geordie stał przy sterze, utrzymujšc "Esmeraldę" na tym samym miejscu.

Wydawało mi się, że upłynęło wyjštkowo dužo czasu, zanim Ian, który obserwował miernik napięcia liny, wyłączył napęd wcišgarki i oznajmił: - Jest już na dnie.

Geordie sięgnšł do tablicy kontrolnej silnika. Campbell robił dužo zamieszania, zaaferowany jak stara kwoka. - Ostrożnie, Geordie, nie możemy sobie teraz pozwolić na żadne błędy.

"Esmeralda" sunęła powoli naprzód, cišgnšc za sobš naprężonš linę.

Wyobraziłem sobie czerpak w otchłani, szorujšcy po dnie w zupełnej ciemności, zgarniajšcy bryłki manganowe i gruz skalny do swej paszczy podobnej do olbrzymiego pyska przedpotopowego potwora.

Kiedy praca ta została już wykonana, Ian ponownie uruchomił wcišgarkę. Bęben zaczął się obracać, a załoga przystšpiła do rozmieszczenia w ładowni mokrej i liskiej liny, w miarę jak schodziła z bębna.

Znów wydawało się nam, że trwa to wieki, i napięcie wzrastało, aż w końcu nasze nerwy brzęczały jak naprężona struna. Taffy odezwał się ochryplym głosem: - Na miłość boskš, Ian, pocišgnij trochę silniej!

- Nic z tych rzeczy - odparł spokojnie Geordie. - Nie przejmuj się, Ianie robisz to wietnie.

Wyciągnięcie pełnego czerpaka z głębokości czterech kilometrów zajmuje dużo czasu, zwłaszcza jeśli nie jest się zbyt pewnym wytrzymałości liny i ciśnie się powoli. Zwykle nikt nie zwracał uwagi na tę czynność, dopóki połów nie znalazł się na statku, lecz tym razem wszyscy myśleli wyłącznie o zawartości czerpaka; tak więc, gdy w końcu wynurzył się na powierzchnię, było wielu chętnych do obrócenia żurawia masztowego, który przeniósł zdobycz przez burtę.

Geordie przekazał ster Danny'emu i pobiegł pomóc w wyładowaniu czerpaka. Kaskada bryłek, pomieszanych jak zwykle z dużą ilością luzowatego mułu, runęła na pokład. Taffy schylił się i podniósł jedną.

- Wcale nie wydaje się inna - owiadczył, udając głębokie rozczarowanie.

228

- Ty głupi wariacie - odparł Ian - zostaw to Mike'owi, dobrze? On wie, co robi.

Miałem nadzieję, że słuszność jest po jego stronie.

Ile czasu ci to zajmie, Mike? - zapytał Campbell.

Jak zwykle, trzy godziny. Nie mogę tego zrobić szybciej.

I nie zrobiłem - w rzeczywistości trwało to dłużej. Laboratorium nie było zbyt duże i praca we troje pocięgała za sobą dosyć niewygod.

Tymczasem Campbell nalegał, że chce wejść i przyglądać się, a gdziekolwiek stanął czy usiadł, zawsze nam zawadzał. W końcu, mimo protestów pozbyliśmy się go, lecz słyszałem, jak chodził tam i z powrotem po korytarzu.

Po trzech godzinach i czterdziestu pięciu minutach otworzyłem drzwi i powiedziałem: - Gratuluję, mister Campbell. Przed chwilą został pan ojcem bryłki manganowej zawierającej dziewięć i siedem dziesiątych procenta kobaltu.

Oczy mu zawieciły. - Udało się! Na Boga, udało się!

- Prawdziwa bomba! - zgodziłem się uszczęliwiony.

Oparł się o wodoszczelną ciankę i westchnął głęboko. - Nigdy

nie myślałem, że nam się powiedzie. - Po paru chwilach jego mózg

zaczął znów funkcjonować. - Jaka jest koncentracja? - zapytał.

- Pięć kilogramów na decymetr kwadratowy. Będziesz miał co robić przez kilka lat.

Umiechnął się triumfująco. - Chodcie do salonu, wszyscy.

Napijemy się - trzeba to uczcić. ciśnijcie tu Geordiego.

W salonie otworzył szafkę z napojami alkoholowymi, wyjął butelki ginu i whisky i z wielką energią przystąpił do sporządzania drinków.

W korytarzu Klarze i mnie udało się pozostać w tyle wystarczająco długo, by pospiesznie ucisnąć się i pocałować, zanim dołączyliśmy do szefa i Pauli; promieniejszy radociś Geordie zjawił się chwilę później.

- Twoje zdrowie, Mike. Wykonała ogromną robotę - powiedział serdecznie Campbell.

Ja włączyłem ich wszystkich do toastu i wypiliśmy z wielką uciechą. - Ale to jeszcze nie koniec - ostrzegłem. - Musimy ustalić wielkość złoża. Trzeba będzie przeprowadzić mnóstwo prób.

Wiem, wiem, - odparł Campbell. - Ale to są szczegóły. Czy

zdajesz sobie sprawę, Geordie, że nam się udało?

Jestem bardzo zadowolony ze względu na pana - owiadczył oficjalnie Geordie.

Do diabła z tym. Ja cieszę się ze względu na nas wszystkich. Co mylisz, Geordie, o kolejce dla całej załogi - z wyrazami uznania? - machnął ręką w kierunku dobrze zaopatrzonej szafki z napojami.

229

- No cóż, nie wiem - odrzekł z namysłem Geordie. - Muszę nadal dowodzić statkiem. Chłopcy, którzy nie mają wachty, mogą wypić po kieliszku, ale ci na służbie będą musieli jeszcze trochę poczekać. Już i tak jest dosyć hałasu. - Umiechnął się i dodał: - Ja nie mam teraz wachty.

Campbell zamyślił się. - W porządku, przyłóż się do nas.

Geordie skinął głową w moją stronę. - Musimy dalej czerpać próbki, wiesz. Dokąd teraz płyniemy?

- Dziewięćdziesiąt stopni na południe od naszego ostatniego kursu. Powiedz wachcie, żeby nie spuszczała oka z echometru i trzymali się możliwie największej głębokości. Będziemy płynąć tym kursem około dwudziestu pięciu mil. Jeśli głębokość morza wyraźnie się zmniejszy, lub zboczymy za bardzo, to chciałbym od razu się o tym dowiedzieć.

I myślę, że będzie lepiej, jeśli Klara da ci najnowszy biuletyn, prawda?

Klara wyjęła arkusz papieru pokryty magicznymi cyframi, a Geordie wziął go ze sobą na górę. Campbell zwrócił się do mnie: - Wyliczyłem wszystkie te posunięcia dość gładko. Przypuszczam, że masz jakiś pomysł.

- Można to tak nazwać. Zeszliśmy ze zbocza i czerpalimy w najgłębszym miejscu doliny. Teraz chcę popłynąć wzdłuż tej doliny, żeby się przekonać, jak daleko ciśnie się w obie strony. Zapis echometru da nam mnóstwo użytecznych informacji, a po drodze będziemy co jakiś czas czerpać próbki.

Z pokładu dobiegły radosne okrzyki. Campbell przerwał na chwilę czynność nalewania sobie jeszcze jednego drinka. - Wszyscy są szczęśliwi.

Wszyscy oprócz Ramireza - zauważyłem.

Chciałabym, żeby utonął - powiedziała Paula z niespodziewaną złością.

Campbell zmarszczył brwi, zaraz jednak usunął ze wiadomości nieprzyjemną myśl - to nie był właściwy moment na rozważania o niepewnej przyszłości. Geordie wrócił do salonu i Campbell wskazał mu szafkę.

- Nalej sobie sam. Nie jestem lokajem - powiedział. Geordie wyszczerzył zęby w uśmiechu i wziął butelkę.

Potoczyłem po stole jedną z wyłowionych ostatnio bryłek. -

Geordie trochę wstąpi w wartość naszego odkrycia. Obiecałem, że poproszę cię o podanie kilku liczb.

Campbell stuknął w bryłkę jednym palcem. - Z pewnością nie wygląda ona na nic cennego, prawda, Geordie?

Zupełnie podobna do tych wszystkich kamieni, które wyciągalimy w ostatnich paru tygodniach - odparł bez ogródek Geordie.

Zawiera prawie dziesięć procent kobaltu. Niewiele nam wiado-

mo o innych metalach, które się w niej znajdują, ponieważ Mike zbadał jś tylko na zawartość kobaltu, lecz wiemy, że powinna w niej być spora ilość miedzi i wanadu oraz mnóstwo żelaza - a także, rzecz jasna, manganu. Mogę wam powiedzieć, a mówię na podstawie swego dowiadczania, że wartość brutto możliwych do wykorzystania metali wyniesie około czterystu dolarów za tonę.

Geordie nadal nie był przekonany. - Mnie nie wydaje to się zbyt wartociowe. Mylałem, że to jest naprawdę cenne - jak złoto lub platyna.

Campbell umiechnął się z satysfakcją i wysił z kieszeni mały suwak logarytmiczny. - Powiedziały, Mike, że koncentracja złoża powinna być dość stała na znacznym obszarze, prawda?

O, tak. W centrum skupienia można na to liczyć z dosyć dużym stopniem pewności.

A co nazwałby "znacznym obszarem"?

Wzruszyłem ramionami. - Kilka kilometrów kwadratowych.

Campbell spojrział spod oka na Geordiego i pochylił się nad suwakiem. - No, zobaczcie. Przy pięciu kilogramach na decymetr kwadratowy... to będzie... to wyniesie w przybliżeniu, powiedzmy, pięćdziesiąt sześć milionów dolarów na kilometr kwadratowy.

Geordie, który właśnie przełykał whisky, nagle zakrztusił się, parsknął i zaczął kaszleć.

Wszyscy ryknęliśmy miechem. - W kilometrze kwadratowym,

Geordie, jest mnóstwo metrów kwadratowych! - powiedziałem.

W końcu złapał oddech. - Człowieku, to sš pienišdze! Ile tam będzie kilometrów kwadratowych tego paskudztwa?

- To włanie trzeba będzie teraz ustalić - odrzekłem. Zobaczyłem, że obie dziewczyny spoglšdajš na Campbella ze zdziwieniem i co mi przyszło na mył. Zwróciłem się do Pauli: - Wiesz, ty też masz w tym swój udział.

Popatrzyła na mnie niezbyt przytomnym wzrokiem. - Ale ja... ja nie...

- Włanie, że tak, Paulo - odparł Campbell. - Wchodzisz w skład załogi. Každy na tym statku otrzyma swójš część.

Jej zdumienie musiało być zbyt wielkie, by potrafiła nad nim zapanować, gdyż nagle rozplakała się i na olep wybiegła z salonu.

Klara umiechnęła się do nas radonie i wyszła za niš.

Zorientowałem się, że Geordie usiłuje obliczyć, ile wynosi piętnasta część pięciu procent z pięćdziesięciu szeciu milionów dolarów, i że nie może sobie z tym poradzić. - Te czterysta dolarów za tonę to wartoć brutto. - powiedziałem. - Musimy od niej odjšć wydatki zwišzane

231

z wydobyciem, przetwarzaniem i dystrybucjš, oraz wszelkiego rodzaju koszty dodatkowe. Czy masz o tym jakie pojęcie?

- Mam - odrzekł Campbell. - Kiedy Mark przyszedł do mnie z tym pomysłem, wszedłem doć głęboko w te sprawy. Głównym problemem jest wydobyć - czerparka linowłókowa podobna

do tej, którą posługujemy się teraz, tylko większa, nie jest zbyt użyteczna na tej głębokoci. Traci się zbyt wiele czasu na wyciąganie czerpaka. Zatrudniłem więc paru zdolnych chłopców do pracy nad tym zagadnieniem, a oni doszli do wniosku, że najlepiej byłoby użyć czerparki hydraulicznej. Przeprowadzili wstępne badania i obliczyli, że bryłki manganowe można by ssać na powierzchnię z głębokoci czterech kilometrów za dziesięć dolarów od tony, lub nawet taniej. Ponadto trzeba uwzględnić wszelkiego rodzaju czynniki - przetwarzanie, marketing, transport i inne koszty techniczne, wynajęcie statków i załóg oraz utrzymywanie ich. Chcielibyśmy opracować i zbudować nasze własne czerpaki, potrzebowalimy statków badawczych, a także będziemy musieli zbudować zakład przetwórczy.

Zlokalizowalibymy go na jednej z tych wysp i niewątpliwie uzyskamy tam znaczniejszą pomoc, ponieważ będzie to oznaczało dla nich ogromne i różnorodne korzyści finansowe; jednakże biorąc wszystko pod uwagę musiałbym założyć spółkę dysponującą sumą około czterdziestu milionów dolarów.

Powiedział to wszystko tonem poważnym i rzeczowym. Klara najwyraźniej była przyzwyczajona do takich wlotów retoryki, typowych dla posiedzeń różnych zarządów i komisji, lecz Geordie i ja gapiliśmy się na niego z podziwem. Dla Geordiego była to pierwsza wycieczka w świat wielkich finansów, podobnie zresztą jak i dla mnie, lecz ja byłem do niej nieco lepiej przygotowany. - Dobry Boże! -

jęknął. - Czy ma pan takś sumę - to znaczy, chodzi mi o to, czy

uda się panu jś zdobyć?

- Nie zaraz. Jednakże mogę jś uzyskać, gdy będę dysponować tym, co mamy tu ustalić. Jeli okaże się, że czysty dochód w ciśgu pierwszych paru lat działalności będzie wynosił czterdzieci milionów dolarów, to reszta powinna być drobnostkś. Znajdzie się mnóstwo fachowców na Wall Street chętnych do włączenia się w taki interes - lub nawet do przejęcia go.

Zamylił się na/ chwilę, po czym dodał: - Ale go nie przejmś.

Kiedy Suarez i Navarro zabrali moje kopalnie, poprzysiğłem, że nigdy już nie wezmę się za żaden solidny interes - jeli kto mógłby mi go zrabować tak łatwo jak tamten. Wróciłem więc do zawodu

232

poszukiwacza, trzymajśc się zasady: szybko zarobić i wycofać się. Ale tu - jest jako inaczej. Czuję się zwiśzany z tym przedsięwzięciem.

W kraju znam paru porzśdnych facetów, którym mogę zaufać. Chcę zwiśzać się z nimi tak cile - a może zainteresować też tś sprawś parę rzśdów - żeby żaden Suarez i Navarro ani nikt inny tego pokroju nie mógł się wcisnść i zepsuć wszystkiego.

Wstał i podszedł do lewej burty, aby wyjrzeć na morze. - Wyspy Tonga sś za nami. Bardzo możliwe, że wejdś one do tego interesu.

Skorzystajś na tym, bo zakład przetwórczy najprawdopodobniej zostanie wybudowany na ich terytorium. Będzie on wysoce automatyzowany, więc nie zapewni im wielu stałych miejsc pracy,

lecz zyskajš wpływ z podatków i większe możliwości rozwoju gospodarczego, toteż myślę, że będš z nami chętnie współpracować. Jest jeszcze jedna sprawa, która często chodzi mi po głowie: bryłki manganowe wcišš się tworzą, a z tego, co mówi Mike, wynika, że będš tworzyć się nadal - w tempie, które on zawsze nazywa oszałamiająco szybkim. Może choć raz będziemy mogli prowadzić prace górnicze nie gwałcąc tej cholernej planety. - Wrócił do stołu i podniósł szklaneczkę. - A to jest osiągnięcie, z którego każdy zespół ludzi może być dumny. Wypijmy za to.

Więc wypiliśmy bardzo uroczycie. Byłem pełen czci i podziwu dla tego, co robimy, i pomyślałem, że inni czują to samo. Campbell pobudził nas do zasadniczej refleksji.

4

Pozostaliśmy w tym regionie jeszcze tydzień, tam i z powrotem przemierzając podmorskš dolinę i czerpiąc próbki w wybranych punktach. Do mojego laboratorium napływało mnóstwo materiału, byłem więc cišgle bardzo zapracowany. Znacznie bardziej szczegółowe analizy zostawiłem na później - teraz chciałem tylko wyznaczyć granice tego obszaru i ustalić z grubsza, jak bogate i równomiernie rozmieszczone jest złoże.

"Esmeralda" w tych dniach była szczęliwym statkiem. Nie znaczy to, że przedtem była siedliskiem nieszczęcia, ale teraz znikło przygnębienie spowodowane bezowocnymi poszukiwaniami, wszyscy byli pełni zapału i radoci. Załoga często urządzała różne zabawy i figle, chociaż

zawsze przerywała je, gdy trzeba było wykonać jakąś ważną pracę.

Pewnego razu, kiedy korzystałem z chwili wytchnienia na pokładzie, podeszła do mnie Paula.

233

Nie wiem, Mikę, co mnie naszło tamtego dnia - wiesz, kiedy pan Campbell powiedział, że będę mieć udział w tym wszystkim.

Jest to trochę szokujące, kiedy dowiadujesz się nagle, że będziesz bogata. Ja też przez to przeszedłem.

Nigdy nie zastanawiałem się, co to znaczy być bogatą. Chyba dlatego, że nigdy nie miałam na to czasu. Zawsze w ciągłym ruchu - Stany, Meksyk, Australia, Tahiti, Hawaje, Panama. Chyba byłam trochę włóczęgą, wędrownym robotnikiem. Podniosła na mnie wzrok. - Wy, Brytyjczycy, nazywacie takich ludzi trampami, prawda? Zgadza się.

Przypuszczam, że byłam właśnie kim takim, w amerykańskim sensie słowa hobo - zauważyła ze smutkiem.

Masz zupełnie rację, Paulo - powiedziałem serdecznie. - Nie martw się tym. Lepiej ciesz się myśl o dużej forsie. Co zrobisz z całym tym nowo uzyskanym bogactwem?

Ojej, Mikę, nie wiem. Nie jestem podobna do Klary - ona jest przyzwyczajona do pieniędzy, ja nie. A kiedy jej tata żongluje tymi milionami, kręci mi się w głowie.

Może wybrałaby się statkiem wycieczkowym na słoneczne

Tahiti - podsunęłam żartobliwie.

Ale ona gwałtownie potrząsnęła głową. - Nie. Nigdy tam znów nie popłynę - już nigdy więcej nie chcę zobaczyć Papeete. - Milczeliśmy przez chwilę, stojąc po koleżeńsku obok siebie, po czym Paula powiedziała: - Chyba, najpierw pojedę do domu. Tak, myślę, że pojedę do domu.

Gdzie on jest?

W Oregonie. W zwykłym małym miasteczku - w tym stanie nie ma wielu dużych miast. Nazywa się Medford. Nie byłam tam od lat - a nie powinnam go w ogóle opuszczać.

Dlaczego więc wyjechała, Paulo?

Zamiała się. - Ach, to banalna historia - ty powiedziałby, że schematyczna. Całe moje życie było takie. Jako dzieciak szalałam na punkcie kina, a kiedy miałam szesnacie lat, wygrałam lokalny konkurs piękności. Zrobiłam się okropnie zarozumiała i mocna w gębę.

Powiniene posłuchać moich przechwałek, czego to dokonam w Hollywood. Miałam wszystkich rzucić na kolana. Pojechałam więc do Hollywood i to ja zostałam rzucona na kolana! Tam jest zbyt wiele dziewcząt podobnych do mnie. Powiedziałam ci, że to stereotypowa historia.

Co było potem?

Dalej według schematu. Plątałam się tam, piewając w tanich

234

nocnych lokalikach - wiesz resztę, lub możesz się domyśleć. -

Zasmuciła mnie gorzka rezygnacja w jej głosie. - To miejsce, gdzie mnie spotkała w Panamie, to była najlepiej płatna praca, jakś kiedykolwiek miałem w całym swoim życiu.

I rzuciła jś - po prostu tak sobie? Tylko dlatego, że cię o to poprosiłem?

Czemu nie? Rozumiesz - chodziło o Marka. Ach, wiem, co mylisz o Marku, słyszałam, jak mówiła. W porzśdku, założmy, że był parszywym nicponiem. Podejrzewam, że zawsze wiedziałam o tym, ale... ja go kochałam, Mikę. I chyba, jak głupia, miałam nadzieję, że dowiem się, czy on kiedykolwiek mnie kochał. Ja zawsze chciałam zrobić dla niego wszystko, co mogłam.

Milczałam. Nie było nic, co mógłbym jej na to odpowiedzieć.

Tak - ciśgnęła spokojnie. - Zawsze przechwalałam się, że nie wrócę, dopóki nie osiśgnę sukcesu. Chyba teraz powiedzś, że odnios-łam sukces, że nie jestem jaka nieudana, prawda, Mikę? - Miała łzy w oczach.

Zawsze była w porzśdku - odrzekłam łagodnie i położyłam rękę na jej ramionach.

Pociśgnęła parę razy nosem, a potem powiedziała, żywo potrzebując głowś: - A naczynia laboratoryjne nie pomyte. Lepiej wrócę do pracy. Ale dziękuję.

Patrzyłam, jak szła po pokładzie, i po raz tysięczny wysyłałam duszę Marka do piekła. Kto dotknął mojego łokcia, a kiedy się odwróciłam, zobaczyłam Geordiego. - Nie chciałam wam popsuć

tete-a-tete - odezwał się - więc poczekałem chwilkę. - Skinął głową

w kierunku, w którym odeszła Paula. - Zakochała się w niej, Mike?

Nic podobnego - odparłem z rozbawieniem, myśląc, jak

bardzo nietrafne są przypuszczenia Geordiego. - Ale czasami życzę

Markowi, żeby się nigdy nie urodził.

Dał się jej we znaki, prawda?

Dziwna rzecz, zaznała dzięki niemu dużo szczęścia. Ale złamał

jej serce, dając się zabić. Nie ma to zresztą znaczenia - wcześniej czy

później i tak znalazłby jakiś sposób, by ją porzucić. Jakś masz do

mnie sprawę, Geordie?

Chcę porozmawiać z tobą o naszym następnym posunięciu. Nie

możemy, Mike, pozostać tu o wiele dłużej. Wciśgarka i jej części

składowe naprawdę rozpaczliwie wymagają remontu. Mamy trochę za

mało wody - nie było czasu, żeby nabrać jej do pełna w Nuku'alofa -

i to samo jest z paliwem. Zużyliśmy go mnóstwo na prowadzenie prac

poszukiwawczych. Niedługo będziemy musieli zawinąć gdzie do portu.

235

Tak, moje materiały laboratoryjne też są na wyczerpaniu.

Słuchaj, Geordie, tu naprawdę skończyliśmy robotę - nagromadziłem

już mnóstwo danych do dalszej obróbki. Chodmy z tym jeszcze raz

do szefa.

Kiedy więc byłby w stanie zakończyć tu prace? - zadał mi

pytanie Campbell.

Praktycznie już skończyłem. Dzisiejsze czerpanie może być ostatnie - inaczej mógłbym tak dłużyć bez końca.

Więc załatwione. Ale nie wrócimy do Nuku'alofa, ponieważ Ramirez może tam być nadal, lub polować na nas w tym regionie.

Pożeglujemy na Fidżi - do Suva.

Zawahałem się. - Doskonale, ale chciałbym rzucić okiem na Falcon Island.

Po co?

No cóż, ona jest odpowiedzialna za to wszystko - powiedziałem.

Uczony w każdym calu, he? Nie wystarczy ci odkryć co - chcesz wiedzieć, kiedy, jak i dlaczego.

Rozpaczliwie pragnęłam odwiedzić tę wyspę- lub miejsce, gdzie była. Dodałam więc, aby zwiększyć siłę mojej argumentacji: - Mogłoby to dostarczyć nam wskazówek dotyczących pozostałych bogatych w kobalt obszarów w tych stronach, a może także rejonów koncentracji innych metali - kiedy dowiemy się czego o mechanizmie tych zjawisk.

Zamiał się. - W porządku, Mike. Przypuszczam, że zasłużyła na to. Jeli Geordie się zgodzi, popłyniemy do Suva przez Falcon Island.

Geordie nie był zbyt przekonany. Wyciśgnął mapy, pomierzył odległości i mruknął: - Ile czasu chcesz się tam zatrzymać?

Chyba tylko jeden dzień.

Będiesz czerpał?

Nie, nie będzie potrzeby. Tam jest bardzo płytko. Dobry

pływak, taki jak Bili Hunter, mógłby zanurkować i po prostu ręks zebrać potrzebne mi próbki - to będzie nie więcej niż parę sżni.

A on marzy o tym, żeby zademonstrować swój talent. Zaledwie po paru godzinach moglibyśmy znów kontynuować rejs.

Przez to wszystko byłoby na styk, prawie bez rezerw - narzekał Geordie. - Będzie nam cholernie brakowało wody, zanim dotrzemy do Suva - i bardzo dobrze, że nie chcesz czerpać próbek, ponieważ naprawdę uważam, że już wykonaliśmy ostatnie czerpanie. Musimy zostawić tyle oleju napędowego, by starczyło na manewrowanie i nieprzewidziane okolicznoci - do silnika wciśgarki nie mogę ci już odstšpić ani trochę.

236

- Niech cię lichu, Geordie. Przecież nie cierpisz pływać przy użyciu silnika.

W końcu jednak nakłoniłem go, żeby wyraził zgodę. Skończyliśmy prace przy wciśgarce i po raz ostatni ułożyliśmy linę w ładowni.

Czerpak zamocowaliśmy na pokładzie i Geordie wziśł kurs na północ do Fo'ou.

- Chciałbym teraz zreasumować to, co ustaliliśmy - powiedziałem tego wieczora w salonie. - Czy wytrzymacie jeszcze jeden krótki wykład?

Płynęliśmy szybko z pomylnym wiatrem, skarb został odnaleziony, a wszelkie niebezpieczeństwa wydawały się nieskończenie odległe i nieprawdopodobne. Uczestnicy mojego seminarium zasiedli, by

wysłuchać mnie w nastroju zadowolenia.

- Przywykłem do słuchania wykładów naukowców; jest to czasami nudne, lecz zwykle zyskowe. - zauważył Campbell.

Zamiałem się. - Tym razem jest bardzo zyskowe. - Wydobyłem swoje mapy i notes. - Bryłki manganowe o wysokiej zawartoci kobaltu zdajš się skupiać w tej oto dolinie czy zagłębieniu, o szerokoci trzydziestu dwóch i długoci stu szećdziesięciu kilometrów. Gęstoć rozmieszczenia bryłek i zawartoć w nich kobaltu sš zróżnicowane.

Klara, w której z przyjemności odkryłem przyrodzone zdolnoci matematyczne, odezwała się ze zdziwieniem: - Ależ to jest pięć tysięcy sto dwadziecia kilometrów kwadratowych!

Spory obszar - zgodziłem się. - Zawartoć kobaltu, czyli bogactwo złoża, jest z grubsza uzależniona od głębokoci wody i waha się około dwóch procent na krańcach doliny do maksimum wynoszącego dziesięć procent na jej dnie - zachodzi więc odwrotna zależność, jeli wolicie takie określenie. Natomiast gęstoć rozmieszczenia bryłek zmienia się w inny sposób. Na północnym skraju doliny wynosi tylko ćwierć kilo na dziesięć centymetrów kwadratowy. Na drugim końcu osiąga wartość szczytowš wynoszącš dwadziecia pięć kilogramów na dziesięć centymetrów kwadratowych.

Nadal przy zawartoci dziesięciu procent kobaltu? - zapytał Campbell.

Na dnie doliny - tak.

To jest co! - wykrzyknął. - Ćwierć miliarda dolców z kilo-

metra kwadratowego! - On i Klara umiechali się w zachwycie.

Geordie wydawał się oszołomiony - liczby były tak fantastyczne, że nie potrafił ich przyswoić. Paula wyglśdała na zupełnie osłupiałš.

Zajrzałem znowu do mojego notesu. - Zrobiłem trochę przy-
bliżonych obliczeń. Wyliczyłem, że ogólny przeciętna gęstość roz-

237

mieszczenia bryłek na całym tym obszarze wynosi około czterech kilogramów na dziesięć centymetrów kwadratowych. rednia zawartoć kobaltu wynosi mniej więcej szeć procent. Bioršc pod uwagę powyższe dane, można liczyć na bardzo ładny połów, gdziekolwiek się zacznie, więc systematyczna eksploatacja będzie opłacalna.

Te twoje przeciętne wyniki, Mike, nie majš żadnego znaczenia. - rzekł Campbell. - Co mnie obchodzi, że przeciętna gęstość jest równa czterem kilogramom, gdy znam miejsce, gdzie w rzeczywistości wynosi ona dwadziecia pięć kilogramów? To włanie tam zaczniemy - od bogatego złoza najpierw. - Ze zdumieniem kręcił głowš. - Co fantastycznego - niech to wszyscy diabli. Możemy udokumentować każdy kilogram naszych zasobów, zanim jeszcze zaczniemy. Będš nam jednak potrzebne szczegłowe badania - a ty nimi pokierujesz.

To dla mnie zaszczyt - odrzekłem, a w duchu ucieszyłem się na mył o nowoczesnym wyposażeniu i zaawansowanych metodach, jakie będę mógł zastosować.

Dam ci najwspanialszy statek badawczy, jaki kiedykolwiek zbudowano - z całym szacunkiem dla "Esmeraldy", Geordie. Ale

wtedy nie zechcesz może podjąć się tego. Będziesz bogatym człowiekiem. - Mówiąc te słowa zabrał się do nalewania drinków dla nas wszystkich.

Nie będę, dopóki nie zostaną przeprowadzone badania i nie zacznie się eksploatacja - zauważyłem. - Ale nawet wtedy nie uda ci się odsunąć mnie od prac badawczych.

Przemyślałem tę sprawę - oznajmił Campbell. - Zakładam spółkę akcyjną i rezerwuję pięć procent akcji dla załogi. Trzy procent będzie dla ciebie, Mike, a dwa dla Geordiego, Za dwadzieścia milionów dolarów sprzedam dwadzieścia procent akcji tym dwóm facetom, o których ci wspomniałem, a pięćdziesiąt procent odstąpię rzędowi - któremukolwiek, lub wszystkim - za drugie dwadzieścia milionów.

Na początek rozwiąże to problem kapitału obrotowego.

Tato, wstyd mi za ciebie! - wykrzyknęła Klara. - Nie myśl, że nie umiem dodawać procentów! Zostawiłem dla siebie dwadzieścia procent, a przecież ty nie odkryłeś niczego. Wszystkie twoje dokonania sprowadzają się do wyłożenia nędznego miliona dolarów na tę wyprawę.

Niezupełnie tak, Klaro - powiedział łagodnie. - Jest jeszcze twoja działka - myślę, że będzie to dalsze pięć procent. Mam też pomysły co do pozostałych piętnastu. Przez całe stulecia ludzie tacy jak ja wydobywali z ziemi metale i nie dawali jej nic w zamian. Byliśmy chciwi - cała ludzkość. Jak powiedziałem którego dnia,

zadawaliśmy gwałt tej planecie. - Jego głos nabrał siły. - Teraz
wzięliśmy się za co nowego i nie możemy tego zepsuć tak, jak to
wszystko, na czym położyliśmy nasze chciwe ręce. Zatrzymam pięć
procent dla siebie, oczywiście, lecz pozostałe dziesięć przekażę jakiejś
niezależnej, niekomercyjnej organizacji, która posunie naprzód realiza-
cję moich idei. Należy znaleźć sposób wydobywania tego surowca
z oceanu bez naruszenia środowiska bardziej niż to konieczne, i musimy
dawać co - gdzie - w zamian, w formie rekompensaty.

Jedną jej formę mogę wymyślić od razu - powiedziałem. - Są
również bryłki fosforytowe. Można robić z nich dobry nawóz, lecz
dotychczas nikt nie wymyślił metody czerpania ich na skalę przemys-
łową. Moglibyśmy wydobywać je razem z bryłkami manganowymi,
i w ten sposób zrobić coś dobrego dla rolnictwa.

O to mi właśnie chodzi! - wykrzyknął Campbell. - Trafiła
w sedno: potrzebne są badania. - Zmrużył oczy. - Czy nie zechciałbyś
stać na czele nowej fundacji?

Na miłość boską! Nie wiedziałbym, od czego zacząć. Ja się
nadaję do badań terenowych, nie do administrowania. Potrzebny ci
ktoś taki, jak stary Jarvis.

Nie byłby administratorem - nie marnowałbym na to twojego
czasu. Mógłby zatrudnić menadżerów, ale ty byłbyś odpowiedzialny
za badania.

W takim razie nic mnie nie powstrzyma od podjęcia się tego -
powiedziałem olniony.

To rozumiem. - Podniósł butelkę i przyjrzał się jej krytycznie. - Szkocka już prawie na wykończeniu. Nie szkodzi, dokupimy jej w Suva.

5

Byłem na dole, gdy usłyszałem hałas uruchomionego silnika.

Wyszedłem więc na pokład i zobaczyłem Geordiego przy sterze. Był cichy wieczór bez jednego podmuchu wiatru i moich uszu nie dobiegł żaden dźwięk prócz warkotu silnika, który pchał "Esmeraldę" po spokojnym morzu. - Całe szczęście, że ukryła trochę paliwa - zauważyłem, spoglądając na obwisły żagiel.

Schowałem parę galonów. Zawsze mam uciulane więcej, niż się przyznaję. Miko, jaka jest głębokość wody w Fonua Fo'ou?

Nie wiem, Geordie. Zmienia się z roku na rok. "Pilot" podaje, że mierzona ostatnio w 1949 roku wynosiła około szesnastu i pół

239

metra i w ogóle nie było żadnych ladów wyspy, natomiast w 1941 roku wyspa była, chociaż, jak się zdaje, mniejsza niż opisana w 1939 roku. Mielizna u północnego jej krańca znikła w ciągu tych paru lat.

Nie był z tego zadowolony. - Więc będziemy musieli posuwać się bardzo ostrożnie.

Najpierw opłyniemy tę płyciznę dookoła, Geordie. A poza tym wiemy dokładnie, gdzie powinna się znajdować. W czym więc problem?

Co mi tu się nie podoba.

Co?

Ta pogoda.

Spojrzałem na zachodzące słońce, a potem ku wschodowi. Niebo było bezchmurne i wszędzie panował spokój. - Co jest w niej niedobrego?

Nie wiem - odrzekł. - Po prostu czuję to. Nie podoba mi się to żółte zabarwienie na horyzoncie po północnej stronie. Może zbliża się sztorm.

Jak barometr? - zapytałem.

Wciśz normalnie - nic niepokojącego. Być może gadam trochę jak stara baba.

Zawołał Taffy'ego i przekazał mu ster. - Przyglądaj się cholernie uważnie tej echosondzie, Taffy - powiedział. - Według moich obliczeń, powinniśmy być blisko płycizny - płyniemy już dość długo, Ian, wystaw wachtę. Jeli nie będzie nic przed zmrokiem, to zatoczmy krąg wstecz i znowu wrócimy tu rano.

* Nigdy jeszcze nie widziałem takiego napięcia w jego twarzy i zupełnie nie potrafiłem powiedzieć, dlaczego. Z pewnością, nie miało to nic wspólnego z możliwym pocigiem "Sireny" - nic nie zauważyliśmy i nie mieliśmy powodu przypuszczać, że nas odnajdzie. Pomylałem, że "Sirena" chyba nie czeka przy Falcon Island, jak gdyby był to najbliższy róg ulicy. I chociaż mój zmysł przewidywania pogody nie był ani w przybliżeniu tak czuły jak Geordiego, to jednak też zaliczyłem niejedną sztorm, a nie mogłem dostrzec ani na niebie ani na morzu niczego, co uzasadniałoby wszczęcie alarmu. Nie wywierałem jednak nacisku i w końcu poszedłem spać pozostawiając Geordiego, który

nadal niespokojnie krążył w ciemnościach po pokładzie, prowadząc

"Esmeraldę" po jej nocnej trasie w kształcie pętli.

Poranek przyniósł znów tę samą pogodę, czy może raczej jej brak.

Było cicho, spokojnie i bezwietrznie, gdy zebraliśmy się na pokładzie, by wypatrywać ostrzegającej przed pływającą falą przybojowej, podczas gdy Geordie ostrożnie doprowadził statek do jego ostatniej pozycji z ubiegłego wieczoru, po czym włączył silnik i powoli ruszył naprzód.

Wkrótce zredukował szybkość do mniej niż trzech węzłów. Echosonda

240

wskazywała głębokość stu szesnastu metrów. Campbell i dziewczyny dołączyli do nas, a ich głosy brzmiały nienaturalnie głośno w ciszy poranka.

Dno się podnosi. - powiedział spokojnie Geordie. Tylko pięćdziesiąt sześć metrów. - Jeszcze bardziej przyspieszył przepustnicę silnika.

Czy to Falcon Island? - zapytała Klara.

Prosto przed nami. Mimo to nic nie zobaczysz - odrzekłem.

- Tylko kawałek morza.

Dwadzieścia sześć metrów! - Zawołał Jim stojący przy echosondzie.

Geordie znów wsiadł koło sterowe i powtórzył okrzyk, po czym zaklął nagle. - Co się, u diabła, dzieje?

O co chodzi?

- Nie mogę utrzymać tego starego pudła na kursie.

Spojrzałem na morze, na którym wschodzące słońce tworzyło wietlisty szlak. Woda wydawała się czarna, oleista i tak samo spokojna jak dotychczas, lecz potem spostrzegłem tu i ówdzie niewielkie

wiry i zmarszczki - w nieruchomym poza tym obrazie morza tworzyły widok dziwny i niepokojący. Nie były duże, lecz zauważyłem ich kilka. Czuję, że "Esmeralda" porusza się, lecz zdawała się posuwać raczej w bok niż do przodu. Ponadto co jeszcze oddziaływało na moje zmysły, lecz zupełnie nie potrafiłem tego zidentyfikować.

Geordie najwyraźniej odzyskał już kontrolę nad statkiem. Gdy Jim zawołał "dziesięć sżni", wyłączył silnik i kiedy sunęliśmy coraz wolniej, trzymał rękę na wstecznym biegu, gotów włączyć go w każdej chwili. Jim nawoływał miarowo: "Dziewięć sżni... osiem... siedem..." Przy szeci i pół Geordie wrzucił wsteczny bieg i wskazania echosondy wróciły do poziomu siedmiu sżni. - To jest to - powiedział. -

Dalej nie popłynę. - Jego wyraz twarzy i ton głosu wskazywały, że co go dręczy.

- Czy Bili jest gotów?

Zejdzie na głębokość szeci sżni - jedenastu metrów - nie stanowiło żadnego problemu dla Billa; ubrany w skafander z akwalungiem przymocowanym na plecach, moczył maskę w wiadrze morskiej wody, którą ktoś wciśnął na pokład. Otrzymał już najbardziej podstawowe rozkazy. Miał wziąć ze sobą parę woreczków na próbki i przynieść mi trochę wszystkiego, co zobaczy. Nie spodziewałem się bryłek manganowych, lecz materiał denny zawierający mnóstwo żuźla i muszli byłby dla mnie fascynujący. Oczekiwałem, że Bili wemie kogo ze sobą pod wodę, zgodnie z ogólnie przyjętym "systemem towarzyskim", lecz on wymiał ten pomysł i stwierdził, że woli

nurkować sam.

- Towarzysz jest najbardziej potrzebny na powierzchni - powie-

241

16 - Noc błędu

dział, obalając za jednym zamachem większość moich poglądów na

ten temat. - Tam na dole szybko traci się orientację, nawet w tak

czystej wodzie jak ta, i przez połowę czasu jeden nie widzi drugiego.

Spuciliśmy więc na wodę mniejszą szalupę, z której Bili miał

zanurkować do morza. - To nie potrwa długo - obiecał Geordiemu,

byłem więc pewny, że mniej więcej za godzinę będziemy mogli

odpłynąć.

Kiedy Bili był już gotów zejść do łódki, nagle zatrzymał się,

wciśgnął nosem powietrze i zauważył: - Kto tu nie wyprał sobie

skarpetek.

To właśnie był ten bodziec, który drażnił moje zmysły, a rozpoz-

nanie go zaniepokoiło mnie jeszcze bardziej. W powietrzu unosiła się

mocna woń siarki. Przez chwilę patrzyliśmy z Geordiem na siebie, po-

czym zapytał: - Siarka, Mike?

- No cóż, to region wulkaniczny - odrzekłem. - Przypuszczam,

że tu zawsze trochę miedzi.

Jim odezwał się, wskazując na horyzont: - Prawie już widać

w powietrzu, panie szyper. - Niebo nisko nad widnokretem janiało

od brzasku, lecz miało jakiś dziwny, żółty odcień.

Bili był teraz w łódce, razem z Jimem i Rexem Larkinem, którzy

chwycili wiosła, by odpłynąć kilka metrów od "Esmeraldy". Usiadł na ławeczce, a kiedy ostatecznie dopasował sobie maskę, zrobił tradycyjny znak palcami i wskoczył do wody przewrotem w tył. Włanie zniknął nam z oczu, gdy Geordie krzyknął chrapliwym głosem: - Bili!

Zatrzymajcie go! Nie dajcie mu zanurkować!

Było za późno. Kilka głów odwróciło się i utkwili wzrok w Geordiem, który z poszarzałym nagle twarzą borykał się z kołem sterowym.

Jednocześnie dobiegł nas szmer rozmów ludzi stojących na dziobie i przy poręczach.

- Na miłość boską, kręcimy się w kółko! - powiedział Geordie, a ja zrozumiałem, co ma na myśli.

"Esmeralda" wirowała! Jej dziób przesunął się, zakrelając pełne koło na tle horyzontu niezbyt szybko, lecz w sposób wiadczący o sile olbrzymiego wiru, który pochwytał statek w swe obroty. Jednocześnie zobaczyłem ciemniejszy ku górze słup mgły, który jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej podniósł się z morza w odległości mniej więcej kilometra od nas. Rozległy się alarmujące okrzyki ludzi, a ja przywarłem do słupka, aby mieć jakie oparcie podczas tego wirowania.

Ale ustało ono niemal tak nagle, jak się pojawiło, i "Esmeralda" kołysała się teraz jak pijana, odzyskując jednak stopniowo równowagę, za tuman mgły kłębił się przed dziobem po prawej. Spostrzegłem, że

242

niewielkie wiry pojawiają się i znikają na niespokojnej powierzchni morza, a odór siarki stał się gryzący. Posłyszałem, że Geordie co

krzyczy, lecz w tym właśnie momencie tak mi dzwoniło w uszach, że jego głos wydał się słaby i odległy. Potrzebowałem więc głosu, by pozbyć się tego dzwonienia.

- Ian! To cholerny pech, ale musimy rzucić kotwicę! Stracimy bączek i Billa, jeśli zaczniemy dryfować.

W tej samej niemal chwili usłyszałem grzechot łańcucha w kluzie kotwicznej i "Esmeralda" została przytwierdzona do płytkiego dna. Mogłem sobie wyobrazić, jak niechętnie Geordie zdecydował się powieścić swój cenny ruchliwość, lecz oczywiście było to niezbędne dla utrzymania stałej pozycji. Łódka kołysała się mocno i zauważyłem, że rzucono im linę, prawdopodobnie po to, by nie stracić z nimi kontaktu. Campbell wpadł na mnie, gdy obróciło nas wokół łańcucha kotwicznego, a Geordie zawołał: - To nie wystarczy - uderzymy w bączek! Musimy szybko wyciągnąć Billa! - Jednakże Bili zanurkował swobodnie, bez liny, i nie było chyba żadnego sposobu, by tego dokonać. Zobaczyłem, że paru ludzi spuszcza motorową szalupę, i domyśliłem się, iż Geordie postanowił, by osada bączka przeszła na łód bardziej nadającą się do pływania po morzu, zostawiając mniejszą łódkę na holu.

Jak długo będzie on tam jeszcze siedział pod wodą? - zapytałem, wpatrując się w morze za burtą. Cała powierzchnia wody marszczyła się i zaczynała się burzyć.

Niedługo - odparł Geordie z napięciem w głosie. - Gdy tylko pokaże się na powierzchni, zaraz go wyciągniemy. Przy odrobinie

szczenia powinno być tam na dole na tyle niespokojnie, by go to skłoniło do szybkiego wynurzenia się. Dzięki Bogu jest płytko - przynajmniej nie będzie miał kłopotów z dekompresją.

Co się dzieje? - Głos Campbella zabrzmiał tak, jakby pytanie to zadawał już kilka razy.

Poczekaj chwilę, wyjanę później - odpowiedziałem. Jak zahipnotyzowany wpatrywałem się w słup wynurzający się z morza. Nie było słycać prawie żadnych odgłosów, lecz słup ten stawał się coraz ciemniejszy; otaczał go biały obłok, podobny do dymu z płonącego oleju, i nie miałem żadnych wątpliwoci, że jeli nawet pod wodą nie będzie żadnych zaburzeń, to wystąpi inne zjawisko, które równie skutecznie skłoni Billa do wynurzenia się na powierzchnię - temperatura morza będzie wzrastać, choć nie do punktu wrzenia, przynajmniej nie tutaj, jednakże o kilka stopni powyżej normalnego poziomu. Wiedziałem, że patrzę na początek wybuchu

243

podwodnego wulkanu i serce biło mi tak mocno, jakby miało rozsadzić klatkę piersiową.

Geordie odgadł także, a i przez załogę przebiegł szmer zrozumienia. Usta Campbella otworzyły się, a jego ręka opadła z mojego ramienia. Nasze oczy przeszukiwały wodę w pobliżu statku, z niepokojem wypatrując pojawienia się nurka, a rzucane spod oka spojrzenia dostarczały nam informacji o nasilającej się aktywnoci wulkanicznej na horyzoncie. "Esmeralda" nadal kołysała się trochę

za mocno, lecz nie mieliśmy poczucia, że jej stabilność jest za-

chwiana. Wtem co wynurzyło się na powierzchnię niedaleko od

błeczka.

- To on! -- Zawołał Danny, wskazując palcem.

Patrzyliśmy, jak dwóch mężczyzn nadal znajdujących się w błeczku

wcisną Billa na ławkę, a motorowa szalupa czeka w pobliżu, by

przyholować ich do statku, gdy nagle co zupełnie nieoczekiwanego

zakłóciło przebieg tej akcji.

- Statek z prawej! - Krzyknął Taffy Morgan.

Odwróciłem się z niedowierzaniem i pobiegłem przez pokład,

potrącając kogo po drodze. Z dymu i pary, którą wiatr niósł nad

morzem wprost na nas, zasłaniając już niemal do ostatniej chwili,

wynurzył się kadłub pędzącej ku nam "Sireny".

Jej reje były ogołoczone z żagli; napędzana silnikiem, sunęła prosto

na "Esmeraldę". Widziałem liczne sylwetki ludzi na pokładzie i spię-

rzoną falę dziobową, kiedy zbliżała się do nas.

- Niech to diabli! Jesteśmy tu uwiśzani na rze - powiedział

Campbell ze zjadliwym niedowierzaniem.

Geordie wbiegł na pokład. - Zwolnić ten cholerny łańcuch! -

wrzasnął.

Nie starczyło już jednak na to czasu. "Sirena" była tuż przy nas,

i w swym strasznym ataku, całkowicie polegając na zaskoczeniu,

zmniejszyła szybkość dopiero w ostatniej chwili, by niezbyt umiejętnie

skręcić równoległe do naszej burty. Nie wykonała pełnego zwrotu i jej

bukszpryt uderzył w "Esmeraldę" jak monstrualny rapier. Rozległ się ogłuszający trzask, kadłub naszego statku zadrżał i pochylił się na bok. Rzuciło mnie na Geordiego i obaj wpadliśmy w plłtaninę własnych kończyn. Gdy bez tchu gramoliłem się na nogi, jak przez mgłę, dostrzegłem, że reja "Esmeraldy" wplłstała się w wanty "Sireny". Ramirez nas staranował. Chaos był nie do opisanania.

Usłyszałem ryk gniewnych głosów, na pokład wlał się potok ludzi z "Sireny", i w tym niesamowitym żółtym wietle zobaczyłem błysk noży.

Rozdział ósmy

1

Walka była krótka i zaciekła.

W ułamku sekundy, zanim wpadli na nas, ujrzałem niedowierzająco twarz Campbella, jego usta otwarte ze zdziwienia. Potem Geordie ryknął: - Stać razem, chłopcy! - i starłem się z jakim krzepkim drabem, trzymającym długi i złowieszczo połyskujący nóż.

Gdyby uderzył od dołu, mógłby mi rozpruć brzuch, lecz on zamierzał zadać z gruntu błędny cios znad głowy. Zobaczyłem opadającą rękę, chwyciłem go za nadgarstek i pociśgnłem. Ta nieoczekiwana pomoc sprawiła, że stracił równowagę. Wykonałem zręczny odskok, bardziej pasujący do sali tanecznej niż do pola walki, wykręciłem mu rękę i popchnłem. Zatoczył się do cieką pokładowego, a jego nóż ze stukiem upadł na pokład.

Rozejrzałem się dokoła - panowało ogólne zamieszanie. Ledwo

miałem czas odróżnić przyjaciela od wroga, gdy zaatakowano mnie ponownie. Poczulem palšce zimno wzdułż żeber, gdzie dostałem cios nożem, i w desperacji uderzyłem z ukosa kantem dłoni w zamglonš postać przed sobš. Usłyszałem zdławione gulgotanie i cień zniknšł - miałem nadzieję, że strzaskałem mu krtań.

Zachwiałem się, chwyciłem wantę, aby utrzymać się na nogach, a kiedy tak zataczałem się po pokładzie, zobaczyłem, jak Campbell pada pod strasznym ciosem kołka do mocowania lin - a potem ujrzałem łatwe do rozpoznania ogromne cielsko Jima Hadleya. Trzymał Klarę, wykręcajšc jej rękę za plecami, a ona krzyczała z bólu. Nie słyszałem jej głosu z powodu panujšcego zgiełku, lecz widziałem jej szeroko otwarte usta i wyraz przerażenia w oczach. Miałem włanie rzucić się ku niej, gdy rozległ się grzechot strzałów i na chwilę wszystko jakby zastygło. Skorzystałem ze sposobności, by ryknšć: - Przerwać walkę! Na miłoć boskš, przerwać walkę!

245

Wrzask wybuchł znowu, ale zaraz uciszyła go nowa strzelanina. Jaki głos zawołał: - Bardzo mšdrze, mister Trevelyan! - Potem nastšpił gwałtowny potok hiszpańszczyzny, za którym nie udało mi się nadšżyć - byłem zbyt oszołomiony. - Dosyć tego, chłopcy! - krzyknšłem. - Oni majš Klarę!

Zostalimy pokonani w niecałe trzy minuty.

Wszystko ustało równie nagle, jak się zaczęło. Palšcy ból wzdułż klatki piersiowej odczuwałem jako najmniej ważnš dystrakcję, kiedy

spoglądałem na pokład. Wydawało się, że wszędzie jest pełno Hiszpanów, daleko więcej niż nas, a trzech mężczyzn leżało bez ruchu. Ramirez kroczył ostrożnie po pokładzie, a tuż za nim szło dwóch uzbrojonych mężczyzn. Miałem jeszcze czas się zastanowić, skąd wziął nowy transport broni, po czym stanął przede mną. - Spotkaliśmy się w innych okolicznościach, mister Trevelyan - zauważył z kpiącym umiechem.

Zignorowałem go. - Czy nikomu nic się nie stało?

Usłyszałem cichy pomruk, a potem Taffy, blady pod opalenizną, podniósł wzrok znad jednego z ciał, leżących twarzą w dół na pokładzie. - Zabili Danny'ego - powiedział spokojnym głosem.

Przekrzykując narastający gwar, wrzasnąłem: - Uspokójcie się!

Spójrzcie na Hadleya!

Zapadła głucha cisza. Hadley zmusił Klarę, by uklękała; trzymał jej prawą rękę wykręconą za plecami, a w drugiej dłoni miał ciężki pistolet, wycelowany w jej kark. Ramirez stał przede mną, kiwając głową z uznaniem.

Jest pan rozsądny, mister Trevelyan. Przegrał pan i wie pan o tym.

Powiedz mu, żeby już pocił.

Za chwilę. - Podszedł do Geordiego, który patrzył na niego

beznamiętnie. - Ach, dzielny mister Wilkins. Powiedziałem ci, że

pewnego dnia będziesz żałował tego, co zrobiłeś. - Podniósł rękę i na

odlew uderzył Geordiego w twarz. Piercień na jego palcu ciśnięto głęboko

i z ust Geordiego zaczęła ciec krew. W milczeniu splunął na pokład.

Campbell jęknął i próbował się podnieć. Ramirez szedł do niego i przyglądał mu się z dziwnym wyrazem twarzy. Można by pomyśleć, że widok klęski starego przeciwnika nie sprawił mu wielkiej satysfakcji. - Dalej, stary. Wstawaj! - rzucił szorstko.

Campbell podniósł się trochę i upadł znowu.

Ramirez parsknął ze zniecierpliwieniem. Wskazał na Taffy'ego, nadal skulonego nad ciałem Danny'ego. - Ty - przenie tego staruszka do salonu.

246

Taffy i Ian dwignęli Campbella między sobą. Wydawało się, że co jest nie w porządku z jedną stroną jego ciała - jak gdyby miał sparaliżowaną nogę. Gdy podniósł głowę, zobaczyłem paskudną krwawą plamę na jego lewej skroni, i na ten widok poczułem w gardle dławiącą wciekłość.

Ramirez skinął na Geordiego jego pistoletem. - Ty też - do salonu. I mister Trevelyan, pan także, proszę. Nie możemy o panu zapominać.

Lufa karabinu szturchnęła mnie w plecy i chcąc nie chcąc poszedłem w stronę zejścia pod pokład. Obejrzałem się i zobaczyłem, że Hadley postawił Klarę na nogi i popchnął ją naprzód. Zastanawiałem się, gdzie jest Paula.

Zanim wtłoczono nas do salonu, zostaliśmy brutalnie zrewidowani.

Mężczyzna, który to robił, nie był zbyt delikatny i zaparło mi dech

z bólu, gdy trścił ręką ranę w moim boku. Tylko wyszczerzył zęby w umiechu, ale był to raczej przejaw bezmyślności niż sadyzmu; w tym momencie przyszło mi na myśl, że ci ludzie reprezentują chyba minimum możliwości umysłowych - byli przeważnie posłusznymi marionetkami, niczym więcej. Pomyślałem, że to mogłoby być użyteczne, i sam byłem zaskoczony tą myślą.

W salonie pomogłem Taffy'emu położyć Campbella na kozetce i zapytałem półgłosem: - Jesteś pewny, że Danny nie żyje?

- Tak - odparł krótko. - Pchnęli go nożem w płuca. O Boże, niech ich cholera!

Spojrzałem na Campbella. Miał oczy otwarte, lecz jego renice były zogniskowane. - Szef dostał paskudny cios w głowę - powiedziałem, usiłując nadać swojemu głosowi ton normalnej konwersacji. - Ian, znajdziesz trochę, wody w szafce z napojami.

Rozejrzałem się, szukając Klary, i zobaczyłem, że idzie ku mnie.

Hadley pocił ją - była bardzo blada, lecz zupełnie opanowana.

Nasze dłonie spotkały się na chwilę i od razu zauważyła krew na swoich palcach. - Mike, jeste ranny!

- To drobiazg. Może poczekać. Lepiej zajmij się najpierw ojcem.

Podeszła do niego i zaczęła obmywać mu twarz kawałkiem materiału umoczonego w kubku z wodą, którą przyniósł jej Ian.

Do salonu wprowadzono Paulę. Jej strażnik popchnął ją brutalnie, po czym stanął przy drzwiach, z karabinem skierowanym w nas. Paula potknęła się i niemal upadła, a ja chwyciłem jej rękę, by dopomóc

w odzyskaniu równowagi. - Paulo, czy nic ci nie jest?

- Myślę, że nic - sapnęła. - Wciśz mam jeszcze całś skórę. -

Obejrzała się dookoła, a potem dodała ciszej: - Mike, widziałam, jak

247

zamykali dwóch naszych ludzi w ładowni na liny - przyholowali też motorowś szalupę.

- Chryste - powiedział Geordie. Obtarł sobie usta wierzchem

dłoni i bez zdziwienia popatrzył na krew. Policzył co szybko na

palcach i rzekł: - Ci dwaj na pokładzie to musieli być Shorty i Davie

Blake - reszta z nas jest tutaj, albo...

Paula przerwała mu. - Nick Dugan i młody Martin byli w szalupie.

Widziałam ich obu. O innych nic nie wiem.

Tylko oni dwaj byli w łódce i nic dziwnego, że Ramirez ich

zauważył i zgarnśł. Jednak pozostali jeszcze Jim i Rex Larkin, oraz

Bili Hunter. Poczulem słaby przypływ nadziei - czyżby Ramirez ich

przeoczył? A jeli tak, to czy mogli ukryć się w tym zamglonym,

niespokojnym morzu? Geordie i ja wymieniliśmy spojrzenia, a potem

szybko odwróciliśmy wzrok.

Przeszedłem do Taffy'ego, który pomagał Klarze, i zacząłem mu

asystować. - Wyglśda na to, Taffy, że to jest przyjęcie oficcerskie.

Lepiej sied cicho, jeli nie chcesz dołśczyć do pozostałych chłopców -

sś w ładowni linowej.

Kiwnśł głowś. - Będzie dobrze - odrzekł i potarł kark osobliwym

gestem, jak gdyby został tam zraniony.

Jeden z mężczyzn ze strzelbami powiedział po hiszpańsku: - Nie rozmawiać! Wszyscy milczeć! - Udałem, że nie rozumiem, i zacząłem co mówić, lecz tym razem gest, który towarzyszył wydawanemu ponownie poleceniu, był jednoznaczny więc zamilkłem. Miałem teraz czas na ocenę sytuacji.

Ani Ramirez, ani Hadley nie weszli z nami do salonu - było tylko dwóch uzbrojonych strażników. Nas było siedmioro, a w ładowni linowej zamknięto prawdopodobnie czterech mężczyzn. Danny leżał martwy na pokładzie - ledwo mogłem się zmusić do myślenia o tym - a trzech, przy odrobinie szczęścia, było nadal na wolności.

Postanowiłem zaryzykować.

- Będziecie zupełnie w porządku, jeśli dacie nam rozmawiać - powiedziałem najlepszą hiszpańszczyznę, na jaką potrafiłem się zdobyć. - Mister Ramirez pozwoli na to.

Spojrzeni na siebie i jeden z nich wzruszył ramionami. Moje przypuszczenie okazało się trafne - byli tak przyzwyczajeni do otrzymywania rozkazów, że wydane z władczą miną polecenie przyjęli nawet ode mnie. Zwróciłem się do Geordiego i powtórzyłem mu po angielsku to, co przedtem powiedziałem strażnikom. Zwracałem przy tym baczną uwagę na ich karabiny, lecz stwierdziłem z ulgą, że tym razem nie dali żadnego znaku, mającego powstrzymać nas od rozmowy.

248

Co teraz będzie? - zapytał Geordie.

Nie mamy na to wpływu. Następny ruch należy do Ramireza i wolę nie myśleć, jaki będzie. Niewiele możemy zrobić, dopóki oni są tutaj. - Nieznacznie poruszyłem głowę w stronę strażników.

Siedmioro tutaj, czterech na dole - mruknął Geordie. Wykonał te same obliczenia, co ja. - I trzech - gdzie.

Spojrzałem na Campbella, który zdawał się przychodzić do siebie. - To cholerna banda morderców i sukinsynów, prawda?

Szkoda, że nie pozwoliłem Jimowi wywalić dziury w dnie "Sireny" - powiedział ze złością Geordie.

Pobożne życzenia nic nam teraz nie pomogą. Najbardziej martwi mnie myśl, że oni w taki właśnie sposób mogą postąpić z nami. Potrząsnął głową z rozdrażnieniem i zapadła cisza. Klara podeszła do mnie, rozpięła mi koszulę i zabrała się do opatrywania rany, która na szczęście okazała się jedynie powierzchownym zadrażnieniem, chociaż bolała bardziej, niżby się należało spodziewać. Dziękowałem Bogu, że w niemal wszystkich pomieszczeniach statku mieliśmy małe apteczki pierwszej pomocy. Gdy pracowała, poczułem, że jej ręce trochę drżą, więc wziłem je w swoje dłonie, starając się już uspokoić, ale próba ta nie była zbyt udana.

Z pokładu ciśgle dobiegały odgłosy bieganiny i okrzyki, Ian z namysłem spojrzał w stronę pokładówki. - Myślę, że mają kłopot, panie szyper. Tam na tropie masztu wszystko się cholernie poplątało. Było to całkiem korzystne. Im dłużej potrwa rozdzielanie statków, tym więcej będziemy mieli czasu na wymyślenie jakiego sposobu

wydostania się z tarapatów. Spojrzałem na strażników i odczułem przyływ depresji. Wyglądali tak, jakby za dwie pesety zabili własne babcie, i z pewnością zastrzeliliby nas bez żadnych skrupułów, gdybyśmy tylko spróbowali co zrobić.

Prawie przez godzinę nic się nie działo. Czas ten pożytkowaliśmy na uzyskanie paru niewielkich korzyści: wszyscy osiągnęliśmy nieco wyższy poziom panowania nad sobą, a Campbell dzięki Klarze trochę się pozbierał. Doznał on dość poważnego wstrząsu - miał zaburzony mowę, aczkolwiek zdawał się myśleć dość jasno.

Przłęte skinsyny - powiedział niewyranie. - Dlaczego pdaliacie, Mikę?

Hadley schwytał Klarę - odrzekłem krótko.

Haa - westchnął i opadł w tył na leżankę. - Pniem zostawić ją w domu - mrucał. - Kiedy nie słuchaj kobiety, Mikę. - Zamknął oczy i odwrócił głowę, za Klara i ja wymieniliśmy nad jego głową zatroskane spojrzenia.

249

To moja wina - wybuchnął Geordie. - Powiniennem trzymać chłopców w ryzach. Powiniennem wystawić warty. Nie powinniśmy dać się tak zaskoczyć.

Zamknij się, Geordie - przerwałem mu. - To nam nic nie da.

Nikt nie jest winny - nikt z nas. My nie szukaliśmy kłopotów.

Tak - powiedział łagodnie Ian. - Za to wszystko jest

odpowiedzialny Ramirez.

Wkrótce rozległo się stukanie do drzwi i jeden ze strażników otworzył je. Kštem oka spostrzegłem, że Taffy wliźnł się w róg salonu, na pół ukryty za kozetkę, po czym wszedł Ramirez, elegancki jak zawsze. - Mam nadzieję, że wam tu wygodnie - zagadnął z troską.

- Nie bądź taki miły - powiedziałem bez ogródek. - Jaki będzie twój następny ruch, co, Ramirez?

Umiechnął się, jakby się cieszył z jakiego wspaniałego żartu.

- No cóż, muszę cię komu przedstawić - oznajmił.

Wyjrzał na korytarz i skinął na kogo. Odwrócił się do mnie i rzekł: -- Mówiłem ci kiedy, że nie powiniene wygłaszać oszczerczych twierdzeń, których nie potrafisz uzasadnić.

Mężczyzna, który wszedł do salonu, był mniej więcej mojego wzrostu, miał ciemne włosy i dużą brodę. W jednej ręce trzymał mój notes laboratoryjny.

- Wasz stary przyjaciel. - powiedział Ramirez. - Myle, że wszyscy znacie pana Marka Trevelyana.

2

Kiedy spojrzałem w oczy Marka, miałem wrażenie, że serce stanęło mi w piersi, opuszczając pełne trzy uderzenia, i poczułem, że włosy jeżdżą mi się na karku. Nieczęsto staje się wobec zmarłego człowieka - a zwłaszcza zmarłego brata.

Usłyszałem taki dźwięk, jak gdyby wszyscy w salonie wypucili

długo wstrzymywany oddech, po czym zapadła zupełna cisza. Pierwszy odezwał się Ian..- To facet, którego spotkałem..

Głos zamarł mu w krtani, gdy Mark zwrócił na niego oczy. -

Ach, Ian Lewis. A więc to ty mnie ršbnšle, nieprawdaż? - zapytał uprzejmie, po czym jego głos stwardniał: - Lepiej by zrobił, ty szkocki wieniaku, gdyby nie ruszał się ze swej góralskiej chałupy.

Wszystkie wydarzenia z ostatnich paru miesięcy nagle się przemieniały jak szkiełka w kalejdoskopie, tworząc zupełnie nowy obraz. Nic

250

dziwnego, że Ian nie poznał brodatego mężczyzny, na którego się natknął podczas naszego wypadu na "Sirenę" - ostatni raz widział Marka jako chłopca. Ja mógłbym go rozpoznać, lecz nie zadałem sobie tyle trudu, by mu się przyjrzeć. Tamtej nocy w Nuku'alofa nie szukaliśmy zmarłego człowieka.

Rozejrzałem się dookoła. Wyraz twarzy obecnych był mieszaninš zdumienia i witajšcego powoli zrozumienia. Klara obrzuciła Marka długim, badawczym spojrzeniem, potem prychnęła pogardliwie i odwróciła się do swego ojca. Campbell wzišł jš opiekuńczo za rękę, ani na chwilę nie spuszczałš oczu z Marka. Nie mówił nic.

Ian był wciekły i okazywał to, podczas gdy Geordie tylko przypatrywał się z namysłem Markowi spod zmarszczonych brwi.

Paula zrobiła nagły ruch, jakby chciała podejć do niego, lecz cofnęła się i ukryła w cieniu za plecami Geordiego. Taffy nie pokazał się w ogóle.

Mark patrzył na mnie. - Hello, Mike - odezwał się chłodno.

- Mark, na miłość boską... ja...

Był opanowany i spokojny, podczas gdy ja nie ochłonłem jeszcze z wrażenia. Podniósł rękę, w której trzymał notes i jakie papiery. -

Trochę poszperałem w twoim laboratorium. Bardzo to uprzejmie z twojej strony, że wykonała za mnie wstępne badania. Sam nie zrobiłbym tego lepiej.

Rzucił papiery na stół.

Ian spojrział na niego z ponurą wciekłością w oczach. - Szkoda, że nie uderzyłem cię trochę mocniej - rzucił szorstko.

Mark umiechnął się do niego, lecz nie odrzekł nic. Wziął znowu mój notes i przekartkował go jedną ręką. - Zdaje się, Mike, że nam się udało. Mogłoby w tym być miliardy dolarów, nie sądzisz? Szkoda, że straciłem tyle czasu, ale nie przejmuj się, oszczędziła mi trochę pracy.

- Jesteś sukinsynem, Mark - powiedziałem przez zaschnięte gardło.

- Ach, daj spokój, Mike. Czy aby nie oczerniasz matki?

Rozejrzał się dokoła. - I kogo tu mamy? No tak, Wilkins! Jak tam teraz w Tyneside, Geordie?

Geordie okazał swój odrazę. - Trochę czyciej niż w tym salonie.

- Lubimy sobie czasem pozartować - zauważył swobodnie

Mark. - A to mój drogi dawny szef, mister Campbell, pokonany wojownik - i Klara. Przykro mi, Klara, że się tu znalazła.

Nie spojrzała na niego i nic nie odpowiedziała. Zirykowało to

Marka, który ze złościś wzruszył ramionami, odwrócił się i zrobił parę

kroków, by zajrzeć za Geordiego. - A któż to jest ta młoda dama,

251

która siedzi w cieniu? - zapytał. - Nie wiedziałem, Mikę, że tak

lubisz damskie towarzystwo.

Okrężył stół i nagle zatrzymał się. Twarz mu bardzo zbladła. -

Paula! - szepnął. - Zwrócił się gwałtownie do Ramireza. - Nie

powiedziały mi, że ona jest na tym statku.

Ramirez wzruszył ramionami. - Po prostu jeszcze jedna kobie-

ta - odezwał się lekceważąco. Przez chwilę obaj przeszywali się

wzrokiem pełnym nienawici, a ja uzyskałem pewien wgląd w ich

wzajemne relacje.

Paula podniosła się z miejsca. - Mark - ach, Mark! Myślałam,

że nie żyjesz. Dlaczego nie przyszedłeś do mnie? Dlaczego mi nie

zaufałeś?

Ramirez zamięł się cicho.

Mark rzeczywiście wydawał się zakłopotany. - Jest mi naprawdę

przykro - powiedział. - Wielka szkoda, że znalazła się na tym

statku. - Zrobił dziwny gest, jakby jś czy wymazywał, a mnie zimny

dreszcz przebiegł po plecach. Tym jednym nagłym ruchem odrzucił

nas wszystkich - stał z tego wiata.

Paula postępiła krok naprzód. - Ale Mark, ja...

Ramirez warknął co krótko po hiszpańsku i jeden ze strażników

skierował w jej stronę lufę karabinu. Znaczenie tego ruchu nie

pozostawiało żadnych wątpliwości.

Paula stanęła jak wryta i patrzyła na Marka z przerażeniem.

Zamrugał oczami i odwrócił wzrok, a ona powoli opadła na fotel

i ukryła twarz w dłoniach. Usłyszałem szloch, który niś wstrząsnął,

i zobaczyłem, jak Klara podchodzi do niej i otacza jej plecy ramieniem.

Zmusiłem się, żeby mówić spokojnie. - Wszyscy myleliśmy, że

nie żyjesz. Dlaczego oszukiwałe?

- Musiałem umrzeć - odrzekł. Ożywił się - zmiana tematu

pozwołała mu nie myśleć o Pauli. - Szukała mnie policja i trochę za

bardzo deptała mi już po piętach, więc było mi wygodnie umiercić

siebie samego.

Nagle uwiadomiłem sobie innš ponurš prawdę. - To ty zabiłe

Svena Norgaarda!

Zwrócił się ku mnie. - Co innego mogłem zrobić? - zapytał,

jakby się bronił. ~ Ten cholerny głupiec chciał publikować. On

i jego przekłeta uczciwoć naukowa! Chciał dać za darmo to wszystko,

miliardy dolarów, które naležš do mnie - do mnie, słyszysz? To ja

dokonałem tego odkrycia, prawda? - Zamilkł, a potem dodał cicho: -

Musiałem go zabić.

Zapadła martwa cisza - wszyscy utkwiliśmy wzrok w tym

252

przerażającym wcieleniu maniakalnego egocentryzmu, jakim był mój

brat. On za wyprostował się i powiedział: - A potem umierciłem

siebie. Policja nigdy nie będzie szukać zmarłego mordercy. Czy to nie

było inteligentne posunięcie z mojej strony, Mike?

- To było idiotyczne - odrzekłem stanowczo. - Ale ty zawsze byłeś głupi.

Z nagleś pasjš trzasnšł pięciš w stół, aż wszyscy obecni wzdrygnęli się, z wyjštkiem Ramireza, który obserwował go niewzruszony i beznamiętny. - To nie było głupie - ryknšł. - To był cholernie dobry pomysł! Ale wokół siebie mam kretynów, którzy wszystko partaczš.

Takich jak Kane i Hadley - podsunšłem.

Słusznie, takich jak oni - zgodził się, nagle znów spokojny. -

Ci cholerni głupcy wymylili zapalenie wyrostka, co takiego! Mógłbym zabić tego wariata Hadleya - nie było żadnej potrzeby wymyślania dodatkowych szczegółów.

Jestem pewny, że mógłby - powiedziałem. - Ale włanie ty to spartaczył. Powiniene dokładnie im wytłumaczyć, co majš mówić.

Po raz pierwszy zdradził się ze swym brakiem autorytetu. - Nie miałem z tym nic wspólnego - rzekł ponuro. - To załatwiał Ernesto.

Spojrzałem z ukosa na Ramireza. - Więc on jest także partaczem?

Ramirez umiechnšł się sardonicznie, a Mark nic nie odpowiedział.

Spartaczył znowu, - cišgnšłem - kiedy Hadley wypucił z ršk twoje papiery i bryłki. Powiniene wzišć je ze sobš - to było le zaplanowane.

A jednak odzyskali je.

Niezupełnie. Została mi jedna bryłka - i miałem twój pa-

miętnik.

Zareagował na to atakiem dzikiej furii, potem uspokoił się

i w zamyleniu pokiwał głową. - Miałe szczęście. Czy go odczytałe?

O tak - odrzekłem niedbale. - Zupełnie prosty szyfr. -

Obserwowałem, jak znowu dławiał się gniewem, kiedy punkt po

punkcie robiłem wszystko, żeby podkopać jego pewność siebie. Potem

nagle rozemiał się.

To szaleniec, ten Hadley. Ale tak czy owak mylelicie, że nie

żyję. I cała winę składalście na biednego* Ernesta. To naprawdę

zabawne.

Ramirez, który dotąd niedbale opierał się o cianę, nagle wypros-

tował się, a jego twarz przybrała chłodny wyraz. - Ta rozmowa nie

ma sensu - owiadczył krótko. ^

- Pozwól mi się trochę pobawić, stary. - powiedział Mark. -

253

Nie często trup może być na ledztwie w swojej sprawie. Mam z tego

dużo frajdę.

Ramirez spojrział na niego pogardliwie. - W porządku. To nie

robi żadnej różnicy. - Wiedziałem, że tylko czeka na wiadomość, iż

jego załoga rozdzieliła oba statki, a wtedy zrobi to, co zamierza -

i zdawałem sobie sprawę, co to będzie.

Potarłem ucho - wydało mi się, że co się stało z moim słuchem,

gdyż głos Ramireza wibrował w dziwny sposób. Statek skrzypiał

i kołysał się niespokojnie, więc przez chwilę zastanawiałem się, co

naprawdę dzieje się na zewnątrz. Jednakże zależało mi też na tym, żeby słyszeć, co ma do powiedzenia mój brat, toteż odsunąłem na dalszy plan niepokojące mnie myśli.

- ledztwo w mojej sprawie - powiedział znów Mark. -

Rozwińmy ten interesujący temat.

- Tak, zrobmy to, - niespodziewanie odezwał się Campbell.

Odwróciwszy się zobaczyłem, że usiadł wyprostowany na kozetce

i ruchem ręki odprawił Klarę i Iana. - Zrobmy to - powtórzył

i zauważyłem, że jego głos jest silniejszy, a mowa bardziej wyrana. -

Pomówmy o spaleniu szpitala, o zamordowaniu lekarza i czternastu jego pacjentów.

Mark drgnął. - Ja tego nie zrobiłem. To znowu Hadley.

Znowu Hadley - powtórzyłem z gryzącą ironią. - Wydajesz się równie czysty i niewinny jak ten kumpel Hadleya, Kane.

Pozwoliłem, żeby uszło mu to na sucho - dodał nieubłagany Campbell.

Nie miałem z tym nic wspólnego. O pożarze dowiedziałem się dopiero po fakcie. To człowiek, który nie podporządkuje się nikomu.

Ramirez podchwycił moją nierozważną wzmiankę o Kanem i przyglądał mi się badawczo. Jego umysł istotnie funkcjonował bardzo sprawnie.

- Znowu pan rozmawiał z Kanem, mister Trevelyan? Miał zgłosić się do mnie w Nuku'alofa, ale go tam nie widziałem.

Starałem się zrobić jak najlepszy użytek ze swego mimowolnego wygadania się. - Tak, rozmawialiśmy z nim. Dużo nam powiedział -

wystarczy, by skazać wielu z was, więc, Ramirez, myślę z pewną troską o tym, co planujesz.

- Wolno zapytać, gdzie on jest?

- Tam, gdzie go nie znajdziecie. Gotów jest już wszystko wypiewać.

Wyglądał na pogrążonego w myślach i przez chwilę nie mówił nic, za Campbell, dostrzegając cień nadziei, szybko skorzystał z okazji.

- Co planowalście zrobić z nami? Chyba rozumiesz, że w tej sytuacji to nic nie da.

254

Mówisz głupio - odparł Ramirez. Mark dał spokój wszystkim swoim przechwałkom i obserwował nas zafascynowany. On sam zaszokował nas, ale nie wywarł wielkiego wrażenia, teraz za sprawy brały obrót, który mu nie odpowiadał. Powoli stawało się dla mnie oczywiste, że wbrew niemal patologicznemu pozerstwu Marka, silniejszy z nich dwóch i potencjalnie niebezpieczny jest Ramirez.

Zadecydowałem, że nie możesz zostawić nas przy życiu, nieprawdaż? - zapytał Campbell. - Nie powinniśmy od was oczekiwać jakiegokolwiek wspaniałomyślności. Już zabilicie jakie siedemnacie osób - następny tuzin, czy co około tego, nie zrobiłby żadnej różnicy. Ale to nie ujdzie wam na sucho. Poczyniliśmy pewne kroki w celu zabezpieczenia się, a poza tym, Ramirez, twoja własna załoga wcześniej czy później sama będzie mówić o wszystkim.

Była to miała próba i nigdy nie podziwiałem Campbella bardziej

niż wtedy.

Ramirez odrzucił głowę do tyłu i rozemiał się. - Moja załoga -

ci kretyni? - Wskazał ręką obojętnych strażników. - Ci gamonie?

Robiś to, co im każę i nic innego. Nie mają własnych mózgow,- ja

jestem ich jedynym mózgiem. A gdyby nawet gadali, któż by im

uwierzył? Oni nigdy nie wiedzieli, o co w tym wszystkim chodzi -

żaden z nich. Zresztą tym także można się zająć.

Seria nieszczęśliwych wypadków? - zapytał sardonicznie

Campbell "

Godne ubolewania, nieprawdaż?

Słuchałem tej upiornej konwersacji z poczuciem nierealności.

Ramirez był gotów zabić nas bez skrępulów. Co więcej, nie miałby

także oporów przed wymordowaniem własnej załogi. Mogłem nawet

wyobrazić sobie, w jaki sposób by to zorganizował. Ludzie ci, po

otrzymaniu dobrej zapłaty, zostaliby zwolnieni i rozproszyliby się po

wiecie, po czym nastąpiłaby, jak przewidywał Campbell, seria wypad-

ków. Tu kto znaleziony martwy w porcie, tam miertelny wypadek

samochodowy, i tak dalej, dopóki nie rozprawiono by się z całą załogą.

W porządku - ciśnieł Campbell. - Ale i tak nie ujdzie wam

to na sucho. Niezależnie od zeznań Kane'a, chyba nie przypuszczasz,

że sam nie zastosowałem pewnych środków ostrożności? Moi agenci

mają zapieczętowane listy? które przekaż policji, jeśli wkrótce nie

pojawię się w pewnym miejscu. Moja nieobecność będzie sygnałem do

wszczęcia drobiazgowych dochodzeń.

Jeste starym durniem - powiedział brutalnie Ramirez, od-
rzuciwszy w końcu konwenanse. - Przez ostatnią godzinę barometr
spadł o trzy kreski, zbliża się sztorm i niedługo rozpęta się tu piekło.

255

Po prostu zaginiecie na morzu - cała wasza paczka. My odpłyniemy
daleko stąd. Nie będzie w ogóle żadnych dowodów.

Campbell wzdrygnął się i Klara przysunęła się trochę bliżej do
niego. Gdy obserwowałem Ramireza, zafascynował mnie jaki ruch na
zewnątrz iluminatora burtowego za jego głowę. Chyba nikt inny tego
nie dostrzegł, bo wszyscy byli zbyt przerażeni nieodwołalnością wyroku,
jaki usłyszeli z ust Ramireza. Zobaczyłem, że Taffy, skulony na końcu
kozetki, znów pociera sobie kark dziwnym gestem, jednak ani na
chwilę nie spuszczając oczu z Ramireza.

Campbell powiedział powoli: - Ramirez, jeste krwiożerczym
rzenikiem.

Ramirez rozłożył ręce. - Nie lubię zabijać dla samego zabijania.

Nie jestem Jimem Hadleyem - zachował się głupio tam na Tanakabu,
dając pierwszeństwo przyjemności przed interesem. Czuję do tego
wstręt. Ja zabijam tylko z konieczności. Kiedy jednak to zrobię, wtedy
nie ma wielkiego znaczenia, czy zginie siedemnastu, czy siedemdziesięciu
ludzi. Życie jest tanie, przyjacielu, gdy gra idzie o dużą stawkę. Kroki,
które muszę podjąć, uważam za nieodzowne. - Był zimny jak wąż.

Znów spojrzałem na iluminator i wstrzymałem oddech. Za szybą
było widać twarz. Oko mrugnęło.

Bili Hunter był znów na statku.

Był on ukrytym asem, o którym Ramirez nie mógł się dowiedzieć.

Ostrożnie podniosłem dłoń do ust, zakaszałem, a potem powoli ją opuściłem, starannie unikając gwałtownych ruchów. Nie chciałem zwrócić nikomu uwagi. Oko mrugnęło znowu i twarz zniknęła.

Campbell mówił nadal, rozpaczliwie poszukując argumentów, które przekonałyby Ramireza, aby nie realizował swych planów wobec nas.

Znów odczułem wibrację w uszach, dziwne dudnienie w głosie Campbella, jak gdyby zachodziło coś w rodzaju interferencji dźwięków, z których jeden był tak niski, że aż niesłyszalny. Z niewielkiej odległości dobiegł głos przypominający wypuszczenie pary przez lokomotywę. "Esmeralda" zadrżała, a hałasy na pokładzie nagle się wzmogły.

Ramirez przerwał Campbellowi, odwrócił się i ku mojemu przerażeniu podszedł do iluminatora, by wyjrzeć na zewnątrz. Zastygłem, lecz on za chwilę znów skierował się ku nam i zaczął mówić, a ja uświadomiłem sobie, że nie zauważył niczego podejrzanego.

- Cokolwiek tam się dzieje, będzie przydatne - rzekł chłodno.

- Gdy tylko ci moi idioci rozdzielą oba statki, każdy z nich uda się w swoją drogę. Wasza podróż nie będzie długa - co około półtora kilometra, prosto w dół. Zaholujemy was na głęboką wodę - lub

256

wetkniemy wasz dziób w to, co tam jest na zewnątrz. - Zwrócił się do Geordiego. - Zapożyczyliśmy ten pomysł od ciebie, kapitanie.

Wywalimy ładunkiem wybuchowym dziurę w kadłubie waszego statku,
a ten sztorm dokona reszty.

Geordie zgrzytnął zębami, lecz nic nie powiedział.

Kto przebiegł przez pokład tuż nad nami i rozległo się głośne
nawoływanie. Ramirez podniósł głowę i spojrzał w górę. - Wygląda
na to, że sš już mniej więcej gotowi.

Usłyszałem tupot ciężkich butów na schodkach prowadzących na
pokład, a potem walenie w drzwi. Na gest Ramireza jeden ze
strażników otworzył je i do salonu wszedł Hadley. Spojrzał na nas
z głupkowskim umiechem, nie sięgającym jego bladych, zimnych
oczu, pochylił się i szepnął co Ramirezowi, który natychmiast znów
podszedł do iluminatora i wyjrzał na zewnątrz. Podziękowałem Bogu,
że Bili trzymał się w ukryciu. Ale czy na pewno?

Ramirez odwrócił się ku nam. - Co wybieracie? Głębokš wodę
czy Falcon Island? Wydaje się, że nasila się tam aktywność wulkanicz-
na. - Umiechnął się i powiedział do Marka: - Wiesz, to się dobrze
składa. Gdzie powinien się rozbić statek hydrograficzny, jeli nie przy
nieco zbyt dokładnym badaniu Falcon Island w niewłaściwym czasie?
Zabawiaj przez chwilę naszych przyjaciół.

Okręcił się na pięcie i wyszedł z salonu, a za nim Hadley.

Geordie obserwował ich, dopóki drzwi nie zamknęły się za nimi,
po czym przeniósł swš uwagę na Marka. - Jeste nędznym typem -
oznajmił z pogardš. - Na jakiej podstawie mylisz, że będę siedział
spokojnie i pozwolę ci zatopić mój statek i wymordować załogę? Jeli

mam być zabity, to równie dobrze mogę cię zabrać ze sobą. -

Zaczął podnosić się z krzesła. Po wyjściu Ramireza atmosfera uległa dziwnej zmianie. Było tak, jakbyśmy zdawali sobie sprawę, że to Ramirez ma prawdziwą władzę i odznacza się całkowitą amoralnością, podczas gdy Mark pod cienką warstwą brutalności, wynikającej z jego egocentryzmu i samolubstwa, ma osobowość nacechowaną dużą niepewnością, lękiem, brakiem poczucia bezpieczeństwa.

Kiedy Geordie zaczął wstawać z krzesła, Mark rzucił rozkaz po hiszpańsku i karabiny strażników podniosły się gotowe do strzału. - Uważaj - rzekł Mark. -: To wykwalifikowani mordercy.

- Ja też - odparł z grobą w głosie Geordie. Nadal podnosił się powoli; Ian również zaczął wstawać.

Mark znów powiedział coś po hiszpańsku i jeden ze strażników niedbale wystrzelił ze swego karabinu, na pozór nie celując. Huk był przerażający i wzdrygnęliśmy się, kiedy poleciały drzazgi z podłogi,

257

17 -Noc błędu

w którą trafiła kula tuż koło stopy Geordiego. Ten zawahał się, a ja odezwałem się ostro: - Dostyc tego, Geordie - nie masz szans. Nie możesz być szybszy od kuli.

Geordie rzucił mi pełne wściekłości spojrzenie spod zmarszczonych brwi, lecz ja wykonałem szybki gest cięcia ręką i korzystając z okazji mrugnłem do niego. Rozchmurzył brwi i usiadł, podobnie jak Ian.

Obaj zwracali teraz baczną uwagę na otoczenie i wiedziałem, że udało

mi się obudzić ich czujność.

Z góry dobiegała nieustanna wrzawa. - Ale tam robiš harmider, co? - powiedział Geordie.

- Klaro, czy mogę zapalić?

Sięgnąłem do kieszeni i znieruchomiałem, gdy lufa karabinu skierowała się prosto na mnie. - Na miłość boską, Mark, nie mogę nawet zapalić papierosa?

Wydawał się rozbawiony. - Palenie jest dla ciebie niezdrowe, Mike. Zresztš zapal - ale lepiej, żeby nie miał nic prócz papierosów w ręce, kiedy wyjmiesz jš z kieszeni.

Znów powiedział co do strażników, a ja powoli wyciśgnąłem dłoń. Lufa karabinu opuciła się trochę, otworzyłem paczkę i włożyłem papierosa do ust. W tym momencie ponownie zobaczyłem twarz Billa w iluminatorze. Huk wystrzału sprowadził go tu z powrotem, zgodnie z tym, czego się spodziewałem.

Drzwi salonu otworzyły się, doszło do krótkiej wymiany pytań i odpowiedzi między jednym ze strażników i jakim facetem z zewnątrz, po czym zamknęły się znowu. Najwyraniej Ramirez przysłał kogo, żeby też dowiedzieć się o powód strzelaniny. Jeszcze raz włożyłem rękę do kieszeni i zapytałem mężczyznę z karabinem: - Fosforos? - Nie zrobił żadnego gestu i udało mi się wyjść zapalki bez żadnych grób z jego strony.

Zapaliłem papierosa. - Słuchaj Mark. - powiedziałem. - Znasz wszystkich zamkniętych w tym salonie. Niektórzy byli twoimi przyja-

ciółmi, inni więcej niż przyjaciółmi - dużo więcej. Na Boga, jakim ty jesteś człowiekiem? - Stwierdziłem, że trudno mi rozmawiać z Markiem - głos odmawiał mi posłuszeństwa.

- Co ja mogę zrobić? - zapytał z rozdrażnieniem. - Czy mylisz, że chcę, żeby zabili was wszystkich? Ale nie mam na to wpływu - tu rzędzi Ramirez.

Głos Klary zabrzmiał zjadliwie: - On umywa ręce - nowy Poncjusz Piłat.

- Do diabła, Klaro, czy mylisz, że chcę zobaczyć ciebie na dnie morza? Nic nie mogę zrobić, mówię ci.

258

- To na nic, Mike. - powiedział Campbell. - On nie kiwnąłby palcem, żeby nas ratować, nawet gdyby mógł. Rozumiesz, tu chodzi o jego skórę.

Na tym polegała moja szansa. Żeby rozmawiać z Campbellem, musiałem w naturalny sposób na pół odwrócić się od Marka i strażników. - On tak czy owak dołączy do nas - stwierdziłem. -

Ramirez dostał to, czego chce. Nie potrzebuje już dłużej Marka, musi tylko zabrać ze sobą moje notatki. Jestem cholernie pewny, że będzie chciał zlikwidować każdego wiadka tego wszystkiego - z Markiem włącznie.

Mówiąc to napisałem na odwrocie paczki papierosów dwa słowa kawałkiem ołówka, który wyjąłem z kieszeni razem z zapałkami.

Wyrazy te, napisane możliwie dużymi literami, brzmiały: ŁADOWNIA

LINOWA. Mrugnąłem na Campbella, a on szybko pojął, o co chodzi.

Wyciągnął pięć w stronę Marka i dla odwrócenia uwagi zaczął trochę grać, krzyżąc: - Ty przeklęty morderco!

- Zamknij się! - syknął jadowicie Mark. - Niech cię diabli, masz się zamknąć!

Wyciągnąłem ku Campellowi paczkę papierosów, mówiąc: - Nie przejmuj się. Zapalisz?

Nie, nie - odrzucił moją propozycję, ale ja zrobiłem to, co chciałem, i Bili przez chwilę miał wyraź ekspozycję mojego komunikatu ponad ramieniem Campbella. Pokładałem w Bogu nadzieję, że Bili ma dobry wzrok. Klara także odczytała komunikat i jej oczy rozszerzyły się. Pochyliła się nad ciśnie pogrzeżoną w depresji Pauls, żeby ukryć wyraz swojej twarzy. Zobaczyłem, że szepcze co do ucha swej przyjaciółce, widocznie pocieszając ją i uspokajając.

Dlaczego, u diabła, miałby się zamknąć? - powiedziałem do Marka, nadal starając się zyskać na czasie. - Nie mamy nic do stracenia, mówiąc ci, co mylimy o tobie. Robi mi się niedobrze na myśl, że jesteście ze mną spokrewnieni.

Szczęki Marka zacisnęły się i nie odrzekł nic. Musiałem sprowokować go do mówienia. Zaryzykowałem spojrzenie w iluminator i zobaczyłem, że twarz znikła, a na jej miejsce pojawiła się dłoń. Kciuk z palcem rodkowym były połączone tworząc kółko. Bili otrzymał mój komunikat.

Bez względu na to, co się wydarzyło, musiałem dać mu czas na

działanie. Teraz wiedział już, gdzie jest reszta naszych, i być może będzie w stanie co z tym zrobić. Zastanawiałem się, czy był sam, czy też nadal z Jimem i Rexem. W sumie była to słaba szansa, lecz nie mieliśmy innej. Doszedłem do wniosku, że jedyną rzecz, jaką

259

moglibyśmy zrobić, by pomóc Billowi, byłoby wpłynięcie w pewien sposób na Marka - a biorąc pod uwagę jego stan silnego zdenerwowania, mogłoby to stanowić dla nas miertelne niebezpieczeństwo.

- Jak traficie na nas? - zapytałem. - Ocean jest ogromny.

Ale ty oczywiście wiedziałe od dawna, gdzie tworzą się bryłki o wysokiej zawartoci kobaltu, prawda?

Tylko w przybliżeniu. Na tym cholernym statku Międzynarodowego Roku Geofizycznego nie ja jeden przeprowadzałem analizy, i nie mogłem dotrzeć do wszystkich potrzebnych mi informacji. - Ponury ton jego głosu sugerował, że informacje te, po sprawiedliwoci, należały się jemu - mylenie typowe dla Marka; byłem jednak na dobrej drodze, żeby skłonić go do mówienia o jego własnej przenikliwoci i inteligencji. Niewielu prawdziwych egocentryków potrafi się oprzeć takiej pokusie.

Więc kto miał ten kapitalny pomysł, żeby szukać nas tutaj?

Mogliśmy być wszędzie, nawet sto kilometrów stąd. Nie mogłem wiedzieć, gdzie jesteśmy.

Zamiał się. - Nie mogłem? Znam cię, Mike, na wylot. Byłem pewny, że znajdziesz to złożenie, jeli będziesz miał dość czasu na

stosowne badania - więc dałem ci czas. Wiedziałem też, że kiedy znajdziesz już złożę, nie powstrzymasz się od zbadania ródła tych procesów. Wiedziałem, że będziesz musiał dotrzeć do Fonua Fo'ou, do Falcon Island. Oczywiście Ramirez nie potrafił tego zrozumieć. Czasami i on jest głupcem. Przekonałem go jednak, że znam własnego brata. Kręciliśmy się tu przez cholerne dwa tygodnie, czekając na wasze przybycie.

W jaki sposób zwiślała się z tym Ramirezem? - zapytałem. -

Znałem już odpowiedź na to pytanie, lecz chciałem, by mówił dalej.

Campbell nie mógł już mnie finansować, a Suarez i Navarro mogli. To było zupełnie proste. Do kogo miałem się udać, jak nie do nich? Tym, co zrobili z jego kopalniami, udowodnili, że nie bawiś się w skrupuły, więc byli to włanie tacy ludzie, jakich potrzebowałem.

A potem doprowadzili cię do morderstwa. Musiały zabić Norgaarda.

To był wypadek - odparł z rozdrażnieniem Mark. - Sven zajmował się tylko szczegółami. Czekaliśmy, aż sprawa przycichnie, a potem Suarez i Navarro mieli dać nam odpowiedni statek badawczy, żeby można było odnaleźć to złożę. - Uderzył pięciś w papiery i notes. - Tymczasem ten cholerny dureń zadecydował, że chce publikować artykuły na temat tego odkrycia w czasopismach naukowych. Rozumiesz, on niewiele wiedział o firmie "Suarez i Navarro",

a ja nie chciałem, żeby dotarło do niego więcej. Posprzeczałimy się -

był facetem doć pobudliwym - a potem doszło do bójki. Oprzytomiałem dopiero wtedy, gdy miał już głowę roztrzaskaną o skałę. Ale, Mike, ja nie miałem zamiaru go zabić, przysięgam. Chciałem tylko zamknąć mu gębę.

- Zawsze chcesz tylko zamykać ludziom gęby - powiedziałem bezbarwnym głosem. - Jak można zamknąć gębę prawdziwemu naukowcowi? Wydaje mi się, że jedynym sposobem jest zabicie go.

Wewnątrz byłem chłodny, zmrożony jego amoralnym egocentryzmem. Wszystko, co robił, było usprawiedliwione w jego oczach, a za całe zło, które się stało, winił innych ludzi.

Mark machnął ręką na znak lekceważenia. - Hadley wiedział o tym, oczywiście. Był moim łącznikiem z Ramirezem. Pomógł mi ukryć całą tę sprawę, ale policja w jakiś sposób wpadła na trop.

- Mój Boże, i mylisz, że to ja jestem naiwny - westchnąłem. -

Słuchaj, Mark, wcale bym się nie zdziwił, gdyby Ramirez sam wsypał cię policji. Jemu to nic nie szkodziło - był czysty. Potem zaaranżował twój "mierć" i sprawa załatwiona. Ale od tej chwili miał cię w ręku i nie mogłem zrobić nic bez jego zgody.

To nie było tak - wymamrotał Mark.

Nie było? Nawet gdy pierwszy plan się nie powiódł i Hadley został wplątany w "morderstwo" popełnione na tobie, Ramirez wcale się nie zmartwił. Dlatego właśnie miał się jak diabeł, kiedy go oskarżałem. Wiedział, że jeśli kiedykolwiek będzie musiał oczyścić siebie i Hadleya, to wystarczy, gdy przekaże cię policji. Możesz być

pewny, że zrobi to, żeby otrzymać gratulacje od przedstawicieli prawa.

Co przez to rozumiesz?

Przekaże cię martwego - lub umierającego, Mark - po

prostu po to, żeby nie mógł mówić. A policja poklepie go po plecach

za ujęcie Marka Trevelyana, mordercy Svena Norgaarda i zapewne

głównego organizatora zabójstwa doktora Schoutena. Na Boga,

miałem rację, gdy nazwałem cię głupim. Nie zdawała sobie wcale

sprawy z tego, w co wlaźle, prawda?

Mark był rozzłoszczony i zbity z tropu - widziałem, że mój atak

osiągnął zamierzony cel. Wszystkie działania Marka stanęły pod

znakiem zapytania.

- Teraz to nie ma znaczenia. - powiedział Campbell. - Mark,

jeste przeznaczony na odstrzał razem z nami wszystkimi. Ramirez

tego dopilnuje.

Geordie zamięł się niewesoło. - Tak, tak, możesz ufać Ra-

mirezowi.

261

Mark myślał intensywnie, po czym potrzęsnął głową. - Być może

masz słuszość - przyznał, a nie sądzę, żeby w swym życiu często

używał tych słów. - Ale i tak nie ma to znaczenia. Chcesz, żebym

wam pomógł, ale nie mogę. Nigdy go nie pokonacie - a nawet gdyby

się wam to udało, ja byłbym nadal poszukiwany za morderstwo. Wolę

trzymać się Ramireza i próbować szczęścia. On nadal mnie potrzebuje.

Chciałem powiedzieć mu, jak bardzo się myli, lecz ostatecznie co

innego przeniknęło do mojej wiadomości. Z oddali dobiegał gwizd - gdzie wydobywała się para pod wysokim ciśnieniem. Mark wyrzwał przez iluminator i to, co zobaczył na powierzchni wody bardzo go zaniepokoiło. - Niech ich diabli^ co oni robiś na pokładzie? - wymamrotał. - Nie ma czasu na obijanie się.

Jego zdenerwowanie wzrosło. Zaczł półgłosem naradzać się z jednym ze strażników. Spór zdawał się rozwijać, strażnik bowiem odpowiadał ostro, lecz w końcu Mark wził górę. Z ponurym wyrazem twarzy i niechętnym wzruszeniem ramion strażnik otworzył drzwi salonu i wyszedł.

Spojrzałem na Geordiego z nadziejs w oczach, a on nieubłaganie kiwnł głowś. Nasze szansę rosły, jeli jednak mielimy podjśc jakś próbę, to trzeba to było zrobić przed powrotem strażnika. Ręka Geordiego zaczęła się skradać ku ciężkiej szklanej popielnicze na stole, lecz zatrzymała się blisko niej. Nie mógł rzucić jej szybciej, niż wystrzeliłby strażnik - lecz był przygotowany na wypadek pojawienia się szansy. Wszyscy siedzielimy w napięciu.

Zobaczyłem czerwony odbłask na twarzy Marka, gdy znów podszedł do iluminatora, by wyrzeć na zewńsztr. Najwyraniej co się kotłowało na Falcon Island. - Co się tam dzieje, Mark? - zapytałem. W jego głosie słychać było niepokój: - Wyglśda tak, jakby Falcon miał wybuchnśc.

Poczułem nagły chłód. Na obu statkach prawdopodobnie tylko Mark i ja mielimy odpowiednie kwalifikacje, by zrozumieć, co to

może oznaczać. - Jak blisko jesteśmy? - zapytałem.

- Jakie pół kilometra. - Wyprostował się i dodał: - To

zdarzyło się już parę razy w tym tygodniu. Nigdy nie stało się nic wielkiego. Wspaniały widok, i to wszystko. - Jego słowa nie brzmiały jednak przekonująco.

Znajdowaliśmy się o wiele za blisko Fonua Fo'ou. Ramirezowi i Hadleyowi odległość ta mogła się wydawać zupełnie bezpieczna, zwłaszcza jeśli przez cały tydzień obserwowali zjawiska przederypcyjne, lecz Mark i ja lepiej zdawaliśmy sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

Wiedzieliśmy, jakie mogły być następstwa wybuchu wulkanu. \

262

Nic dziwnego, że Mark się bał. Ja też się bałem.

Mark spojrzał na strażnika, który pozostał w salonie, zawahał się, a potem powiedział coś do niego. Strażnik potrząsnął energicznie głową, a gdy Mark próbował wyjść, zastąpił mu drogę i podniósł karabin.

Campbell zapytał ironicznie: - O co chodzi, Mark? Nie ufaj ci?

Gwizd i bulgotanie nagle się wzmogły, "Esmeralda" przechyliła się gwałtownie, a jej spojenia zaprotestowały skrzypieniem. Obracaliśmy się w koło, ciśnięciem z "Sirena". Dał się odczuć nagły podmuch piekłej woni siarki. Mark przeniósł wzrok ze strażnika na mnie i nasze spojrzenia zwały się równie mocno, jak oba statki.

On nie chce zostać tu sam z wami wszystkimi. - rzucił ostro

Mark. - Muszę poczekać na drugiego strażnika. - Znow podszedł do iluminatora i wyjrzał na zewnątrz, a ja czułem, jak żółć podchodzi

mi do gardła.

O co, u diabła... - zapytał Geordie.

Nie zdążył skończyć. "Esmeralda" znów przechyliła się gwałtownie, niemal kładąc się na bok. Bezwładnie potoczyłem się w kąt salonu i rżnąłem głową w stół. Na pokładzie wybuchła piekielna wrzawa.

Statek wyprostował się i upadliśmy do tyłu w kłębowisko ciał.

Usłyszałem jęk Campbella - w jego stanie musiało to być okropne.

Pierwszy podniósł się Geordie. Chwycił popielniczkę i cisnął nią w strażnika, po czym skoczył do niego przez cały salon. Strażnik usiłował pospiesznie podnieść karabin z podłogi. Jego palce zacisnęły się już na kolbie, gdy Geordie precyzyjnie kopnął go w twarz, która zmieniła się w krwawą ruinę. "

Ian rzucił się w kierunku Marka, a z jego zwykłej szkockiej łagodności nie zostało ani ladu. Twarz Iana była maską gniewu.

Geordie chwycił karabin i wymierzył go w Marka. Obaj znaleli się tuż przy nim, lecz Markowi udało się wymknąć i usiłował przedostać się do drzwi salonu.

Wtem co dziwnie błysnęło w powietrzu, Mark upadł chwytając się za biodro i zobaczyłem krew ciekającą mu między palcami.

Podniosłem się, by powstrzymać Geordiego, i miałem już głono zaprotestować, ale kiedy Mark upadł, zarówno Ian jak i Geordie stanęli jak wryci, a chwilowa żłdza krwi znikła z ich twarzy. Wszystkie oczy były utkwione w błyszczącym zakrwawionym przedmiocie krżż-cym na podłodze obok Marka.

- Kto rzucił nóż? - zapytałem.

Z przeciwległego końca salonu podszedł do nas Taffy. - Ja. -

Dostrzegł iskry w moich oczach i dodał szybko: - Nie chciałem go zabić, Mike - chociaż zasługuje na to. Ja wiem, gdzie wsadzić nóż.

263

- W porządku - odrzekłem. - Lepiej idź i weź go.

Przeszedł parę kroków, podniósł nóż z podłogi i starannie wytarł go o nogawkę spodni. Klara z szarś jak popiół twarzś patrzyła na niego, natomiast Paula już utorowała sobie drogę do Marka.

Widziałem, Taffy, że zrewidowali cię tak samo, jak nas wszystkich. - powiedziałem. - W jaki sposób ukryte nóż?

Wisiał mi na kawałku sznurka, z tyłu, na krzyżu. To stara sztuczka, ale nabrali się na nią.

Na razie decydujące momenty mieliśmy za sobą. Z niepokojem wyjrzałem przez iluminator. W niewielkiej odległości widać było mglisty opar, a za nim kłęby ponurych, czarnych obłoków dymu nieustannie wzbijały się ku niebu. Morze było wzburzone, tu i ówdzie pojawiały się wiry, a na obrzeżach tumanu mgły kipiły białe piany.

Wstrętne woń siarki napływała nieregularnymi falami. Bliżej zobaczyłem naszą motorową szalupę kołyszącą się za rufą. Była pusta - ani ladu Billa ani nikogo innego.

W salonie Ian i Klara pomagali Campbellowi zejść na kozetkę. Paula bandażowała Marka, a Geordie rewidował rozbrojonego i skępowanego strażnika.

Taffy'ego nie było.

Geordie, gdzie jest Taffy?

Wiesz przecież, że Danny Williams był jego bardzo bliskim przyjacielem.

Do diabła, nam jest potrzebne zespołowe działanie, a nie indywidualne wyczyny.

Nie denerwuj się, - odrzekł Geordie. - Taffy nigdy nie był dobrym członkiem zespołu, ale jest diabelnie niebezpieczny, gdy działa na własną rękę. Wyrzuci im cholernie dużo szkód.

To dobrze, ale jest nam pilnie potrzebny plan działania. Taffy chodzi samopas, także Bili jest gdzieś na pokładzie, a jeśli mamy szczęście, to Rex i Jim są z nim. Być może są w stanie coś zrobić.

I tutaj my - trzech mężczyzn i karabin.

Czterech mężczyzn - rzucił oschle Campbell, stając na nogi.

- A jeśli te sukiny nie przeszukały naszych kajut, to znajdziemy w nich pistolety.

Spojrzał mi w oczy chłodno i wyzywająco. Miał słuszość - nie był grony w bijatyce, gdyby jednak miał jeden ze swoich celnie bijących pistoletów, mógłby być miertelnie niebezpieczny. Klara spoglądała to na swojego ojca, to na mnie, a w jej twarzy było coś z tej samej twardej zawziętości.

- Idę z wami - rzekła.

264

- Klaro, nie możesz...

Przerwała mi stanowczo. - Ja też jestem dość dobrym strzelcem, pamiętasz? Lepszym niż ty, Mikę. Będzie ci potrzebna wszelka pomoc, jakś tylko zdołasz uzyskać. - Była zdecydowana pozostać przy mnie i przy swoim ojcu, a w dodatku miała rację. Potrzebowalimy jej. Gdyby za doszło do najgorszego, to dla niej i dla nas wszystkich mierć od kuli byłaby lepsza niż utopienie się, rozpaczliwa walka o resztki powietrza w tonącym statku. Gardło cisnęło mi się z lęku o niś, lecz nie mogłem sprzeciwić się jej decyzji.

Podeszła do szafki z napojami. Kilka butelek stłukło się wskutek gwałtownych przechyłów statku. Wzięła jednś z nich i popatrzyła na jej ostre, zębate krawędzie. - Widziałam w kinie, jak to się robi. - powiedziała powoli.

Pomyślałem, że prawdopodobnie nigdy nie byłaby w stanie użyć tej broni, lecz dzięki niej będzie trochę bardziej pewna siebie. Geordie stojący w drzwiach zachichotał. - Co wspaniałego - skomentował. - Chodcie. Nie mamy dużo czasu. Ja pierwszy, potem Ian. Ty, Mikę, pójdziesz w tylnej straży.

Paula pochylała się nad Markiem. Spojrzała na mnie i lekko potrząsnęła głowś. Mark leżał na plecach z zamkniętymi oczami, choć nie można było odgadnąć, czy jest nieprzytomny, czy udaje. - W porzśdku, Paulo, zostań tu z nim - powiedziałem.

Geordie otworzył drzwi i wymknął się na korytarz. Po kolei, ostrożnie podśżalimy za nim. Nie przeszedł więcej niż parę metrów, gdy zatrzymał się, przestśpił przez co, po czym ruszył dalej. Było to

ciało naszego drugiego strażnika. Widocznie wracał właśnie do salonu, kiedy natknął się na Taffy'ego. Miał głęboko rozcięte gardło, a przód jego koszuli tak przesiąkł krwią, że zabarwił się na purpurowo. Klara zachwiała się trochę, kiedy spojrzała w dół, więc wzięłam ją mocno za ramię i pomogłam przejść obok zwłok.

Dotarliśmy do kajuty Campbella i weszliśmy do rodka, gdzie stwierdziliśmy, że nie przeprowadzono rewizji. Campbell wyjął swoją walizkę z szafy i otworzył ją; wydawał się zadowolony i z każdym ruchem silniejszy. Wewnątrz były trzy pistolety - jego własny, Klary oraz ten, który Geordie odebrał Ramirezowi w Nuku'alofa. Ojciec i córka szybko naładowali swoją broń, a Klara z wyrastającą ulgą odrzuciła stłuczoną butelkę.

W naszej kajucie Geordie i ja znaleźliśmy oba pistolety nietknięte, a kiedy je naładowali, Campbell pokiwał głową z aprobatą. - Teraz mamy szansę w walce - stwierdził.

Bez przeszkód doszliśmy do rufowych schodków prowadzących na

265

pokład. Geordie wspisał się na nie ostrożnie i natychmiast zszedł z powrotem na dół. Na pokładzie, koło wjazdu stał mężczyzna, którego sylwetka rysowała się na tle jarzącego się żółto nieba. W ręku trzymał karabin. Geordie odłożył broń i ruszył powoli schodami w górę, po czym dał znak, żebym szedł za nim. Ian był profesjonalistą, ale jako znacznie lżejszy niż on miałem większą szansę znaleźć się na pokładzie niemal równocześnie z Geordiem.

Geordie szybko wyskoczył z wjazdu i rzucił się na strażnika z tyłu, dławiąc go za szyję jedną ręką, a drugą chwytając karabin. Ja wygramoliłem się za nim i rżnąłem faceta w głowę kolbą pistoletu. Bezwładnie osunął się na pokład.

Zrzuciliśmy go po schodkach jak worek kartofli. Z drapieżnym umiechem Geordie pochwalił mnie: - Uczysz się, chłopcze. - W ład za ciałem my także zeszlimy na dół.

Mielimy teraz trzy karabiny i małą kolekcję pistoletów. Nasze szansę ciśgle rosły. Geordie dokonując rozlokowania swoich oddziałów, rozkazał: - Mike, chcę, żebyśmy rzucili okiem na Falcon. Pójdiesz ze mną. Ian, będziesz chronił nasze tyły. Mister Campbell, pan i Klara pilnujcie tu, na dole, i strzelajcie do każdego, kto będzie próbował przejść tym korytarzem - o ile nie będzie to kto z naszych.

Wsunęliśmy się po cichu na pokład i po raz pierwszy ujrzałem Falcon w całej okazałości. Żółta powiata zdawała się słabnąć, lecz pary było znacznie więcej, a na część obszaru objętego działalnością wulkaniczną padały gęsto krople jakiej substancji podobnej do deszczu. W samym rodku tego wszystkiego były w niebo kłęby gęstego, czarnego dymu, w którym tu i ówdzie pojawiały się i znikały krótkotrwałe błyski czerwieni. Morze było wzburzone i rozkołysane, lecz oba statki znajdowały się jeszcze w niemal spokojnej strefie, jeli nie liczyć biegnących po powierzchni wirów. Wist wydobywającej się pod wysokim ciśnieniem pary był ogłuszający - zły znak - a odór skręcał wnętrzności. Patrzyłem zupełnie zafascynowany.

Lecz Geordie, gdy znalazł się na pokładzie, bardziej interesował się swym statkiem. Patrzył w górę na fokmaszt. - Chryste, co za gmatwanina! Jeszcze nie zrobili z tym porządkiem.

Kiedy podniosłem wzrok, mimo olepiającego blasku słońca zdołałem zauważyć, że maszty były już prawie rozdzielone; teraz wydawały się szczipione tylko gdzie wysoko. Wyższa "Sirena" była nachylona nad "Esmeralds" pod pewnym kątem; wszędzie dało się zauważyć piekielnie poplątane kawałki lin, połamane dręgi i różne rupiecie. Motorowa szalupa nadal była uwiązana za rufę, lecz z miejsca, w którym staliśmy, nie było widać ani ladu naszego boczka.

266

- Oni są wciąż zajęci - mruknął Geordie. -- Przedostaniemy się do wciśgarki. Możemy tam się ukryć, gdy będziemy próbowali otworzyć ładownię linową.

Nie było nikogo przy sterze, lecz w przodzie widziałem grupki ludzi u podnóża każdego z masztów. Niektórzy pracowali w górę, usiłując usunąć połamane i poplątane szczątki, ja zaś pokładałem w Bogu nadzieję, że są zbyt zajęci, by spojrzeć w dół i nas spostrzec.

Musimy zaryzykować - odezwał się półgłosem Geordie i dał znak Ianowi, by podszedł za nami. Pobiegliśmy chyłkiem, trzymając się cienia pokładówki. Gdy dotarliśmy do miejsca, gdzie ów cień się kończył, Geordie zatrzymał się, chwycił mnie za ramię i pokazał co palcem. Dostrzegłem jakiś nieznaczny ruch w cieniu bębna wciśgarki, ale nie mieliśmy już żadnej osłony, żeby się tam dostać.

Bili albo Taffy - szepnął.

Jaka ręka wysunęła się na wiatło i zaczęła manipulować przy zamocowaniach pokrywy włazu. Ludzie na pokładzie "Sireny" zdawali się obserwować prace nad doprowadzeniem masztu do porządku, lub oglądali się na Falcon Island, więc były spore szanse, że nie zauważą człowieka, który by się ostrożnie skradał po pokładzie. Szybki bieg byłby samobójstwem.

Bezcielesna ręka ciśgle pracowała przy pokrywie włazu. - Ja odcepę z drugiej strony - powiedziałem cicho do Geordiego. - Kryj mnie.

Głony grzmot dobiegł nas od Falconu, przebijając się przez wszystkie inne hałasy, a czerwone błyski w czarnym dymie nagle buchnęły wyżej. Rozległy się trwożne okrzyki i słychać było tupot kroków. Ta dywersja ze strony wulkanu nastąpiła akurat w odpowiednim czasie - przeliznąłem się po pokładzie, chwyciłem krawędź włazu i położyłem się tuż za nim. Szukając po omacku zaczepów, zobaczyłem, że moim towarzyszem jest Bili Hunter. Zwolniłem jeden zaczep i zabrałem się za drugi, gdy usłyszałem ostry trzask wystrzałów i łoskot stóp. Ian i Geordie klęczeli strzelając do marynarzy z "Sireny", którzy biegli od rufy ku nam.

Jaka wykrzywiona twarz pojawiła się nade mną i kolba karabinu zawisała nad moją czaszką. Rzuciłem się w bok i kolba rżnęła w pokład. Posłyszałem charakterystyczny trzask wystrzału ze sportowego pistoletu Campbella i napastnik, któremu nagle pojawiło się

trzecie, krwawe oko porodku czoła, zwałił się .na mnie.

Zepchnąłem z siebie jego ciało i wziłem się za właz. Zwolniłem drugi zaczep i razem z Billem dwignęliśmy pokrywę. Ze rodka błyskawicznie wydobyło się czterech mężczyzn żśdnych krwi.

267

- Na rufę! Szybciej na rufę! - krzyknął Geordie.

Wszyscy rzuciliśmy się na pokładówkę. Strzelanina wzmogła się i teraz Ian zaliczył sobie trafienie. Reszta załogi "Sireny" wycofała się pod maszt, gdy tylko dostali osłonę ogniowś z pokładu swego statku. Wydawało mi się, że ogień ten prowadzono z ich pokładówki, lecz trudno to było ustalić w tym zamieszaniu. Geordie dokonał przeglśdu i policzył obecnych - ku mojej wielkiej radoci był wśród nich Jim Taylor. Przynajmniej jeden członek załogi bśczka był bezpieczny, co dało mi nadzieję na ocalenie Rexa Larkina. Bili pokazał mi szybko dwa palce tworźce kółko, na znak, że wszystko gra.

Z "Sireny" co jaki czas padał strzał. Na ich grotmaszcie siedział co najmniej jeden strzelec wyborowy. Geordie schylił się gwałtownie, gdy kula odłupała drzazgi tuż nad jego głowś.

- Niedobrze - powiedział. - Nie mamy tu wystarczajścej osłony, a w dodatku kończy się nam amunicja.

W regularnych odstępach padło kilka strzałów z pistoletu Campbella. Dobiegł nas krzyk z końca rei i ciemna postać, obracajśc się wokół swej osi, spadła na pokład "Sireny".

Geordie kazał nam przejść na rufę, zostawiając Nicka i Iana, aby osłaniali nasz odwrót. Gdy dopadliśmy schodów prowadzących na dół, zobaczyliśmy Campbella ładującego pistolet. Jego wargi wykrzywiły się w drapieżnym umiechu. Szorstko odsunął nas na bok i wycelował w nok rei, kurcząc się we włączce, żeby zapewnić sobie lepsze oparcie. Drugie ciało spadło na dół, tym razem do morza.

- To byłoby na tyle - powiedział Campbell. Wydawał się wyczerpany, blady i bliski kresu wytrzymałości. W korytarzu stała Klara, pewną ręką trzymając pistolet. Napięcie znikło z jej twarzy, kiedy zobaczyła, że to my. Pochwyciłem ją i trzymałem przez chwilę. Zebraliśmy się na dole i szybko dokonaliśmy ponownego podziału broni. Nick podniósł muskularną rękę. - Nie potrzebuję pistoletu - oświadczył. Trzymał ogromny klucz francuski.

Z góry dobiegł nas odgłos jeszcze paru strzałów, lecz wkrótce strzelanina ucichła, a Nick i Taffy zameldowali, że "Esmeralda" jest wolna od wrogów, przynajmniej pod pokładem. Z wyjątkiem mojego brata.

Jim i Geordie po krótkiej rozmowie z Campbellem poszli przeprowadzić rozpoznanie przedniego zejścia pod pokład. Geordie jako przekonał Kanadyjczyka, żeby pozostał w salonie z Markiem, Paulsem i Klarą; zamierzałem później zapytać go, czy osiągnął to próś, czy grobś. Tak czy owak, doznałem głębokiej ulgi.

Wycofali się - wszyscy sš na pokładzie "Sireny". - Geordie

wrócił z meldunkiem. - Nie widziałem ani ladu Ramireza, za to

Hadley jest wszędzie, biega i wyrzaskuje rozkazy. Robi cholerne zamieszanie w całej tej robocie. Nadal jesteśmy z nimi splštani, niech ich diabli.

Co z Falconem? - zapytałem.

To samo, co przedtem - jest tam niezłe piekło. Ale spraw-
dziliśmy silniki i, dzięki Bogu, nie zrobili tam żadnego sabotażu.

Musimy uwolnić się od "Sireny" i uciekać stšd jak najszybciej. Ale jak to zrobić?

Wszyscy spoglšdaliśmy na siebie, rozpaczliwie szukajšc jakiego pomysłu.

Geordie zwrócił się do Huntera. - Bili, w jaki sposób dostałe się z powrotem na statek? Gdzie jest Rex? Czy z nim wszystko w porzšd-
ku? - Bili nie wiedział jeszcze o Dannym, lecz jego oczy przesuwały się badawczo po naszej gromadzie, a wyraz twarzy miał ponury.

Dopiero po chwili odpowiedział.

Bardzo mi przykro, panie szyper - straciliśmy go. Widzie-
limy, jak paru bandziorów z "Sireny" załatwiło naszš szalupę.

Trzymali chłopców na muszce i rzucili linę, żeby ich wcišgnšc na pokład. Nas nie widzieli, więc namówiłem Rexa i Jima, żeby wyskoczyli z bšczka, po czym go zatopilimy. Jim i ja wróciliśmy na pokład bez większych problemów, po naszej drabince; Rex był z nami, lecz kiedy "Esmeralda" przechyliła się gwałtownie

na niego - pucił. Mój Boże, Geordie, ja...

Robiłem, co mogłem. To jeszcze jeden do rachunku Ramireza - powiedział lakonicznie Geordie. Zostawiłem ich i poszedłem na górę, by ponownie spojrzeć na Falcon. Czułem się chory i przygnębiony. Szalupa nadal hutała się na wodzie, uwiśzana na linie, lecz gdzie na dnie tego wzburzonego morza leżał bścdek i jeden z członków naszej załogi.

Odległość od bijących w niebo kłębow dymu wydała mi się mniejsza. Albo wleklimy kotwicę, co było bardzo prawdopodobne, jeli wziść pod uwagę wstrzśsy pod kadłubem "Esmeraldy" i dodatkowy ciężar "Sireny" u jej burty, albo też powiększał się obszar erupcji - perspektywa jeszcze bardziej alarmujšca. Pary było jeszcze więcej niż przedtem, a bardzo chciałbym się dowiedzieć, co się dzieje za tš mglistš zasłonš podwieltonš czerwieniš. Miałem wielkš ochotę zasięgnšć opinii Marka.

Wróciłem na dół do Geordiego. - Musimy wydostać się stšd, zanim Falcon rzeczywiście zacznie się wyglupiać.

269

Wyjrzał przez iluminator. - To niesamowite, przyznaję, ale czy to aż tak poważna sprawa? Mnóstwo obserwatorów oglšdało erupcje na morzu. Zresztš Mark powiedział, że to już trwa od wielu dni.

To zaledwie uwertura, - odrzekłem. Nie było teraz czasu na wykład o podwodnych wulkanach. - Mylę, że nie powinniśmy być w pobliżu, kiedy ta orkiestra odegra finał.

Ach, ja też chcę stąd wybyć, nie zrozum mnie le. Ale teraz mamy problem jeszcze pilniejszy niż Falcon - naszych przyjaciół tu w sąsiedztwie. Chciałbym, na Boga, wiedzieć, gdzie jest Ramirez i co on planuje. Bili, czy zauważył jakieś lady majstrowania przy naszym kadłubie? Grozili nam materiałami wybuchowymi.

Bili potrząsnął głową. - Nie, panie szypier. W każdym razie nie widziałem nic z tych rzeczy, które znam.

Moje ostrzeżenia dotyczące Falconu Geordie zdawał się puszczać mimo uszu - stanowiło to co, co zupełnie wykraczało poza jego dowiadczania. Ciśgle był zupełnie zaabsorbowany odłączeniem "Esmeraldy" i z pewnością chwilowo miał słuszość.

Co, u diabła, możemy zrobić? - zapytałem.

No cóż, ktokolwiek tam dowodzi - Ramirez czy Hadley - będzie chciał się uwolnić tak samo jak my. Grozi im identyczne niebezpieczeństwo. Nie sądzę, żeby myśleli, iż teraz uda się im pokonać nas równie łatwo, czy też wysadzić w powietrze, czym grozili. Znajdź Ramireza uważam, że może być skłonny zapobiec dalszym stratom.

I spróbować innym razem?

Tym nie potrzebujemy się martwić w tej chwili. Najpierw rozwiążmy obecny problem.

Miał słuszość i czekaliśmy w milczeniu, zdając sobie sprawę, że jaki plan rodzi się w jego umyśle. W końcu powiedział: - Uważam, że powinniśmy zawrzeć rozejm. Jeli wylemy człowieka na maszt, nie będziemy do niego strzelać, o ile powiemy im, po co tam się wspina.

Co da wysłanie jednego człowieka na maszt? Tuzin ich ludzi pracował tam tyle czasu i niewiele udało im się zdziałać.

Mam pewien pomysł - odparł Geordie i zwrócił się do Jima.

- Czy masz jeszcze trochę tego wybuchowego plastyku, Jim?

Jim potrząsnął głową. - Nie, miałem tylko ten kawałek, który zużyłem na ich silnik.

Geordie wskazał na maszty. - Widzisz ten koniec rei - tam, gdzie jest wplątany w takielunek? Czy możnaby wysadzić to w powietrze, gdyby przymocować granat ręczny z każdej strony tego drzewa?

Utkwiłem w nich zdziwione spojrzenie, lecz Jim już zagłębił się w szczegóły techniczne. - To byłoby trochę trudne, panie szyper.

270

Granaty nie są właściwie przeznaczone do spraw tego rodzaju. -

Przyglądał się z powściąpieniem drzewcom. - To są stalowe rury.

Oczywiście - odparł Geordie. - Gdyby były z drewna, oni zrębaliby je do tej pory. Stalowe liny także.

Nie wiem - przyznał ucziwie Jim.

To jednak osłabiłoby drzewce, prawda? - nalegał Geordie.

Nie wyszłoby mu na zdrowie, jeśli o to chodzi.

Cholera, przejdmy do rzeczy. Przypuśćmy, że po wybuchu granatów uruchomię silnik i w ten sposób wywrę nacisk na nok rei - czy mylisz, że to odniosłoby skutek?

Sądzę, że mogłoby - powiedział powoli Jim. - Ciekawo roboty byłoby odpowiednie umieszczenie tych granatów.

Geordie łatwo schwytał go w swoje sidła.

- Spróbujesz? Jeste naszym ekspertem.

Jim wytrzeszczył zęby w umiechu. - Rozwalę to - jeli mnie nie zastrzelš.

- Dobrze - odrzekł z ozywieniem Geordie. - Tš kwestiš my się zajmujemy. Ty przygotuj wszystko, czego będziesz potrzebował, a ja przyniosę te granaty. Wiedziałem, że znajdziemy dla nich jakie zastosowanie. Mike, ty będziesz najlepszy do negocjacji. Spróbuj ustalić z tš bandš piratów warunki zawieszenia broni.

Zastanawiałem się, czy Ramirez zdaje sobie sprawę, że jeli teraz nas wypuci, to może już nigdy nie schwytać ponownie. Zawsze stanowiliśmy zagrożenie dla jego wolności, było więc bardzo prawdopodobne, że nie zgodzi się na takie warunki. Wyglšdało na to, iż zbyt wiele jest kwestii trudnych do okrelenia. Ale jest też Falcon... Mielimy mnóstwo słabych punktów - niewielka liczba ludzi, nie najlepsze uzbrojenie, nie mogliśmy więc dyktować warunków. Potem pomylałem o Klarze, o tym, jak stała się dla mnie kim bardzo cennym. Zdecydowałem, że bez względu na wszystko ona powinna przeżyć, i do diabła z resztš.

Doczołgałem się do sterówki, trzymajšc się pod poziomem okien, i podniosłem do ust tubę.

- Ahoj, "Sirena" - krzyknšłem. - Ahoj, Ramirez - czy mnie słyszysz?

Padł strzał. Usłyszałem brzęk tłuczonego szkła i grad odłamków spadł koło mnie. Rozległy się jakie okrzyki, po czym zapadła cisza. Jedyнными

dwiekami, jakie mnie dochodziły, było skrzywienie i trzeszczenie ocierających się o siebie statków oraz syczenie i gwizdy wulkanu za nami.

- "Sirena"! Ramirez! Chcę z tobą mówić.

ciskałem tubę tak mocno, że aż zbiełały mi kostki. Ciszę przerwał w końcu szorstki głos: - Co takiego?

271

Czy to ty, Ramirez?

Tak. Czego chcesz?

Ten wulkan - może wybuchnąć w każdej chwili. Do diabła, on już zaczął.

Wiem. - W jego głosie brzmiała frustracja, a ja niemal się umiechnąłem, takś poczułem ulgę. Będzie współpracował.

Mamy pewien pomysł.

Co wy możecie zrobić?

Chcemy wysłać człowieka na fokmaszt. Możemy usunąć ten takielunek.

Jego głos był pełen podejrzliwości. - W jaki sposób potraficie tego dokonać?

Nie zamierzałem mówić mu o naszym planie. - Mamy tu eksperta - zawołałem. - Chcemy, żeby zagwarantował, że nie będziecie do niego strzelać.

Tym razem nastąpiła jeszcze dłuższa cisza. Kto klepnął mnie w ramię i wetknął mi w rękę karteczkę. Była ona od Geordiego

i zawierała następujące słowa: "Kazałem podnieć kotwicę. Możliwie bez hałasu. Powodzenia".

Ciszę przerwał Ramirez. - W porządku, "Esmeralda". Nie będziemy strzelać.

Ramirez, jeśli ktoś strzeli do naszego człowieka, to będziesz martwy w ciągu godziny. Każdy członek naszej załogi uzna zabicie ciebie za swój osobisty cel.

Przerażasz mnie. - Czyżby się wymiewał? - Możecie wysłać swego człowieka na maszt w ciągu pięciu minut. Wydam w tym celu odpowiednie rozkazy.

Wyczołgałem się z sterówki i dołączyłem do Geordiego, który razem z Campbellem czekał na mnie. - Słyszeliśmy wszystko. Co o tym mylisz? - zapytał Geordie.

Mylę, że nie będzie przeszkadzał - odrzekłem. - Jest w równie paskudnej sytuacji jak my i wie o tym. I musi przyznać, że naprawdę mamy większe doświadczenie żeglarskie niż on.

To nie ty nadstawiasz karku - rzucił ostro Campbell.

Był znów w dobrej formie. - Jim będzie ciotkś Sally, jeśli tam wejdzie.

To jego decyzja - odparł Geordie. - Wysłałem paru chłopców na dziób, aby wciśnęli kotwicę, swoją robotę zgrali w czasie z tamtym - tu wskazał głową Falcon - żeby przytłumić wszelkie hałasy.

Tamto powoduje, że sprawa jest naprawdę pilna, - zauważyłem. - Jestem miertelnie przerażony.

Jim dołączył do nas i z powagą wysłuchał wyjaśnień Geordiego.

Potem oznajmił: - W porządku. Znam szansę. Pójdę.

- Zostały nam trzy minuty - powiedziałem. - Za minutę
zawołam znów Ramireza.

Czekaliśmy - stłoczeni za rogiem sterówki. Sekundy mijały, a my
przysłuchiwalimy się złowieszczemu dudnieniu i syczeniu. - Jesteśmy
tylko sześćdziesiąt parę kilometrów od Nuku'alofa - zwróciłem się
do Geordiego. - Szybka łód motorowa dotarłaby tu w ciągu paru
godzin. Z pewnością stanowiłoby to dla nas jakąś ochronę. Jaka jest
szansa wysłania komunikatu radiowego?

W głosie Geordiego brzmiała gorycz. - Radio było pierwszą
rzeczą, jaką zniszczyli. Jest do niczego. Shorty usiłuje zmagistrować ze
szczątków nadajnik iskrowy, ale mówi, że to wymaga czasu.

Istniała jeszcze jedna słaba nadzieja - możliwość, że kto zobaczy
chmurę czarnego dymu i będzie chciał zbadać sprawę. Wiedzieliśmy
jednak aż nazbyt dobrze, jak mało statków znajduje się w tym
regionie. Żaden z nich nie mógł się tu zjawić szybko - a poza tym
było bardzo prawdopodobne, że każdy rozsądny szyper, kiedy tylko
podpłynąłby dość blisko, by się zorientować, co tu się dzieje, oddaliłby
się czym prędzej. Każdy trop myłowy zdawał się prowadzić w lepszą
uliczkę.

Znowu wczółgałem się do sterówki i podniosłem tubę do ust.

Ramirez!

Słucham.

Nasz człowiek już wychodzi. Zupełnie jawnie. Ma ze sobą torbę z narzędziami. Nie strzelajcie!

Nie będziemy strzelać - zgodził się. - Powiedziałem swoim ludziom.

Patrzyłem przez okno, jak Jim, z przewieszoną przez ramię skórzaną torbę, podszedł do topmasztu. Wspinał się w spokojnym, równym tempie. Prawie cała nasza załoga ledziła go wzrokiem z różnych ukrytych punktów obserwacyjnych, kilku z karabinami lub pistoletami w ręku. Jim dotarł do końca reji, zatrzymał się, potem przekręcił torbę tak, że miał ją teraz przed sobą, i włożył rękę do rodka. Najpierw musiał nożem utorować sobie drogę przez plstanie lin. Na pokładzie "Sireny" nie było widać nikogo; podobnie jak my, siedzieli w ukryciu.

Nagle pochwycił nas wir i oba statki gwałtownie przechyliły się na bok. Ja byłem przypięty pasem więc zakołysałem się tylko pod wpływem tego ruchu, pokładając w Bogu nadzieję, że Jim ma silny chwyt w rękach i nie upuci granatu. Wtem ze sterówki "Sireny" dobiegł nas gwar głosów i po chwili na pokład wyskoczył Hadley

273

18-Noc błędu

z pistoletem maszynowym w ręku. miejść się, stanął w zupełnie odsłoniętym miejscu, szybko podniósł broń i pucił serię w kierunku szczytu fokmasztu.

Jim runął z końca reji, spadając z dziwnie wykrzywionymi koń-

czynami, po czym z głuchym odgłosem uderzył w przegrodę na lewej burcie. Jeli nie zabiły go kule, to z pewnością poniósł śmierć wskutek upadku.

Na "Esmeraldzie" podniósł się gniewny ryk i zaczęły padać strzały. Hadley ciśnie się miejsc, wycofał się w cień i stamtąd rozpylił resztę magazynka po naszych pokładach. Drzazgi leciały z desek u stóp szaleńca, lecz on zdawał się tańczyć, uskakując przed kulami, aż w końcu znikł w ukryciu.

Kule z automatu Hadleya potrzaskały resztę szyb w sterówce.

Wyskoczyłem z niej i dołączyłem do Geordiego i Campbella. Geordie oniemiał z wściekłości i żalu, Campbell warczał: - Przeklęty maniak!
- Wypruję mu flaki! - wykrztusił Geordie.

Strzały, padające ze strony naszej załogi, pomału ucichły i zobaczyłem twarze zastygłe ze zgrozy na widok, jaki ukazał się ich oczom.

Dwóch mężczyzn wyszło z ukrycia, aby zabrać ciało Jima. Nikt do nich nie strzelał. Powoli w ład za innymi, zszedłem pod pokład na naradę. Na korytarzu spotkałem Klarę, która czekała tam na nas, blada i sztywna. Podeszła i przyłgnęła do mnie, a ja trzymałem ją mocno i przez chwilę moja miłość do niej wydawała się mi jedyną rzeczywistością.

O Boże, Mikę... tato... co się tam stało na górze?

Zabili Jima - odrzekł krótko Campbell.

Majś wśród siebie furiata - powiedziałem. - To Hadley - stracił zupełnie panowanie nad sobą.

Ja go zabiję - stwierdził Geordie.

Geordie, poczekaj! To nie wojna, a ty nie jeste jakim

szafujšcym krwiš generałem, który nie dba o to, ilu jego żołnierzy zginie za sprawę. Straciliśmy Danny'ego, Jima i Rexa, a paru ludzi jest rannych. Nie możemy się spodziewać, że uda się nam przedostać na "Sirenę" - zostalibyśmy zmasakrowani.

Do diabła, jest jaki inny sposób? - zapytał Geordie, nadal rwšc się do walki! Większoć załogi poparła go pomrukiem aprobaty. Ja odczuwałem to samo, co oni, lecz musiałem ich powstrzymać.

Słuchajcie, Hadley oszalał i nie wiadomo, co jeszcze robi. Ale założę się, że ci Hiszpanie bojš się go jeszcze bardziej niż my. Mylę, że Ramirez zajmie się nim, dla ich własnego bezpieczeństwa.

Twarz Geordiego pozostała zamknięta i zimna. Nie chciał słuchać.

274

Wtedy odezwał się Campbell: - Nie zapominaj, że dryfujemy.

Podniosłe kotwicę.

Słowa te sprawiły, że Geordie zupełnie oprzytomniał. Zmarszczył brwi, wyrażajšc w ten sposób zaniepokojenie, które było z pewnością reakcjš znacznie zdrowszš dla nas wszystkich niż przedtem jego spojrzenie pełne zajadłej nienawici. - Chryste, prawda! Mogłoby nas znieć prosto na tamto co. Musimy wydobyć fokmaszt z obsady, odczepić wanty i wyrzucić to wszystko za burtę. To powstrzyma "Sirenę", jeli spróbuje nas gonić. Taffy! Nick! - podniósł rozkazujšco głos.

Ludzie chwycili za broń i otoczyli go, czekając na sygnał do ataku.

Zamiast tego Geordie stanowczym tonem zaczął wydawać polecenia, zmierzające do oswobodzenia "Esmeraldy", a oni poznali po jego głosie, że sprawa jest pilna i poważna. Szał bitewny zaczął ich opuszczać.

Zwróciłem się do Klary. - Czy dobrze się czujesz? - zapytałem cicho.

- Teraz lepiej, kochanie.

Ale nawet w tej chwili nie było czasu na więcej niż jedną krótką chwilę pociechy. - Gdzie jest Paula i Mark? - zagadnąłem Klarę.

Ruchem głowy wskazała salon. - Nadal są tam. Jego rana nie jest zbyt poważna. Siedział w fotelu, gdy ostatnio do nich zająrzałem. Ale on nie sprawi nam żadnego kłopotu, Mike. Nigdy jeszcze nie widziałam go tak uległego.

- Są wszelkie oznaki, że Falcon wkrótce zacznie się zachowywać jeszcze gorzej. Chcę, żeby wyprowadziła ich oboje na pokład - tam będzie bezpieczniej niż na dole. I pozostań ze swym ojcem, Klaro.

Trzymajcie się wszyscy razem. - Pocałowałem ją, po czym bez słowa przeszła do salonu.

Geordie z mężczyznami byli już na pokładzie, a teraz ja udałem się za nimi. Na "Sirenie" wrzała szalona praca, załoga borykała się z wyposażeniem fokmasztu. Podobna scena rozgrywała się na naszym statku. Nikt nie strzelał, nie było widać ani ladu Hadleya. Miałem nadzieję, że zabili go sami. Rzuciłem krótkie spojrzenie na nasz motorów szalupę, nadal przywiśzaną i szaleńczo tańczącą za rufą,

na szczółki porozrzucane na pokładzie, na ciało Jima, które znoszono na dół. Ruszyłem naprzód, żeby pomóc innym w pracy.

I wtedy właśnie Falcon wybuchnął.

Rozległ się potężny ryk, gdy tysiőce ton wody w mgnieniu oka zmieniły się w przegrzaną parę. Zobaczyliśmy drgające, jaskrawe światło, a jednocześnie blask słońca przygasł, gdy ogromny słup pary wzniósł się ku niebu.

275

Pierwsza fala dosięgnęła nas w ciőgu mniej niż piętnastu sekund.

Kiedy zachwiałem się na nogach, chwytając jakie oparcie zobaczyłem, jak biegła ku "Esmeraldzie", rysując się na tle szalejącego ognia. Była to monstrualna fala, wznosząca się na wysokość naszych masztów, zwieńczona brudną szarą pianą i zbliżająca się z szybkością pociągu ekspresowego.

Rozpląszczyłem się na otwartym pokładzie, usiłując całym ciałem przylgnąć do deskowania.

Fala uderzyła w "Esmeraldę". Statek uniósł się gwałtownie i opadł na "Sirenę". Rozległ się trzask pękającego drewna i pomyślałem, że oba statki musiały zostać przedziurawione. Potoki niemal kipiącej wody przetoczyły się przez pokład i skręciłem się z bólu, gdy wrzółek ten dostał się do mojej rany w boku.

Fala przeszła i statki opadły w posuwającą się za nią głęboką wodną dolinę, skrzypiąc i trzeszcząc we wszystkich swych spojeniach. W krótkich odstępach czasu przeszły jeszcze trzy olbrzymie fale, ale

żadna z nich nie była tak wysoka jak pierwsza. Chwiałem się na nogach, czując pod nimi dziwne, konwulsyjne ruchy statku.

Fale dokonały tego, czego nam nie udało się zrobić. "Sirena" hutała się i podskakiwała na powierzchni w odległości około pięćdziesięciu metrów od nas. "Esmeralda" była wolna, ale fokmasztu nie miała w ogóle. Został wyrwany z korzeniami.

Jednakże przy każdym przechyle "Sireny" słyszeć było trzask i widać było przebiegający już dreszcz. Potykając się podszedłem do burty i spojrzałem na wodę. Zwisał tam nasz fokmaszt, nadal szczepiony z masztem "Sireny" płataniną lin i rej. Kiedy patrzyłem, gwałtowna fala uderzyła jak taran w jej kadłub, który zadrżał od dziobu do rufy. Zapewne nie wytrzyma długo takiego traktowania.

Przewróciłem się o ciało leżące w cieku pokładowym. Był to Nick, z raną na czole, z której syczyła się krew; kiedy jednak obróciłem go, jęknął, poruszył się i otworzył oczy. Musiał mieć organizm silny jak u byka, gdyż mimo ciężkiej kontuzji zaczął od razu z trudem podnosić się na nogi.

- Poszukajmy innych! - krzyknąłem, - a on skinął głową na znak zgody. Odwróciliśmy się i rzuciwszy przelotne spojrzenie na Falcon zastygliśmy w zdumieniu.

Był tam lód. Lód, jarzący się ciemną czerwienią, mienił się złotymi błyskami płomieni, który otaczał prawdziwy otchłań piekielny: ogromny rozżarzony krater, wyrzucający z siebie rozpalone do czerwoności żużle i strumienie lawy. Falcon jeszcze raz budował wyspę.

Morze walczyło z nowym lśdem, lecz lśd zwyciężał. Nic nie mogło

276

powstrzymać wypływu materii z tej olbrzymiej, ziejścej, czerwonej paszczy, lecz morze wyęczało wszystkie swe siły, zwalczajśc ogień wodś, czego wynikiem było piekło dźwięków. Rozlegał się potężny, ogłuszajśc sy, jakby wszystkie lokomotywy wiata równoczenie wypuszczały parę, a towarzyszyło mu basowe dudnienie z głębi otchłani.

Ogromne języki ognia wyskakiwały z krateru, na pół przesłonięte czerwons mglś, za woda wrzała przy zetknięciu się z płomiennym żarem nowej Fonua Fo'ou. Słyscać było odgłosy przyboju uderzajścgo o rafę, lecz takiej fali przybojowej żaden z nas nie widział nigdy przedtem. Potężne strugi materiałów wulkanicznych, wszystko to, co Falcon zdołał wyrzucić w powietrze ze swej monstrualnej gardzieli, kipiały i wybuchały w spazmatycznych drgawkach, miotajśc wysoko w niebo popiół, magnę i kamienie. Nad tym wszystkim wisiał mglisto-szary tuman odłamków pumeksu, przyćmiewajśc słońce.

"Esmeralda" równie biernie jak "Sirena" poddawała się rzucajścym jś falom. Czarne postacie poruszały się po obu pokładach, rysujśc się na tle czerwonej łuny Falconu, a ja doznałem wyranego uczucia ulgi. Przez chwilę bowiem wydawało mi się, że Nick i ja jesteśmy jedynymi istotami pozostałymi przy życiu. Prosiłem Boga, aby Klara była bezpieczna.

Oczy Nicka przybrały szklisty wyglśd, nie ze strachu, lecz ze zgrozy. Był on człowiekiem twardszym ode mnie i daleko lepiej

przygotowanym do stawiania czoła niebezpieczeństwu, lecz ja miałem nad nim wielką przewagę - wiedziałem, co dzieje się pod wodzą, i to pomagało mi zachować równowagę. Potrzebowałem nim brutalnie i jego twarz odzyskała przytomny wyraz. Odetchnął głęboko i pierwszy ruszył przez zamieciony pokład.

Na "Sirenie" szalupa ratunkowa hutała się, zwisając na jednym żurawiku. Najwyraźniej część załogi usiłowała opuścić statek, lecz owe straszliwe fale zniweczyły wszelkie ich szansę. Jedna z lin urwała się i wszyscy ci ludzie zapewne wpadli do morza.

Gdy posuwaliśmy się naprzód, wydarzyło się coś absurdalnego, a mianowicie zaczął padać nieg. Płatki leciały z nieba jak pierze, osiadając wszędzie. Strzepnąłem jeden z mojego ramienia - był to płatek popiołu. Wyziewy coraz bardziej zatrwały powietrze, nasilał się odór siarki i jeszcze gorszy fetor siarkowodoru. Spojrzałem na morze. Bulgotało jak basen z borowiną. Wielkie, tłuste pęcherze podnosiły się z dna morskiego i pękały na powierzchni, wydzielając trujący dym, który mieszał się z mgłą pary wodnej. Z przerażeniem zdałem sobie sprawę, że to nie my dryfujemy w kierunku ródła erupcji - to ono rozszerzyło się pod morzem, dając nam na spotkanie.

277

Rozległ się przeraliwy ryk od strony Falconu, kiedy otworzył się drugi wylot, tylko paręset metrów od obu statków. Fale tym razem nie były tak potężne jak przedtem - ten wylot był mniejszy.

Przywarliśmy do poręczy, gdy załało nas pierwsze spiętrzenie goršcej,

nasyconej parš wody, po czym wynurzyliśmy się, chwytając cuchnące powietrze. Nick trzymał się za ramię, a ja czułem dotkliwy ból w klatce piersiowej, ale pozostaliśmy przy życiu. Na naszym pokładzie dziobowym jakie postacie z trudem stawały na nogi; rozpoznałem wśród nich olbrzymiego Iana, a potem Geordiego.

"Sirena" kołysała się mocno na wzburzonym morzu. Potem zaczęła się obracać zupełnie jak "Esmeralda", kiedy po raz pierwszy dotarliśmy do Falconu. Wir, który ją pochwycił, posuwał się naprzód, i po paru obrotach "Sirena" odzyskała równowagę; nadal jednak wlokła resztki naszego masztu.

Nagle z morza, nie dalej niż trzy metry od burty, trysnęła w górę fontanna i krople ciepłej wody zmieszanej z piaskiem spadły mi na głowę. Druga fontanna wyrosła nieco dalej, potem jeszcze jedna.

Wyglądało to zupełnie tak, jakbyśmy byli pod ostrzałem artyleryjskim.

Cała powierzchnia gniewnego morza wydawała się ospowata, pokryta dołkami, jakby padały na nią ogromne krople deszczu.

Fontanny wody tryskały w górę, gdy głązy z drugiego wylotu Falconu, miotane wysoko w powietrze, spadały pionowo po obu stronach statków. Osnuwał nas dym, a para kłębiła się wszędzie.

Spadające głązy wulkaniczne niedługo omijały "Esmeraldę". W pewnej chwili ze ródokręcia dobiegł nas głony trzask. Posypały się drzazgi, mieszając się z deszczem popiołów i płonących magm. Gdy dobrnęliśmy na miejsce, zobaczyliśmy dziurę o poszarpanych brzegach, wybitą w dachu kuchni, oraz ogromną rozżarzoną bryłę, która właśnie

zaczynała przepalać deskowanie pokładu. Małe płomyki wgryzały się już w drewno.

- Na Boga, pożar! - powiedział Nick. - Jak, u diabła, damy sobie z tym radę?

Odpowiedź była szybka i dramatyczna. Z grzmiścym rykiem pochłonęła nas następna ogromna fala. Wynurzalimy się, nadal jakim cudem nietknięci, aby stwierdzić, że pożar został ugaszony w zarodku, kosztem całkowicie zalanej kuchni.

W końcu udało się nam dołączyć do paru osób z naszej załogi.

Trzymaj się czego wystarczająco mocnego mogliśmy zachować równowagę. Było dużo skaleczeń i siniaków, lecz wszyscy znów

278

stalimy na nogach. Z wyjątkiem Geordiego, który zniknął. Chwyciłem kogo za ramię.

Geordie był tutaj. Co się z nim stało?

Poszedł, żeby spróbować uruchomić silnik - wrzasnął mi w ucho Taffy.

Po chwili, gdy nasz silnik zaczął pracować, spod pokładu dobiegł nas równomierny, rytmiczny stukot; dźwięk ten wzbudził we mnie szalony przypływ nadziei.

Wszędzie dokoła padał ciepły deszcz, w którym skroplona para była pomieszana ze liskim i zdradliwym popiołem. Silny, kwany odór ciśnie drażnił moje nozdrza, a złowieszcze odgłosy wydawane przez nadwerężoną konstrukcję statku mieszały się z ostrymi gwizdami

i dudnieniem z nowego wylotu Falconu, groźcą przedziurawieniem bębenków w uszach. Zaatakował nas kolejny grad kamieni wulkanicznych. Trzy czy cztery większe, żarzące się gązły spadły z trzaskiem na pokład "Sireny", a dwa na nasz. "Sirena" niemal zrównała się z nami i ludzie z jej załogi tłoczyli się wzdłuż poręczy nadburcia. Kilku z nich skoczyło - niektórzy na nasz pokład, inni wprost do morza.

- Dawać liny! - krzyknął Ian. Pobiegnęłam za nim do burty, gdzie wraz z Nickiem zaczęli już akcję ratunkową. Jeden z mężczyzn, którzy wskoczyli do wody, chwycił koniec liny, a Ian z Shortym wciśnęli go na statek. Nick rzucił drugą linę; wtem duża fala uderzyła niespodziewanie w "Esmeraldę", a on poliznął się na pokrytych popiołem deskach. Wpadł na mnie i obaj runęliśmy na poręcz nadburcia.

Zupełnie zapało mi oddech i na chwilę straciłem przytomność.

Potem podniosłem się z trudem, jeszcze na czas, by zobaczyć, że Nick właśnie przechyla się przez burtę, aby za moment zlecieć w to szalejsze morze. Pochwyciłem go wokół kolan i usiłowałem wciśnąć na pokład, lecz z powodu liskoci desek pod moimi nogami, a także ciężaru Nicka, okazało się to dla mnie niewykonalne. Nick wydawał się nieprzytomny.

Wtedy następna fala runęła na nas obu, przechylając "Esmeraldę" w drugą stronę. Dokonała ona tego, czego ja nie zdołałem zrobić, i wrzuciła Nicka z powrotem na statek. Obaj odjechalimy od poręczy, na pół zanurzeni w pomieszanej z piaskiem wodzie, która spływała po pokładzie.

W końcu zatrzymałem się, plując i wymiotując wywołując mdłości ciepłą morską wodę. Jakie ręce pomogły mi wstać, jedna z nich należała do Klary.

- Mike, czy nic ci się nie stało?

Drżała, tak samo jak ja.

279

- Nic mi nie jest. Co z Nickiem? - Ciśgle jeszcze dyszałem i plułem, miałem jednak przyjemną wiadomość, że nasz silnik pracuje nadal i Geordie nieustannie zwiększa naszą odległość od "Sireny".

Klara ucisnęła mnie gorąco, a ja skrzywiłem się z bólu.

Mike, jeste ranny?

Nie martw się, to naprawdę nic poważnego. Ale na razie uważaj z uciskami.

Campbell przykutykał do nas; jego twarz była czarna od dymu, a ubranie przypalone i przemoczone. Wymienił ze mną spojrzenia nad głową Klary i umiechnął się lekko.

Jak tam Paula? - zapytałem go. - I Mark?

Oboje czuj się dobrze. Nie straciliśmy nikogo więcej - odrzekł ponuro. - Chłopcy wciśnęli dwóch Hiszpanów na pokład, a dwaj inni przeskoczyli sami.

Taffy pomógł wstać Nickowi. Oprócz ręki, która była wyranie uszkodzona, oraz otarcia skóry na twarzy, nie doznał chyba żadnych poważniejszych obrażeń. Znowu zdumiała mnie odporność jego organizmu. - Odesłaliśmy wszystkich Hiszpanów na dół, a Ian zamknął

ich w naszym prowizorycznym areszcie - powiedział Taffy.

Zapytałem: - Czy na pewno nie stanowiś teraz zagrożenia dla nas?

- No, mogłyby być kłopoty - odrzekł Taffy, - Musielimy...

Przerwał mu ogłuszający huk. Grad popiołu i magmy, który ustał na krótko, teraz zaczął padać znowu; gdy nowy słup dymu i pary wzbił się ku niebu niemal dokładnie przed nami. Nasz statek zakołysał się gwałtownie, kiedy znów natarły na niego spiętrzone fale. Po tym ostatnim ataku na "Sirenie" w kilku miejscach pojawił się ogień. Przez wszystkie hałasy docierały do nas głosy ludzi z jej załogi.

Założyłbym się o każdą sumę, że Geordie Wilkins to najlepszy żeglarz, jaki kiedykolwiek położył ręce na kole sterowym. Z ogromną biegłością, posługując się w zadziwiający sposób przekładnią biegów i przepustnicą, zbliżał się po trochu do skazanej na zagładę "Sireny", aby udzielić pomocy znajdującym się w niebezpieczeństwie ludziom. Gdy znalelimy się blisko, zobaczyliśmy, że jeden z ataków Falconu musiał zderzyć takielunek i zwalić główny gafel. Szamocący się ludzie leżeli przygnieceni do pokładu, inni gorączkowo starali się ich uwolnić, lecz ogień zbliżał się z kilku stron, trawiąc deski i belki pokładu.

- Spójrz - Ramirez! - krzyknęła Klara.

Jaki człowiek szedł chwiejnym krokiem po pokładzie "Sireny".

Obojętny na krzyki i zmagania swej załogi ani na chwilę nie odwracał oczu od "Esmeraldy". W rozbłysku jaskrawego czerwonego wiatła, przez dym zobaczyłem, że trzyma karabin. Jego poszarpane ubranie

wydawało się nadpalone i poplamione krwiś, a twarz była maską dymu, krwi i furii. Wypełnił z kryjówki jak miercionony pajśk, by po raz ostatni użyć swego jadu.

Nie wiem, czy stracił wszelką nadzieję na utrzymanie się przy życiu i szukał tylko zemsty, czy też pomieszało mu się w głowie. Nie wierzyłem, że jego chłodny intelekt, zupełnie niepodobny do bezmyślnego bestialstwa Hadleya, mógł się załamać tak łatwo. Miał on jednak tylko jeden, nieubłagany zamysł, który był przerażający.

Wymierzył karabin w naszą stronę.

Rzuciłem się, aby osłonić Klarę -*- nie miałem pojęcia, kogo wybrał za cel - usłyszałem huk strzału, ostry i wyrany na tle panującego zgiełku. Niemal natychmiast po nim rozległ się straszliwy, długotrwały ryk, głonniejszy niż wszystko, co słyszeliśmy przedtem. Stańwszy z trudem na nogi zobaczyliśmy, że Falcon pokazuje swój najbardziej przerażający sztuczkę.

To właśnie Geordie, skupiony na swym precyzyjnym sterowaniu, pierwszy dostrzegł niebezpieczeństwo. Nie wiem, czy w ogóle zauważył Ramireza. Kiedy zakręcił kołem sterowym, "Esmeralda" zmieniła kurs tak gwałtownie, że wykonał obrót o sto osiemdziesiąt stopni równie szybko jak wtedy, gdy porwał nas wir. Następnie wciskał przepustnicę tak długo, dopóki silnik nie zagrział na najwyższych obrotach, by unieść nas jak najdalej od tego miejsca.

W tyle za nami zobaczyłem, że "Sirena" zatrzymała się z nagłym wstrząsem, a Ramirez poleciał przez pokład. Statek groteskowo uniósł

się w powietrze i przewrócił na bok; wyglądał jak mała żaglówka, którą odpływ osadził na mielinie. Ale nie była to piaszczysta łacha.

Była to wijąca się rzeka rozpalonej do czerwoności lawy. Morze cofnęło się przed nią w nawałnicy pary.

W tym ostatnim ułamku sekundy Ramirez stoczył się po pokładzie, jego ubranie było jedną masą płomieni. Spadł za burtę prosto w szalejącą rzekę lawy i znikł w niej natychmiast. "Sirena" płonęła jak stos pogrzebowy, aż wreszcie kłęby dymu i pary zasłoniły ją przed naszym wzrokiem.

4

Ognisty deszcz z Falconu trwał nadal. W sumie trafiły nas cztery takie płonące bomby. Wyczerpani, kontuzjowani i poparzeni członkowie naszej załogi byli nieustannie zajęci przy gaszeniu wciąż wybuchających pożarów, zależnie od ich wielkości używając węży lub

281

wiader i modlił się, żeby nie zabrakło nam paliwa. Wężę mogły spełniać swe zadanie tylko tak długo, dopóki działał silnik. Wiedzieliśmy też, że nie ma najmniejszej możliwości postawienia żagla.

Nawet z silnikiem pracującym na pełnych obrotach "Esmeralda" czasami zaczynała dryfować z powrotem w kierunku Falconu, kiedy porywał ją przed zimnej wody, pędzącej w tamtą stronę, by uzupełnić ubytki powstałe wskutek parowania. Niekiedy wir obracał statek rufą do przodu i Geordie musiał dawać wsteczny bieg.

Minęły trzy godziny, zanim wystarczająco oddaliliśmy się od

Falconu, i ten szalony galimatias ognia, pary, dymu i lawy pozostał na szczęście za nami. Geordiego przy sterze zastępowali Ian i Taffy, a reszta naszej załogi zdołała ugasić pożary, wyrzucić najgorsze mieci i szczstki, i zaprowadzić na statku co słabo przypominajšcego porzšdek. Zmienialimy się przy robocie, padajšc z wyczerpania.

Klara pracowała wytrwale, opatrujšc oparzenia i rany.

Niektóre części "Esmeraldy" były w lepszym stanie niż inne.

Jakim cudem szalupa nadal plštała się za nami, chociaż nie mielimy czasu, Źeby zatrzymać się i wcišgnšc jš na Źurawiki. Z wielkš ulgš stwierdziłem, Źe moje notatki i prawie wszystkie kartoteki w laboratorium były w porzšdku, chociaż większoć aparatury uległa zniszczeniu.

Wolałem zajšc się tego rodzaju pracš, niż rozmylać nad przeraŹajšcymi wydarzeniami ostatnich kilku godzin. Było jednak parę spraw do załatwienia, których mimo moich najszczerszych chęci nie mogłem odłóżyć na póniej.

Mark był nadal na statku i trzeba było co z tym zrobić.

Był także Hadley.

Taffy zaczął mi opowiadać o tym tuż przed ostatnim wybuchem.

Hadley był jednym z dwóch męŹczyzn, którzy skoczyli na nasz pokład, i został zamknięty w areszcie razem z innymi ludmi z "Sireny".

wiadomoć, Źe jest z nami, była przykra i niepokojšca, lecz dla mnie najpowaŹniejszym problemem był Mark.

On i Paula siedzieli razem w salonie podczas naszej utarczki z Falconem. Teraz musiałem spotkać się z nim sam na sam. Podniosłem

się z trudem i powłóczęc nogami zszedłem na dół. Paula podniosła głowę, gdy otworzyłem drzwi, a jej twarz podobnie jak twarze nas wszystkich, była zmęczona i mroczna.

Czy już jesteśmy bezpieczni, Mike?- zapytała.

Mniej więcej. Powinnicie oboje wyjść na pokład i trochę się przewietrzyć. Teraz jest tam zupełnie spokojnie. Paulo, dziękuję ci za pomoc.

Odwzajemniła się lekkim umiechem, po czym oboje wstali. Mark

282

był bardzo blady pod obfitym zarostem i trochę utykał, lecz wydawał się dość silny. Dotychczas nie powiedział nic. Oprowadziłem ich po pokładzie, a oni szli za mną w milczeniu, wstrząśnięci widokiem tak wielkiego zniszczenia. Nikt z naszej załogi nie odezwał się do Marka, natomiast niejeden wyciągnął rękę, by poklepać Paulę po ramieniu, lub umiechnął się do niej, gdy przechodziła obok niego.

Zatrzymaliśmy się przy pokładówce, z której został tylko potrzaskany i wypalony szkielet. Stali obok siebie, patrząc wstecz na odległy teraz, wzbijający się w niebo chmurę dymu.

Chciałbym to zobaczyć - powiedział Mark. W jego głosie zabrzmiał żal.

Widok fantastyczny, ale znaleliśmy się zbyt blisko, aby móc go wygodnie oglądać - odparłem. - Gdy tylko będę mógł, nagram swoje wrażenia na taśmie. Wiele można się dowiedzieć obserwując z tak małej odległości. Czy wiesz, co się stało z "Sireną"?

Klara nam opowiedziała - odrzekła Paula i zadrżała. Mark
wydawał się obojętny. Nie zamierzał tak łatwo ulec wyrzutom sumienia.

Ja nie wspominałem o Hadleyu i innych więniach.

Mark - odezwałem się nagle. - Muszę z tobš porozmawiać.

Pójdę sobie - zaproponowała Paula.

Mark wzišł jš za rękę i zatrzymał. - Zostań ze mnš - powiedział.

Była ona jedynym człowiekiem, co do którego mógł być pewny, że
będzie po jego stronie, a potrzebował przyjaznej duszy w sšdzie.

Zwrócił się do mnie i cień dawnej arogancji znów zabrzmiał w jego
głosie. - Co to ma być? Jeden z twoich wykładcików o przyzwoitoci?

Poczułem się przygnębiony i zmęczony. Nic z tego nie będzie.

- Na miłość boskš, Mark, daj spokój. Nie zamierzam robić
wymówek - nigdy nie udało mi się w porę przemówić ci do rozsšdku.

Ale musimy co wymylić, zanim zawiniemy do portu, lub kto nas
dostrzeże.

Nade wszystko chciałem się położyć, po prostu tam na pokładzie,
i spać przez, tydzień. Byłem wykończony fizycznie, lecz odpowiedzial-
ność za Marka była jeszcze większym ciężarem. Chciałbym móc mieć
Klarę po swojej stronie, tak jak on miał Paulę, ale nie zamierzałem
wcišgać jej w to.

Patrzyliśmy na siebie, nie mogšc ruszyć z martwego punktu.

Moje chaotyczne myli przerwał przeraliwy krzyk. Dźwięk ten
dochodził spod pokładu. Taffy i paru innych zbiegło błyskawicznie po
schodkach na dół, a obok nas przemknšł Ian, kierujšc się w tamtš

stronę. W pierwszej chwili też ruszyłem za nim, lecz zatrzymałem się, zostawiając załatwienie tej sprawy profesjonalistom.

283

Mylę, że to jeden z Hiszpanów. Musi być ranny, biedaczysko - powiedziałem.

Jakich Hiszpanów? - zapytał Mark.

Zamiast odpowiedzi na dole rozległ się głony trzask i naszym oczom ukazał się Hadley, który przez wypaloną kuchnię wpadł na pokład, gdzie staliśmy. W ręku miał nóż kuchenny. Cofnąłem się przed jego szalonymi, nabiegłymi krwiosz oczami, kiedy natarł na mnie jak byk.

Kopnąłem go w gołę, lecz było to podobne do próby zatrzymania nogi ciężarówki. Skoczył chwytając mnie w niedwiedzi ucisk, który wywołał rozdzierający ból w zranionym boku. Nóż Hadleya błysnął mi koło gardła. Kiedy padaliśmy, rozpaczliwie drapałem paznokciami jego twarz. Hadley wylądował na mnie całym ciężarem, lecz dzięki Bogu jego uzbrojona w nóż ręka znalazła się pod nami. Również go złościwie w krtani, co zupełnie zatkało mu oddech. Jego ucisk zelżał.

Kopnąłem go kolanem w krocze i wyrwałem się.

Ale Hadley szybko przyszedł do siebie i przewrotem stanął na nogi. Zwinny mimo swej ogromnej masy, skoczył gdy dyszałem łapiąc powietrze. Chwytał mnie przyciskając moje ręce do boków; poczułem, że wyciska mi oddech z płuc, a które żebro trzasnęło boleśnie.

Zrobiło mi się czarno przed oczami.

Nagle stracił równowagę i obaj runęliśmy na pokład. To Nick podkładał się z tyłu, chwycił Hadleya za kostkę i szarpnął, zbijając go z nóg. Obróciłem się na bok uwalniając się z jego ucisku, a Ian strzelił mu prosto w brzuch z pistoletu.

Ku naszemu zdumieniu Hadley wstał i rzucił się po nóż leżący na pokładzie. Przez krótką chwilę, która jednak mogła okazać się fatalną w skutkach, staliśmy wszyscy jak sparaliżowani. Z niesamowitym, bulgoczącym krzykiem wciekłości i bólu rzucił się ku Markowi, a nóż złowrogo błysnął w słońcu.

Mark odepchnął Paulę i stawiał czoło natarciu. Ostrze pogrążyło się w jego boku i Mark runął nie wydawszy żadnego dźwięku.

Nóż upadł na pokład. Hadley zrobił dwa chwiejne kroki do tyłu, kurczowo przyciskając ręce do żołądka, po czym przewinął się tyłem przez poręcz i wpadł do morza.

Po jego upadku cisza zawisła w powietrzu.

Stałem na drżących nogach trzymając się za żebra i chwytając powietrze krótkimi, bolesnymi oddechami. Klara i Bili Hunter pierwsi znaleli się przy mnie. Kiedy Campbell podszedł, by pomóc Pauli, odsunęła go na bok i pobiegła do Marka, który nadal leżał na pokładzie. Był jednak przytomny i próbował usiąść.

284

Nadbiegł Geordie i gwar pomieszanych głosów poinformował go, co się stało. - Moja wina, panie szyper. - stwierdził cierpko Taffy.

To ja wypuciłem tego sukinsyna. Usłyszałem, że jaki człowiek krzyczy i pomyślałem, że kto w areszcie ma bóle. Wszedłem tam z Billem, lecz Hadley przeszedł przez nas jak pociąg ekspresowy.

Nic dziwnego, że ten biedak krzyczał - powiedział Bili. -

Hadley prawie wyrwał mu ramię ze stawu, żeby skłonić nas do otwarcia aresztu.

On był całkiem szalony - zauważył trzewo Ian.

Aby rozproszyć atmosferę przygnębienia, Geordie powiedział dziarsko: - No cóż, próbował i nie udało mu się. To już ostatni. Inni nie sprawisz żadnego kłopotu. Teraz, chłopcy, wracamy do roboty. Nie jesteśmy jeszcze w domu.

Zaczęli się powoli rozchodzić. Geordie zwrócił się do mnie przyciszonym głosem: - Ostatni z nich - prócz Marka. Co zamierzasz zrobić ze swoim bratem, Mikę?

Popatrzyłem na niego ze smutkiem.

Nie wiem. Przede wszystkim muszę zobaczyć, jak ciężko został zraniony. Nie mogę po prostu oddać go w ręce policji.

Nie sǳę, żeby miał jakikolwiek wybór, chłopcze.

Przypuszczam, że nie. Ale jest cholerne mnóstwo rzeczy, które musimy zrobić.

Klara, która dodawała mi otuchy mocno obejmując rękǳ mojs klatkę piersiowǳ, czekała w milczeniu, żebym podjsł jakǳ decyzję. -

Geordie, muszę sam z nim porozmawiać. - powiedziałem. - Klaro, we Paulę ze sobǳ. Zaopiekuj się niǳ. Bóg wie, że dosyć się nacierpiała.

Przez jaki czas trzymajcie wszystkich z dala od nas, dobrze?

- Dopilnuję tego - obiecał Geordie.

Klara na znak współczucia umiechnęła się do mnie serdecznie, po czym odeszła w stronę pokładówki. Mark siedział oparty o poręcz nadburcia, jak zawsze z Paulš u swego boku. Poczekałem, dopóki Klara nie wzięła jej delikatnie za rękę, po czym obie dziewczyny zeszyły na dół, by dołączyć do Campbella. Chciałem porozmawiać z Markiem, może po raz ostatni, bez nikogo, kto pełniłby rolę ekranu ochronnego między nami.

Spojrzał na mnie lodowato, kiedy usiadłem po turecku obok niego.

- No, jak tam? - zapytałem.

Wzruszył ramionami. - Niedobrze - odrzekł, chwytając z trudem oddech. Był blady jak płótno, a oczy miał mętne.

Mark, dzięki za uratowanie Pauli.

Nie dziękuj. To była moja sprawa. - Nie chciał ode mnie pochwał. - Mówiłem wam, że ten człowiek jest niespełna rozumu.

285

- No cóż, z nim już po kłopotcie. Z Ramirezem też. Zostajesz tylko ty, Mark. I to stawia mnie w diabelnie trudnej sytuacji, Oczekiwałem zwykłej szyderczej riposty, lecz zaskoczył mnie. -
Wiem o tym, Mike - odpowiedział. - Przysporzyłem ci mnóstwo zmartwień i przykro mi z tego powodu. Przypuszczalnie przysporzę ci ich dużo więcej, dopóki będę żył... _^/

Nie, ja...

Co nie potrwa długo. Nie jestem medykiem, ale znam się na tym.

Mark, wkrótce zawiniemy do portu i zajmę się tobą lekarze.

Możemy nawet leżeć na tej samej sali - odparłem, starając się mówić beztruskim tonem. Mark był smutny i mniej arogancki niż kiedykolwiek, co mnie mocno zaniepokoiło.

Nie bądź głupcem, Mike - powiedział z odrobiną swej dawnej zgrzyliwoci. - I tak będziesz musiał odpowiedzieć na milion pytań. Wcale nie ułatwi ci sprawy, jeli nagle zjawisz się w towarzystwie swego od dawna zaginionego, zamordowanego brata-mordercy, prawda?

Wiedziałem, że ma słusność. Nie przewidywałem dla nas obu nic prócz kłopotów. Wzdragałem się przed myślą o oddaniu go w ręce sprawiedliwoci, lecz nie mogłem dostrzec żadnego innego rozwiązania.

Mark pozwolił mi pomyleć o tym przez chwilę.

- Mike, mam jedną jedyną szansę, żeby ułatwić ci to wszystko.

Nigdy przedtem nie zrobiłem nic dla ciebie. Musisz się na to zgodzić.

- Dobry Boże, co ja mogę zrobić? - zapytałem powoli.

Wyprostował się i zachwiał się trochę. Potem rzekł: - Mike, ja umrę.

- Mark, nie wiesz...

- Wysłuchaj mnie. - Jego głos drżał. - Pamiętaj, Mike, ja już jestem martwy. Beze mnie masz wszelkie szansę wyjć z tego czysty.

Nie będzie nikogo, kto by zaprzeczył twojej relacji. Żeglowalicie by spotkać się z Ramirezem na wyprawie badawczej, i dostalicie się w piekło Falconu. Do tego czasu wiat dowie się o jego wybuchu.

Uczeni będŝ dokonywać przelotów nad wulkanem, statki przypłynŝ,
by go obserwować, i tak dalej. Wiesz o tym. Twoi dzielni towarzysze
potrafiŝ zatrzeć wszelkie lady strzelaniny. A ty przekonasz tych
Hiszpanów, których macie na statku, ŝeby siedzieli cicho.

Oddychał z trudem. Był cały mokry od potu.

Chryste, czy muszę ci to wszystko tłumaczyć? Ja juŝ nie
wyzdrowieję. Mogę zrobić dla ciebie jedno, jeli mi teraz pomoŝesz.

W czym ci mam pomóc? - zapytałem, znajŝc odpowiedź.

Pomóż mi umrzeć.

286

Wiedziałem.

Mark, ja nie mogę cię zabić.

Nie będziesz musiał.

Co błysnęło przed moimi oczami. Był to nóż kuchenny, którym
Hadley uderzył Marka, zakrwawiony na końcu, lecz lniŝcy w wietle
słonecznym. Przełknŝłem linę, gardło miałem cinięte.

Co... chcesz, ŝebym zrobił?

Pomóż mi wyskoczyć za burtę, do morza. To będzie dla mnie
tylko chwila, jak dla Hadleya.

W milczeniu wstałem i zacząłem chodzić po pokładzie. Obserwował
mnie uważnie, nic nie mówiąc, dając mi czas. To była jedyna całkowicie
niesamolubna rzecz, jakŝ kiedykolwiek uczynił w swym ŝyciu, lecz
postawił mnie przed strasznym wyborem.

W końcu wróciłem do niego.

- W porządku, Mark. Boże, wybacz mi - pomogę tobie.

- Dobrze. - Ożywił się. - Niech nikt nas nie zobaczy. Wersja

oficjalna będzie taka, że po twoim odejściu wdrapałem się na poręcz o własnych siłach. Tak zrobię, ale potrzebuję twojej pomocy.

Nie było nikogo w zasięgu wzroku. Geordie dobrze wykonał swoje zadanie.

Nie potrafiłem znaleźć nic, co mógłbym mu jeszcze powiedzieć.

Mark zakaszlał ciężko, głowa mu opadła i przez moment myślałem, że już umarł, siedząc tutaj. Wtedy podniósł głowę i spojrzał mi w oczy.

Po raz pierwszy w moim dorosłym życiu nasze spojrzenia spotkały się bez antagonizmu.

Zajął to tylko parę chwil. Pomogłem mu dojść do poręczy

nadburcia i obaj spojrzeliśmy w dół, gdzie fala dziobowa biegła wzdłuż burty "Esmeraldy". Pamiętam, że pomyślałem, jak bardzo spokojne jest morze.

Mark przełożył jedną nogę przez poręcz, a ja pomogłem mu utrzymać równowagę, gdy przenosił drugą. Przez chwilę go przytrzymałem.

- Żegnaj, Mike - powiedział wyranie.

Puciłem go. Upadł do tyłu i zniknął w pyle wodnym. Na

współprzytomnie odwróciłem się i z twarzą ukrytą w dłoniach skuliłem pod cianą pokładówki.

Po pewnym czasie podniosłem się chwiejnie. Dokonało się. Muszę ić i porozmawiać z kimś z załogi. Nie z Pauls, jeszcze nie. Ale muszę zadbać, żeby plan Marka miał szansę realizacji. Odwróciłem się, by

odejść.

Nóż zniknął z pokładu.

Przez parę sekund stałem jak przykuty i mnóstwo myśli napłynęło

287

mi do głowy. Potem obróciłem się, by spojrzeć na to miejsce, gdzie leżał Mark. Tam też nie było noża, a krwi - co zauważyłem dopiero teraz, gdy zacząłem o tym myśleć - było bardzo niewiele.

Dwoma skokami znalazłem się przy poręczy i spojrzałem ku rufie, a moje myśli wybuchły jak wulkan. Szalupa motorowa, którą holowaliśmy przez cały czas, znikła, a linka zwisała luno z rufy. Wydawało mi się, że w oddali widzę małe punkciki podskakujące na falach, ale nie mogłem być pewny ani tego, ani niczego.

Powoli poszedłem na rufę i wciśnąłem linkę. Jej koniec był ucięty - i to niedawno, bo dopiero zaczynał się strzępić.

Na szalupie mieliśmy paliwo i żelazne racje żywności, ponieważ zawsze pełniła funkcję łodzi ratunkowej. Były linki do łowienia ryb, koce, rakiety sygnałowe, apteczka pierwszej pomocy - wszystko, czego potrzeba, by utrzymać się przy życiu.

Stałem przy poręczy - sam, tak jak mnie prosił - i przesyłałem mojemu bratu ostatnie, ironiczne pożegnanie. Owszem, życzyłem mu szczęścia.

Koniec